

TAM, GDZIE SNIA ŚCIANY



Bednarczyk Borys Broncel D.A.Recki Dyrzcz
Empomjan Iwaniak Jakubik Karaśkiewicz
Klonowski Kordowski Kubala Kuronuma
Lejkowska Lipka Liwski Loraj Łukasiewicz
Maciejewski Moska Pajęczkowski Pankowski
Radoń Woźniak-Marchewka



Audiodeskrypcja okładki dla osób niewidomych

Okładka utrzymana w odcieniach niebieskiego. Ciemny korytarz o dziwnym układzie ścian. Jego koniec rozświetlony jest światłem padającym z za zakrętu w prawo. Z załomu wylatują liście, a na podłodze czai się biały królik. Na suficie korytarza znajduje się tytuł książki, na ciemnej podłodze nazwiska autorów: Bednarczyk, Borys, Broncel, D.A.Recki, Dyrzcz, Empomjan, Iwaniak, Jakubik, Karaśkiewicz, Klonowski, Kordowski, Kubala, Lejkowska, Lipka, Liwski, Loraj, Łukasiewicz, Maciejewski, Moska, Pajączkowski, Pankowski, Radoń, Sumire, Woźniak-Marchewka.

Na dole po prawej stronie, obok nazwisk, znajduje się logo wydawnictwa Gmork, przedstawiające sylwetkę kota spacerującego po literach układających się w słowo „Gmork” i przetrącającego łapką literę O.

Korekta i redakcja:
DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

Skład:
DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA

Okladka:
JOANNA WIDOMSKA

*Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań są własnością ich
autorów*

Gmork
www.gmork.pl
email: kontakt@gmork.pl

2026

DARIUSZ JACEK BEDNARCZYK

IZOLATORIUM

- Jest fajna miejscówka – zagaił któregoś dnia Aleks.
 - Gdzie? – zapytałem.
 - Pstrąże, dwadzieścia kilosów od Bolesławca, na Dolnym Śląsku.
 - A co tam jest?
 - Nie słyszałeś?! Każdy urbex o tym wie, tajna baza sowiecka za PRL-u!
 - Ee, pewnie zwykle koszary, a teraz kompleta ruina.
 - No co ty! Kompletnie ruskie miasteczko, które nigdy nie widniało na mapach!
 - Takie Borne Sulinowo?
 - Bardziej utajnione, ale również składowano tam atomówki.
 - To muszą tam być niezłe bunkry.
 - Żeby tylko. To tajne miasto podzielone było na część wojskową i cywilną. Po jednej stronie muru osiem bloków mieszkalnych, przedszkole, podstawówka, ośrodek

zdrowia, kotłownia, plac zabaw, poczta, normalne sklepy, nawet biblioteka i hotel, a po drugiej ultra tajna baza, w której poza zwykłą infrastrukturą koszarową znajdowały się jebite hangary, hala sportowa, schrony, stanowiska raketowe, składy amunicji, stadion i nawet place defilad z trybunami, pewnie na inspekcje przyjeżdżali z samej Moskwy!

– Jak były atomówki, to muszą być niezłe tunele i katakumby.

– Warto byłoby skoczyć i obczaić.

Zaparkowaliśmy przed częściowo zdemontowanym mostem. Z wiadomych względów Sowieci usunęli bowiem część drogową, pozostawiając jedynie tory. Właśnie tamtędy przedostaliśmy się na teren byłego kompleksu militarno-cywilnego wschodniej krainy wiecznej szczęśliwości, ignorując tabliczki z ostrzegawczymi napisami: **Wstęp surowo wzbroniony!** Minąwszy świeżo rozjechaną drogę czołgową, albowiem teren skwapliwie przejęło wojsko, po przebyciu pasa drzewo-krzaczorów, naszym oczom ukazały się ruskie ruiny. Ignorując sektor cywilny, od razu skierowaliśmy się w stronę strefy wojskowej. Rzeczywiście, nawet w ruinie kompleks ten sprawiał imponujące wrażenie. Można było rozpoznać garaże, hangary, budynki koszarowe, wejścia do schronów, potężne nasypy ziemne, a wszystko to upstrzone cyrylicą

i wyblakłymi czerwonymi gwiazdami. Mimo to ze względu na fatalny stan budynków odradzałem ziomkowi penetrację martwych zabudowań. Oczodoły okien pokryte grzybem, łuszczące się ściany, kompletnie wyszabrowane i brudne wnętrza, zarwane schody, dziurawe stropy, jednym słowem wstęp naprawdę stwarzał realne niebezpieczeństwo, a dodatkowo ta przejmująca pustka, totalne opuszczenie oraz zapach wilgotnej pleśni sprawiały dziwnie przygnębiające wrażenie. Powoli zagłębialiśmy się w martwą tkankę porzuconego tajnego kompleksu, zapuszczając się pomiędzy z dawna opuszczone obiekty, ze szczegółami dostrzegając odstające płyty złuszczonych tynków, liszaje rdzy, zwisające druty, zawalone schody czy zapadnięte sufity. Wchodząc do środka jednego z lepiej zachowanych budynków obok zwałów śmieci, potłuczonych cegieł oraz gruzu na wyeksponowanym, bo akurat zadziwiająco niezagraconym miejscu, natknęliśmy się na okazałych rozmiarów świeże odchody upstrzone kłakami rudej sierści. W czasach smartfonów takie znalezisko rychło zdradziłoby nam tajemnicę swojego pochodzenia, niestety wówczas ta technologia nie była jeszcze dostępna...

W pewnym momencie dostrzegliśmy wyraźnie wyróżniającą się na tle innych budynków bryłę sali gimnastycznej. Weszliśmy do środka. Jak na ogólny obraz postępującej dewastacji, prezentowała się nadzwyczaj dobrze, bez ubytków zarówno w ścianach nośnych, jak też w suficie. Malowidła ściennie przedstawiały krzepkich

sołdatów, a to podczas defilady, a to podczas uprawiania gimnastyki czy szeregu dyscyplin lekkoatletycznych. Wszyscy bez wyjątku biali, zdrowi i uśmiechnięci. Ponad głowami żołnierzy, niczym konstelacje niebieskie, dumnie jarzyły się czerwone gwiazdy. Najlepiej zachowane murale widniały dokładnie naprzeciwko trybun, toteż właśnie tam skierowaliśmy się celem strzelenia paru dokumentujących fotek. Niektóre z drewnianych ławek były jeszcze w całkiem dobrym stanie, choć pokryte brudem nie zachęcały do spoczynku. Wałąc foty, machinalnie oparłem stopę na jednej z nich, a wówczas doszło do prawdziwie dramatycznego wypadku.

Wuuch!!! Wydarzyło się coś tak zaskakującego, nieoczekiwanego, a zarazem niewiarygodnego, że... straciliśmy przytomność.

Po dojściu do świadomości i zapaleniu latarek ujrzeliśmy nowe, nieznane wnętrze. Wybudzeni z odrętwienia, które nie wiadomo jak długo trwało, czuliśmy w powietrzu jedynie suchy, alergiczny proch. Najprawdopodobniej widownia zapadła się pod nami, my zaś znaleźliśmy się o jedną kondygnację poniżej. Zupełnie jak w sieciowej grze, gdyby nie bolały nas kości. Sparaliżowani strachem, ostrożnie zbliżyliśmy się do miejsca, w którym jeszcze przed chwilą musiał znajdować się punkt naszego upadku, spodziewając się ujrzeć jakąś dziurę, wyrwę, ewentualnie zapadnię, a tymczasem sufit pozostawał całkiem szczelny! Nad nami znajdowała się (ha, a może tak się nam tylko wydawało) hala gimnastyczna, lecz nic nie wskazywało

na katastrofę budowlaną, której byliśmy przecież ofiarami. Obolali, brudni, cali w pyłe, przez dłuższą chwilę staliśmy w miejscu niczym typowe bezradne randomy, próbując jakoś ogarnąć sytuację. Tajemna przestrzeń, zrazu subiektywnie kojarząca z technologicznie zaawansowanym bunkrem bądź tajną, ultranowoczesną, rodem z seriali science fiction sztolnią, wydała się dziwnie znajoma. Znajdowaliśmy się we wnętrzu co prawda olbrzymiego, lecz nad wyraz prozaicznie wyglądającego, zanedbanego hangaru. Wnętrze obcego pomieszczenia rozjaśniały zwisające z sufitu nagie żarówki.

– Agregaty wciąż działają – szepnął równie zdumiony Aleks. Cóż nam pozostało? Zgasiwszy latarki, kunkta-torsko ruszyliśmy przed siebie, próbując napotkać wyjście.

Olbrzymi hangar nie budził w nas uczucia komfortu. Szorstkie betonowe ściany ciągnęły się niemal bez końca, nigdzie ani śladu niegdysiejszej ludzkiej aktywności, jakby od zawsze pozostawał pusty, być może z nagła porzucony. Jedna hala przechodziła w następną i następną, oddzielane jedynie rzędami kolumn na podobieństwo zamysłu zagadkowych, tajnych zasad, z wolna budzących w nas poczucie dziwaczного niespełnienia. W dodatku kiedy natknęliśmy się na mocarną ścianę działową, zaczęły się przepastne korytarze wiodące praktycznie donikąd. Pokonywaliśmy kolejne, nieodmiennie wracając do punktu wyjścia. W końcu, po wielokrotnych peregrynacjach tych samych miejsc, jakimś cudem natrafiliśmy na ciąg wyszczerbionych upływem czasu oraz

panującą wokół wilgocią betonowych schodów, które jednakże również wydawały się bezsensownie prowadzić donikąd, albowiem każde wejście, po przejściu przez metalowe drzwi, kończyło się zejściem na uprzedni poziom. Zmyłka, okrutny żart, senny labirynt? Koszmar na jawie? Dehumanizacyjny eksperyment? Czemu miało to służyć? Zmęczonym nadaremnym poszukiwaniem wyjścia z tej matni, zdało nam się, iż znaleźliśmy się we wnętrzu zdradzieckiej kostki Rubika. Kompletna pustka w głowach, amnezja. Zaskakujący brak logiki, motywów, sensu, nieludzkie okrucieństwo. Kto? Dlaczego? W jakim celu? Paranoja. O co tu w końcu chodzi?! Czyżby w jakiś tajemniczy sposób oddziaływały na nas te przytłaczające ciągi zimnych ścian, korytarzy i wyszczerbionych schodów?

Wreszcie popartą dedukcją metodą prób i błędów pokonaliśmy kolejne zdradliwe betonowe stopnie, by następnie po krótkiej wędrówce korytarzem stanąć przed pokrytymi skorodowaną blachą drzwiczkami. W przeciwieństwie do poprzednich, jakby świeżo naoliwione, nie sprawiały najmniejszego kłopotu, toteż wkrótce uderzył nas w nozdrza znany zapach wilgoci, pyłu oraz stęchlizny. Na powrót znaleźliśmy się w punkcie wyjścia, czyli w wielkim hangarze. Posuwając się wzdłuż jego ponurych ścian, tym razem dostrześliśmy szereg równie skorodowanych jak w innych miejscach metalowych drzwi. Na każdym widniał sygnowany cyrylicą powtarzający się napis, którego jednak z powodu nieznamości języka

nie byliśmy w stanie zrozumieć. Większość z nich była zamknięta na głucho, nieliczne po otwarciu ukazywały zwarty beton. Dopiero ostatnie, usytuowane tuż przy ścianie nośnej, przyniosły rozwiązanie zagadki, ponieważ zgoła nieoczekiwanie zdobił je napis w języku polskim – **IZOLATORIUM**. Nacisnąłem na klamkę – drzwi otworzyły się, ukazując wtopione w beton kraty, za którymi uwidaczniało się coś jak niewyraźny kontur ciała... Być może jednak było to tylko mylne wrażenie, pewna sugestia miejsca i atmosfery.

Nie mając innego wyjścia jak ponowna penetracja przepastnego wnętrza hangaru, wolno ruszyliśmy wzdłuż ściany. Monotonia powtarzających się przestrzeni linearnych z wolna budziła w naszych sercach narastający niepokój. A co jeśli trafiliśmy na zaplecze realnego świata? Jednak skąd wzięły się rozprasające mrok żarówki? A stały dopływ prądu? Musiał pracować gdzieś agregat, tymczasem co go napędzało, skąd ta energia? Zapomniany przez Sowietów reaktor? Przecież takie urządzenia miały iście monstrualne rozmiary... Więc co? Nadrealność?

W powietrzu nadal czuć było suchy, alergiczny proch, pył pochodzący z wyrwy w murze, tej niby zawalonej podłogi trybun, którego to zapadliska nie udało nam się jednak odkryć. Zatem w jaki sposób znaleźliśmy się w tym zagadkowym miejscu, jeśli brak realnych znamion upadku? Przekroczyliśmy granice rzeczywistości? Absurd! Co w takim razie tu robimy? Pytania zasadniczej natury wprost kłębiły się w naszych zdezorientowanych głowach.

Krążyliśmy w kółko, zaś hala wciąż się poszerzała, puchła, rosła. Z wolna ogarniało nas zwątpienie, pogłębiało zmęczenie. Mimo to nie mogliśmy się zatrzymać, trwało uporczywe zwiastowanie tych wilgotnych płaszczyzn, bez mała halucynacje, jakby czas zatrzymał się w cieniach tabletek nasennych, dopadło nas dziwne omdlenie, czyżby hipnoza? Coś szeptało przy symbolicznym oknie, za którym cień zasnuwał wieczną strefę zmierzchu... Spojrzawszy na towarzyszącego mi zioma, w jego spanikowanych oczach dostrzegłem te same pytania i emocje. A jeśli to czas pożerał dziury naszej amnezji, sprawiając, iż prawda cienia suwerennie śniła nowe światy? Kto lub co mieszkało za kratami w izolatorium, wżarte w beton między prętami? Co też kryły ściany, te przekłete, pokryte grzybem, spękane ściany opuszczonego ruskiego kompleksu?

Nagle gdzieś spoza murów dobiegły nas tajemnicze głosy: nuuu, nuuu, nuuu... Struchleliśmy. Być może ów strach przywiódł nas również do świadomości i logicznego myślenia. Musimy się wydostać. Gdzieś musi być wyjście tudzież racjonalne wyjaśnienie. Zaglądałiśmy teraz we wszystkie drzwi bez wyjątku. Mimo starań coś ciągle nas spowalniało, wręcz obezwładniało. Pomimo braku widocznej wentylacji, na twarzach czuliśmy łopot chorągiewek, a po głowie przebiegały wspomnienia, obrazy czyjejś twarzy, coś uparcie emanowało z betonowych ścian, jak okno otwarte na nieznaną, motyw powtarzający się niby suchy kaszel, spoza murów dobiegały

dalekie półwestchnienia. Echa martwego miasta? Ukryte w przestrzeni tajemnice? Skargi umęczonych czy też raczej potępionych? Błaganie niewinnych wprost z zakamuflowanego cienia, czy może to ostrzeżenie spośród blasków z nieodgadnionej otchłani? Jakżeż wydostać się z tego, co dawno martwe i tego, co nieodwołalnie przeszłe, jak uwolnić się spod władzy być może toksycznych, zapomnianych ścian? Co też one kryją?

W pewnym momencie, pokonując po raz nie wiadomo który kolejny zatęchły korytarz, Aleks zawadził nogą o porzucony solidny łom. Nie namyślając wiele, zarzucił go sobie na ramię, a otworzywszy zaś napotkane pierwsze lepsze drzwi, w wielkiej desperacji walnął nim prosto w spękany beton. Być może Sowietci wznosili tę ścianę w pośpiechu, nie dochowując stosownych procedur, a być może po pijaku stanowiącym u nich pewną normę, ważne, iż pod wpływem uderzenia solidna, wydawać by się mogło, ściana runęła niczym domek z kart, ukazując drzewa. Byliśmy wolni. Zły czar prysnął niczym sen-mara.

Na chacie od razu wszedłem do sieci, próbując dojść, do jakiego zwierzęcia mogły też należeć pozostawione w ruinach ekskrementy, a było to o tyle istotne z przyrodniczego punktu widzenia, gdyż w świecie fauny zazwyczaj stanowi to pewien znak. Opis nie pozostawiał wątpliwości. To był wilczy wychodek, zaś rude kłaki resztkami jelenia.

JANUSZ BORYS

JEJ PODPIS

Jest takie miejsce w województwie pomorskim... Z dala od dużych miast, w których klaksony samochodów i zgrzyt tramwajowej maszynerii zagłuszają rozmowy i płoszą myśli. Łatwo je znaleźć – przynajmniej mi. Wystarczy jechać tak długo, aż drogę zaczniesz okalać zieleń. Poważne, stojące na baczność sosny, delikatnie, lecz groźnie chwiejące się pod niewidzialnym dotykiem wiatru, wskażą wam kierunek. Później trzeba jechać, aż padnie zasięg w telefonie, gdzie mapy przestają pokazywać północ i południe. Właśnie tam pozostał ostatni podpis mojej matki.

Ani jej obraz, ani słowa nie zachowały się w moich myślach. Nie wiedziałem o tym, aż pewnej bezsennej nocy spróbowałem wyobrazić sobie jej twarz. Stworzyłem taką fantazję – wspomnienie, sam nie jestem pewny. Wychylałem się przez okno naszego mieszkania na parterze kamienicy i patrzyłem na nią, jak wraca z zakupów. Widzę sylwetkę. Ubrania. Nawet czarne sportowe buty, ale nie widzę twarzy. Zasłania ją piękna, ale złośliwa hortensja bukietowa skąpana w niesamowitych kolorach

lata i ciepłego, beztroskiego dnia. To piękno odbiera mi jej oblicze. Zaburza ostatnie wspomnienie, które oddziela ją od nicości.

Oczywiście mam zdjęcia, filmy i artykuły. Wszystko uwięzione w cyfrowym świecie i pozbawione ducha, przypomina mi owada zatopionego głęboko w bursztynie. Nawet gdy spojrzę na te materiały, z jakichś przyczyn nie widzę jej twarzy, nie pamiętam głosu.

Dlatego musiałem przyjechać. Znów zobaczyć ostatnie dzieło. Miejsce pełne wspomnień i połowicznie utraczonych snów.

Drzę na ciele, czując zapach sosnowego lasu i piachu tańczącego ponad wąską ścieżką. Przypominam sobie młodość i wakacje, które razem tu spędzaliśmy. Przyznam, że przez chwilę bałem się podnieść wzrok. Wiedziałem, że budynek – jej dzieło – będzie zrujnowany. Porzucony przez wszystkich na pastwę losu, zapomniany przez świat.

Nie pomyliłem się.

Wybite okna przypominały puste oczodoły. Zerwane ocieplenie i odsłonięte deski wyglądały niczym zwierzchna skóra, ukazująca światu okropne kości i to, co ukrywa życie, a eksponuje śmierć.

Nie było tu drzwi, jakby ktoś stwierdził, że skoro nie ma okien, to nie może być też drzwi. Tym samym do środka mógł dostać się każdy. Przy otworach uformowały się górki odłupanych kafelków, zniszczonych cegieł i azbestowego pyłu. Zdziwiłem się, że nie zobaczyłem

żadnych ogromnych mrówek, wypełzających z kopców, po których musiałem przejść, aby znaleźć się w środku.

Po chwili, gdy moje oczy przyzwyczyły się do półmroku, zobaczyłem to, przed czym wszyscy mnie ostrzegali.

Moja dziewczyna, koledzy i rodzina... Wszyscy mówili to samo. Nic tu na mnie nie czekało. To nie była pamiątka, tylko porzucona przeszłość, coś, co nie było już nikomu potrzebne. Byłem tu sam. Zanosilo się na deszcz. Chmury towarzyszyły mi przez całą drogę od miasta i wychodziło na to, że właśnie mnie dogoniły.

Przechadzałem się wśród pustych korytarzy i na początku otaczała mnie tylko gęsta, niczym odlana z betonu nicość. Ani jednego zdjęcia, nawet graffiti na odsłoniętych deskach. Nie dotarli tu żadni ludzie, jakby nie starczało dla nich powietrza. I ja czułem, że nie mogę oddychać. Kręciło mi się w głowie, wszędzie był kurz, pył i pajęczyny. Musiałem jednak iść naprzód. Wiedziałem, że gdzieś tu może być wakacyjna gra, gabinet, a być może jej twarz.

Nie wspomniałem jeszcze o grze. Powinniście o niej wiedzieć. Jedno z moich najsilniejszych wspomnień przybrało postać gry. Pamiętam kolory i radość, gdy mama miała czas i mogliśmy zagrać. Pogoda była podobna jak teraz. Zanosilo się na deszcz. Grzmiało nad sąsiednim województwem, a my siedzieliśmy tutaj i graliśmy w grę. Nie pamiętam jej nazwy, nigdy nie udało mi się jej znaleźć. Przetrwala jedynie w moich wspomnieniach. Jej kolory,

dźwięk kości toczących się po drewnianym stole i radość z czasu, który mogliśmy spędzić razem.

Wszedłem do pokoju i znieruchomiałem, czując, jakbym właśnie wtargnął do cudzego domu. Jego wygląd i panująca tu atmosfera wstrząsnęły mną. Na ziemi leżały sterty magazynów plotkarskich. Z okładek uśmiechały się do mnie wyblakłe modelki, piosenkarki i aktorki, których popularność stała się zamierzchlą przeszłością. Niektóre z tych czasopism były pootwierane i agresywnie pozakreślane czerwonym flamastrem. Ktoś spędzał z nimi wiele czasu. W czerwieni pisaka i tłustych odciskach palców żyło DNA nieprzemijającej miłości. Czułem zawód, patrząc na moje znalezisko.

Mama lubiła czytać, ale nie gazetki. Zawsze chodziła z książką.

Oparłem się o ścianę. Zakręciło mi się w głowie. Nowe wspomnienia wtargnęły do mojego umysłu. Zjawiły się nieproszone i miały już tam pozostać. Mama idąca po korytarzu z książką. W jednej ręce miała teczkę z planami piętra, w drugiej... co to było? Jaki autor? Tytuł? Łowiłem, wpatrywałem się w scenę wymalowaną przy pomocy wspomnień. Skupiałem się na książce i dźwięku jej kroków na świeżej, dopiero co polakierowanej drewnianej podłodze. Zapach wanilii otaczał mamę niczym delikatny szal.

W końcu widzę białą okładkę, na której w sześciennych pojemnikach stoją rzędy manekinów, pozbawione twarzy. Obraz krystalizuje się w okamgnieniu.

Nowy wspaniały świat Huxleya zdobi delikatną, artystyczną dłoń mojej matki.

Pytałem, o czym jest ta książka, ale ona tylko uśmiechała się i odpowiadała nonszalancko:

– O ludziach.

Nie będę kłamał. Byłem na nią zły. Odpowiedź brzmiała protekcjonalnie. Czułem, że źle mnie potraktowała. Nie postrzegala jako człowieka, a jedynie głupie, ograniczone dziecko. Przepęłniła mnie dziecięca złośliwość i gniew. Byłem do nich bardzo skory, tak jak i do łez.

Dlatego płacząc, schowałem *Nowy wspaniały świat* i nigdy się do tego nie przyznałem. Wciąż pamiętałem, gdzie jest.

Wystarczyło przejść ponad poprzewracanymi szkieletami krzesel, połamanym stołem ogrodowym, który ktoś tu wciągnął, i stosami adorowanych popularnych czasopism, aby znaleźć się tuż obok jej książki.

Nie wiem, na co liczyłem, wyciągając Huxleya spod podłogi. Może wyobrażałem sobie, że gdzieś tam będzie odcisk jej palca lub ręcznie naniesione notatki. Wstrzymałem oddech i drżącymi palcami podważyłem deskę, która bezgłośnie ustąpiła pod moim dotykiem.

Książka tkwiła tam, gdzie ją zostawiłem, pomimo upływu tych wszystkich lat. Czułem, jakby młodszy ja przekraczał jakiś lustrzany, nienazwany wymiar i podawał mi ją osobiście. Wspomnienia znów zawirowały. Na chwilę zrobiło mi się czarno przed oczami.

Patrzyłem na okładkę przedstawiającą czeredę zgodnie maszerujących zwierząt z powiewającym ponad ich głowami sztandarem, na którym napisano: „Wszystkie zwierzęta są sobie równe, ale niektóre zwierzęta są równiejsze od innych”.

Umysł spletał mi figła. Pomyliłem Huxleya z Orwellem. Powróciłem do wspomnienia i teraz widziałem je jeszcze wyraźniej. Książka, jej okładka, słowa. Wszystko było na miejscu. Tylko twarz pozostawała niewidoczna. Ukryta przed wzrokiem. Niezapisana kartka, która nie przekazywała żadnej emocji, żadnej informacji. Zamiast o twarzy, nagle pomyślałem o przeklętych i pięknych hortensjach. Widziałem płatki i łodygi, doskonałe w swej naturalnej, wystudiowanej przez miliony lat symetrii. Widziałem je i mogłem obracać, jakbym trzymał je w dłoni, ale nie byłem w stanie przypomnieć sobie twarzy osoby, którą kochałem. Jedynej osoby, którą darzyłem bezwarunkową i doskonałą miłością.

Ścisnąłem w dłoniach *Folwark zwierzęcy*. Otworzyłem go z namaszczeniem, jakby był to testament przekazany mi po pogrzebie. Stara książka pachniała jak antykwariat, pożółkłe strony przypominały o nieubłaganym upływie lat. Pomimo starań i poszukiwań nie znalazłem jej. Nie było niczego, co mogłoby szepnąć choć słówko.

Schowałem książkę do kieszeni, zastanawiając się, czy mama kiedykolwiek dokończyła ją czytać.

Być może przez zamyślenie nie zauważyłem, że wychodząc na korytarz, musiałem źle skręcić. Zgubiłem się

wśród archaicznego nieładu i niedokończonego tworu jej wspaniałego umysłu. Korytarze prowadziły do kolejnych korytarzy. Długo błądziłem, ale nie traciłem nadziei. W końcu ze wszystkich stron otaczało mnie jej ukochane dzieło. Zresztą i tak nie szukałem wyjścia.

Wydawało się, że sprzyja mi szczęście. Burza, choć groźnie wisiała nad borami, zdawała się czekać na coś, co nigdy nie nadchodziło. Sprawy miały się tak samo ze zmrokiem. Długi wiosenny wieczór nie ustępował i pozwalał mi zobaczyć wszystko, co skrywał zrujnowany skarbiec wspomnień.

Szukałem gry, jednocześnie podróżując w czasie do przeszłości. Przypominałem sobie brzoskwińowe ściany, wciąż pachnące farbą. Rumiane twarze wąsatych robotników, palących papierosy przy składach nieużytych jeszcze materiałów. Rozmowy i nadzieje, wylęgające się z bezkresu pamięci, otaczały mnie swoim słabym echem.

- To miejsce potrzebuje turystów.
- Z taką panią projektant nie może się nie udać.
- Ludzie w końcu zobaczą, jak piękna potrafi być nasza okolica.

Wśród niezliczonych, pełnych nadziei i entuzjazmu głosów nie znajdowałem mamy. Była nieobecna. Ukryta. Wiecznie unikająca moich wspomnień, stojąca na zewnątrz myślowego pałacu, wykutego z materii mojego mózgu.

Przysiadłem w sali balowej, gdy w końcu udało mi się wydostać z labiryntu korytarzy i pustych pokoiów, obdanych z tapet i przeznaczenia.

Usiadłem w popękany fotelu, wyciągniętym na środek zrujnowanego parkietu. Zagłębiłem się w nim i w swoich myślach.

Obiecałem sobie, że nie opuszczę tego miejsca, aż jej nie znajdę. Wcześniej łamałem przysięgi, ale tym razem czułem, że to miejsce mnie odmienia. Osacza i cementuje, zamienia w fundament, na którym będzie w stanie stworzyć nową historię.

Żeglowałem wśród pięknych – dziecięcych w swej wymowie – myśli, gdy poczułem pragnienie. Nie zabrałem ze sobą wody. Myślałem, że przyjdę tylko na chwilę. Tymczasem powoli przekonywałem się, że powinien zostać tu już na zawsze. Kupić to miejsce. Odnowić je. Złożyć mu hołd, na jaki zasługiwało.

Właśnie delektowałem się ogromem nagle materializującego się pomysłu, gdy usłyszałem znajomy dźwięk, który od lat słonecznych wakacji i błogiej niewinności czekał na mój powrót.

Poszedłem za nim. Nie zerwałem się, nie biegłem, choć pod czaszką szalały płomienie podniecenia. Zamiast tego stawiałem ostrożne kroki, jakby ziemia pod stopami miała się zaraz rozstać, oddzielając mnie od tego dziwnego świata – zawieszzonego pomiędzy pamięcią a rzeczywistością.

Dźwięk kostki odbijającej się od planszy i podłogi przywoływał mnie, wzywał do dawno zagubionego portu.

Prześlizgnąłem się do nowego wnętrza i uroniłem łzę. Oczy piekły od potu i kurzu, który zdążył się do mnie przykleić, ale nie traćłem czasu na doprowadzanie się do porządku. Zamiast tego delektowałem się emocjami, wrażeniami powracającymi z niepamięci, wykradzionymi młodszemu sobie.

Gra była rozłożona i przygotowana. Dwa krzesła stały przy stoliku, na którym ledwie mieściła się plansza. Przypadłem do niego i nie byłem w stanie uwierzyć, ale mogę przysiąc, że poczułem zapach wanilii. Wszystko stało się jasne. Mama milczała, aby nie zrujnować niespodzianki. Oczekiwała mnie w głębinach swego dzieła. Wciąż tu była i czekała. Wiedziała, że w końcu zjawię się, abyśmy mogli być razem.

Drżałem na całym ciele, niczym chłopiec niemogący doczekać się urodzin.

Zarejestrowałem ruch, usłyszałem hałas i kroki. Nie byłem sam, ale już o tym wiedziałem. Mogłem zaczynać. Wykonać pierwszy gest, który puści wszystko w ruch. Wystarczyło znaleźć kostki.

Rozglądałem się. Patrzyłem pod stół, ale nie znajdowałem ich: niebieskiej i czerwonej. Przepadły, pociągając za sobą moje szczęście i ekscytację. Gorycz dorosłości odnalazła mnie i owinęła się wokół szyi i myśli, jak drapiący wełniany szal.

Chciałem zagrać. Zacząć turę i wyciągnąć mamę z ciemności. Czuję, że jeśli to zrobię, ona wkroczy do pokoju i zobaczą jej twarz. Przypomnę sobie wszystko i będę mógł żyć dalej, mając ją u swego boku.

Widziałem oczy w ciemnościach. Obserwowały mnie. Czekwały na coś. Oczywiście. Domagały się rozpoczęcia gry i pojednania, którego oboje tak pragnęliśmy.

Kostka leżała na krawędzi ciemności.

Skoczyłem ku niej, ledwo kontrolując emocje. Słyszałem śmiech. Myślałem, że to ja się śmieję, ale byłem w błędzie. Męski rechot nie należał do mnie ani do niej. Tak samo zapach wody po goleniu ani twarz wolno wyłaniająca się z pokoju zawalonego pudłami, magazynami i pustymi butelkami.

Nie byłem tu sam. Ktoś inny znalazł to miejsce poza miastem, gdzie nie było zasięgu ani ludzi. On też szukał, lecz czegoś zupełnie innego niż ja. W jego wielkich łapach lśnił nóż. Wyszedł z mroku i stanął wyzywająco, choć zachowywał milczenie.

Nie mogłem pozwolić, aby coś mi się stało. Byłem tak blisko. Gotowy narysować jej twarz w myślach. Tak blisko, że niemal czułem dotyk jej palców na policzku.

Pamiętam, że była pogoń i rozpacz, a także jego ekstaza. Polowanie i chęć przetrwania zakończona bólem. Bolesnym przechodzeniem z teraz do świata, gdzie nie było już mnie. Jeśli ktoś nie rozumie, to przepraszam.

Nie wiem, jak inaczej ubrać w słowa umieranie. Wiem tylko, że po wszystkim nie ma ciemności ani światła.

Zamiast tego było ciągnięcie, noszenie i odkrywanie nieznanymi zakamarków dzieła mojej matki, których nigdy nie chciałyby zobaczyć. Morderca był silny jak tur i doskonale wiedział, co robi. Nie bał się ani ciemności, ani pajęczyn. Nawet zimny dotyk śmierci czy krew nie robiły na nim wrażenia. Umieścił mnie w ścianie i skrzętnie ukrył. Zrobił ze mną to, co ja zrobiłem z książką Orwella, a potem odszedł. Przez dłuższą chwilę słuchałem jego kroków. Zakrwawione buciory zostawiały odciski na zakurzonych deskach, skrzypienie starej podłogi towarzyszyło mu niczym wierny pies.

Później nadeszła burza i bałem się, choć już nie żyłem. Słyszałem gromy i deszcz chłostający dziurawy dach. Czulem zapach wilgoci i grzyba, a także innych ciał, które zostały wepchnięte w ścianę, zanim sam się w niej znalazłem. Byłem jednym z wielu nieszczęsnych schowanych przed światem. Pozostawionych w roli makabrycznej pamiątki.

Na początku myślałem, że przeminę. W końcu osunę się do innego stanu, przejdę do nowego miejsca. Zamiast tego, wraz z milczącymi towarzyszami zostaliśmy skazani na powolne gnicie w zapomnianym budynku, wykutym z marzeń mojej matki. Czekaliśmy i śniliśmy.

On czasami powracał i przyciągał ze sobą nową ofiarę, która wypełniała pustą przestrzeń, dołączając do naszego cichego domu. Dużo myślałem o tych tajemniczych

obcych. Nadawałem im imiona i wyobrażałem sobie ich życia, gdy wciąż mogli coś robić, zamiast jedynie tkwić tu i powoli stawać się częścią jej świata.

Trwało to długo, ale nieubłaganie zlewaliśmy się ze ścianami, nasze fragmenty przenikały przez podłogi. Kości podierały strukturę niczym drewno lub cegła, pozwalając, aby nasz bezimienny czyściec mógł trwać poprzez burze i niekończący się zmierzch.

Właśnie wtedy odkryłem, że muchy i ich larwy, szczury i reszta skrytych w cieniu istot to anioły śmierci. Stworzenia przepelnione miłosierdziem. Przewodnicy pozwalający nam uwolnić się z okowów ciała i znów ruszyć w świat.

Znów byłem wolny. Widziałem i podróżowałem po ruinach. Poznałem każdy ich zakątek i sekret. Czulem, że odkryłem wieczność i nie było mi z tym źle. Pogodziłem się z losem. Mogłem śnić i marzyć. Wspominać życie, które wiodłem. Nawet tęsknota stała się słodko-gorzka rozkoszą.

Pewnego dnia przybyły światła i przypomniałem sobie, co to strach. Myślałem, że to anioły lub inne istoty, które mogłyby mnie porwać i pozbawić domu, gdzie wciąż rozchodziła się znajoma woń wanilii, a nasza gra leżała na stole, czekając, aż ktoś rozegra nierozpoczętą partię.

Snopy latarek i blask wyświetlaczy telefonów rozlał się po porzuconych, cichych wnętrzach. Ludzie w garniturach przechadzali się po korytarzach i oceniali wszystko,

zachowywali się, jakby ten cichy, skrywający tajemnice świat należał do nich.

– To będzie coś – odezwał się wysoki, pewny siebie mężczyzna. – Właśnie tego potrzebowała nasza korporacja.

– Rozwiniemy się, zdobędziemy nowe rynki, centrala będzie zadowolona – wtórował mu mniejszy facet, zapatrzony w swego kolegę. – To twoja wielka szansa.

Rozmawiali o zyskach, kosztach i pozwoleniach.

Palili papierosy, tuż obok miejsca, gdzie spoczywały bezimienne szkielety, ofiary straszliwej przemocy. Od żywych oddzielało nas zaledwie trochę cegieł i stara tapeta, na której kiedyś widniały kolorowe hortensje.

– Pamiętajcie, że chodzi o coś więcej niż pieniądze – odezwała się kobieta, która dopiero do nich dołączyła. – Musimy potraktować to miejsce z szacunkiem.

Jej głos obudził we mnie coś, co dawno temu odpłynęło do świata wspomnień, zatartych, zepsutych, przypominających zegar, który po wieki miał pokazywać pewną godzinę.

– Dzieło twojej ciotki – wtrącił ten wysoki, przeczesując tłuste od brylantyny włosy. – Wszystko zrobimy jak trzeba. Masz moje słowo.

Przyglądałem się jej. Niebieskim, lekko przymrużonym oczom, gładkiej, młodej skórze i niewielkim, kształtnym uszom. Poczulem zapach, ale nie poznawałem go. Chodziła tak, jak ona, to pamiętałem. Nawet pomimo upływu czasu i sennego marazmu śmierci.

Remont trwał długo. Robotnicy byli blisko odkrycia ciał, ale przeoczyli naszą kryjówkę. Architekt stwierdził, że nie ma sensu ruszać naszej ściany. Była zdrowa i doskonale zachowana. Ulżyło mi. Mogłem w spokoju przyglądać się odbudowie. Znów uczestniczyć w życiu domu jej marzeń.

Na ściany położono nowe farby. Ściągnięto eleganckie meble. Wstawiono okna i drzwi. Tylko fundament nie został poruszony. I choć wszystko wyglądało inaczej, pewien duch wciąż tkwił w ciemnych, pustych miejscach. Trwaliśmy tu niczym nieprzyjemny tytoniowy zapach. Pamiątka po dawno zmarłym palaczu. Wydawało się jednak, że poza najczulszymi osobami nikt nie zdawał sobie z tego sprawy.

Byłem szczęśliwy. Wdzięczny ludziom w garniturach za ich pieniądze i to, że nieświadomie ożywili przeszłość. Wskrzesili dzieło jej marzeń, dokończyli to, co niegdyś zostało odebrane.

Niedługo mieli przyjechać nowi goście i czułem, że powoli nadchodził moment, gdy znów zobaczę dzieci bawiące się wśród korytarzy i tajnych miejsc, do których chętnie je wpuszczę.

Ubolewałem trochę, że wyrzucono grę, której nigdy nie rozegrałem z mamą, ale cóż, nauczyłem się, że nie wszystko układa się po naszej myśli. Zamiast tego czekałem. Wycze-kiwałem turystów i zagubionych wędrowców, których historie wypełniłyby moje ciche istnienie.

Wytyczono też nowe ogrody. Nocami obserwowałem je z okien jadalni. Były pełne jej ulubionych hortensji, które tak pięknie wyglądały w czerwcu. Wyobrażałem sobie ją w sportowych butach i rozciągniętym swetrze, przechadzającą się wśród kwiatów, wylegującą się w trawie i wpatrzoną w chmury.

Opowiadała mi, że ten budynek był niczym jej podpis.

Czułem, że już nic mnie nie zaskoczy. Granica pomiędzy mną a tym miejscem zacierała się coraz bardziej. I zdawałem sobie sprawę, że coraz mniej myślę i czuję. Wiedziałem, że już wkrótce nadejdzie ostatni dzień i po prostu zniknę. Chciałem wytrwać jedynie do chwili, gdy znów zobaczę życie zalewające mój grób.

Tuż przed wielkim otwarciem przybyła skrzynia wielkości lodówki. Przetransportowano ją przez ogród, wciągnięto do niegdyśjszej sali balowej, gdzie dawno temu siedziałem w wysłużonym fotelu, który przez lata pamiętał kształt mojego ciała i marzeń. Kryjówki, w której morderca zabijał większość swoich ofiar, gdy zrzucony gmach należał do niego.

Pracownicy bardzo się męczyli z ciężkim ładunkiem, ale w końcu umieścili go tam, gdzie kazała im moja krewna.

Razem obserwowaliśmy chwilę, gdy jej rzeźba została wyjęta z pojemnika przypominającego drewnianą, pachnącą sosną trumnę, i w końcu, po tych wszystkich latach znów zobaczyłem jej twarz.

ALICJA BRONCEL

SALA NUMER DWANAŚCIE

Było dżdżyste listopadowe popołudnie, gdy upomniała się o mnie przeszłość. Moje auto było w naprawie, toteż wracałem do domu zatłoczonym autobusem. Nie chcąc nawiązywać niezręcznego kontaktu wzrokowego, bezmyślnie śledziłem krople spływające po szybach. Mój wzrok podążał za malowanymi przez nie zygzakami, kiedy z kakofonii rozmów wyłowiłem rozemocjonowany dziecięcy głos. Ścierał się z nim poirytowany baryton starego, zmęczonego życiem człowieka. Obie barwy brzmiały znajomo i nim wsłuchałem się w treść ich nerwowej konwersacji, udało mi się dopasować do dźwięków twarze i nazwiska sąsiadów.

Mały Leon intensywnie próbował wytłumaczyć coś dziadkowi, zasypując go opisami i anegdotami na temat jakiegoś wyimaginowanego miejsca. Stary Eryk kazał mu w odpowiedzi jedynie „przestać zmyślać” i szczerze opowiedzieć, co działo się w szkole. Chłopiec uparcie utrzymywał zaś, że mówi prawdę i rozpoczął historię

od początku. Był tak sfrustrowany, że w jego głosie usłyszałem łzy.

– ...i pani kazała mu się odsunąć, bo mówi, że to nie dla niego to miejsce. Że tam straszy. A on na to, że chce tam wejść, bo jego kolega jest w środku. I od dwóch dni go nie ma.

– Nie wymyślaj, Leoś. Kolega się po prostu rozchorował i tyle.

– On tam siedzi! –krzyczał chłopiec. – Nie wrócił do domu! Nie wrócił!

– Uspokój się i nie rób scen – syknął dziadek.

Inni współpasażerowie też to usłyszeli i na chwilę zamilkli. Na moment w autobusie zawisła ciężka, nieprzyjemna cisza, przerywana jedynie niekontrolowanym łkaniem Leona. Widziałem, jak ludzie odwracają się w ich kierunku i coś między sobą szepczą, łypiąc spode łba na starego Eryka. Wkrótce jednak cisza ustąpiła pod naporem kolejnego potoku rozmów, a podróżni przestali zwracać uwagę na smutne dziecko.

Z gąszczu konwersacji wyłowilem wciąż wilgotny od łez, łamiący się głosik chłopca. Był przekonany, że jego przyjacielowi grozi niebezpieczeństwo i przekonywał o tym dziadka. Słyszałem tylko urywki jego słów. Próbował scharakteryzować miejsce, w którym doszło do tego zdarzenia, podając numer sali.

Coś we mnie drgnęło, kiedy usłyszałem „dwanaście”, choć nie potrafiłem jeszcze tego nazwać. Myśl powoli dojrzewała w moim umyśle. Nabierała kształtu.

Chłopiec potykał się o własne słowa. Gubił się w zeznaniach, mylił. Jego opisy były dziwaczne i niespójne, wydawały się nie mieć sensu. Dziadek podniósł na niego jeszcze kilkukrotnie głos, po czym postanowił dać sobie spokój. Leon mówił nieprzerwanie, ignorowany przez opiekuna.

W pewnej chwili wyłowilem w tej sałacie słownej termin „Giez” i poczułem, jak zalewa mnie zimny pot. Zakręciło mi się w głowie.

Znałem tę nazwę. Echo odległej przeszłości. Lęk tak silny, że przetrwał we mnie trzy dekady. Ścisnąłem z całej siły oparcie fotela.

Moja pamięć rozdzwoniła się od dziecięcych krzyków i śmiechów. Ławki, twarze dawnych kolegów i rysunki przewijały się jak w kalejdoskopie. Z nostalgią przeglądałem wizerunki dawnych nauczycielek, aż w końcu zobaczyłem panią Szmyd i poczułem ukłucie starego strachu. Mam wrażenie, że dopiero przy niej zrozumiałem, co to znaczy się bać.

Byliśmy rozbestwieni i niezdyscyplinowani. Nie potrafiliśmy zachować powagi na zajęciach i musieliśmy natychmiast wymienić każdą uwagę, która przyszła nam do głowy. U niej jednak siedzieliśmy wyprostowani, w całkowitej ciszy. Idąc na jej zajęcia, każdorazowo wyglądaliśmy, jakbyśmy szli na pogrzeb.

Ona wiedziała, że nie trzeba na nas krzyczeć. Wystarczyło przypomnieć nam o zapleczu sali numer dwanaście.

Przed pierwszymi zajęciami słyszeliśmy o niej legendy. Wszyscy mówili, że jest straszna. Zdziwiliśmy się, kiedy po raz pierwszy ją zobaczyliśmy. Była taka niska i drobna, że wcześniejsze ostrzeżenia wydawały się niemal śmieszne. A potem wzięła jednego z nas, który za bardzo przeszkadzał, na zaplecze. Ukarala dla przykładu. Zniknęła na sześć godzin, a kiedy stamtąd wyszedł, był już inny. Z nikim nie rozmawiał i siedział na uboczu. Na kolanach miał siniaki, na policzku zastygła krew. Części ucha po prostu brakowało – wyglądała, jakby została odgryziona. Przez kilka następnych dni chodził z opatrunkiem, ale wcale nie to było najgorsze. Najgorsze było to, że taki już został. Milczący, przestraszony, snujący się jak widmo. Był cieniem samego siebie.

Dopał go, mówili potem. Nie trzeba było wypowiadać jego imienia. Wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi.

Odgoniłem od siebie myśli o Gzie i spróbowałem ponownie skupić się na głosie chłopca. Złał się jednak w jedność z potokiem słów wypływającym z ust dzieciątek podróżnych i nie sposób było zrozumieć, co Leon mówi.

Zastanawiałem się, co dzieje się dzisiaj z chłopakiem, który był na zapleczu. Na imię miał chyba Nikodem. Nikodem Wolski? Tak, tak się nazywał.

Obiecałem sobie, że sprawdzę, co u niego. Spróbuję się skontaktować.

Myslałem jeszcze o moich dawnych przyjaciółach i minionych latach, kiedy usłyszałem znajome sapnięcie i zdałem sobie sprawę, że autobus zatrzymał się na naszym przystanku. Wsiadłem, z roztargnienia zapominając pożegnać się z kierowcą, i z konieczności wdepnąłem w jedną z kałuż, którymi zasłany był cały chodnik. Krople dudniły o dach odjeżdżającego z wolna pojazdu, kiedy dziadek Leona zauważył mnie i przywitał się. Próbował uprzejmie się uśmiechnąć, ale wyraźnie widziałem wciąż przebijające się na powierzchnię złość i frustrację. Najwyraźniej sam też musiałem wyglądać nietęgo, bo przyjrzał mi się badawczo.

– Zły dzień? – zapytał.

– To przez pogodę – skłamałem niemal automatycznie.

– Mi młody krwi napsuł w czasie jazdy.

– Coś się stało?

– Coś sobie ubzdurał i w kółko powtarza – mówił mężczyzna, nie zważając na obecność słyszającego wszystko chłopca. – A co gorsza, wróci do domu i pewnie będzie babcię tym samym męczył.

Chłopiec zerkał na nas gniewnie, w milczeniu maszerując do domu. Nad jego głową rozpostarty był zielony parasol i widziałem, jak knykcie małej piąstki bieleją, gdy z całej siły zaciska ją na uchwycie.

– Hej – zwróciłem się do Leona. – Może mi opowiesz, o co chodzi?

– A da pan spokój – uciął staruszek, zanim chłopiec zdążył cokolwiek powiedzieć. – Nie ma sensu słuchać takich głupot.

Dalej szliśmy w milczeniu, przerywanym jedynie odgłosami chlupoczącego pod stopami błota i równie błotnistym dźwiękiem kaszlu wyrrywającym się niekiedy z trzewi pana Eryka. Z ulgą rozstałem się z sąsiadami i skierowałem ku drzwiom domu. Gdy tylko przekroczyłem próg, wpadł na mnie podekscytowany Oskar, intensywnie machając czarno-białym ogonem. Zatopiłem palce w jego futrze i zaciągnąłem się ciepłym, kojącym zapachem cynamonu bijącym ze środka.

Zwykle z uwagą słuchałem, gdy Lidia opowiada mi o pracy. Była kelnerką w pobliskiej restauracji. Ruch był tam niewielki, a ona zawsze miała niebywały talent do podsłuchiwania cudzych rozmów, czym chyba mnie zaraziła. W trakcie każdej zmiany potrafiła złowić garść ciekawych opowieści i dzięki niej zawsze wiedziałem, co dzieje się w okolicy.

Po raz pierwszy, odkąd jesteśmy małżeństwem, „wyłączyłem się”, kiedy do mnie mówiła. Zmieszałem się, uświadomiwszy to sobie, i gdy tylko skończyła jedną z opowieści, od razu zmieniłem temat, aby nie obnażyć

swojej nieuwagi. Zdradziłem się jednocześnie z motywem przewodnim własnych myśli.

– Przypomniał mi się dzisiaj kolega z podstawówki. Taki chudy blondyn, może go kojarzysz. Nikodem Wolski.

– Och – wyrwało jej się. Wyraźnie spoważniała.

– Znasz go?

– Nie znałam osobiście. Ale słyszałam, co się stało.

Spojrzałam pytająco.

– Nie słyszałeś? Mówiłeś, że to twój kolega.

– Nie utrzymujemy kontaktu od trzydziestu lat.

Zastanowiła się chwilę.

– To było już dobrą dekadę temu. Skoczył z dachu. Bardzo, bardzo pechowo.

– To znaczy?

– Męczył się jeszcze z trzy dni, zanim umarł. Spadł w takim miejscu, gdzie było dużo ludzi. Środek miasta właściwie. Aż cud, że nikomu nic się nie stało – przerwała na chwilę. – Mówili, że był potwornie powykręcany. Zresztą... widziałam zdjęcia.

– Nie żyje – stwierdziłem niepotrzebnie.

Mój głos zabrzmiał głucho, potoczył się echem po pokoju. Miałem wrażenie, że powiedziałem to bardziej do siebie niż do niej. Z oddali tylko słyszałem, gdy mówiła, że jest jej przykro.

Byłem sam w klasie, a na zewnątrz nie było świata. Drzwi na korytarz były zamknięte. Długo szarpałem się z klamką, aż w końcu miałem już pewność, że tędy nie wyjdę. Za oknem ziała biała pustka widoku, którego nie pamiętałem. Nie musiałem widzieć numeru sali, żeby wiedzieć, gdzie jestem. I nie musiałem ciągnąć za klamkę, żeby wiedzieć, że akurat drzwi na zaplecze są otwarte.

Tak bardzo chciałem, żeby były zamknięte.

Chwyciłem najbliższe krzesło i próbowałem stworzyć prowizoryczną barykadę. Ręce miałem małe i nieporadne – jak kiedyś. Szło mi słabo.

Czułem, jak rzeczywistość wije się za ścianą. Wrażenie nieskończoności przebijało się przez cienką błonę drzwi, wydawało się niemal namacalne. Napierało na moją świadomość. Wiedziałem, że znalazłem się w pobliżu czegoś, co nie powinno istnieć, i myśl ta przyprawiała mnie o mdłości.

Słyszałem narastający dźwięk. Odgłos czegoś dużego, przesuwającego się po podłodze. Pełznącego w moją stronę. Nie wiedziałem, czy ściana to dla niego wystarczająca bariera. Wydawało mi się, że mieszkał w tamtej rzeczywistości, ale nie miałem żadnej pewności, że nie przejdzie.

Skuliłem się w kącie. Serce waliło mi jak oszalałe.

– Wszystko w porządku? – usłyszałem zmartwiony głos Lidii i uczepliłem się go jak kotwicy ciągnącej ku rzeczywistości.

Ciężko oddychałem. Pot wystąpił mi na czoło.

– To tylko sen – powiedziała łagodnie.

Nie byłem tego wcale taki pewien.

Nazajutrz po pracy wróciłem z nią do nieprzyjemnego tematu zmarłego kolegi.

– Podobno był chory. Miał nowotwór – zrobiła krótką pauzę. – Ale nie wiem, czy to była przyczyna. Mówią, że był też samotny, wycofany. Mieszkał sam, nikogo nie miał, nie pracował.

Chciała ukarać go dla przykładu – pomyślałem. A złamała go na całe życie.

Zacząłem się zastanawiać, jaki los spotkał pozostałych.

Znałem jeszcze dwie osoby, które tam trafiły. Emilia ze starszej klasy i Piotr, dwa lata młodszy. Nie pamiętałem ich nazwisk i cały wieczór spędziłem, szukając informacji.

Zacząłem wręcz zastanawiać się, czy ich sobie nie wymyśliłem. Pamiętałem tę dwójkę jak przez mgłę. Wydawało mi się jednak, że byli tacy sami jak Nikodem: milczący, snujący się bez celu, skrzywdzeni. Nie przypominałem sobie, by kiedykolwiek z kimś rozmawiali.

Nie wiem jednak, na ile mogę ufać tym wspomnieniom. Słyszałem, że mózg uzupełnia brakujące informacje zgodnie z tym, co wydaje mu się sensowne. Przeszłość może w naszych wspomnieniach mutować, mogą na niej narastać elementy, których w rzeczywistości nie było. Być może nigdy nie było żadnego zaplecza. Może to tylko nowy twór mojego umysłu, wtłoczony do prawdziwego wspomnienia pod wpływem usłyszanej rozmowy? Chory, zniekształcony ślad tego, co było kiedyś.

W końcu udało mi się dotrzeć do personaliów w szkolnych kronikach. Znalazłem ich nazwiska, ale tylko tyle. W mediach społecznościowych wydawali się nie istnieć.

W pracy nie mogłem się skupić. Byłem zmuszony wyrzucić do kosza cztery projekty. Raz po raz popełniałem błędy, zapominałem o dostosowaniu do norm BHP, o uwzględnieniu lokalnych warunków. Najlepiej przekreślić pracę już w załączku, aby uniknąć reprimendy od inżynierów i geodetów.

Frustrowało mnie własne roztargnienie. Przedłużająca się naprawa auta jedynie potęgowała irytację.

Gdy wracałem, ponownie spotkałem w autobusie dziadka Leona. Poczułem ukłucie niepokoju, gdy spostrzegłem, że chłopiec mu nie towarzyszy. Postanowiłem przysiąść się do staruszka i zagadnąć go o nieobecność wnuka.

– Młody jest jeszcze w szkole. A pan co tak autobusami jeździ ostatnio?

Kiedy wyjaśniłem, że mam auto w naprawie, chciwie uchwycił się tego tematu. Zapytał, czy mógłbym od czasu do czasu podwieźć chłopca, jak już samochód wróci od mechanika. Odparłem, że nie ma problemu, i już w trakcie wypowiedzania tych słów zastanawiałem się, czy będę ich żałował.

Po powrocie do domu dalej byłem nieswój. Dobrze wiedziałem, co mnie dręczy. Sięgnąłem po telefon i wybrałem numer Huberta, starego znajomego. Mieliśmy piętnaście lat do nadrobienia, toteż rozmawialiśmy długo. Gdy już wiedziałem o jego życiu więcej niż o własnym, w końcu ośmieliłem się zapytać, czy wie, że Nikodem nie żyje i czy ma jakieś informacje o pozostałej dwójce. Mój rozmówca posmutniał wyraźnie na wieść o Nikodemie. Emilię i Piotra pamiętał, ale niewiele był mi w stanie o nich powiedzieć. Słuchając go, odniosłem wrażenie, jakby w pewnym momencie po prostu rozplynęli się w powietrzu.

Zapytany o salę numer dwanaście i panią Szmyd milczał przez chwilę, po czym przyznał, że pamięta, ale nie chce o tym rozmawiać. Rozmowa, która rozpoczęła się tak serdecznie, skończyła się niezręczną ciszą i chłodnym pożegnaniem.

Mamy w domu szufladę, której nie otwierałem od kilku dekad. Pamiętałem o jej istnieniu. Po prostu nie miałem powodu ani chęci zaglądać do środka. Żona kilkakrotnie namawiała mnie do pozbycia się jej zawartości, ale nie mogłem się na to zdobyć. Nigdy nie nauczyłem się rozstawać z rzeczami. Łudziłem się, że pewnego dnia, wiedziony nostalgią, zajrzę do nich ponownie.

Dziś rzeczywiście pociągnąłem zakurzony uchwyt, ale to nie nostalgia mnie wiodła, tylko chorobliwa, dręcząca ciekawość.

Wyciągnąłem zawartość szuflady i przeniosłem na stół. Notatniki ześlizgnęły się z siebie, luźne kartki „rozpierzchły się” po blacie. Zacząłem kartkować stare zapiski, ignorując treść lekcji i skupiając się wyłącznie na notatkach z tyłu zeszytów i rozmowach prowadzonych ukradkiem na marginesach. Szukałem brudnopisów, rysunków, zdjęć – czegokolwiek, co mogłoby naprowadzić mnie na właściwy trop. Odsuwałem od siebie nostalgię i rozbawienie, które przeszkadzały w śledztwie.

Gdy skończyłem, przyjrzałem się temu, co udało mi się wyselekcjonować. Wśród niepotrzebnie wulgarnych ilustracji i słów udało mi się znaleźć trochę poszlak. Trwoźnych rozmów na temat pani Szmyd, dziwnego zachowania Nikodema i plotek o dzieciach, które odmawiają wejścia do sali numer dwanaście. Choć zupełnie nie pamiętałem, że miało to miejsce, znalazłem nawet notatki ze swoistego przesłuchania, któremu poddaliśmy Nikodema.

Były to jedynie strzępy informacji, jednak utwierdziły mnie w przekonaniu o prawdziwości własnych wspomnień. Z zapisków wynikało, że za drzwiami zaplecza ciągnie się bezładna sieć pomieszczeń, w której nie sposób się zorientować. Pokraczny rysunek ukazujący potwornie rozciągniętą owadzią postać o przerośniętej szczęce uznałem za wybryk dziecięcej fantazji, ale moją uwagę przyciągnęła skomplikowana mapa tego miejsca, którą próbowałem naszkicować na podstawie relacji Nikodema. Wynikało z niej, że jest to niezwykle rozległa przestrzeń, której nie dałoby się ukryć w bryle budynku. Przypomniało mi się, że wielokrotnie później badaliśmy piętra i półpiętra szkoły, próbując zlokalizować, gdzie mogłyby mieścić się te labirynty korytarzy. Nasze dociekania każdorazowo kończyły się jednak porażką. Wydawało się, że w budynku nie ma miejsca na ukrytą przestrzeń. Wdarliśmy się nawet do piwnic, ale i tam nie udało nam się znaleźć niczego, co pasowałoby do opisu Nikodema.

Co ciekawe, z relacji chłopca wynikało, że opuścił te korytarze w zupełnie innym miejscu – spadł z góry na łąkę za miastem i jakiś czas błądził jeszcze po lesie, nim udało mu się znaleźć drogę do domu. Nie odwiedziliśmy tego miejsca, zwłaszcza, że historia nie brzmiała zbyt przekonująco, ale zaznaczyliśmy je na mapie.

Zacząłem zastanawiać się, dlaczego zebraliśmy się na odwagę i próbowaliśmy eksplorować szkołę. Znalezione zdjęcie klasy trzeciej C z zakreśloną twarzą chłopca szybko uświadomiło mi powód. Najwyraźniej Piotr musiał być

bratem jednego z nas, a jego dziesięciogodzinne zniknięcie dało nam wiatr w żagle.

Nazajutrz odebrałem samochód z warsztatu. Miałem ochotę wypowiedzieć kilka niemiłych słów w stronę flegmatycznego mechanika, jednak ugryzłem się w język i wróciłem do domu.

Wkrótce potem usłyszałem dzwonek do drzwi i zobaczyłem we framudze twarz pana Eryka. Prośba została już przeze mnie zaakceptowana i teraz przyszedł jedynie omówić szczegóły. W przeszłości odbierałem już Leona ze szkoły, więc łatwiej było mu zwrócić się do mnie w tej sprawie ponownie – w końcu istniał już pewien precedens.

Gdy skończyliśmy ustalenia i pożegnaliśmy się, zagnieździła się we mnie myśl, by poruszyć z chłopcem temat sali numer dwanaście. Nie wiedziałem jednak, jak to zrobić, żeby go nie przestraszyć ani nie zniechęcić. Nie chciałem, aby chłopiec poczuł się niezręcznie. Prawdę mówiąc, zawsze słabo radziłem sobie w kontaktach z dziećmi. Obsesja na punkcie zaplecza dojrzewała we mnie jednak przez ostatnie dni i nie miałem wątpliwości, że w taki czy inny sposób muszę dotrzeć do informacji na ten temat.

Nazajutrz okazało się, że od problemu wybawił mnie sam chłopiec, który bezceremonialnie zapytał, czy nadal

chcę posłuchać, o czym opowiadał dziadkowi. Widziałem, że sprawa ta dręczy go tak samo jak mnie.

Na jego twarzy odmalował się wyraz niedowierzania, a potem ulgi, gdy zdradziłem, że wiem, o czym mówi. Niemal od razu połączyła nas pewna nić porozumienia, choć wciąż rozmowa przebiegała nieco niezręcznie.

Niewiele się dowiedziałem. Leon powtórzył to, co udało mi się podsłuchać w autobusie, dodając jedynie, że jego kolega nadal nie wrócił. Nie potrafił mi wyjaśnić, jakim cudem nie zgłoszono zaginięcia, co rzucało na sprawę dość dziwne światło. W toku rozmowy dowiedziałem się również, że zaginiony chłopiec był mu bliski i bardzo chciałby sprawdzić, co się z nim stało. Był gotowy tam wejść, ale chciał, aby ktoś mu asystował.

W ciszy, która nagle zapadła, wyczułem oczekiwanie, że zaproponuję pomoc. Szybki rachunek, jaki wykonałem, jednoznacznie wskazywał, że powinienem odmówić. Może i byłem kiedyś uczniem tej placówki, jednak dziś stanowiłbym już jedynie intruza na jej terenie i moja obecność byłaby bardzo niepożądana. Dziwnie czułym się zresztą, ingerując w sprawy dzieci. Mam wrażenie, że to nie miejsce dla dorosłych.

Zawód, jaki sprawiła chłopcu moja odpowiedź, i jego determinacja, by mimo wszystko samodzielnie zinfiltrować to miejsce, nie dawały mi jednak spokoju. Choć zdawałem sobie sprawę, że jest to decyzja irracjonalna, ostatecznie obiecałem, że pomogę. Rozpromienił się na tę wieść i postanowiliśmy, że nazajutrz ustalimy szczegóły.

Tego wieczoru gnębiło mnie poczucie, że popełniam błąd, a moje intencje nie są wcale tak czyste, jak chciałbym wierzyć. Czy naprawdę wiodło mnie poczucie obowiązku wobec niemal obcego chłopaka? Czy to nie ciekawość i chęć domknięcia dawnych spraw przesądziły o mojej decyzji? Jeżeli tak, czy nie sprowadzam Leona jedynie do roli narzędzia?

Dręczony rozterkami, udałem się na spoczynek, by następnego dnia jeszcze głębiej zabrnąć w swój błąd.

Nazajutrz, wracając do domu, wspólnie utkaliśmy plan. Ustaliliśmy, gdzie poczekamy, aż nauczyciele i uczniowie opuszczą szkołę, i jak przejść przez korytarze, unikając kamer. Późniejszy powrót chłopca do domu miała usprawiedliwiać rzekoma wycieczka klasowa do teatru, a na moją prośbę dodatkową metodą komunikacji w trakcie wybryku miały być krótkofalówki. Nie wiem, czy pomysł ten podyktowała mi intuicja, czy infantylna nostalgia, ale zaraz po odprowadzeniu chłopca pod drzwi udałem się do sklepu z elektroniką i wyposażylem nas w urządzenia. Ekscytacja wymieszana z rosnącym lękiem i złością na siebie nie pozwoliły mi tej nocy zasnąć.

Powrót do szkoły po latach był emocjonującym przeżyciem. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że tak naprawdę miejsce to cały czas gdzieś we mnie żyło. Pamiętałem wzory taniej posadzki, fakturę ścian, stary, zatechły zapach dzieciństwa. Pod nowymi warstwami zmarszczek rozpoznawałem twarze uczących mnie niegdyś nauczycieli. Przyłapywałem się nawet na irracjonalnym oczekiwaniu, że za rogiem spotkam dawnych przyjaciół. Zmieniły się jedynie wiszące na ścianach rysunki i skala: wszystko wydało mi się nagle zaskakująco małe i ciasne.

Z jednej strony doświadczenie to przypominało powrót do domu, z drugiej – czułem się jak intruz i zapewne tak też wyglądałem. Uderzyła mnie też myśl, że choć ja doskonale pamiętałem to miejsce, ono najwyraźniej zupełnie o mnie zapomniało. Nie widziałem, by moje nazwisko upamiętniało jakikolwiek wycinek przestrzeni, a nauczyciele nie rozpoznawali mojej twarzy.

I wtedy zobaczyłem ją. Drobniejsza nawet niż kiedyś i przygarbiona, szła pewnym krokiem środkiem korytarza. Włosy, z których czas stał złoty kolor, spięła w ciasny kok, a odczuwane często niezadowolenie wryło na jej twarzy trwałe piętno. Gdy przechodziła obok, poczułem na sobie spojrzenie zimnych oczu i mógłbym przysiąc, że kąciki jej ust drgnęły w paskudnej karykaturze uśmiechu. Wrażenie to zaraz jednak ustąpiło, a kobieta obojętnie przeszła dalej. Jeszcze przez jakiś czas czułem kołatające w piersi serce. Widziałem, że przewodzący mi chłopiec wyraźnie pobladł.

Wspięliśmy się na najwyższe piętro bocznej, rzadko uczęszczanej klatki schodowej i tam poczekaliśmy półtorej godziny. Po tym czasie chłopiec udał się na zwiad i wkrótce zameldował mi, że budynek zupełnie opustoszał.

Wziąłem głęboki wdech i ruszyłem za nim, doskonale wiedząc, dokąd mnie teraz prowadzi.

Częściowo odrapana liczba „dwanaście” wisiała niepewnie na tanich, porysowanych drzwiach, które były oczywiście zamknięte na klucz. Chłopiec rozejrzał się po korytarzu, po czym wyciągnął z plecaka dwie wsuwki i chwilę zręcznie nimi pomanewrował. Rozpoznałem wprawę w jego ruchach – najwyraźniej robił to już wcześniej. Postanowiłem jednak tę obserwację przemilczeć.

Gdy nacisnął klamkę, mimowolnie wstrzymałem oddech.

Moim oczom ukazały się rzędy jednakowych ciasnych ławek, których niewygodę wciąż pamiętałem. Ciemna tablica została zastąpiona białą, a kreda – pisakami. Cztery zegary odmierzały czas dla naszego miasta, Nowego Jorku, Londynu i Tokio. Farba pokrywająca brzydkie bladozielone ściany lśniła tandetnym blaskiem. Stojący za gablotą zabytkowy, zdobiony globus nie pasował do zimnej, pastelowej parodii modernizmu, jaką stanowiło to pomieszczenie.

Miejsce, które zobaczyłem, do złudzenia przypominało to z mojego snu, choć nicość za oknem wypełniał teraz

widok powoli tonącego w mroku boiska do koszykówki i pojedynczych drzew na horyzoncie.

Spojrzałem na chłopca i zobaczyłem w jego oczach odbicie własnego strachu. Teraz, gdy już tu byliśmy, nie chcieliśmy się wycofać, ale mieliśmy opory, by zbliżyć się do drzwi prowadzących na zaplecze. Poczułem ukłucie wstydu, gdy chłopiec jako pierwszy przełamał obawy i ruszył w ich stronę. Choć położona na klamce mała dłoń drżała, zmusił ją do wywarcia nacisku. Drzwi były otwarte.

Przez tyle lat pokusa, by tam zajrzeć, przegrywała we mnie z lękiem. Gdy zobaczyłem, że niewielki składzik wygląda zupełnie normalnie, nie odczułem jednak ulgi, ale rozczarowanie.

Dwa dodatkowe krzesła, kilka poślódkłych, wygniecionych map, szafka z zapasowymi pisakami i długopisami, kilka przegródek na dokumenty, półka z książkami... Wszystko to wyglądało tak zwyczajnie, że uspiło moją czujność. Nagle dziecięce przesady wydały mi się zabawne i ledwo powstrzymałem chęć, by się roześmiać. Chciałem już powiedzieć Leonowi, że najwyraźniej nic tu nie ma, i opuścić budynek, gdy chłopiec powiedział: „tutaj”.

Leon odsunął kilka pudeł i w miejscu, które wskazywał, ujrzałem nierzeczywistą, trójkątną dziurę w podłodze – zbyt małą, bym sam był w stanie się przez nią precyzyjnie przesuwać. Chłopiec wyraźnie zdawał sobie z tego sprawę. Głośno przełknął ślinę i wyciągnął w moim kierunku dłoń. Drżącymi palcami podałem mu gaz pieprzowy, naładowaną

uprzednio latarkę i krótkofalówkę, po czym sam zbliżyłem się do krawędzi.

Ciemność wewnątrz nie była nieprzenikniona. Ze środka biło blade, żółtawe światło. Połyskujące w jego blasku ściany miały odcień wyblakłej zieleni – taki sam jak klasa, w której przed chwilą się znajdowaliśmy. Nie była to żadna otchłań, a jedynie wąski, płytki korytarz. Nie chcąc znowu obnażać się z własnym tchórzostwem, wsunąłem do środka dłoń. Wymacałem jakiś uchwyt i przekręciłem go, otwierając najprawdopodobniej drzwi do kolejnego pomieszczenia. Nie byłem jednak w stanie dojrzeć jego wnętrza.

Chłopiec wydawał się zniecierpliwiony. Wyraźnie chciał mieć to już za sobą. Poprosił mnie, abym odsunął się od wejścia. Posłuchałem jego prośby i poinstruowałem, jak używać krótkofalówki i jakie komunikaty ma mi przekazywać. Sam wyciągnąłem zaś z plecaka tablet graficzny i włączyłem program, w którym miałem w zwyczaju rysować mapy i plany. W kieszeni wyczułem pogniecioną kartkę z mapą narysowaną trzydzieści lat wcześniej. Wiele się od tej pory nauczyłem.

Leon dał mi znać, że wszystko rozumie i przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu. Wyczułem w jego spojrzeniu strach i ufność. Widziałem, że szuka we mnie pokrzepienia i przyłapałem się na nieprzyjemnej myśli, że najprawdopodobniej – jak to dziecko – przecenia sprawczość, jaką mają dorośli, i wiąże z moją obecnością duże nadzieje. Obiecałem, że będę pilnować, aby nie

zgubił drogi i bezpiecznie wrócił, ale prawda jest taka, że nie miałem pojęcia, czy będę w stanie mu pomóc.

Chłopiec niepewnie opuścił się w dół, znikając z moich oczu. Pozostawaliśmy jednak w kontakcie. Zgodnie z instrukcją, nieustannie opisywał mi, co widzi. Odsiewałem informacje o wysokim stropie, brzęczeniu jarzeniówek czy obecności kolumn. Starłem się skupić wyłącznie na układzie pomieszczeń i możliwie jak najdokładniej sporządzić ich mapę, aby w każdej chwili móc bezpiecznie poprowadzić chłopca z powrotem. Choć prosiłem, by skupił się wyłącznie na architekturze i dźwiękach, Leon wspominał często, że jest mu zimno lub duszno. Raz powiedział, że czuje na skórze powiew wiatru, co skłoniło mnie do postawienia hipotezy o znajdującym się nieopodal wyjściu.

Korytarze wydawały się więc w nieskończoność i wielokrotnie rozwidlać. Momentami miałem problem ze zrozumieniem przestrzeni, którą opisywał chłopiec, gdy wertykalnie przemieszczał się do innych pokojów. Raportował obecność licznych półpięter, otworów i drabin. Słowa, które wypowiadał, słyszałem kilkakrotnie – niosło je bowiem echo. Dźwięk stał się na tyle zniekształcony, że w końcu poprosiłem chłopca, abyśmy rozmawiali jednak przez telefon. Po chwili wybrałem jego numer.

Gdzieś z tyłu głowy towarzyszyła mi dręcząca myśl o odpowiedzialności za to dziecko. Czulem, że muszę zadbać o jego bezpieczeństwo i przerażała mnie

świadomość, że go nie widzę. Gdybym stracił z nim kontakt, byłbym bezradny.

Pogłos jego kroków i szum lamp pobrzmiwały w tle, gdy chłopiec opisywał przestronną salę, w jakiej się znalazł. W jego opisach uderzyła mnie pustka mijanych pomieszczeń – zupełnie jakby niczemu nie służyły i niczym się nie wyróżniały. Jeśli wierzyć relacji chłopca, wszystkie ściany miały ten sam mdlący odcień bladej zieleni, od którego kręciło mu się w głowie. Zastanawiałem się, czy przedtem coś w nich magazynowano, ale odrzuciłem tę hipotezę, gdy przypomniałem sobie, że to samo raportował nam dekady temu Nikodem. Wydaje się, że miejsce to trwa w pewnym bezczasie – zresztą jak cała szkoła.

W pewnym momencie odniosłem wrażenie, że słyszę odgłosy kroków całej grupy. Struchlałem. Poprosiłem Leona, aby na chwilę przystanął, i uważnie nasłuchiwałem. Gdy chłopiec się zatrzymał, kroki ucichły, jednak gdy ruszył, ponownie usłyszałem przemarsz wielu osób. Obwiniłem echo, ale słowa, które wypowiadał chłopiec, tym razem nie odbijały się od ścian i docierały do mnie tylko raz. Rozkazałem, aby jak najszybciej opuścił to pomieszczenie.

Słyszałem, jak Leon stęka, przeciskając się przez wąski korytarz, a następnie wspinając na półpiętro. Gdy dotarł do następnego rozwidlenia, skręcił w prawo, co zanotowałem. Co dziwne, z mojego planu jasno wynikało, że zatacza w ten sposób koło i zbliża się z powrotem do wyjścia. Po przekroczeniu kolejnego wąskiego korytarza

powinien był wypaść do rozległej sali, w której znajdowało się sześć par drzwi. Chciałem doradzić mu, aby tym razem skierował się ku ostatnim drzwiom, ale chłopiec zaraportował, że wcale nie znalazł się ponownie w tym pomieszczeniu, a w okrągłej, pozbawionej drzwi sali o wysokim stropie, z której da się wyjść, tylko wspinając się po drabinie i przechodząc przez niewielki otwór znajdujący się na wysokości mniej więcej dwóch metrów. Leon przeszedł tędy i raportował mi dalszą drogę.

Zmarszczyłem brwi, analizując szkice. To, co opisywał chłopiec, zupełnie się z nimi nie zgadzało.

W tym momencie znowu usłyszałem dodatkowe kroki. Usłyszał je też Leon, który z nadzieją wykrzyczał imię kolegi. Odpowiedziała mu jednak głucha cisza.

Po chwili dźwięk wybrzmiał ponownie i zdałem sobie sprawę, że bardziej niż kroki, przypomina odgłos przesuwanego po podłodze ciała.

– Leon, wychodź stamtąd. Wycofaj się. Natychmiast – rzuciłem niemal krzykiem. – Będę cię prowadził. Idź tam, gdzie mówię.

Chłopiec potwierdził, że mnie posłucha, a w jego głosie słyszałem narastającą panikę.

– Idź prosto, aż zobaczysz rozwidlenie. Wtedy skręć w prawo. Powtarzam: w prawo.

Na chwilę kroki umilkły. Usłyszałem w słuchawce świst wciąganego w płuca powietrza.

– Nie ma rozwidlenia – wycedził.

– Jak to „nie ma rozwidlenia”?

– Da się przejść tylko górą. Jest drabina.

Nic się nie zgadzało. To, co mówił, było zupełnie sprzeczne z moją mapą.

– Jesteś pewien?

– Tak.

Chłopiec wspiął się po drabinie i nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że słyszałem już opis pomieszczenia, w którym się znalazł. Uważnie przestudiowałem szkic i rzeczywiście, pokój o identycznym kształcie i przejściach uwzględniłem już w planie, jednak znajdował się on w zupełnie innej części obiektu.

Z każdą kolejną salą, którą opisywał Leon, nabierałem przeświadczenia, że narysowaną przez siebie mapę mogę właściwie wyrzucić do kosza. Albo chłopiec podawał mi informacje niezgodne z rzeczywistością, albo układ pomieszczeń ulegał przeobrażeniom.

Aby to szybko sprawdzić, poprosiłem Leona o opisanie wyglądu i rozkładu sali numer dwanaście i części szkoły, którą wspólnie przemierzaliśmy. Jego słowa wydawały się perfekcyjnie odzwierciedlać rzeczywistość. Wywnioskowałem stąd, że raczej nie on zawinił.

Czy mogłem popełnić aż tyle błędów?

Nie – uznałem. *To mało prawdopodobne.* Nie miałem, oczywiście, w zwyczaju rysować map miejsc, których sam nie mogłem obejrzeć, ale moja wyobraźnia

przestrzenna uchodziła za doskonałą i szkicując plany, byłem w swoim żywiole.

Wraz z każdym kolejnym opisem chłopca nabierałem przekonania, że pomieszczenia mieszają się ze sobą, ulegają przekształceniom, a na pustych do tej pory przestrzeniach narastają nowe twory. Im głębiej zapuszczał się z labirynt korytarzy, tym bardziej wypaczone i nielogiczne stawały się kształty sal i przejścia pomiędzy nimi. Kolejne półpiętra i odnogi mnożyły się niczym komórki nowotworowe. Nie potrafiłem dostrzec w tej mutacji żadnego wzoru – przewidzieć, jak dalej mogłyby rozrastać się korytarze. Pojmując, że mój rysunek już dawno stracił sens, przestałem go poprawiać.

Miałem jednak poczucie, że chłopiec na mnie polega i potrzebuje wiary, że nie porusza się po omacku, nawet jeżeli nie ma to wiele wspólnego z rzeczywistością. A może po prostu nie potrafiłem przyznać się do porażki? W każdym razie nie zdradziłem się przed Leonem, że nic, po której prowadziłem go do wyjścia, jest splątana i w wielu miejscach zwyczajnie się urwała.

Nagle usłyszałem głośne charknięcie i dziecięcy krzyk. Moje pytanie o to, co się dzieje, zagłuszyły pisk i odgłosy biegu. Wrzask odbijał się echem od ścian wraz z przedziwnym matowym dźwiękiem szurania po podłodze i wilgotnym warkotem.

Serce waliło mi jak oszałałe.

Chłopiec trafiał na kolejne rozwidlenia i pytał, gdzie biec. Płakał. Odpowiadałem błyskawicznie, ale losowo – nie miałem pojęcia, gdzie jest. Nie dałem po sobie poznać, że nie wiem.

Gdy zeskoczył z półpiętra, usłyszałem jęk bólu, a po chwili głuchy łomot upadku czegoś ciężkiego. Rozległ się przeszywający ryk, który szybko przeszedł w chrapliwy pomruk. Nie sposób było tego ocenić, kierując się wyłącznie słuchem, ale odniosłem wrażenie, że cokolwiek to jest, znajduje się tuż za chłopcem.

Leon lkał, przeklinał i ciężko sapał ze zmęczenia. Wyrzucał z siebie potoki słów, ale zupełnie nie byłem w stanie zrozumieć, co mówi. Nagle usłyszałem ostry wrzask i huk upadku. Trzask był tak głośny, że wręcz bolesny. Mimowolnie odsunąłem telefon od ucha, a gdy przyłożyłem go ponownie, zdałem sobie sprawę, że połączenie zostało przerwane.

Próbowałem oddzwonić. Nikt nie odbierał.

Czułem, jak narasta we mnie panika i desperacja. Miałem ochotę krzyczeć i ciskać rzeczami, zdemolować cały ten cholerny składzik. Ale to wszystko nie miało sensu. Koszmar, którego najbardziej się obawiałem, ziścił się: łącząca nas nić porozumienia została przerwana. Nie widziałem go, nie słyszałem, nie miałem pojęcia, co się z nim dzieje. I czułem się za to wszystko odpowiedzialny.

Próbowałem wcisnąć się do przejścia albo jakoś je powiększyć, ale nie byłem w stanie. Wiedziony

desperacją, zacząłem szukać jakiegokolwiek połączenia. Odsuwałem przedmioty na zapleczu, zaglądałem za szafy i za tablicę w sali obok. Zacząłem błąkać się po szkole, usiłując zlokalizować pomieszczenia. Szukałem luki w bryle budynku – zbędnej, niezagospodarowanej przestrzeni, w której mógł mieścić się labirynt przeklętych korytarzy. Nic takiego jednak nie znalazłem.

Usiadłem na schodach i ukryłem twarz w dłoniach. Nie mogłem się uspokoić. Nie byłem w stanie nic zrobić. Nawet nie wiedziałem, czy chłopiec żyje. Dręczyła mnie też egoistyczna obawa, że kiedy desperacko włóczyłem się po szkole, zaglądną w zakamarki, kamery musiały zarejestrować moje dziwne zachowanie. Przeszło mi przez myśl, że mogę zostać powiązany ze zniknięciem chłopca i nie będę miał żadnego alibi.

W końcu podniosłem się i powlokłem do sali numer dwanaście. Usiadłem w kącie na zapleczu i czekałem. Godzinami.

Gdy zobaczyłem to po raz pierwszy, uznałem za halucynację. Przetarłem oczy, jednak widok nie zniknął. Na wprost, naprzeciwko mnie, na ścianie wykwitł szkarłatno-fioletowy punkt przypominający siniaka. Krwiak rozlewał się po powierzchni, sunął ku sufitowi i gdy znalazł się tuż nade mną, poczułem, jak na moje czoło spada kropla. Starłem ją dłonią. W pierwszej chwili struchlałem na myśl, że może to być krew. Kiedy jednak odważyłem się sprawdzić, dostrzegłem, że ciecz jest szara.

Pobiegłem na wyższe piętro. W przeciwieństwie do chłopca nie potrafiłem finezyjnie otwierać zamków, toteż wylałem drzwi siłowo.

W klasie musiały na co dzień odbywać się lekcje plastyki. Nie było tu śladu po dziwnym krwaku, ale podłoga wydawała wybrzuszać się i opadać w nieregularnym, szybkim oddechu. Kredki pospadały z ławek i falowały wraz z parkietem, przesuając się chaotycznie na boki. Wpadłem tu, z trudem utrzymując równowagę, i zacząłem odsuwać meble. Nigdzie nie widziałem przejścia. Chwyłem wierzgający cyrkiel i wbiłem w podłogę, próbując oderwać pojedyncze deski. Podważałem i kłułem, jednak moje wysiłki były mało skuteczne, a jedynym, co udało mi się odsłonić, był szary beton.

Pobiegłem na klatkę schodową i ponownie zarejestrowałem to, co już przecież wiedziałem: przestrzeń dzieląca te dwa piętra nie mogłaby pomieścić labiryntu pomieszczeń.

Wiedziony obłędem, biegałem po piętrach, otwierałem wszystkie sale, wpadałem do toalet. W łazience sąsiadującej z salą od plastyki dostrzegłem, że woda zgromadzona w zatkaney umywalce podnosi się i opada gwałtownie.

Miałem wrażenie, że słyszę jakieś odgłosy. Wydawało mi się, że to słowa. Rzuciłem się płasko na ziemię. Przywarłem twarzą do wilgotnej, chłodnej posadzki. Nasłuchiwałem.

Tym razem nie usłyszałem jednak nic. Najwyraźniej musiał to być tylko chlupot wody.

Przeszło mi przez myśl, że cały budynek wydaje się być w jakiś sposób wynaturzony i obcy – jakby uległ jakiemuś potwornemu przeobrażeniu lub chorobie.

Nagle lampy zaczęły jaśnieć intensywniejszym światłem. Usłyszałem miarowy warkot świecących z całych sił żarówek, a gdy nieco przygasły, wypadłem na korytarz. Zdałem sobie sprawę, że coś przesuwa się w trzewiach budynku, a wraz z tym przesuwa się też światło i uchwyciłem się tej myśli. Podążając za tropem, wpadłem do jednej z sal. Zostałem następnie poprowadzony w głąb pomieszczenia.

Stałem obok okna, wpatrując się tępo w ścianę przed sobą. Choć nie potrafiłem tego nazwać, coś sprawiło, że przeszedł mnie dreszcz i zaschło mi w ustach.

Czułem napierającą obecność. Tak jak we śnie, miałem wrażenie, że tylko cienka skóra budynku dzieli mnie od świata wijącego się pod powierzchnią i gdy długo wpatrywałem się w jeden punkt, dostrzegłem, że płaszczyzna ściany przede mną wybrzusza się.

Odruchowo postąpiłem kilka kroków do tyłu i wtedy pod napiętą błoną ściany dostrzegłem kształt dłoni. Próbowałem ją chwycić, ale wybrzuszenie natychmiast zniknęło. I tym razem moje próby przebicia się przez ścianę zakończyły się niepowodzeniem – wewnątrz niczego nie było.

Opadłem na kolana i zacząłem uważnie studiować podłogę – szukać kolejnych śladów życia pod jej powierzchnią. Badałem ją długo, przesuając się centymetr po centymetrze, aż w końcu zdałem sobie sprawę, że zbliża się świt. Ogarnęła mnie rozpacz, gdy pomyślałem, że będę musiał zupełnie porzucić chłopca, a myśleć o wyłamanych zamkach i nagraniach z kamer jedynie tę rozpacz spotęgowała.

Zajrzałem jeszcze raz na zaplecze i opuściłem budynek, udając się wcześniej do pracy.

Po dwóch nieprzespanych nocach nie byłem w stanie wykonywać nawet najprostszego zadania. Moje nerwy były napięte do granic możliwości. Widząc, że jestem niezdolny do pracy, przełożony odprawił mnie do domu ze słowami, że wyrządzałbym więcej szkód niż pożytku.

Jechałem w czapce z daszkiem i ciemnych okularach. Bałem się parkować pod domem. Bałem się, że policja już tam będzie. Że będzie już tam sąsiad. Że będą ode mnie wymagać wyjaśnień, których nie zdołam udzielić, i spędzę resztę życia w zamknięciu za czyny, jakich nie wyrządziłem. Krążyłem bezmyślnie po okolicy, a gdy nie byłem w stanie już dłużej prowadzić, bo oczy same zamykały mi się ze zmęczenia, zatrzymałem się w przydrożnym motelu. Dręczyły mnie koszmary.

Mijały kolejne dni, a ja nie odczuwałem ciężaru konsekwencji. Przemykałem się po domu jak widmo i poruszałem ze spuszczoną głową, więc żona domyśliła się, że coś leży mi na sumieniu. Nie byłem jednak w stanie zmusić się, by opowiedzieć jej prawdę, której przecież by nie przyjęła.

Pod nasze drzwi nie zawitała policja, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że szkolne kamery albo stanowią atrapy, albo dostarczają materiału o zbyt słabej jakości, by dało się na jego podstawie zidentyfikować sprawcę.

Serce stanęło mi, gdy pod drzwiami spotkałem dziadka Leona, jednak szybko okazało się, że mężczyzna przyszedł tylko zapytać, czy mógłbym nazajutrz ponownie odebrać chłopca ze szkoły.

Niemal nie wierzyłem własnym oczom, gdy następnego dnia z budynku rzeczywiście wyszedł Leon i wsiadł do mojego auta. Nie był to jednak ten sam rezolutny chłopiec, którego znałem wcześniej.

Jego oczy były podkrążone, a skóra blada i pocięta siecią żyłek. Wyglądał na chorego. Na nielicznych fragmentach skóry, które nie były osłonięte ubraniami, dostrzegłem niewielkie rany, wyglądem przypominające nieco wysypkę podczas ospy. Przeszło mi przez myśl, że mogły to być ślady ugryzień.

Przez całą drogę chłopiec ani razu na mnie nie spojrział. Nie odezwał się nawet słowem. Nie tylko sam nie

zaczynał żadnych rozmów, ale też ignorował moje pytania. Opuściwszy auto, powlekł się do domu zupełnie bez życia.

Gdy rok później zobaczyłem, jak jego krewni płaczą i chodzą po domach, prowadząc zbiórkę, domyśliłem się, jaka jest jej przyczyna. Sam też podupadłem na zdrowiu i usłyszałem diagnozę, a nawet nie byłem w środku.

Najwyraźniej moja przeszłość dopadła nie tylko mnie.

D.A.RECKI

BIAŁY KORYTARZ

Ściany nie powinny pachnieć.

Ale te tutaj miały zapach – dziwnie znajomy, jakby ktoś spryskał grzybem dzieciństwo, potem przykrył to środkami dezynfekującymi, a na koniec zamknął pod szkłem, by gniło w ciszy.

Kamil stał w progu starego budynku szpitala psychiatrycznego w Podkowie Leśnej. Budynek dawno wyłączony z użytku. Oficjalnie po pożarze. Nieoficjalnie – po tragedii.

Kiedyś to miejsce tętniło życiem. Krzykami. Opieką. Odosobnieniem.

Dziś – milczało.

Jak grób.

Rozejrzał się.

Deski pod jego butami skrzypiały ostrzegawczo, jakby chciały zawrócić go z drogi.

W rękach ścisnął mocno latarkę i kopertę – z dokumentami, które odebrał tydzień temu z sądu.

Matka. Anna Dzierżan. Zaginiona oficjalnie 14 lat temu. W praktyce – zniknęła w tym budynku. Tyle, że nikt nie potrafił powiedzieć, kiedy i jak.

Kamil był wtedy piętnastolatkiem.

Pamiętał zapach szarego mydła.

Pamiętał krzyk.

I to, że zatrzasnął drzwi.

Tę jedną myśl miał w głowie cały czas, jak zaciętą płytę.

„Zatrzasnąłem. Nie powinienem. Ale zatrzasnąłem. I zostawiłem ją tam.”

Przed nim stały zamknięte drzwi do oddziału D – oficjalnie spalonego i wyłączzonego z użytku.

Metalowa zasuwka – zardzewiała, ale nieuszkodzona.

Pociągnął ją.

Zgrzyt rozciął powietrze jak nóż.

Otworzył drzwi.

Za nimi nie było gruzu. Ani spalonej posadzki.

Nie było tynku, który powinien zwisać z sufitu.

Nie było śladów ognia.

Był tylko biały korytarz.

Sterylna, idealna przestrzeń. Jak nowo oddane skrzydło szpitalne.

Lampy wbudowane w sufit, światło zimne, ledowe.

Podłoga – czysta, jak świeżo umyta, wypastowana.
Ściany – białe, nieskazitelnie białe.

Drzwi po obu stronach, w równych odstępach. Wszystkie takie same.

Brak okien.

Kamil cofnął się o krok.

Za nim – szaruga, zgrzybiały kurz, opadły tynk.

Przed nim – światło.

Zrobił pierwszy krok.

Po kilku metrach światło za jego plecami zgasło.

Zadziałał czujnik ruchu? Ale przecież ten budynek nie miał prądu.

Był przygotowany już do rozbiórki.

Światło przed nim – zapalało się sekwencyjnie.

Zawsze o krok dalej.

Zawsze tylko tam, gdzie mógł dojść.

Jakby korytarz chciał, żeby szedł.

Po lewej – drzwi.

Zatrzymał się.

Nie miały klamki. Tylko białą płytę.

Gdy dotknął dłonią – rozsunęły się cicho.

Jak w automacie.

Był w kuchni.
Ich kuchni.
Z lat dziewięćdziesiątych.
Zegar z kurantem. Firaneczki z haftem.
Słoik po kawie pełen spinaczy.
I ona.
Matka.
Siedziała przy stole, w tej swojej sztywnej sukni z granatowego materiału.
Zaciągała się papierosem. Na popielniczce leżał różaniec.
Nie spojrzała na niego.
Jakby go nie widziała.
Jakby był powietrzem.
Z radia leciała kościelna pieśń: „Duszo Chrystusowa, uświęć mnie...”.
Kamil zamknął oczy. Serce waliło mu jak młot.
Otworzył je.
Drzwi – zamknęły się same.

Znalazł się znowu w białym korytarzu.
Kolejne drzwi.
Pokój dziecięcy.
Łóżko polowe. Słoik z ogórkami. Zeszyty z religii.
On – trzynastoletni, skulony w kącie.
Matka stoi nad nim z pasem.

– Za karę. Nie wróciłeś na Anioł Pański.

– Matko... – wydukał chłopak.

– Nie bluźnij.

Pas spada na plecy.

Kamil podchodzi. Chce krzyknąć. Wtrącić się.

Ale nie może.

Nie istnieje.

Jest tylko obserwatorem.

Drzwi – zatraskują się.

Wrócił do korytarza.

Ściany – wciąż białe. Ale lekko wygięte.

Minimalnie.

Jakby przestrzeń... oddychała.

Jakby czekała.

Korytarz prowadził dalej.

Szkliste światło pulsowało nad głową.

Jego cień był rozciągnięty, zniekształcony, rozmazany.

Wszystko tu przypominało coś znajomego, ale obcego.

Jakby rzeczywistość grała z nim w fałszywe wspomnienia.

Kamil poczuł, jak coś nieuchwytnego wsuwa się mu pod skórę – chłód bez temperatury, obecność bez ciężaru.

Korytarz był coraz dłuższy, jakby rozciągał się w miarę każdego kroku, zjadając jego czas i pewność.

Zatrzymał się.

Trzecie drzwi.

Nie chciał ich dotykać, ale ręka sama powędrowała do gładkiej powierzchni.

Rozsunęły się bezszelestnie.

Szpitalna sala.

Pachniało octem i czystością na siłę. Łóżka z metalowymi poręczami. Prześcieradła wyprasowane do granic szaleństwa.

Na jednym z nich – matka. W wersji, którą ledwo pamiętał: wychudzona, z pozszywanymi nadgarstkami, oczy wbite w sufit.

Obok niej stał on.

Siedemnastoletni chłopak w dresie Adidasa, który nosił w dniu jej „zaginięcia”.

Patrzył na matkę bez cienia litości.

– Skończ już te swoje cyrki – mówił głosem martwym, jakby słowa wychodziły z magnetofonu.

– To nie były cyrki – wyszeptała kobieta. – To był krzyk o pomoc.

– Krzyczałaś za dużo. Nikt już nie chciał słuchać.

Kamil obserwujący to z boku zrobił krok do przodu.

Chciał krzyknąć: „Nie mówiłem tego! Nigdy!”.

Ale nie miał ust.

Tylko oczy.

I widok, który zostawał pod powiekami.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Znowu był w korytarzu.

Tym razem podłoga była wilgotna.

Spojrzał w dół – ślady stóp. Bosych. Mokrych.

Szły przed nim.

Małe.

Dziecięce.

Czwarte drzwi. Tym razem ich nie otwierał.

Rozsunęły się same, gdy tylko zbliżył się na kilka kroków.

Łazienka.

Ta sama, w której trzymała go zamkniętego przez kilka godzin za „grzechy”.

W kącie – wiadro z wodą.

Na desce klozetowej – gruba Biblia.

Na podłodze – chłopiec. On.

Sześciolatek. Nagi, trzęsący się.

Szeptał do siebie:

– Znowu zgrzeszyłem. Nie chciałem. Ale znowu zgrzeszyłem.

Z głośnika ukrytego gdzieś za ścianą dobiegał głos matki:

– Pokuta czyni duszę lżejszą, Kamilku. Grzech trzeba wypocić.

Mały Kamil patrzył na dorosłego. Ich spojrzenia się spotkały.

Tym razem poczuł to wyraźnie – dziecko go widziało.

I powiedziało:

– Nie powinienes wracać. Ona tu dalej jest.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Biały korytarz – już nie był biały.

Ściany zaczynały szarzeć.

W gipsie pojawiały się pęknięcia.

Z sufitu zaczęła sączyć się woda.

Zatrzymał się.

Oddychał ciężko.

Ręce mu drżały, latarka prawie wypadła.

Za jego plecami – kompletna ciemność.

Przed nim – kolejne drzwi.

Ostatnie?

Nie miał pewności.

Podszedł.

Drzwi się nie otworzyły.

Zamiast tego... usłyszał pukanie.

Trzy razy.

Cicho.

Między jednym oddechem a drugim.

Potem znowu.

Trzy razy.

Regularnie.

Kamil dotknął powierzchni drzwi.

Czuł ciepło.

Bijące od drugiej strony.

I oddech.

Wciągnął powietrze.

Nie pachniało szpitalem.

Pachniało nią. Jej perfumami. Tym samym tanim zapachem, który wgrzył się w tapczan w dzieciństwie.

Zamknął oczy.

Przyłożył czoło do drzwi.

Szeptał:

– Mamo...?

Drzwi rozsunęły się. Otwarły się bezszelestnie.

Za nimi była sypialnia.

Nie szpitalna.

Domowa. Znana.

Z obrazem Jezusa nad łóżkiem.

Z meblościanką z lat osiemdziesiątych, z kwiecistym kocem, który pamiętał jego gorączki i nocne poty.

I ona.

Stała przy oknie. Odwrócona tyłem.

Suknia granatowa. Ta sama co zawsze.

Ramiona spięte, włosy ciasno splecione w kok.

Wiedział, że jeśli ją zawoła, jeśli się ruszy, to wszystko pęknie.

Że za tym ciałem nie ma już człowieka.

Ale... nie mógł się cofnąć.

Zrobił krok.

I jeszcze jeden.

Kiedy był metr za nią, kobieta powiedziała:

– Wiedziałam, że wrócisz. Każdy wraca do początku.

Kamil zamarł.

– Nie chciałem... ja...

Odwróciła się.

Twarz była jego.

Nie jej. Jego twarz na jej ciele.

Tylko oczy – te same, które miał jako dziecko.

Czarne, puste, zmęczone.

– Ty mnie stworzyłeś – powiedziała postać głosem, który był równocześnie matką i nim samym – A potem zostawiłeś. Zamurowałeś we wspomnieniach. A teraz przyszedłeś po mnie?

Zrobiła krok.

Drugi.

Była coraz bliżej.

Kamil cofnął się, ale nie było już korytarza.

Za nim – tylko ściana.

Biała. Oddychająca.

Zimna jak plastik.

Pachnąca środkiem do dezynfekcji i czymś starym, rozkładającym się.

– Jesteśmy tym samym – wyszeptała. – Ja nie zniknęłam. Ja jestem w tobie. Byłam zawsze.

Wtedy wyciągnęła rękę.

Dotknęła jego czoła.

Krzyk.

Czysty, dziecięcy wrzask.

Odbił się od ścian.

Kamil padł na kolana.

Złapał się za głowę.

Wszystko wirowało.

Zobaczył siebie jako dziecko.

Jako nastolatka.

Jako dorosłego.

Zawsze z nią.

Zawsze obok.

Zawsze w jej cieniu.

I nagle – ciemność.

Nie stracił przytomności.

Po prostu... przestał być.

Obudził się.

Leżał na twardej podłodze. W ręku – koperta z dokumentami.

Latarka obok.

Szaro, kurz, resztki ścian, gruz, wiatr.
Nie było białego korytarza.
Tylko zrujnowany korytarz szpitala psychiatrycznego.
Zarwany sufit. Zardzewiałe rury.
Ślady ognia.
Wstał chwiejnie.
Z trudem dotarł do drzwi wyjściowych.
Odwrócił się jeszcze raz.
Pęknięty napis nad wejściem: „ODDZIAŁ D”.
Nic więcej.

Wrócił do domu.
Mieszkał sam.
Otworzył kopertę.
Wewnątrz – nie było nic.
Ani aktu zgonu. Ani zdjęć. Ani nazwiska.
Tylko kartka zapisana pismem, którego nie widział od lat.

„Kamilku, nie zapominaj pacierza. Mama.”

Upuścił kartkę.
Drżał.
Z kuchni dobiegł dźwięk.
Ciche pukanie.
Raz.

Dwa.

Trzy.

Odwrócił się.

Na lodówce, w miejscu na magnesy, ktoś przykleił różaniec.

DAWID DYRCZ

KOSZERNA MASARNIA STAREGO JAKUBA

Odeszła bez pożegnania, żadnego słowa ani spojrzenia. Już od dłuższego czasu unikała mnie, jakby się brzydziła, a gdy chciałem się przytulić, agresywnie odpychała. Wkrótce po tym zaczęła sypiać w innym pokoju. Nawet do pracy wychodziła dwie godziny wcześniej. Na jej ubraniach wyczuwałem obce, intensywne, drogie, męskie perfumy. Gdy kilkakrotnie zapytałem o to, tylko rzucała kąpiącym, pogardliwym spojrzeniem. Któregoś dnia znalazłem na biurku klucze do mieszkania. Żadnej karteczki, wyjaśnień, czegokolwiek. Od razu wiedziałem, że odeszła. Upewniłem się po sprawdzeniu szafek z ubraniami. Oczyszczone, puste, jak nasze uczucia. Z łazienki zniknęły damskie kosmetyki. Przez kilka dni w domu unosił się jeszcze jej zapach, ale i on wkrótce uleciał.

Bolało, ale nie szukałem jej, nie wydzwaniałem. Kilka razy przypadkiem widziałem z daleka, jak idzie

uśmiechnięta, objęta przez kogoś nowego. Mężczyznę, który zajął moje miejsce przedtem i potem. Każdego dnia automatycznie wykonywałem te same czynności, starając się o niej zapomnieć. Bezskutecznie. Zbyt wiele spędziliśmy razem wspañałych chwil. Wszystko wracało z jeszcze większym cierpieniem.

Od kiedy zostałem sam, lkałem nocami, a później miewałem mroczne sny. Śniły mi się miejsca odległe, a jednocześnie wydające się bardzo bliskie, i istoty, które byłem pewien, że nie istniały w tej rzeczywistości, mające jednak wgląd do naszego świata. Szare, wychudłe, bezpłciowe postacie w workowatych, obwisłych skórach o oczach błyszczących jak wypolerowane obsydiany. Zawsze pojawiały się pojedynczo, nigdy w grupie. Pomimo ich obojętnego wyrazu twarzy czułem od nich żalność przeszywającą jestestwo samym trwaniem. Jedna z nich zawsze zdawała się krzyczeć i gestykulować, by po chwili zastygać w bezruchu. Nie słyszałem słów, które mimiką wydawały się być takie podobne do mojego bólu.

Podczas jednego z takich snów ujrzałem przejście. Cienką, drżącą strunę unoszącą się na nieistniejącej ścianie w opuszczonej koszernej masarni starego Jakuba. Wydobywała się z niej melodia bez dźwięków. Niestyszalna zewnątrz, wabiąca niczym syreni śpiew żeglarzy. Muzyka docierająca do najdalszych zakamarków duszy. Szarpała umysł obietnicą kolejnych nut i ukojenia straty. Kiedyś, jeszcze w szkole podstawowej, wiele słyszałem o koszernej masarni, niestety niczego dobrego. Podobno

znikali tam ludzie. Nie, nie wszyscy, tylko ci, którzy chcieli odejść. Dziewczyny oszukane obietnicą miłości, odrzuceni młodzi mężczyźni ze złamanymi sercami, desperaci mający dosyć obłudy tego świata – wszyscy chcący uśmierzyć ból płynący w żyłach zamiast krwi. Nikt jednak nie potrafił wskazać, kto dokładnie zaginął, jakby wszelka pamięć po nich została zatarta. Tylko te walające się w masarni niezliczone ilości ubrań świadczyły, że jej historia miała w sobie coś więcej niż szeptane po zmroku dziwne opowieści dzieciaków.

Kierowany impulsem udałem się do wysnionego miejsca. Kiedyś już tam byłem, chyba w szóstej klasie. Chcieliśmy sprawdzić, czy to prawda, co mówią o masarni. Uciekliśmy z ostatniej lekcji i pełni ciekawości przeszliśmy przez dziurę w płocie, a później przez uchylone drzwi. Lodowatej ciszy pomieszczenia nie zakłócał wiatr ani bzyczenie owadów. Cmentarny spokój. Dało się tam wyczuć coś niepokojącego, mrocznego i złowrogiego. Odniosłem wtedy wrażenie, że w powietrzu wisi cisza, a natura z jakiegoś powodu boi się przekroczyć granice budynku. Gdy zobaczyliśmy pokryte kurzem, jak i nowe, ubrania oraz haki wiszące nieruchomo na porzewiałych łańcuchach, uciekliśmy. Nie rozmawialiśmy więcej o masarni ani o tym, co tam widzieliśmy. Nawet gdy zaginęła odtrącona przez chłopaka dziewczyna ze starszej klasy. Zresztą po kilku dniach zapomniano o niej.

Teraz to miejsce mnie przyciągało. Szedłem bezmyślnie przed siebie, zdając sobie sprawę, że i tak dotrę do celu.

Pragnąłem zweryfikować, czy przejście do innego świata rzeczywiście istnieje, czy to tylko moja chora wyobraźnia płata figle z powodu odejścia ukochanej. Wiedziałem, że jeśli tego nie zrobię, nie zaznam spokoju.

Wkrótce dotarłem na obrzeża miasta. Przede mną wznosił się budynek z cegieł tak starych, że mogły pamiętać jeszcze czasy średniowiecza; na nim znajdował się przedwojenny, obdrapany szyld koszernej masarni z żydowskim imieniem właściciela. Wiatr z deszczem częściowo wykradły spomiędzy cegieł zaprawę. Na cynkowych rynnach również dało się zauważyć nalot śladów czasu. Nierównomierne plamy wykwitły na nich jak nowe lądy na nieistniejącej mapie. Okna pokryte mglistym szkłem zabezpieczono solidnymi stalowymi prętami, aby nikt nie dostał się do środka, a może aby nic się z niego nie wydostało? Ogrodzoną siatkę płotu porastały rośliny, ale po drugiej stronie już nic nie rosło. Na pustym placu zamieszkał jedynie piach z kamieniami. Piach szary jak skóra istot ze snów, kamienie czarne jak ich obsydianowe oczy.

Gdy rozsuwałem starą bramę, zgrzyt zdawał się rozchodzić jedynie na zewnątrz, zatrzymany niewidzialną barierą. Jeszcze ciszej było z masywnymi drzwiami, z trudem trzymającymi się na zardzewiałych zawiasach. Ani jednego dźwięku podczas otwierania.

Wewnątrz panował półmrok z jeszcze większym bezgłosem, rozświetlany przez snopy przedostającego się przez mleczone okna światła. Żadnego echa,

szelestu, życia. Masarnia wydawała się o wiele większa niż widoczny z zewnątrz budynek. Dokładnie tak, jak pamiętałem z czasów szkolnych. I ten drażniący nos, odpychający zapach pleśni, zgniłego mięsa i rozkładu. Z wysokiego sufitu zwisały nieruchomo haki, pod którymi dało się zauważyć ciemniejsze plamy, zapewne po krwi rytualnie pozbawionych życia zwierząt. Miejsce mordy świadomych istot, które później trafiały rozczłonkowane na stoły ludzi, by ledwie na kilka godzin zaspokoić ich odwieczny głód. Na podłodze walały się niezliczone ilości ubrań, butów, a także szkolnych plecaków. Leżały porozrzucane w różnych miejscach. Musiały pochodzić z różnych okresów, gdyż niektóre pokrywała warstwa kurzu i na pewno noszono je dawno temu. Wiem to ze starych filmów, teraz nie nosi się takich rzeczy. Leżał tam nawet damski kapelusz z piórkiem, jeszcze z czasów przedwojennych. Z kolei niektóre rzeczy wyglądały na porzucone zaledwie kilka dni temu. Przypomniała mi się zaginiona dziewczyna, o której wspomnienia powróciły wraz ze snami. Rozpoznałem jej żółtą kurtkę z czarnym paskiem i brązowe buty. Na pewno należały do niej. Ktoś musiał latami znosić to wszystko dla koszmarnego żartu.

Nie czułem się jak intruz. Co prawa zakłóciłem spokój tego miejsca, ale zostałem przecież przyciągnięty przez senne obietnice. Pomimo nieprzyjemnej atmosfery nie doznałem strachu. Wtedy ją zauważyłem, dokładnie jak we śnie. Lśniła przed ścianą tuż obok stołu rzeźnickiego, w którego szczelinach zalegały trudne do zidentyfikowania

ciemne resztki, pewnie należące do ubitych zwierząt. Nie widziałem go wcześniej, skrywał się w mroku. Niesłyszalne nuty bliskie memu sercu zagrały. Ożywiłem się. Mój oddech stał się szybszy i lżejszy. W melodii dało się znaleźć wszystko, co czułem do ukochanej. Teraz i przedtem, gdy darzyliśmy się szczerym uczuciem. Żadnego zakłamania, tylko magia wzajemnego przyciągania połączona z fascynacją.

Podszedłem pewnym krokiem, rozdeptując przypadkiem okulary ze szklami idealnie okrągłymi jak dwie duże monety. Mogły należeć do zawiedzionego miłością kujona, którego uczucia ktoś wyrwał z wnętrza jak kartkę z zeszytu, zgniótł i cisnął byle gdzie. Chrupnęły bezgłośnie. To nic, właściciel na pewno już nie wróci, wyglądały na bardzo stare. Mógł ich tu nie zostawiać.

Wyciągnąłem dłoń. Linia zdrząła pod dotykiem, mną również wzdrygnęło, dostrajając ciało do melodii. Grała we mnie głośno i wyraźnie, w każdej komórce oraz myśli. Zapraszała melodycznie do środka, obiecując ukojenie. Nie zastanawiałem się dłużej, tylko przekroczyłem niewidoczną dla innych granicę, wrota skrywające nieznanne.

Po oślepiającym błysku pociemniało. Światłość przejścia zdarła ze mnie ubrania i buty. Nawet srebrny łańcuszek z komunii został po tamtej stronie. Znalazłem się zupełnie nagi w miejscu ze snów. Cichym, spokojnym i szarym. Otaczały mnie nieskończenie wysokie budynki. Za rzędami okien krył się mrok, a może coś więcej? Na pewno nie byłem tu sam, wyczuwałem obecność takich

jak ja. Porzuconych, odtrąconych, zakochanych nieszczęśników. Wyczułem coś jeszcze. Coś odwiecznego, karmiącego się ludzkim cierpieniem, pożerającego człowieczeństwo od środka. Powoli wysysające z energii, jak pająk wyciąga pożywne soki z owiniętego kokonem upolowanego owada. Bez pośpiechu, do ostatniej kropli.

Melodia ucichła, zamiast niej wrócił ból. W żyłach ponownie popłynął niemiłosiernie palący kwas. Bolało, jak bardzo bolało. Zostałem oszukany. Dałem się zwabić, zwieść. Jeszcze więcej cierpienia, jakby wbijano mi jednocześnie tysiące rozpalonych noży. Do tego doszło uczucie wysysania duszy. Traciłem siebie. Coś zerowało na moim bólu.

Na niebie brakowało słońca, księżyca, gwiazd. Wszystko niknęło w mrocznej mgie skrywającej resztę świata. Szarość wypełniała to miejsce.

Wszedłem do najbliższego budynku. Zapraszał ledwo uchylonymi drzwiami, które uległy po lekkim pchnięciu. Szaro, ale nie ciemno. Ostrożnie stawiałem każdy krok, bez pewności, czy za chwilę podłoga nie rozstąpi się, by pochłonąć mnie w czeluści. Masywne schody wydawały się dwa razy większe, na pewno nie stworzono ich dla ludzi. Kim mogli być mieszkańcy i gdzie się skrywali? Zajrzałem do pierwszego z mieszkań. Puste, bez mebli, z zakurzonym materacem na środku. To samo znalazłem w pozostałych mieszkaniach i budynkach. Nieumeblowane pokoje z miejscem do spania, jak miasteczkowe pustelnie. Mimo to wiedziałem, że nie jestem tu sam.

Widziałem to przecież we snach. Inne pojedyncze postacie skrywały się w szarości. I nie tylko one.

Gdy przechodziłem obok ciemnego lustra, zauważyłem odbicie. Stałem nieruchomo, wpatrując się w szarą, workowatą istotę o obsydianowych oczach. Gdzieniedzie zostały jeszcze inne barwy, ale zdawałem sobie sprawę, że to kwestia krótkiego czasu, zanim i one znikną. Stapałem się z miastem. Chciałem zapłakać, ale nie mogłem.

Szwendałem się i gubiłem, gdyż wszystko było takie samo. Co jakiś czas ktoś przemykał w oddali. Unikali mnie. Domyślałem się, że to właściciele ubrań pozostawionych w masarni. Te puste ulice nigdy nie zapełnią się życiem ani dźwiękiem, co najwyżej wchłoną kolejną zagubioną, cierpiącą duszę.

Tak bardzo chciałbym się stąd wydostać, ale nie mogę znaleźć przejścia między światami. Nie wiem, czy ono w ogóle istnieje. Gubię się w myślach, zaczyna mnie to przerastać.

Czasami widzę siebie po tamtej stronie, śniącego o tym miejscu. Przyglądam się sobie stąd i stamtąd. Próbuje krzyczeć, ostrzec, ale słowa grzęzną w gardle, a ja zastygam na tę chwilę jak kamienna figura i tylko patrzę żałośnie obsydianowymi oczyma. Gdy odzyskuję możliwość ruchu, wiem, że i tak w innym czasie ponownie pójde do koszernej masarni starego Jakuba. Przeżywam to każdego nieistniejącego dnia, zanim odwieczna istota całkowicie wysie ze mnie cały ból razem z duszą i zapomnę, kim jestem.

ADRIAN IWANIAK

DOTARŁEM DO GRANICY POCZYTALNOŚCI, DO MIEJSCA Z CZARNEJ MATERII KOSZMARÓW

Stoję pośród ciemności, na skraju życia i śmierci...

Matowe zasłony na przelotkach skutecznie tłumiły blask promieni słonecznych, próbujących przekraść się ukradkiem do pokoju. W środku panowała absolutna cisza, sporadycznie zakłócana przez gwar tętniącego życiem miasta: ryk samochodów, rozmowy szarych, pozbawionych wyrazu ludzi oraz przytłumione śpiewy ptaków. W innych okolicznościach nawet nie zwróciłbym na to uwagi, lecz teraz...

Przeniosłem wzrok z sufitu na śnieżnobiałe ściany. To zabawne, że ich nieskazitelność kontrastowała z panującym półmrokiem, co idealnie odzwierciedlało moje samopoczucie. Względna racjonalność zachwiana przez

ciemne myśli. Odetchnąłem ciężko. Mózg potrzebował dotlenienia; dusił się nadmiarem szaleństwa, które dzień po dniu zatruwało mnie niczym arszenik. Szaleństwa, na które nie było lekarstwa.

– No cóż, panie Adamie, to całkowicie normalne po takim przeżyciu. – Spokojny, ogołocoony z emocji głos wyrwał mnie z zamyślenia. – Doświadczył pan czegoś, co z pewnością odcisnęło piętno na pana psychice. Nie, nie oznacza to, iż jest z panem coś nie tak. Każdy z nas radzi sobie z problemami inaczej. U jednych może pojawić się całkowite wyparcie, swoisty reset wspomnień, u innych zaś abstrakcja doświadczeń jest tak duża, że umysł przestaje odróżniać jawę od wyobraźni. Zazwyczaj w takich sytuacjach pacjenci widzą coś, czego w rzeczywistości nie ma, lub po prostu interpretują to w błędny sposób.

– Ma pan na myśli halucynacje?

– Halucynacje, świadomy sen, zaburzenia wzrokowo-słuchowe... Jest na to wiele określeń. I biorąc pod uwagę, że to nasze trzecie spotkanie, sądzę, że właśnie w ten sposób pana organizm reaguje na przeżyta traumę. Bądź co bądź jedną stopą był już pan po drugiej stronie.

Z powrotem przeniósłem wzrok na sufit, zachowując obraźliwy komentarz dla siebie. Ten wyedukowany za pieniądze podatników doktorów gównem wiedział, co mnie spotkało.

– Niech mi pan opowie to jeszcze raz.

– Po co?

– Czyż właśnie nie w tym celu pan do mnie przychodzi? Aby wyrzucić z siebie wątpliwości i zapęłnić lukę w pamięci?

Westchnąłem. Nie miałem ochoty wracać do tego myślni, ale w gruncie rzeczy właśnie na tym mi zależało.

– Ech, wciąż niewiele pamiętam z tego dnia. Ostatnie obrazy, które utkwiły mi w głowie, to powrót autem z roboty do domu. Było ciemno, padał deszcz. Wycieraczki ledwie nadały zbierać wodę. Zegar wskazywał chyba dwudziestą pierwszą, może dwudziestą pierwszą dziesięć. Znajdowałem się już w połowie drogi, tuż przed Fajslawicami, tego jestem pewien. Otworzyłem okno, aby zapalić, a potem sięgnąłem po paczkę fajek z fotela pasażera i...

– Mhm. Słucham dalej.

– I obudziłem się w szpitalu. Podobno zjechałem z drogi i uderzyłem w przystanek. A przynajmniej tak ustaliła policja, bo ja niczego takiego nie pamiętam. Nic. Tylko dziura. Czarna, bezgraniczna dziura w pamięci.

– To częsta przypadłość po tego typu przeżyciu. Proszę mi jednak powiedzieć, jak się pan czuł po przebudzeniu?

– Jak wykopany z grobu. Obolały, spuchnięty i zamroczony. Jakbym wybudził się z kilkuletniego snu. Według lekarzy to cud, że wyszedłem z tego żywy, bo w trakcie operacji stanęło mi serce. Nie na długo, minuta czy dwie. Tak mówiła jedna z pielęgniarek.

– I co się stało potem?

– Przecież pan wie.

– Nalegam. To dla pana dobra.

– Potem... Zacząłem to widzieć.

– Proszę mi to opisać. Ze szczegółami.

– Już to robiłem. Wielokrotnie... Ta wizja w ogóle się nie zmieniła.

– Ponownie nalegam.

Dyskretnie zacisnąłem pięści, starając się opanować narastającą frustrację. Każda wizyta polegała na tym samym: na ciągłym powtarzaniu strzępków wspomnień oraz tego, co widywałem w snach. Bez efektów.

– Kiedy zamykam oczy, widzę portal, jakby okno na wszechświat, które przytłacza mnie swoim rozmiarem. Odnoszę wrażenie, że wsysa mnie do środka, pcha w głąb jakieś potężnej siły. Trudno mi to dokładnie zobrazować... Wewnątrz panuje ciemność, ale wyraźnie dostrzegam strukturę pomieszczenia. Jest chropowate, skamieniałe i zimne. Nie dotykam go, ale wiem, że jest zimne. Czuję to! Obserwuję to wszystko gdzieś z daleka, jakbym nie miał wpływu na to, co robię. Jestem tego częścią, a jednocześnie biernym widzem.

– Czy dostrzega pan lub odczuwa coś jeszcze?

– Nie, to wszystko. Później obraz znika i najczęściej budzę się zlany potem.

– Hm... rozumiem.

– Czy możemy skończyć na dziś? Mam już dość wrażeń.

– Naturalnie, jak pan sobie życzy. W takim razie wypiszę panu kolejną dawkę leków. Proszę, tu jest recepta. Opłatę za spotkanie, jak zawsze, proszę uiścić w recepcji.

Po tym, jak zatrzasnąłem za sobą drzwi, zdjąłem buty, powiesiłem klucz na haczyku i wciągnąłem zatęchłe powietrze do płuc. Wreszcie cisza i spokój. Żadnych hałasów, bezsensowych rozmów czy ciągłego trąbienia. Przez puste mieszkanie przebijało się tylko kapanie ciekącego kranu. Już przeszło od dwóch tygodni obiecuję sobie, że go wreszcie naprawię, ale tak samo jak wczoraj i każdego poprzedniego dnia, po prostu zignorowałem jego ciche wołanie o pomoc. Machnąłem ręką, po czym powolnym krokiem skierowałem się do kuchni. Widok zlewu pełnego brudnych naczyń już dawno przestał robić na mnie wrażenie. Podobnie jak walające się po podłodze śmieci.

Posprzątam tu.

Kiedyś.

Na pewno.

Ale nie dziś.

Dziś mam wszystkiego dość.

Silna woła wystarczyła tylko do zalania herbaty, przyrządzenia kanapek z serem i ketchupem oraz zawleczenia chuderlawego cielska do sypialni. Prysznic? Zbędny. I tak

nie miałem w planach już nigdzie wychodzić. Kontakt ze światem ograniczył się do otworzenia okna i wystawienia mordy na powiew świeżego powietrza.

– Xanax... – Spojrzałem na zakupiony po drodze lek, który przepisał mi psychiatra, obróciłem go w dłoniach, a następnie bez entuzjazmu wyrzuciłem do kosza. – Nie zamierzam się truć jakimś syfem. Nie jestem świrem.

Zamiast konsumpcji psychotropów, oparłem brodę o dłoń i omiotłem wzrokiem skąpaną w ciemności okolicę. O tej porze na osiedlu nie było żywej duszy. Jedynie korony drzew kołysały się bezwładnie na wietrze niczym miejscy strażnicy zieleni. W bloku naprzeciwko światło paliło się tylko w jednym mieszkaniu.

Przymknąłem powieki. Nocny chłód koił moje zszargane nerwy, tłumił szalejącą burzę myśli. Mógłbym stać tak przy oknie do rana, chłonąc chwile błogości, lecz coś nie dawało mi spokoju.

Czyjaś obecność oraz wbite we mnie spojrzenie. Złowrogie, przenikliwe.

Nie potrafiłem go zlokalizować, ale czułem, wyraźnie czułem, że nie było przypadkowe. Ktoś mi się przyglądał. Ktoś skryty w ciemności.

Rozejrzałem się po okolicy, ale na tle nocy ujrzałem tylko niewyraźną sylwetkę siedzącą na ławce jakieś trzydzieści metrów dalej. Trudno powiedzieć, czy w ogóle była zwrócona w moją stronę.

Niewiele myśląc, zamknąłem okno, zaciągnąłem żaluzje i rzuciłem się na łóżko, aby uciec do krainy nieświadomości.

– Stary, wszystko z tobą w porządku? Odkąd wróciłeś ze zwolnienia, jesteś jakiś... nieobecny.

Uniosłem wzrok znad sterty papierów i niechętnie się obróciłem.

Tomasz. Już sam widok jego rozpromienionej twarzy przyprawiał o szeroki uśmiech. Zналиśmy się jeszcze z czasów studenckich, a później zawilości życia sprawiły, że wyłądownaliśmy w tej samej robocie. Dobry kolega, trochę zbyt niedojrzały jak na swój wiek, ale przynajmniej dzięki niemu praca w tym miejscu nie była koszmarem.

– Tak, t-tak... Wiesz, to przez te leki. Wciąż jeszcze dochodzę do siebie po wypadku. Tu mnie boli, tam mnie boli, ale jakoś leci.

– Domyślałem się, że te sińce pod oczami to również efekt rekonwalescencji?

– Powiedzmy. Ostatnio po prostu gorzej sypiam.

Tomasz założył ręce na piersi. Chyba cisnął mu się na usta jakiś żart, lecz w porę się powstrzymał.

– Chodź do socjalu, krótka przerwa dobrze ci zrobi. Napijemy się kawki, pogadamy...

Spojrzałem na zegarek. Jedenasta piętnaście.

– W sumie czemu nie. I tak nie mogę się na niczym skupić.

Wstałem od biurka, zablokowałem komputer i powolnym krokiem przeszliśmy do pracowniczej kuchni. Ekspres jak zwykle był w naprawie, więc z nieudawanym rozczarowaniem zalałem czajnik wodą i wsypałem do kubka dwie łyżeczki kawy. Zanim zdążyłem sięgnąć po cukier, Tomasz upewnił się, że w pomieszczeniu znajdowała się tylko nasza dwójka, po czym wypalił:

– No to teraz mów, co się naprawdę dzieje. Z każdym dniem wyglądasz coraz gorzej. Już wczoraj było źle, ale dziś...

– Tomek, co mam ci powiedzieć? To nie jest łatwe, tak po prostu wrócić do codzienności i udawać, że nic się nie stało. Myślałem, że umrę, rozumiesz? Lekarze nie dawali mi szans.

– No, ale żyjesz, prawda? To najważniejsze. Wszyscy się o ciebie martwiliśmy. Nawet dyrektor.

– Tak, ale... Ech, przydałby mi się urlop. Tylko nie na leżance w szpitalu, a taki prawdziwy. Wakacje nad morzem albo w górach. Wiesz, aby odpocząć i naładować baterijki.

– Mhm, znam to. Pamiętam, jak moja Alicja była jeszcze w ciąży. Wtedy to dopiero... – przerwał, gdy drzwi otworzyły się z lekkim trzaskiem, a do środka weszły dwie młode kobiety. Nie znałem ich, ale miały zawieszony na szyjach służbowe identyfikatory, a poza tym żadna nie

była w moim typie. Bez słowa usiadły przy stole, wyciągnęły kanapki i pogрузyły się w rozmowie, całkowicie nas ignorując.

– Ej, kto to? – wyszeptałem do Tomka.

– Magda i Gośka, nowe pracownice. Przyjęli je zaraz po tym, jak wróciłeś. Pierwszy raz je widzisz? Serio? No cóż. Chodź, siądziemy tam dalej, dokończymy rozmowę.

Sięgnąłem po kubek z kawą i bez sprzeciwu ruszyłem za przyjacielem.

– Stary, skoro nie zwracasz uwagi nawet na takie laski, to musi być z tobą naprawdę źle. Może mogę ci jakoś pomóc, co?

– Dziękuję, naprawdę. Poradzę sobie.

– Wiesz, że możesz mi powiedzieć o wszystkim, prawda? Nie znamy się przecież od wczoraj. Pamiętasz, jak na trzecim roku wlepili ci mandat za...

Patrzyłem na Tomka, ale choć jego usta poruszały się dynamicznie, przestałem słyszeć jakiegokolwiek słowa. Dźwięki ucichły, ich miejsce zajął narastający szum. Poczułem, jak nieznama siła wbija mnie w krzesło, a umysł próbuje wyrwać się z ciała. Zamrugąłem. Ogarnął mnie chłód. Nie miałem pojęcia, co się dzieje, ale z jakiegoś powodu byłem nienaturalnie spokojny. Tomek wciąż mówił, a ja po prostu wlepiłem w niego spojrzenie i zastanawiałem się, dlaczego jego ruchy stają się coraz wolniejsze. Spojrzałem na zegarek.

Tik, tak. Tik, tak. Tik...

Wskazówki zwolniły, aż wreszcie całkowicie zastygły.

Zdezorientowany wstałem od stołu, lecz ciało nawet nie drgnęło. Tkwiło wbite w krzesło; sztywne, nieruchome, pozbawione pierwiastka życia. Zrobiłem dwa kroki w tył. Dziwne... Ogarnęło mnie uczucie, jakbym wyrwał się z organicznej powłoki, co na swój sposób było dość przyjemne. Patrzyłem teraz na siebie, na to zgarbione i żalosne ciało. Mogłem je obejść, pomachać samemu sobie przed twarzą, a ono nie reagowało. Utkwiło w czasie, tak samo jak cała przestrzeń. A potem znów poczułem się obserwowany, jak ostatniej nocy. Nerwowo rozejrzałem się po pomieszczeniu, uświadamiając sobie, że kobiety po drugiej stronie kuchni także zastygły w bezruchu, ale ich wzrok... ich ciężkie jak ołów spojrzenia wodziły za mną i niemal przesywały każdą cząstkę mojej astralnej postaci. One mnie widziały!

Poczułem ucisk, gdzieś głęboko w środku.

To nie dzieje się naprawdę...

Nie, nie, nie... Adam, ogarnij się. To tylko halucynacja, tak jak mówił doktor. Weź głęboki wdech, wstrzymaj powietrze i wypuść.

Zamknąłem powieki.

Pragnąłem wrócić do normalności. Gdzieś w odmętach świadomości przekonywałem siebie, że to tylko chwilowa niesprawność mózgu. Zaraz się wybudzę. Na pewno. Lada moment i...

Portal.

Ujrzałem go, gdy tylko na powrót otworzyłem oczy. Stał przede mną w swej całej okazałości. Przyciągał mnie, wabił, a jednocześnie przerażał do szpiku kości. Próbowiałem odwrócić wzrok. Na próżno. Wobec jego potęgi byłem całkowicie bezbronny.

Stoję pośród ciemności, na skraju życia i śmierci. Wpatrzony w bezgraniczną otchłań, w początek i koniec wszelkiego istnienia...

– Halo, Adam, słyszysz mnie? Ocknij się! Co z tobą?!

– Ja... Co... Gdzie?

– Co się stało, do cholery?! Myślałem, że zemdląłeś!

Znów byłem sobą. Wróciłem do szarej rzeczywistości. Do ziemskiej skorupy pełnej słabości oraz zwątpienia.

– Wszystko... wszystko w porządku.

– Dobrze się czujesz? Wezwać pogotowie?

– Nie. Ja... muszę... Muszę już wracać.

– Jak to wracać? Dokąd?!

Bez wdawania się w zbędną retorykę odepchnąłem Tomka, zerwałem się na nogi, po czym wybiegłem z kuchni. Miałem gdzieś, że zrywam się z pracy na oczach szefa. Po prostu gnałem ile sił, aby uciec przed

zdezorientowanym wzrokiem współpracowników oraz postępującym szaleństwem.

Po piątym połączeniu od Tomka po prostu wyciszyłem telefon, zasłoniłem okna i rzuciłem się na łóżko. Miałem dość wszystkiego. Dość ludzi, dość życia, dość bezradności. Choć świadomość, że odchodzę od zmysłów, niemal waliła do drzwi, to i tak nie potrafiłem się do niej przyznać. Owszem, miałem problem. Akurat o tym wiedziałem doskonale. Każdy przecież jakiś ma. Mój polegał na tym, że w losowych miejscach i czasie umysł odłączał się od ciała i przenosił do nieistniejącego miejsca gdzieś poza świadomością, zarówno w snach, jak i na jawie. Całkiem normalne, prawda?

Roztrzęsiony przykryłem się kołdrą po sam czubek głowy. Pragnąłem ukryć się przed całym światem. Nie wiem, co mi się stało. Nie wiem również, jakie będą dalsze konsekwencje. Czy wyląduję u czubków? Czy nieświadomy podniosę na kogoś rękę? A może...

Nawet nie chciałem drążyć tego tematu.

Ignorancja jest czasem najlepszym lekarstwem na wszystko.

Nie będę ukrywał, że wizyty u psychiatry nie dawały żadnych rezultatów, ale przynajmniej mogłem liczyć na natychmiastowe L4. Dwa tygodnie wolnego – tyle

dostałem czasu, by doprowadzić się do porządku. Wystarczył krótki, treściwy telefon.

Istniała tylko jedna trudność.

Za cholerę nie wiedziałem, od czego zacząć...

Mówi się, że prawdziwy samiec alfa zawsze znajdzie rozwiązanie na każdy problem. Cóż, ja nim nie byłem, ale i tak podjąłem próbę. Zadałem więc sobie pytanie, gdzie znajdę wyjaśnienie dręczących mnie wizji?

Odpowiedź nasunęła się sama.

Na szczęście dożyłem czasów, w których wszystko było na wyciągnięcie ręki. Informacje również. Dlatego kiedy doszedłem do względnego spokoju, wygramoliłem się z łóżka, usiadłem przy biurku i odpaliłem komputer.

Ekran monitora zalał mnie tysiącami stron, mniej lub bardziej pożytecznymi. Wśród nich przebijały się wątki astronomiczne, filmiki z pseudoopętania przez demony czy nawet rekrutacja do sekty wyznawców wielkiego przedwiecznego Cthulhu. Słowem podsumowania: nonsens.

Potrzebowałem relacji kogoś, kto przeżył dokładnie to samo, kto widział ten sam portal, czuł te same emocje i nieopisaną moc. Kogoś, kto wie, czym są te wizje i jak się ich pozbyć.

Poszukiwania rozpocząłem od przekopania forów medycznych, na których pacjenci opisywali przeżyte choroby, w szczególności te natury psychicznej. O dziwo, było tego całkiem sporo. Większość wątków omawiała temat halucynacji powstałych w wyniku traumatycznych przeżyć. Mam tu na myśli widzenie zmarłych członków rodziny, personifikacja fobii i tak dalej. Czyli dokładnie to, o czym mówił psychiatra. Ale moje wizje były czymś innym. Przede wszystkim były realne! Wiem, że to miejsce istnieje. Przecież, do cholery, w nim byłem! Nie wymyśliłbym sobie tego!

Musiałem zapalić.

Z forów medycznych przerzuciłem się na te bardziej alternatywne. Tam wątków było zdecydowanie więcej, chociaż nie uśmiechała mi się wizja, że zostałem porwany przez kosmitów, którzy przeteleportowali mnie na swój statek-matkę, a później przeprowadzali eksperymenty. A takich wpisów było naprawdę sporo. Czysta abstrakcja.

Bardziej racjonalne posty znalazłem na pewnej stronie o tematyce duchowej. Szybki research wystarczył, żeby moim oczom ukazało się pięć wątków o zbliżonej wizji do mojej: ciemność, portal, obecność potężnej, trudnej do opisanania siły oraz miejsce poza czasem i przestrzenią. A to wszystko po bliskim kontakcie ze śmiercią. Każdy z postów zawierał dokładny opis tego, czego sam doświadczyłem. Pojawiło się tylko jedno „ale”. Wpisy nie zawierały żadnych komentarzy, a autorzy wątków przedstawiali być aktywni w niedługim czasie po ich publikacji.

Jakby podzielili się ze światem swymi traumami, po czym nagle tracili nimi zainteresowanie albo po prostu znikali. Dziwne.

Miałem już dać sobie spokój z dalszym grzebaniem w necie, kiedy wreszcie po długich poszukiwaniach trafiłem na coś ciekawego. Hipnoterapia. Według zamieszczonych w opisie informacji daje dostęp do tych zasobów ludzkiego umysłu, które są ukryte w normalnym stanie świadomości. Potrafi dotrzeć do najgłębszych zakamarków mózgu, dzięki czemu świetnie sprawdza się w leczeniu zaburzeń psychicznych, stanów lękowych, a także depresji.

Długo nie musiałem się zastanawiać. Zapisałem adres, umówiłem się na wizytę i z dziwną ulgą zgasilem papierosa w popielniczce.

Spośród kilkunastu wywieszonych na ścianach plakatów najbardziej rzucał się w oczy ten obrazujący konsekwencje długotrwałego niedoboru snu. Zaraz za nim plasowała się podobizna człowieka przed i po odstawieniu wyrobów tytoniowych. Choć intrygujące, to ich przeglądanie tylko w niewielkim stopniu zajęło moją uwagę, gdy znużony czekałem na umówioną wizytę u specjalisty. Bardziej zainteresowała mnie sprzątaczką, która od przeszło kwadransa mopowała ten sam kawałek podłogi i ślepo wpatrywała się w sufit, nucąc pod nosem jakąś melodyjkę.

Oprócz mnie w kolejce znajdowali się tylko matka ze stale narzekającym dzieckiem oraz starszy mężczyzna w szarym garniturze. Nie rozmawialiśmy ze sobą. Żadne z nas raczej nie miało na to ochoty.

Po kilku minutach drzwi gabinetu otworzyły się, a z wnętrza pokoju dobiegł spokojny głos:

– Pan Wolski, zapraszam.

Nareszcie. Od ciągłego siedzenia aż zdrętwiały mi nogi, dlatego czym prędzej wstałem, przywitałem się skinieniem głowy i ruszyłem w kierunku gabinetu. Choć czułem na plecach podążające za mną spojrzenia pozostałych oczekujących, jakoś nie odważyłem się z nimi skonfrontować.

– Proszę się położyć i powiedzieć, z czym pan do mnie przychodzi. – Ciepły kobiecy głos nie pasował do surowego wnętrza pomieszczenia.

– Cóż, jakby to powiedzieć... Od jakiegoś czasu zmagam się z pewnymi wizjami. Pojawiają się znienacka, czasem w dzień, czasem we śnie, ale zawsze w tej samej formie. Widzę jakieś dziwne miejsce, portal czy coś w ten deseń. Przeraża mnie. I nie mam pojęcia, dlaczego to się dzieje.

– Od jak dawna doświadczasz takich wizji?

– Będzie przeszło dwa miesiące. Zacząłem je miewać bezpośrednio po wypadku samochodowym i wizycie w szpitalu, więc...

– Mhm, rozumiem. Spróbuję panu pomóc, ale przedtem zadam kilka pytań, abym lepiej pana poznała,

dobrze? Proszę się nie martwić, tu nie ma ani złych, ani dobrych odpowiedzi.

– W porządku.

Przez następny kwadrans odpowiadałem na dość proste, ogólne pytania: gdzie pracuję, jak spędzam wolny czas, jak sobie radzę z emocjami i takie tam. Banaly. Później wykonałem test osobowości i ustaliłem z terapeutką, że przejdziemy na „ty”, abym, jak stwierdziła, poczuł się swobodniej.

Prawdziwa hipnoza zaczęła się od oddechu. Rytm, powtarzany monotonnie przez terapeutkę, był jak wciągający tunel. Wdech. Wydech. Głębiej. Jeszcze głębiej.

– Na początek skoncentruj się na ciężarze swojego ciała... Poczuj, jak głowa staje się przyjemnie ciężka, a ręce i nogi luźno opadają na kanapę. Oddychaj spokojnie... głęboko... z każdym oddechem pozwól sobie odpłynąć.

Faza relaksu trwała około pięciu minut, a przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Wydawało mi się, że ciało wnika w miękką strukturę kanapy, jakby zmieniło swoją budowę – nie składało się już z mięśni i kości, ale z pary wodnej, z czegoś ulotnego.

Gdy umysł całkowicie się wyciszył, skupiłem uwagę na otaczających mnie obrazach.

Nie wiem, w którym momencie spadłem. To nie był sen. To było coś bardziej surowego, bardziej fizycznego – jakby ziemia ustąpiła pode mną. Leciałem, ale powoli, z dziwną świadomością każdej sekundy.

Z początku przepelniał mnie tylko mrok. Taki, jak przy zamkniętych powiekach. Ale potem pojawiła się przestrzeń. Korytarz. Długi, wąski, o ścianach pokrytych dziwną strukturą. Twardą, zimną, skalną... Z trudem stawiałem kroki, miałem przeświadczenie, że brodzę w powietrzu gęstym jak woda. Coś szeptało, coś śledziło moje kroki, ale nie oglądałem się za siebie. Czy to głos terapeutki prowadził mnie w odmętę podświadomości?

Wylądowałem na kamienistej ścieżce. Szarej i wilgotnej. Przede mną stały schody prowadzące w dół. Dziesięć stopni. Policzyłem je. Nie wiem skąd, ale wiedziałem, że muszę zejść.

Po chwili znalazłem się w pomieszczeniu bez okien.

To miejsce ich nie potrzebowało, gdyż samo w sobie było światłem, które nie rzucało cienia, i ciszą, która nie była pusta. Czas płynął tu jak rzeka w snach: raz szybko, raz wolno, czasem wstecz, a czasem całkowicie zastygał.

Czekałem. Nie wiem jak długo, bo „długość” w tym miejscu nie miała sensu. Stałem więc nieruchomo, a jednak czułem, że się poruszam. Jakby moje myśli były pojazdem, a wspomnienia bagażem oddziałującym na duszę.

Obok mnie pojawiła się istota. Nie miała twarzy, lecz jej obecność zdawała się znajoma. Niczym ktoś, kogo znałem przed tysiącami lat.

– Jesteś za wcześnie – stwierdziła, wyciągając do mnie dłonie.

– Co to za miejsce? Gdzie jestem?

– Nie powinno cię tu być. Zawróć.

Zadrzałem, choć po prawdzie umysł wykonał tę czynność za mnie. Podobnie jak ruch w tył. Każdy krok odbijał się echem. Ściany zbliżały się coraz bardziej, niemal wypychały mnie na zewnątrz. A potem nastąpiła cisza. Tak całkowita, że myśli zaczęły brzmieć jak krzyki.

Rozejrzałem się, uświadamiając sobie, że one stały za mną, w okręgu – istoty, których nie mogłem pojąć rozumem. Były jak złamane światło, jak echo myśli. Bładoniebieskie, półprzezroczyste, z oczami bez powiek, w których kryły się pytania, które nie miały prawa zostać zadane.

– Twoja obecność tutaj jest błędem. – Głos rozległ się za mną, bez źródła, bez języka, a jednak zrozumiałe.

Coś z tyłu głowy nakazało mi odejść.

Nie chciałem tego, a jednocześnie nie miałem wyboru.

Nie w sytuacji, gdy mym oczom ukazał się portal. Źródło mych wizji, epicentrum szaleństwa. Przejście do innego świata, do wnętrza istnienia.

Portal zawył. Nie dźwiękiem – intencją. Poczulem, jak przenika mnie jego chłód, jak przesuwa się po mej duszy palcami czystej nicości. Oddałem mu się, pozwoliłem, by wchłonął mnie całego.

Stoję pośród ciemności, na skraju życia i śmierci. Wpatrzony w bezgraniczną otchłań, w początek i koniec wszelkiego istnienia. Oprócz cieni i mroku dostrzegam przestrzeń, gdzie istnieje wszystko i nie ma zupełnie niczego.

Biegłem.

Nie wiem gdzie, nie wiem skąd, ale biegłem. Nie miałem pojęcia, jak znalazłem się na chodniku przy jakiejś śmierdzącej ulicy po drugiej stronie miasta. Wiedziałem tylko, że czym prędzej muszę znaleźć bezpieczne miejsce. Że tu nie jestem bezpieczny.

Ludzie patrzyli na mnie jak na szaleńca, zupełnie tak samo, jak po ostatniej ucieczce z biura. Matki zasłaniały dzieciom oczy, kierowcy zwalniali, by lepiej mi się przyjrzeć. Wśród tych wszystkich żalonych spojrzeń dostrzegłem również te, które wyróżniały się pustką. Błędne, niemal mechaniczne, przesywające duszę.

Oni wiedzieli.

Musieli wiedzieć.

Obserwowali mnie.

Niewiele myśląc, wybiegłem na ulicę i zacząłem machać rękoma.

Opony zapuszczaly, auto przede mną zwolniło.

– Zatrzymaj się! – krzyknąłem, po czym bez skrepowania otworzyłem drzwi i wskoczyłem do środka.

– Panie, co pan...?

– Błagam! Zapłacę każde pieniądze, ale niech mnie pan zabierze do domu! – mówiąc to, sięgnąłem do portfela i rzuciłem na fotel pasażera czterysta złotych.

Kierowca spojrział na mnie zdezorientowany, sięgnął po banknoty, a następnie przełknął głośno ślinę.

– O mały włos pana nie rozjechałem! To jakiś żart?

– Nie, naprawdę! Proszę! Niech pan po prostu jedzie i nie zadaje pytań!

Mężczyzna zacisnął dłonie na kierownicy. Krew odpłynęła mu z twarzy. Chciał chyba coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle. Zamiast tego chrząknął głośno i zamrugał kilkukrotnie.

– Zależy mi na czasie...

– Napadł pan na kogoś czy coś?

– Nie, nic z tych rzeczy. Chcę tylko wrócić do domu, na Mickiewicza. Wie pan, gdzie to jest?

Z pewnością wyglądałem i brzmiałem jak wariat. To oczywiste. Na miejscu kierowcy też miałbym wątpliwości, ale gdy wskazałem na trzymane przez niego pieniądze, westchnął ciężko, schował je do kieszeni, a następnie skinął głową.

– Wiem.

– Świetnie! Na miejscu zapłacę drugie tyle.

Wyraźnie wahał się z odpowiedzią. Zapewne kalkulował w myślach, czy za taką kasę opłaca mu się ryzykować. Na moje szczęście zwyciężyła chciwość.

– Dobrze... Tylko proszę zapiąć pas.

Pierwsze, co zrobiłem po powrocie do domu, to szczelnie zamknąłem drzwi, wziąłem prochy na uspokojenie, a także wylogowałem się z social mediów. Rolety tylko nieznacznie chroniły przed wpływem światła, więc dla lepszego efektu zasłoniłem wszystkie okna kocami. Poświęciłem także bitą godzinę, aby znaleźć ewentualne pluskwy czy mikrokamery ukryte w mieszkaniu, lecz niczego takiego nie odkryłem. W telefonie również nie było podsłuchu.

Odizolowałem się.

Pragnąłem stać się niewidzialny.

Znowu.

Wszystko powtarzało się w błędnym cyklu.

Lęk opuścił mnie dopiero po wzięciu długiego zimnego prysznicu, podczas którego przemyślałem sobie wszystko na spokojnie. To, że mieszało mi się we łbie, było niepodważalne. Podobnie jak fakt, że za sprawą hipnozy przeniosłem się do miejsca z wizji. Byłem tam, chłonałem i czułem energię tego czegoś. Problem w tym, że zamiast otrzymać odpowiedzi, dostałem jeszcze więcej pytań.

Delikatnie odsłoniłem koc w kuchennym oknie. Świat na zewnątrz wydawał się całkowicie obojętny na moją krzywdę. Ludzie spacerowali z psami, pary chodziły za rękę, a dzieci wesoło pokrzykiwały na placu zabaw.

Odetchnąłem. Raz, drugi, trzeci...

Na ławce pod blokiem siedziało dwóch chłopców – ośmio-, może dziewięcioletnich. Jedli lody. Zachowywali się całkowicie normalnie. Do czasu, aż jeden z nich dostrzegł mnie w oknie, uśmiechnął się i pomachał w moim kierunku.

Wycofałem się.

Skryłem w mroku mieszkania jak spłoszona zwierzyna.

Teraz byłem już pewien, że mnie obserwują...

Siedziałem przy stole, dłubiąc łyżką w zimnej zupie, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Nie dzwonek. Nie łomot. Pukanie. Ciche, zdecydowane. Jakby ktoś nie chciał zbudzić sąsiadów, tylko mnie. Zbyt stanowcze, zbyt rytmiczne jak na wizytę dozorczy czy listonosza.

Podniosłem się bezgłośnie, sięgnąłem po nóż leżący obok deski do krojenia, a potem zerknąłem przez wizjer: dwóch mężczyzn w ciemnych kurtkach, spod których wystawały służbowe identyfikatory.

Policja.

W teorii powinienem poczuć ulgę, ale po prawdzie serce przyspieszyło mi jak po podwójnym espresso. Odruchowo zacisnąłem zęby. A może... może to wcale nie była policja. Przecież identyfikatory można podrobić.

Coś było nie tak. Nie słyszałem windy. Nie słyszałem, żeby ktoś wchodził na klatkę.

Przyszli po mnie. Oni wiedzą.

– Pan Adam Wolski? – zapytał jeden z nich, gdy tylko uchyliłem drzwi.

– Tak... – odparłem, ostrożnie trzymając rękę na klamce.

Odznaki błysnęły tylko na sekundę.

– Chcielibyśmy z panem porozmawiać. W sprawie popełnionego wykroczenia.

– Mogę zobaczyć nakaz?

– Nie potrzebujemy nakazu. To tylko rozmowa.

To zawsze zaczyna się od rozmowy. Zanim się obejrzę, wrzucą mnie do bagażnika jakiegoś vana bez okien, z opaską na oczach i masą bezsensownych pytań.

– Nie mam teraz za bardzo możliwości. Ani ochoty.

Policjanci wymienili spojrzenia.

– Panie Adamie... nalegam. Naprawdę warto, żebyśmy pogadali. – Głos był spokojny, wręcz martwy.

Za późno. Podświadomość już przygotowywała się do konfrontacji. Mimowolnie zacząłem szukać wzrokiem drogi ewakuacji. Balkon? Kuchenne okno?

Wyższy z policjantów wsadził stopę między drzwi a próg. Metal zaskrzypiał, zawiasy jęknęły, jakby protestowały. A ja patrzyłem, jak klamka się obraca, powoli i metodycznie. Nie miałem już dokąd uciec.

Mężczyźni weszli bez słowa. Nie mieli kajdanek. Nie mieli notatników. Tylko spojrzenia. Czarne i martwe jak dno studni.

Cofnąłem się. Nóż bezszelestnie schowałem za plecy.

– O co chodzi?

– Panie Adamie. Niech pan przestanie – rzucił jeden z nich. – Pan wie, o co chodzi.

Milczałem. W głowie słyszałem szum, niepokojąco podobny do tego, który ogarniał mnie podczas wizji.

– Jesteśmy tu tylko po to, żeby zadać kilka pytań, nic więcej. To rutynowe czynności, wykonujemy rozkazy.

– Rozkazy? Od kogo? – zapytałem, a lenie odpowiedzieli.

Zamiast tego drugi z policjantów zamknął za sobą drzwi i przeszył mnie wzrokiem tak złowrogim, że odruchowo wykonałem krok w tył i przywarłem do ściany.

– Podobno był pan dzisiaj u specjalisty, prawda? I uciekł pan bez uregulowania płatności.

– Tak... Znaczy nie. Byłem, ale...

– Według świadków podczas ucieczki zaatakował pan pracownicę, która próbowała pana zatrzymać. W wyniku pchnięcia i upadku kobieta doznała urazu głowy.

– Niczego takiego nie pamiętam. To kłamstwa!

Mogłem protestować, ale i tak nie przyniosłoby to żadnego efektu. Zamiast tego po prostu stałem, czując, jak nóż ślizga mi się w dłoni. Trzymałem go mocno. Zbyt mocno.

– To... to nie może być prawda. Czego ode mnie chcecie?!

Mężczyźni patrzyli na mnie z pustką w oczach. Nie mrugali. Nie oddychali. Jak manekiny, które ktoś ożywił i ubrał w ludzką skórę.

Nie wytrzymałem. Coś we mnie pękło.

Krzyknąłem i rzuciłem się na tego niższego. Nóż zatoczył szeroki łuk. Przeciął powietrze, po czym zatrzymał się w szyi, zagłębiony po samą rękkojeść. Policjant chwycił za ranę, upadł, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Drżał, szarpał się, próbował zatamować krwotok. Na próżno. Krew i tak płynęła leniwie, tworząc na podłodze karmazynową kałużę.

Drugi odwrócił się z opóźnieniem, wyraźnie zaskoczony moim zachowaniem. Nie czekałem na jego reakcję. Odepchnąłem go, a następnie puściłem się biegiem w stronę drzwi. Trzask, uderzenie barkiem. Wypadłem na klatkę schodową. Zbiegłem po schodach, pokonując dwa stopnie naraz. Stopy dudniły jak bębny, ich echo roznosiło się po całym bloku.

Parter. Wreszcie.

Wybiegłem na zewnątrz.

Miasto było puste. Żadnych samochodów. Żadnych ludzi. Tylko latarnie uliczne słabo oświetlające chodniki.

Zanim pognałem w głąb uliczek, spojrzałem po raz ostatni za siebie.

Drzwi do klatki stały otwarte, a w ich środku stał mężczyzna w czerni. Przez ułamek sekundy odniosłem wrażenie, że się uśmiecha. Bez ust. Bez twarzy. Ale wyraźnie wpatrzony w moim kierunku.

Mimo iż buty chlupały w błocie, a każdy krok był cięższy od poprzedniego, nie zamierzałem zwalniać. Co rusz rozglądałem się na boki i za siebie, aczkolwiek oprócz własnego cienia nie dostrzegłem nikogo, kto podążałby moim śladem.

Lać zaczęło zaraz po mojej ucieczce z mieszkania, przez co wszystko wokół ociekało wodą i brudem. W oddali szczekał pies, a echo niosło ten dźwięk z niemal złowieszczą wyraźnością.

Musiałem się ukryć, pozostać niezauważonym, aby zyskać trochę czasu.

Zatrzymałem się tylko na moment, by uspokoić oddech. Wzrok mimowolnie uciekł mi na niski budynek o odrapanych ceglanych ścianach.

Hotel.

Stary, zapomniany przez miasto. Okna czarne jak oczy trupa. Bez neonów, bez ludzi. Idealne miejsce dla kogoś, kto chce zniknąć.

Wnętrze przywitało mnie ciszą oraz dusznym zapachem wilgoci i detergentów. Recepcjonistka, starsza kobieta z gazetą i okularami zsuniętymi na koniuszek nosa, uniosła głowę, ale nie zdążyła nic powiedzieć.

– Pokój na jedną noc. Bez pytań.

Rzuciłem banknoty na blat.

Kobieta skinęła, jakby robiła to wcześniej setki razy, i podała mi klucz z ciężką, mosiężną zawieszka.

– Pokój 204. Drugie piętro, ostatnie drzwi po lewej.

Stoję pośród ciemności, na skraju życia i śmierci. Wpatrzony w bezgraniczną otchłań, w początek i koniec wszelkiego istnienia. Oprócz cieni i mroku dostrzegam przestrzeń, gdzie istnieje wszystko i nie ma zupełnie niczego. Nie ma też mnie, gdyż jestem tym, co było... i tym, co dopiero się narodzi.

Pokój był brudny i ciasny, z żółtym światłem sączącym się spod abażuru, jakby ktoś włączył lampę tuż przed moim przybyciem, wiedząc, że lada moment się tu zjawię.

Zatrzasnąłem drzwi i przekręciłem zamek dwa razy. Dla pewności przystawiłem jeszcze krzesło pod klamkę.

Szyby drgały od przejeżdżających samochodów, ściany ledwie utrzymywały konstrukcję w ryzach, ale hotel, choć stary i zapomniany, idealnie nawał się na kryjówkę.

Zdjąłem przemoczoną koszulkę, po czym usiadłem przy łóżku, kuląc kolana do klatki piersiowej. Czas się rozciągał. Próbowalem zamknąć oczy, ale ciemność pod powiekami była gorsza od tej za oknem – tam czaiły się wizje, które dzień po dniu zatruwały mój umysł coraz mocniej, coraz głębiej...

Po godzinie bezsennych myśli sięgnąłem po pilota. Stary telewizor w rogu pokoju syknął, zamrugał i ożył. Migające obrazy, niska jakość, lokalny kanał. Wiadomości.

Mym oczom ukazał się krótko ogolony prezenter w ciemnym, dobrze skrojonym garniturze. Mówił coś o wypadku, o pogodzie, o jakimś pożarze w centrum. Nic, co przykułoby moją uwagę. Miałem już przełączyć kanał, gdy ekran nagle się przyciął. Przez sekundę, może dwie pojawił się biały szum. Potem znów twarz prezentera.

Ale tym razem coś było nie tak.

Jego wzrok był skupiony. Zbyt skupiony.

– Szanowni państwo, a teraz wiadomość z ostatniej chwili. Komenda powiatowa policji w Lublinie informuje o niebezpiecznym przestępcy, który dziś w godzinach wieczornych podczas interwencji zaatakował jednego z funkcjonariuszy ostrym narzędziem, a wcześniej

dokonał brutalnego ataku na pracownicę gabinetu psychoterapii. Jeżeli ktokolwiek z państwa rozpoznaje mężczyznę na zdjęciu, proszony jest o bezzwłoczne powiadomienie najbliższej jednostki policji bądź kontakt pod numerem sto dwanaście. Poszukiwany to trzydziestodwuletni Adam W., cierpiący na zaburzenia psychiczne. Jak wynika z raportu policji, może być uzbrojony i nieobliczalny.

Pilot wypadł mi z dłoni. Serce na moment zastygło, a płuca przestały absorbować tlen.

Nie, nie, nie, nie... To nie może być prawda. Oni po prostu chcą mnie dopaść. Wiedzą o mnie. Wiedzą, że ujrzałem coś, czego nie powinienem. To miejsce, ten obraz... Ten portal.

Nie powinno mnie tam być.

W jednej chwili zalała mnie rozpacz. Chciałem po prostu się zerwać i pobiec w bliżej nieokreślonym kierunku, byle znaleźć się jak najdalej od tego koszmaru.

Zrobiło mi się słabo.

– Myślałeś, że tak łatwo nam uciekniesz? Że wystarczy tani hotel i kilka godzin ciszy? – Prezenter uśmiechnął się bez cienia empatii. – Wiemy o tobie wszystko. Znamy każdy twój ruch. Tym razem nam już nie uciekniesz.

Wstałem powoli, nie odrywając wzroku od ekranu. Czulem, jak zimny pot spływa mi po plecach.

– Nie ma już odwrotu – mówił dalej głos z telewizora. – Nie teraz. Nie po tym, co widziałeś. To był błąd, to nie miało się nigdy zdarzyć. A my nie popełniamy błędów.

Ekran zgasł.

Nastala cisza. Świat wstrzymał oddech.

A ja patrzyłem tylko ślepo przed siebie, przesiąknięty myślą o nieuniknionej śmierci.

Zza okna dobiegał szum deszczu, a ja stałem w łazience, pośród pajęczyn i popękanych kafelek, nie do końca pamiętając, kiedy się tam znalazłem. Potrzebowałem potwierdzenia, że jeszcze istnieję. Że to wciąż ja, że twarz, którą widzę w lustrze, to nie kolejna maska nakładana nocą przez strach.

Odbicie stało naprzeciwko mnie; zmizerniałe, wątłe, z wyraźnymi kroplami potu na czole oraz lękiem w oczach. Patrzyłem na nie. Długo. Zbyt długo.

Myśli samoistnie napływały mi do głowy. Tysiące pytań, żadnych odpowiedzi.

Czy w ogóle żyję? Czy zwariowałem? Czy znalazłem się w symulacji wiecznych koszmarów? Dlaczego wciąż widzę ten obraz, ten pieprzony portal?

Pełen rozpaczony oparłem się rękoma o umywalkę. Wzrok zawiesiłem w odplywie, wyobrażając sobie, że wciąż mnie w swą głębię jak czarna dziura.

Idą po mnie. Czuję to. A dźwięk naciskanej klamki tylko potwierdził moje obawy. Ktoś za nią szarpał, później

walił i kopał w drzwi, ale krzesło bohatersko blokowało dostęp do hotelowego pokoju.

Mieli rację – stąd nie było już dokąd uciec. Zresztą to i tak byłoby tylko granie na czas. Prędzej czy później mnie znajdą. Nie miało znaczenia, kim są i dlaczego to robią. Może to prawdziwi policjanci, agenci z Matrixa albo personifikacja śmierci. Wszystko jedno, skoro rezultat może być tylko jeden.

W tych ostatnich chwilach i tak zostałem tylko ja oraz niedokończony rozdział życia. Księga, której nie będzie dane zakończyć się happy endem. Dlatego z czystym sumieniem spojrzałem w oczy memu obliczu i po prostu się uśmiechnąłem.

A wtedy...

Lustro się otworzyło. Pękło, ale bez dźwięku. Za taflą nie było odbicia. Była otchłań ze łzami szkła sączącymi się po krawędziach. Przestrzeń zbudowana z czarnej materii snów, których nie powinien śnić żaden człowiek. Moje nemezis, mój koniec.

Czas się rozciągnął, a powietrze zgęstniało jak żywica – gęste, lepkie, cuchnące czymś starym i zapomnianym. Znów to widziałem. Znów czułem potęgę jego istnienia.

Portal.

Szeptał do mnie. Kusił, bym wkroczył w jego ramiona. Bym wreszcie skończył to, co zacząłem.

Stoję pośród ciemności, na skraju życia i śmierci. Wpatrzony w bezgraniczną otchłań, w początek i koniec wszelkiego istnienia. Oprócz cieni i mroku dostrzegam przestrzeń, gdzie istnieje wszystko i nie ma zupełnie niczego. Nie ma też mnie, gdyż jestem tym, co było... i tym, co dopiero się narodzi.

Cisza wokół nie jest zwyczajna – to cisza, która coś skrywa.

Czuję chłód. Nie taki zwykły, lecz podświadomy. To chłód, który wpełza pod skórę, do kości, do wspomnień. Jakby cały świat się cofnął o krok, zostawiając mnie samego na granicy, gdzie nie ma już czasu, praw ani życia.

Nie wiem, czy to, co mnie otacza, to świat po śmierci... czy tylko ostatni rozpadający się fragment mojego umysłu.

W głębi coś się porusza. Niewyraźna forma, jak cień zrodzony z innego wymiaru. Nie ma oczu, a jednak wiem, że mnie widzi. Odczuwam ciężar jego spojrzenia, jakby próbowało mnie rozpoznać.

Albo sobie przypomnieć.

Jeden krok naprzód i mogę się od niej uwolnić. Od przeszłości. Od szeptów śmierci. Od udręki, którą noszę jak brzemień.

Ale coś mnie trzyma.

Nie strach. Coś głębszego. Może echo tego, kim byłem, zanim wszystko się rozpadło. Albo ostatnie jęki świadomości.

I tak stoję. Między oddechem a ciszą. Między wszystkim a niczym.

I czekam, aż pochłonie mnie ciemność.

LITANIA SPOD WARSTW PLEŚNI

Dukla.

Miasteczko jak smuga po zgniłej mandarynce. Niby gdzieś w województwie podkarpackim, ale równie dobrze mogło istnieć tylko w koszmarach. Betonowe bloki z odpadającymi balkonami, gdzie w szczelinach żyły koty bez ogonów. Trawniki pokryte śmieciem i pokrzywami. Sklep „Plus” z szyldem wypłowiiałym jak zupa z kostki, a obok zdezelowany salon gier, w którym już tylko jeden automat działał – ten od *Tekkena 3*, wiecznie powtarzający okrzyk „Round one! Fight!”.

To był sierpień, gorący i parny jak wewnątrz plastikowego worka. Słońce nie dawało światła, tylko łuszczyło farbę z murów. Muchy chodziły po szybach, ale nie latały. Pachniało zdechłym psem spod kiosku RUCH i wata cukrową z zeszłego festynu, której nikt nie chciał.

Dla Igiego i Szpaka to był po prostu dzień jak każdy inny. Mieli po szesnaście lat, obaj z tych, co wyglądają na mniej, ale wiedzą więcej, niż powinni. Igi miał łysą głowę ogoloną maszynką, bo ktoś go kiedyś upokorzył

w szkole, uznał więc, że to będzie symbol buntu. Szpaku nosił kurtkę z naszywkami zespołów, których nawet nie słuchał – tylko dlatego, że jego starszy brat powiedział, że tak wyglądają „ci z amerykańskich filmów”.

Leżeli pod mostem na wjeździe do miasta. Tam zawsze była ciemność, nawet w południe. Spali na starym materacu, który Szpaku znalazł w rowie i przeciągnął przez całą miejscowość. Wypchany czymś, co mogło być sianem albo szczurami.

– Widziałeś, jak Rudy rozjebał zająca łomem? – zapytał Igi, dłubiąc w nosie.

– Zająca? To był kot – odparł Szpaku. – Miał obrożę, nie pamiętasz?

Milczeli chwilę. Z góry słyhać było szum ciężarówek i zdezelowanych osobówek. Na słupie przy moście wisiał plakat zaginionej dziewczyny. Kiedyś mieli ją w klasie. Miała na imię Krysia. Zniknęła po tym, jak pojechała z ojcem do szpitala psychiatrycznego w Jarosławiu. Nigdy nie wróciła.

– Ona się nie zgubiła. Ona się po prostu przestała odbijać w lustrach – mruknął Szpaku.

Igi spojrział na niego, jakby nie do końca rozumiał, ale w sumie było mu to obojętne.

Popołudniem poszli pod stare przedszkole. Stało tam opuszczone od powodzi z '97. Teraz wyglądało jak wielki, zgniły żąb wystający z ziemi. Ściany pokryte pleśnią, szyby powybijane, w środku stare zabawki – lalki bez oczu, koń na biegunach z rozdartym pyskiem.

Tam czekała na nich Natalka. Miała blond włosy i strój kąpielowy pod spódnicą. Mówiła, że nosi go na wypadek końca świata, bo wtedy wszystko się topi. Twarz wąska jak klucz francuski, oczy wielkie i nieruchome, jakby oglądała coś, czego nikt inny nie widział.

– Znalazłam język – powiedziała zamiast „cześć”.

– Jaki język?

– Ludzki. Ale taki... mały. Jakby dziecięcy. Leżał pod skrzynką elektryczną.

Przyniosła go w słoiku po ogórkach. Rzeczywiście – język, posiniaczony, z lekko przygryzioną końcówką. Dryfował w jakimś brązowym płynie. Może to był kompot, może formalina, a może po prostu zupa z resztek.

– Czemu go zabrałaś? – zapytał Igi.

– Żeby mówić cudze rzeczy – odpowiedziała. – Może on pamięta, co kiedyś mówił. Może teraz będzie mówił za mnie.

Usiedli w kółku i zaczęli palić te same pety, co zawsze – zebrane z ziemi, rozbebeszone, skręcone z rolki toaletowej. Rozmawiali o dziwnych dźwiękach z lasu, o wędkarzu, który znalazł zdechłe szczury w stawie, o chłopaku z bloku

niedaleko, który przestał mówić po tym, jak zobaczył coś przez lornetkę na wieży widokowej.

Nikt już nie wspominał o szkole. Nikt nie planował, co będzie robić we wrześniu. W Dukli czas nie szedł naprzód, on się zawieszał, jak rzęzenie starego magnetofonu. Tu nie było przyszłości, tylko dziury w asfalcie, a w środku kałuże.

Cegła był największym pojebem w okolicy. Miał dziewiętnaście lat, głębę pokrytą ospą, którą rozdrapywał do krwi. Nie wierzył w Boga, ale czasem rozmawiał z krzyżem na ścianie, mówiąc: „Zejdź tu. No chodź. Zobacz, co zrobiłeś”.

Mieszkał w domku po ciotce, która kiedyś złamała kark w łazience – niby poślizgnęła się na mydle, ale wszyscy mówili, że to nie było mydło, tylko coś, co wyszło z niej samej.

Ten dziwak trzymał w wannie robaki. Całą kolonię. Karmił je surowym mięsem i skórkami z palców. Mówił, że robaki potrafią czytać sny. Że jak je zjesz, to one ci pokazują, co śniłeś, ale od środka.

Pewnego dnia zaprosił Szpaka i Igiego do siebie. Powiedział, że będzie spektakl. Specjalny pokaz. Natalka też przyszła, niosąc słoik z językiem, teraz owiniętym sreberkiem.

Dom Cegły cuchnął. Nie jak melina – jak coś gorszego. Jak zapomniany trup w pustym mieszkaniu, który się rozpuścił. W kuchni na stole leżała martwa kura z wbitym do oka widelcem. Obok talerze z czymś, co przypominało wnętrzności zwierząt.

– To nie jedzenie – powiedział Cegła. – To ofiary.

Zabrał ich do piwnicy. Tam, przy ścianie, stało coś jak telewizor z lat siedemdziesiątych, ale zamiast szkła miał żywy ekran – fragment skóry rozciągnięty na ramie. Drgał i poruszał się, kiedy Cegła przekręcał gałki. Gdy dotknął jednego z robaków i wsadził go do ust, ekran zaczął pokazywać obrazy: dziewczynkę pełznącą przez pokrzywy bez nóg, twarz proboszcza rozsmarowaną po ścianie, śmiejące się manekiny z ludzkimi zębami.

– To nasze sny – powiedział. – Wszystkie sny Dukli. One żyją tu, pod nami. To one rządzą.

Natalka zaczęła się śmiać, aż kaszłała krwią.

Po tamtym wieczorze wszyscy zaczęli mieć problemy. Szpaku przestał spać. Leżał na dachu swojego domu i gapił się w niebo, które było szare nawet w dzień. Igi ciągle słyszał dźwięki, jakby ktoś skrobał od środka jego czaszkę. Natalka zaczęła rozmawiać z językiem. Mówiła, że recytował jej rzeczy, które zgubiła w życiu: „Mama. Tata. Zęby. Kolory. Sens”.

W mieście zaczęły ginąć zwierzęta. Najpierw psy, potem koty, a na końcu szczury. Zostawały po nich tylko powłoki, rozłożone wszędzie jak mapy.

Ludzie zaczęli się zamykać w domach. Nie z powodu pandemii, ale czegoś, co było bardziej pierwotne. *Instynkt. Przetrwanie*. Coś się budziło w kanałach.

Cegła zniknęła. Dom stał pusty. Tylko robaki zostały. I ekran, który teraz włączał się sam.

Nikt niczego nie uratował. Nie było przemiany. Nie było wyjaśnień. Nie było nawet tej taniej puenty, którą opowiadają w filmach o dorastaniu – że coś się kończy, żeby coś się zaczęło. Tu po prostu coś zgniło i wsiąknęło w ziemię.

Szpaku wyjechał w końcu, ale tylko do sąsiedniego miasteczka, do Krosna, gdzie pachniało inaczej, ale gnój był ten sam. Czasem wracał do Dukli tylko po to, żeby posiedzieć pod mostem, sprawdzić, czy ślady dalej leżą tam, gdzie je zostawili. Przynosił puste puszki, wkładał je do rowów, jak znicze.

Igi spalił sobie brwi, próbując przywołać demona z podręcznika, który znalazł na śmietniku – myślał, że odpowie mu na pytania, których nikt już nie zadawał. Od tamtej pory mówił coraz ciszej. Jakby bał się, że słowa mają krawędzie.

Natalka położyła język ze słoika pod swój język. Mówiła już tylko cudzym głosem. Najczęściej cichym, kobiecym, z lekką chrypką. Ale czasem – męskim, tłustym i płaczącym. Innym razem nie mówiła nic, tylko stawała przy ścianie i ruszała ustami jak do pacierza, którego nikt jej nie nauczył.

Dukla pozostała taka, jaka była. Może trochę bardziej pusta. Może mniej. Sklep „Plus” zamknęli po tym, jak ktoś znalazł w zamrażarce ludzką rękę. Automat z *Tekkena* 3 dalej krzyczał – „Round one! Fight!” – ale już nikt nie wkładał do niego monet. Słyszać go było tylko w nocy. Albo w snach.

Ludzie przestali mówić o zniknięciach. Przestali mówić w ogóle, poza tym, co musieli. Nawet dzwony z wieży kościelnej brzmiały jak coś między jękiem a metalicznym rechotem. Ktoś próbował je zdjąć, ale lina pękła, a człowiek za to odpowiedzialny zniknął. Został tylko cień na dachu, jakby się tam wypalił.

I tylko sny rosły. Jak pleśń, jak grzyb, jak coś, co nigdy nie śpi. Czasem, jak się dobrze wsłuchasz, słyszysz je przez kratkę ściekową. Jeśli zbliżysz się za bardzo – one zbliżają się do ciebie.

Niektóre mówią twoim głosem.

Inne – głosem, którego jeszcze nie masz.

I zawsze, gdzieś w tle, słyszać w kółko to samo:

„Round one... Fight”.

MARCIN KARAŚKIEWICZ

BRAMA

Z sentymentem, a czasem z niezbadanym niepokojem wspominam okres dzieciństwa, gdy z matką i wujkiem mieszkałem w kamienicy na Jarmarcznej. Był to czas mieszany; podzielony na dziecięce zabawy, naiwny śmiech i pierwsze zetknięcie z czymś mrocznym, czego nie potrafiłem wtedy zrozumieć i czego nie potrafię pojąć do dzisiaj. Gdy chcę uciec od tamtych wydarzeń, mówię sobie, że był to zbieg okoliczności, zwykły przypadek połączony z bujną wyobraźnią dziecka, ale po chwili wraca do mnie pytanie: a co jeśli nie? Co jeśli naprawdę widziałem ducha?

Przedwojenna kamienica na ulicy Jarmarcznej 3 stała wciśnięta pomiędzy dwie inne, z których każda różniła się wyłącznie detalami. Ceglana fasada miała rdzawy kolor, a balkony mieszkań pierwszego i drugiego piętra z daleka wyglądały jak metalowe klatki dla ptaków albo fikuśne żyrandole zawieszzone pod prostym dachem. Od strony frontowej budynek prezentował się „sentymentalnie”, jak to mawiała moja babcia. Chodziło jej o pewnego rodzaju

romantyczne westchnienie, jakieś ulotne wspomnienie dawnych czasów jej młodości albo nawet dzieciństwa. Przyszła na świat w kamienicy na Jarmarcznej 3 i tu też odeszła. Nie jest to jednak historia o niej.

Budynek liczył sześć mieszkań rozłożonych na dwóch piętrach i poddaszu. Parter zajmował sklep, wtedy spożywczy „Społem”, a dzisiaj, z tego co mi wiadomo, lumpeks. Na lewo od wejścia do sklepu znajdowała się ogromna brama zbita z grubych, poziomych dech. Od ulicy deski przypominały szare, łuszczące się fale nachodzące jedna na drugą, zaś od strony wewnętrznej szew w kształcie litery zet. Niby słaby, a jednak solidnie utrzymujący całą konstrukcję. Wrota parły w górę na cztery metry, kończąc się dopiero pod balkonem mieszkania na pierwszym piętrze. Za nimi znajdował się długi tunel idący pod parzystymi lokalami. Część mieszkańców nazywała go „garażem”, a część, w tym dzieciaki, „bramą”. Była to wymurowana, prostokątna przestrzeń, która prowadziła na klatkę schodową, a dalej do piwnicy. Tunel kończyły wrota z ciężką, metalową zasuwą, wychodzące na podwórze.

Podwórze z oficyną było kamieniste, brudne i przykre. Latem słońce nagrzewało jego kwadratową płytę, zatrzymując wszystko w lepkim bezruchu. Gorące kamienie zdawały się skwierczeć pod stopami, szambo i śmietniki ukryte za wąskimi komórkami eksplodowały smrodem, a my siedzieliśmy na niewielkim, zacienionym przez wrota bramy skrawku ziemi.

Mieszkając tam, czuło się biedę, i chociaż mieszkanie w przedwojennej kamienicy zostawili nam kochani dziadkowie, to nie sposób było nie zauważać pulsującej brzydoty. Ohydą napawały niedopałki papierosów rzucane na schody, tynk odpadający ze ścian bramy oraz klatka schodowa ozdobiona niecenzuralnymi graffiti. Cały ten zlepek był jak cuchnące powietrze, którym nie sposób było oddychać: toksyczny i tłusty. Czasem miałem wrażenie, że to właśnie kamienica i brama, i podwórze, i oficyna zmieniają nas w potwory roznoszące chorobę pleśni jak w filmie *Time Walker*.

Sąsiedztwo w tamtych czasach bywało różne, ale jednak swoje. Dziadkowie, rodzice, moi i pozostałych dzieciaków mieszkali na Jarmarcznej całe życie. Jedno pokolenie odchodziło, aby zrobić miejsce następnemu. Tak działało życie wtedy. Moja babcia pamiętała wesele kobiety spod dwójki, mama chodziła do klasy z jej synem, a ja grałem w Osła z jego dziećmi w bramie. W podwórzu zatrzymywali się pijackowie, którzy pamiętali jeszcze czasy, gdy do sklepu, zamiast po produkty spożywcze, przychodziło się wyłącznie po alkohol. Było to jeszcze przed wojną, o czym często pod koniec swojego życia wspominała mi babcia.

Przyjaźniłem się z Kamilą i Grzesiem mieszkającymi pod dwójką oraz Jackiem z czwórki. Wieku rodzeństwa nie pamiętam, a Jacek był rok młodszy ode mnie i mieszkaliśmy drzwi w drzwi, co już nas zobowiązywało do wspólnych spraw. Obaj nieszczęśliwą sympatią

darzyliśmy sąsiadów z poddasza. Na najwyższym piętrze znajdowały się lokale numer sześć i siedem.

W szóstce, bezpośrednio nad Jackiem, mieszkała staruszka. Była wdową po jakimś przedsiębiorcy. Schodziła po schodach bardzo powoli, brzęcząc kluczami, które zawsze trzymała w kieszeni swojej brudnej spódnicy. Nie były to klucze dzisiejsze, ale wielkie i głośne, spięte na metalowej obręczy. Niejednokrotnie widziałem, jak wracała do domu, jedną ręką przesuwając po poręczy, a drugą (tą z kluczami) po ścianie. Klucze obijały się o siebie, brzęcząc nierówną melodię. Wszystkie były proste, z wyjątkiem jednego ze zdobioną główką. Nie było to jakieś fantazyjne zdobienie. Raczej proste linie krzyżujące się u podstawy, ale było na tyle fikuśne, że przykuwały uwagę. Kiedyś szedłem do góry za tą sąsiadką. Nasza klatka była dosyć wąska i nie dawała możliwości wyprzedzenia nikogo, a więc pozostawało mi iść w odstępie jakichś trzech kroków i przyglądać się pękowi kluczy. Dla zabawy zgadywałem przeznaczenie każdego z nich. Od domu, pokoju, piwniczki, strychu, a nawet toalety. Dodam, że w odróżnieniu od ostatniego piętra w naszych mieszkaniach posiadaliśmy łazienki. Poddasze chodziło do wspólnej ubikacji pomiędzy lokalami sześć i siedem. Naliczyłem pięć kluczy, a ostatni ze zdobieniem pozostał zagadką.

Staruszka sąsiadowała z czteroosobową rodziną: matka, ojciec, dorosły syn i drugi w naszym wieku. Nazywali się Rejtanowie. Adam Rejtan nie był dzieckiem,

z którym ktokolwiek w kamienicy chciał się bawić. Choć mówiono, że ma jedenaście lat, to był znacznie wyższy ode mnie i Grzesia. Był barczysty i mocno zgarbiony. Miał dłuższe, przyzlane do czoła włosy oraz ciemną cerę. Tamtego lata chodził wyłącznie w przetartych spodniach dresowych oraz pasiastej koszulce polo. Czasem podchodził do mnie albo Jacka z jakimś durnym pytaniem.

„Czy widziałeś kiedyś izolatkę?“, spytał kiedyś, a innym razem: „Potrafiłbyś zepchnąć staruchę ze schodów? Jak to zrobisz, to weź na dowód jej klucze”.

Najgorsze było to, że gdy przyczepił się do jakiegoś tematu, to potrafił wałkować go w nieskończoność. To, co początkowo stanowiło ciekawą zagwozdkę, urastało do rangi jakiejś fantastycznej rozprawy. Oczywiście w jego mniemaniu. Dla nas pozostało męczącym monologiem.

I tak z tematu zepchnięcia staruchy i kradzieży jej kluczy Adaś płynnie przeszedł do możliwości otworzenia wrót innego świata za pomocą ozdobnego klucza. Klucz z pewnością pasował do bramy, bo gdzie indziej? Z kolei izolatka, w której żadne z nas nie miało przywileju być, stawała się jakimś dziwnym pomieszczeniem, którego ściany mogą się rozrastać w nieskończoność.

Rejtanowie byli głośni. Awantury i wizyty policji były dla nich szarą codziennością, która doskonale wpisywała się w kamieniczną ohydę. Matka Adasia gdzieś pracowała. Jeśli wychodziłeś z mieszkania o trzeciej, to istniało prawdopodobieństwo, że spotkasz panią Rejtan z młodszym synem wracających z miasta. Wtedy Adaś nie zatrzymywał

cię z głupimi pytaniami. Jak zahipnotyzowany spoglądał na mamę i opowiadał jej jedną ze swoich niestworzonych historii. Jego brat z końcem lata zaczął bardziej przypominać hotelowego gościa, który opuszcza wynajęty pokój tak, aby nie zostać przyłapanym przez wścibskiego recepcjonistę. Był jeszcze ojciec... Nadużywał alkoholu. W chłodne dni siadał pod oknami oficyny, popijając z najtańsze wino, a gdy upał robił się nieznośny, prznosił się do bramy pod same schody.

– Głowa lubi, jak szumi – powiedział kiedyś do mojego wujka.

Pracował gdzie popadło, a jeśli pracy nie było, to włamywał się do piwnic albo osiedlowych sklepików. To był człowiek, którego nie chciało się spotkać na ulicy o żadnej porze, a gdy już go spotykałeś, należało przejść na drugą stronę ulicy albo spuścić wzrok w ziemię i modlić się, aby cię nie zatrzymał. Jeśli zatrzymał, to znaczyło, że coś chciał. Od chcieć do dostać droga była krótka. Jego spojrzenie oznaczało przynależność. Byłeś jego, gdy na ciebie patrzył. Twoja własność była jego, bo uchwycił ją swoim spojrzeniem. Taki to był człowiek. Babcia kazała mi nie rozmawiać z nim pod żadnym pozorem. Nie żebym chciał. Przerazał mnie. Wyglądał znacznie starzej od swojej żony. Miał ciemną, pomarszczoną twarz i rzadkie, siwe włosy zaczesane do tyłu w taki sposób, aby częściowo maskowały łysinę. Pozbawione mięśni chude ramiona zdobiły nieczytelne tatuaże, a kark wizerunek mizernej kobry. Oczy miał wąskie, czarne, a nos haczykowaty i mocno odstający od

kościstej twarzy. Wyglądał, jakby wszystkie ściany kamienicy zaczęły się przesuwać do siebie, ale zamiast zmiażdżyć ciało, pozwoliły mu wchłaniać ich pleśń.

Wtedy przestawałem się zastanawiać, czym było powodowane zaniedbanie Adama.

Pan Rejtan zmarł pod koniec lata i była to śmierć okropna nawet jak na kamienicę na Jarmarcznej. Po jednej z nocnych eskapad wrócił do domu pobity i zakrwawiony. Wyobrażałem sobie, jak wspina się na pierwsze piętro, a potem na drugie, a w końcu upada przed drzwiami na trzecim. Nie, tacy ludzie nie upadają. On zwyczajnie siada, aby odsapnąć chwilę. W głowie szumi, ale to dobrze, bo przecież lubi. Oddycha świszcząco, krew się leje, a on umiera.

Nikt nie chciał mu otworzyć drzwi, a pogotowie odmówiło przyjazdu do pijanego.

To był pierwszy raz, gdy widziałem umierającego człowieka. Wyglądał... zwyczajnie. Leżał oparty o ścianę, z nogami zwisającymi ze schodów. Głowa była odchyłona do tyłu, jakby usiłował resztkami sił odepchnąć zamknięte drzwi.

I nastała cisza. Nie było więcej awantur i przyjazdów policji. Nie było siedzenia w bramie i włamań do piwnicy. Wszystko się skończyło.

Adasia spotkałem kilka tygodni później. Na mój widok przystanął na półpiętrze i z zadowoleniem zaczął szukać czegoś po kieszeniach.

– Zdobyłem klucz do lśniącego świata – oznajmił podekscytowany. – Musiałem zepchnąć staruchę ze schodów.

– Gdzie są te drzwi?

Nie odpowiedział.

– Gdzie są te drzwi? – powtórzyłem.

Ekscytacja ulotniła się z twarzy Adama. Teraz pojawił się na niej grymas niezadowolenia. Czułem, jak jego wzrok przeszywa mnie na wskroś. Jakby właśnie wyjawiał mi największe tajemnice lśniącego świata, a ja we własnej głupocie nie potrafiłem objąć ich rozumem.

Adam wyglądał, jakby pojął wszelką tajemnicę świata i wiedział, że kłamię.

– Brama.

Odruchowo spojrzałem w stronę wyjścia z klatki. Adam wyraźnie pomarkotniał. Schowawszy klucz do kieszeni, zaczął schodzić na dół. Chyba nie widział sensu tracić czasu na kogoś, kto nie rozumie tak prostych rzeczy jak klucz do lśniącego świata.

Będąc już na dole, zatrzymał się i ostatni raz spojrzał w moją stronę.

– Tylko uważaj na to, kogo wpuszczasz – napomniał mnie, znikając za drzwiami.

Starucha jak na zepchniętą ze schodów miała się całkiem nieźle. Spotkałem ją, gdy pomykała po klatce. W kieszeni spódnicy brzęczały klucze. Przez chwilę zastanawiałem się, czy ma wszystkie, czy może jednak ten jeden zaginął, bo ich melodia wydawała się niekompletna. Tego nigdy się nie dowiedziałem, bo Rejtanowie jeszcze tego samego lata wyprowadzili się.

Przyszła jesień. Jeśli się nie mylę, był wczesny listopad. Za oknami szybko robiło się ciemno, a ja wracałem ze szkoły. W bramie panował półmrok. Jedyłą jasność dawała niewielka żarówka zawieszona na tunelowym suficie. Jej blade światło opadało na środek pomieszczenia. Kąty i ściany pozostawały przyciemnione. Rękoma odepchnąłem wielkie drzwi, aby wpuścić możliwe jak najwięcej światła z ulicy. Latarnie skąpo oświetliły niewielki fragment przede mną.

Z niepokojem wszedłem do środka. Bardzo nie chciałem wpaść na jakiegoś pijaczka. Chociaż nie bywali agresywni i nigdy się nie zdarzyło, aby mnie zaczepiali, to mijając ich w bramie, zawsze odczuwałem lekką obawę.

W ciemnym rogu, twarzą do ściany, stał przygarbiony mężczyzna. Podeszedłem do schodów, bacznie obserwując ruchy postaci i próbując skojarzyć wygląd z którymś ze stałych bywalców bramy.

Mężczyzna stał tak blisko ściany, jakby się opierał o nią całym ciałem. Jego zwiotczone ręce poruszały się nieznacznie jak trawa na wietrze. Rzadkie, siwe włosy przykrywały kark i coś, co przypominało siniaka lub bliznę. Dopiero po chwili zrozumiałem, że to wyblakły tatuaż. Kobra pięła się po karku. Jej kołnierz zniknął pod siwymi włosami, a ogon zakręcał na szyi, jakby ją oplatał. Widziałem go wielokrotnie. Zawsze towarzyszyło mu złowieszcze „głowa lubi, jak szumi”. Teraz niemal słyszałem głos ojca Adama. Z początku był cichy jak syk węża, ale narastał z każdą sekundą. W bramie każdy dźwięk staje się donośniejszy.

Oby tylko się nie odwrócił... Niech nie spojrzy. Jeśli spojrzy, to będę jego własnością.

Lęk sparaliżował mnie na nieskończoność. W kolejnej nieskończoności, gdy syk kobry zmieniał się w głos mężczyzny, ruszyłem do drzwi. Długim skokiem wpadłem na klatkę i wtedy zacząłem biec. Z tego wszystkiego pamiętam tylko, że rękę miałem wyciągniętą przed siebie, jakbym chciał dosięgnąć bezpiecznych drzwi mieszkania. Drugą miałem nieco wycofaną, aby w razie czego móc go od siebie odepchnąć.

Nigdy nikomu o tym nie powiedziałem. Minęły lata, a ja czasem wspominam ulicę Jarmarczną, kamienicę, w której zmarł człowiek, bo to był człowiek, nawet jeśli przyszło

mu umrzeć tak, a nie inaczej. Myślę także o postaci z tatuażem. Ze spokojem znajduję racjonalne wyjaśnienie. To był jakiś pijaczek z bardzo podobną, a może nawet taką samą kobrą. To niemożliwe, że spotkałem tamtego dnia ducha.

Nie wiem, co robi Adaś, ale mam nadzieję, że znalazł wyjście z kamienicy. Tak bardzo chciał wierzyć, że jest klucz do lepszego miejsca. Otwiera wrota i wypuszcza go z zatęchłej bramy na prawdziwy świat.

JAREK KLONOWSKI

PUSZKA PANDORY

I.

Podjęto wiele prób wyjaśnienia incydentu, który miał miejsce w lipcu 1934 roku u ujścia rzeki Manuxet nad Atlantykiem. Zastanawiano się, czy było to masowe szaleństwo, mord rytualny, a może po prostu krwawa wendetta miejscowej zdegenerowanej społeczności w następstwie aresztowań po zamieszkach, do których doszło na przełomie 1927 i 1928 roku. Prasa sprzedała swoją wersję, biuro prasowe rządu i społeczni notable zareagowali własną... Ja, w poczynionych odręcznie notatkach, postaram się rzecz uchwycić w możliwie najbardziej obiektywny sposób, nazywając „sprawy” po imieniu. Oczywiście jestem przygotowany na próby zdyskredytowania. Moi lekarze określili stan, w jakim obecnie się znajduję, mianem dość poważnego załamania nerwowego, co kładzie niejaki cień na wiarygodność owych zeznań. Bezpośrednią przyczyną owego stanu nie był pobyt nad Atlantykiem, w okolicy

okrytej złą sławą i praktycznie zapomnianej miejscowości Innsmouth. Przeżyłem prawdziwą żalobę. Spowodowała ją długa choroba, a następnie śmierć mojej młodej żony, Pandory. Doszło do niej na długo przed moją wizytą nad Atlantykiem.

Pandorę poznałem za sprawą bliskich znajomych z Uniwersytetu Miskatonic, państwa Oliwii i Nathaniela Thousandów, którzy przedstawili mi dziewczynę jako tak zwaną „bliźniaczą duszę”, na zorganizowanym przez siebie bankiecie, mającym być zwieńczeniem pozytywnie zakończonego przewodu doktorskiego Nathana. Oboje twierdzili w skrytości serca, że ja i Pandora mamy aż zanadto wiele cech wspólnych. Bardzo liczyli na rozwinięcie się zwykłej znajomości w coś znacznie poważniejszego. Rzadko ulegam podobnym namowom, lecz Pandora była doprawdy nietuzinkową kobietą. Wartą, zdaje się, największych wyrzeczeń ze strony każdego kawalera.

Przyjechała do Ameryki z Bułgarii w poszukiwaniu krewnych, zajmując tymczasowo posadę stenotypistki na miejscowym wydziale języków. Czy mieliśmy aż tyle wspólnego? Ona była drobnej budowy ciała, mnie los obdarzył posturą zawodowego gracza w football, choć Bogiem a prawdą, nigdy nie byłem zwolennikiem wyrabiania sobie tężyzny fizycznej, a pewna niezgrabność zarówno samej postawy, jak i ruchów, a także wspomniany brak zamiłowania do sportu, czyniły mnie wyjątkowo niechętnym, aby rozwijać się w tym kierunku.

Z drugiej strony, Pandora i ja – oboje uchodziliśmy w swoich środowiskach za odludków i mruków, każde z innej przyczyny. Ja raczej za sprawą wrodzonej nieśmiałości charakteru, ona – bardziej bariery językowej wynikającej z twardego bałkańskiego akcentu dostrzegalnego w jej angielskim, niżli braku zwyczajnego uroku osobistego. Dziewczyna przyznała mi się potem, gdy już stopniały między nami pierwsze lody, że i ona dostrzegła jakąś osobliwą wspólność pomiędzy nami. Coś, co z miejsca sprawiło, że poczuła do mnie sympatię i gdyby nas sobie nie przedstawiono, być może sama by podeszła i dokonała stosownego zapoznania. Lecz to, o czym mówiła, miało raczej charakter podobieństwa naszych powierzchowności niżli charakteru i stanowiło moim zdaniem maleńki szczegół, błahostkę, a nie coś, na co warto zwracać uwagę. Przyznaję, przy tak wielkiej różnicy fizycznej muszę się w pewnym sensie zgodzić, że wygląd naszych twarzy mógł, pomimo oczywistych rozbieżności, nasunąć niejednemu obserwatorowi przewrotną myśl, że jesteśmy w jakiś sposób spokrewnieni. A wszystko to za sprawą pojedynczej cechy fizysu, to znaczy szerokiego rozstawu naszych oczu.

Słowa mojej przyszłej żony pochlebiały mi. Zwłaszcza, że nie uszło mojej uwadze powodzenie, którym sama Pandora cieszyła się u innych. Tak, wszyscy byli na swój sposób oczarowani egzotycznym urokiem drobnej, intrygującej Europejki.

Niestety, moje małżeństwo nie należało do szczęśliwych. Pandora cierpiała na nieuleczalne schorzenie już w chwili, gdy się poznaliśmy. Lekarze jeszcze w Europie zdiagnozowali u niej zespół tak zwanego *sclerose en plaques*. To był prawdziwy powód jej obecności na Nowym Łądzie. Wyznała mi ten fakt jeszcze przed zaręczynami, lecz nie powstrzymało to we mnie zapału, co więcej, uznałem, że to zrządzenie losu, abym stał się jej opiekunem i uratował ją od pewnej zguby.

Byłem głupcem. W wyniku słabo znanej, ale postępującej choroby, moja żona przeżyła kolejnych pięć lat naznaczonych męką, a ja cierpiałem wraz z nią, jako że amerykańska medycyna także nie znalazła rozwiązania dla jej problemu. Wszystko, co dostaliśmy, to fałszywe nadzieje i obietnice bez pokrycia kolejnych szarlatanów, które topniały, jedne po drugich, pozostawiając nas sobie oraz nieuchronności okrutnego losu. W pierwszym i drugim roku bardzo się starałem. Czas jednak wszystko odmienia, czyni nas sobie podległymi, wprawia początkową odwagę i zaparcie w całkowitą nietrwałość, załamuje nas i czyni nasze przyrzeczenia zwykłymi słowami na wietrze. W ciągu trzech lat naszego pożycia znacznie zubożyłem na stan Pandory, co po dziś dzień sobie wyrzucam. Byłem, co muszę dodać na swoje usprawiedliwienie, całkowicie bezradny. Nie istniał i nie istnieje lek na pogłębiającą się drętwotę kończyn, bóle odczuwane w kręgosłupie i zawroty głowy osoby chorej na stwardnienie rozsiane. Z czasem dołączyły okresowe konwulsje,

problemy z mową i utrzymaniem równowagi oraz postępująca depresja. Na sam koniec Pandora nie wiedziała już, gdzie się znajduje. Musiałem ją karmić i przebierać. Uskarżała się również na bóle, szczególnie dziwny ucisk w okolicach pachwin. Twierdziła, że przypominają one uczucie, jakby ktoś jej te miejsca nacinał, zadając przy okazji celowy i trudny do przewyciężenia ból. W końcu nie pomagała na niego nawet przepisana w tym celu morfina.

To wtedy też, za sprawą pogłębiających się u Pandory problemów psychicznych, odwróciłem się od spraw żony, zobojętniałem całkowicie, poddając się depresji, począłem szukać czegoś innego, co wypełniłoby mój czas zajęciami nieskupiającymi się na chorobie. Moimi towarzyszami stały się bezsenność i dość osobliwa nadwrażliwość na wszelkiego rodzaju dźwięki, szczególnie te ukradkowe, wydawane przez wszystko, co wydaje jakiegokolwiek odgłosy w nocy. Znajomy psychiatra, który znał także i badał moją małżonkę, dał mi pewnego dnia do zrozumienia, że może być to zespół często występujący u osób, które zajmują się chorymi, i jako taki stanowi dość naturalny syndrom. Potem wspomniał, że muszę się pogodzić z owymi symptomami, z bezsennością i tym, że nie w moich rękach znalazł się los mej żony. Budziłem się jednak dalej w środku nocy, z przeświadczeniem, że słyszę okrzyki chorej, nawołującej mnie z drugiego pomieszczenia.

W końcu poddałem się i zaraz po świętach bożonarodzeniowych 1932 roku zawiozłem Pandorę do kliniki w Bostonie. Już nie powróciła do domu. Przebywała tam, zdana na łaskę doktorów i pielęgniarzy, przez blisko cztery miesiące. W końcu doszło do poddania się także i z jej strony. Powiedziano mi, że ostatniej nocy, nim zmarła w wieku dwudziestu dziewięciu lat, wołała moje imię, nie rozpoznając, gdzie się znajduje. Dopiero z wypisu szpitalnego, a następnie rozmowy, którą odbyłem z jej prowadzącym lekarzem, doktorem Franklinem Owensem, dowiedziałem się, że Pandora nie zmarła naturalnie, tylko targnęła się na swoje życie podczas kąpieli, podcinając sobie żyły w okolicy jednej z pachwin. Użyła w tym celu przyniesionej przez pielęgniarkę żyłki. Wedle słów Owensa w stanie Pandory zwykłe podcięcie sobie żył na nadgarstkach było rzeczą trudną, może być, że niewykonalną. Tym dziwniejszym wydało mi się, że pielęgniarka pozostawiła moją żonę samą, w kąpieli, nie asystując przy zabiegach higienicznych. Cóż, nie dowiem się nigdy tego, co miało naprawdę miejsce, a moje zdanie na temat sądów i postępowań sądowych oraz wrodzona nieśmiałość nie pozwalają mi podjąć czynności prawnych względem placówki i tej młodej, nieszczęsnej kobiety, która w moich oczach dopuściła się w stosunku do zmarłej Pandory co najmniej grzechu zaniedbania.

To było jak przejście przez piekło. Pięć lat postępującego, niemożliwego do zahamowania piekła. Lecz jeszcze przed śmiercią Pandory, zamiast czekać z nią na

nieuniknione, rzuciłem się w wir pracy. Po jej śmierci natomiast wyjechałem na rok do Europy, na stypendium, usiłując nie myśleć o tym, że przyczyniłem się do przedwczesnego zgonu małżonki poprzez swoją bezradność i obojętność. Zająłem się eksperymentami nad nowym rodzajem paliwa i silnikami, które mogłyby to paliwo przetwarzać. Fascynujący projekt, o ile ktoś ma do niego serce. Ja, pomimo początkowego zapału, nie do końca je posiadałem.

Moje problemy ze snem, które zauważyłem u siebie jeszcze w Ameryce, niestety jedynie narosły. Towarzystwo mi chroniczne przemęczenie. Nie potrafiłem się też skupić na żadnej pracy. Po niecałym pół roku opuściłem więc Padwę i cały program stypendialny. Tymczasem do wszystkich moich problemów dołączyło coś jeszcze...

Nikt nie dał wiary w moje zapewnienia sugerujące, że od nocy, podczas której nastąpił zgon Pandory, dostrzegłem w sobie powolną, lecz dość nieuchronną i zagadkową przemianę. Otóż barwa, a następnie także kształt moich oczu, poczęły w niesamowity sposób ulegać przekształceniu. Opadające dotąd w kącikach i dość pospolite niebieskie oczy stały się mocno osadzone, w kształcie migdałów i zielonkawe, rzekłbym, agrestowe w kolorze. Ich melancholijne, powiedziałbym rozmarzone spojrzenie, do złudzenia przypominało zapamiętany przeze mnie wzrok mojej nieodżałowanej Pandory. Nieruchomy i zapatrzony w jakiś nieodgadniony punkt...

Już ten jeden fakt niejednego przyprawiłby o niepokój. Niestety, jako osoba pozbawiona próżniaczej natury, nie dbałem o jakiegokolwiek portrety i nie fotografowałem się. A że mój fizys nigdy nie wzbudzał niczyjej prawdziwej uwagi i raził wprost przeciętnością, nawet moi najbliżsi znajomi nie mogli potwierdzić jednoznacznie okropnej przemiany, która we mnie zaszła.

2.

Artykuł w gazecie „Arkham Advertiser” pokazał mi prodziekan mojego wydziału. Stało się to w jego staroświecko i dość barokowo urządzonej gabinecie. Charles W. Livingsdale był kolegą po fachu i przełożonym. Podstarzały mężczyzna o nieprzyjemnej fizjonomii gnoma, którą podkreślały jedynie podkrążone, taksująco spoglądające na otoczenie oczy. Włosy zaczesywał na jedną stronę, starając się ukryć postępującą łysinę, i nawet w największe upały nosił wydziergane przez równie niesympatyczną w obejściu panią profesorową rozwlekle swetry.

Tak jak większość kolegów, nie przepadałem za profesorem. Był apodyktyczny i trzymał cały wydział w ryzach. Zatwardziały biurokrata bez prawdziwie akademickiej żyłki, nie znosił sprzeciwu ze strony podwładnych, traktując uniwersytet niczym swoje prywatne pole rozgrywek i rosząd. Byli wraz z panią profesorową członkami kościoła Baptistów i oboje mieli dość staroświeckie poglądy na każdy możliwy temat.

I wreszcie, sam profesor był zagorzałym czytelnikiem „Advertisera”, który choć stanowił jedyną gazetę z prawdziwego zdarzenia, jaką wydawano w uniwersyteckim mieście, to miał w niektórych kręgach akademickich reputację zwykłego brukowca. Livingsdale znał jednak pisującego również do kolumny „Enigma Magazine” redaktora naczelnego „Advertisera”, niejakiemu Howarda Rupensteina. Livingsdale prenumerował „Arkham Advertiser” od wielu lat i zmuszał wielu współpracowników i podopiecznych do lektury pisma przy najprzeróżniejszych okazjach. Wszyscy to wiedzieli. W 1931 roku był na przykład w tak żywotny sposób zainteresowany sprawą Waltera Gilmana, że cały wydział zdawał się żyć tylko tym. Nie mogło to pomóc studentowi matematyki, który zmarł kilka miesięcy wcześniej w niewyjaśnionych okolicznościach w domu, w którym mieszkała przed nim słynna wiedźma Keziah Mason.

Odwiedzając jego gabinet celem uzyskania podpisu pod dokumentem zgody na mój urlop dziekański, byłem przygotowany na batalię, choć nie czułem, że posiadam siły, by ją odbyć, a co dopiero wyjść z niej zwycięsko. Livingsdale, po szybkim zlustrowaniu świstka przedstawionego przeze mnie papieru i dość twardym, acz szybkim spojrzeniu w moją stronę, włożył mój wniosek między okładki jakiejś książki. Następnie przyjrzał mi się z dość nieprzyjemnym, zdawało mi się, podstępным uśmiechem i wskazał krzesło naprzeciwko własnego fotela. Następnie wyjął z szuflady złożony w pół, najnowszy numer „Advertisera”.

– Co to?

– Proszę zerknąć na stronę piątą – odparł bez związku, po czym rozparł się wygodnie w fotelu i zajął rozpalaniem fajki.

– Mogę? – Wyciągnąłem z kieszeni marynarki paczkę miękkich papierosów.

– Drogi panie kolego... – odparł z władczym i nieco pogardliwym spojrzeniem, któremu towarzyszył nerwowy uśmieszek. – Nie widziałeś tabliczki? Tu się przecież nie pali.

Schowałem paczkę z powrotem, starając się nie dawać do zrozumienia, co o tym sędzę.

– Czytał pan ten artykuł wcześniej? – zapytał, modulując głos tak, aby zabrzmieć przyjaźnie.

– N... nie... – zawahałem się, usiłując wyprostować gazetę. – Ja... Nie czytuję „Advertisera”. Wolę bostońskie gazety. Po co mi pan...

– Czytaj więc teraz, panie kolego – odparł, nadal z tym lekkim uśmieszkiem błędzącym po nalanej, niesympatycznej twarzy. Wyczułem nacisk i źle tajoną urazę, będącą jak sędzę odpowiedzią na moje wcześniejsze słowa. – Mamy czas, a przynajmniej pan go ma. Strona piąta. Artykuł jest na całą stronę. Wcale się nie dziwię. Jest szalenie interesujący.

– Ale... – usiłowałem się jakoś bronić. – Ja... Podpis...
Panie dziekanie, ja...

– Zaraz to panu podpiszę – odparł z pozornym rozżalaniem, przygryzając ustnik. – Niech pan kolega przeczyta najpierw artykuł.

Westchnąłem, a mój wzrok spoczął na nagłówku.

Statek Widmo!

Dziś, około 20 mil morskich od miasta Arkham w stanie Massachusetts, rybacy dokonali widowiskowego odkrycia – w wodach niedaleko zatoki Innsmouth dostrzegli wynurzający się ponad powierzchnię wody obiekt, który po wstępnych oględzinach okazał się dziobem łodzi podwodnej. Wrak pochodzi prawdopodobnie z czasów Wielkiej Wojny. Łódź jest też prawdopodobnie niemiecka.

– Innsmouth? – Wyjrzałem zza gazety. – Tam, gdzie...

– Innsmouth. – Livingsdale skinął znacząco i uśmiechem, a kiedy już chciałem zatopić oczy w tekście, wyrwało mu się: – Coś pan wie w ogóle na temat projektu Covenant? Czarnej Komnaty? „P” Division?

– Nic. – Wzruszyłem ramionami.

– To tajne projekty rządowe. Niech pan to pamięta, czytając. Covenant składał się z członków departamentu skarbu i marynarki. To oni dokonali rajdu na Innsmouth w 1928. Departament marynarki dostarczył sprzętu i ludzi. Udział brali Secret Service, IRS, BI, Us Marines i straż przybrzeżna. To wtedy się wszystko zaczęło. Czytaj pan.

Lecz nie jest to koniec rewelacji – otóż po zaledwie czterech godzinach od odkrycia okręt uległ przesunięciu w stosunku do swojej pierwotnej pozycji o blisko kilkadziesiąt jardów. W ciągu następnej nocy natomiast wynurzył się niemalże do poziomu komór balastowych, wykorzystywanych do zanurzenia kadłuba łodzi. Stanley Skapis, ekspert z wydziału hydrotechniki Uniwersytetu Miscatonic zauważył, że tzw. „chrapy”, służące do wyprawadzania spalin podczas pływów po powierzchni lub na niewielkich głębokościach, musiały całkiem niedawno pozostawać w użyciu.

Nie podjęto do tej pory prób zmierzających do dostania się do wnętrza łodzi ani nie powiadomiono niemieckiej ambasady. Co dziwne, w ciągu trzech dni, które nastąpiły od wynurzenia, nie było żadnych oznak życia z wnętrza łodzi, co powoduje jeszcze więcej spekulacji na temat pewnych celowych, zdaniem amerykańskich badaczy, działań powodowanych przez załogę okrętu. Wynurzenie łodzi i jej obrót nie mogły być, zdaniem doktora Franka Aberfortha z Miscatonic, skutkiem jakiegokolwiek dryfu. Czyżby początek ataku, który się nie powiódł?

– No, i? – zapytał, gdy dość pośpiesznie doczytywałem ostatnią linijkę. Zerknął na fajkę, która, źle rozpalona, zgasła prawie natychmiast. W spojrzeniu prodziekana dostrzegłem rozdrażnienie.

Oddałem mu gazetę.

– Nie rozumiem, po co...

– Gazeta jest sprzed ponad tygodnia. I wtedy też zostali posłani do Innsmouth kolejni eksperci, dołączając

do będącego już na miejscu Skapisa i Aberfortha. Zna pan Bena Cottona z wydziału hydromechaniki?

– Miałem przyjemność – odparłem nieco niechętnie, nie za sprawą wspomnienia samego Cottona rzecz jasna, bowiem bardzo ceniłem Bena, jako człowieka i jako naukowca. Chodziło mi raczej o absurdalność położenia, w jakim się znalazłem. Czego on, cholera, ode mnie chciał?!

– Cotton i jeszcze dwóch następnych, z wydziału mechaniki, pojechali tam. Wszyscy dołączyli do Skapisa, który był na miejscu pierwszy, przebywał bowiem u rodziny w Kingsport. To on powiadomił uniwersytet i wezwał Aberfortha – odparł rzeczowo Livingsdale, odkładając fajkę i sięgając po rogowe okulary. – Daj to pan – wyciągnął rękę po gazetę, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że czas na lekturę minął. Założył okulary. – Obaj hydromechanicy... przeżyli na miejscu... hmm... coś w rodzaju załamania nerwowego. Najpierw Cotton, potem ten... jak mu tam... Willis? Nie... No, nieważne. Tak jakby to, cholera, zaraźliwe było, czy coś. Co z pozostałymi? Nie wiadomo. Miasto Innsmouth, gdzie się zatrzymali, jest od kilku lat praktycznie odcięte od świata. Nie ma nic. Prądu, łączy telefonicznych, nawet cholernego telegrafu. Skapis, z tego co wiem, wrócił do rodziny do Kingsport. Ci durnie uniemożliwili mi z nim kontakt. Wyobraża pan sobie?!

– Jakoś nie – cmoknąłem.

– Co pan mówisz?! – rzucił zaczepnie.

– Nic. Ci... hydromechanicy... Co to było za załamanie? Oni coś na miejscu zobaczyli?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Ale frapujące to wszystko, nieprawdaz? Trzeci mechanik, doktorant, nie pamiętam nazwiska, powiadomił mnie o wszystkim depeszą z Newbury Port, wczesnym rankiem wczorajszego dnia. Jego zdaniem obaj mężczyźni, Cotton i ten drugi, uciekli. Pozostało na miejscu dwóch ludzi z naszego wydziału. No i Skapis, ten siedzi w Kingsport.

– Zaraz... Powiedział pan, że nasi pracownicy zatrzymali się w Innsmouth? Myślałem, że tam nikt nie mieszka od... kilku lat. Coś chyba pisali... o jakiś aresztowaniach...

– W 1928, tia... Ale żyje tam nadal kilku włóczęgów. Resztę gdzieś powywozili, chyba z powodu... malarii czy czegoś... Na miejscu są już też eksperci z Annapolis. Wie pan, Departament Marynarki. Tak zwane „P” Division.

– No to może lepiej zostawmy to tym całym ekspertom?

– Komu? Marynarce? Tajnym Projektom? Secret Service?

– Aha.

– Zostawmy?!

– Nooo, tak... – zawahałem się. – Sam pan mówił, Innsmouth to jest jakieś wymarłe miasto. I rząd położył na wszystkim łapę. To nie są sprawy dla nas. Poza tym, co to ma właściwie do mnie? Nie specjalizuję się w... żadnych łodziach podwodnych.

– Wiem – odparł z nieprzyjemnym, powiedziałbym, śliskim uśmiechem. – Ale i tak chcę tam pana posłać.

– Ale ja... Ja nie mogę... Ja... przyszedłem tylko po zgodę na urlop. Po podpis. Ja nigdzie się nie wybieram. Potrzebuję odpoczynku, dziekanie. Z dala od wszystkiego. I wszystkich. Niech pan będzie człowiekiem.

Z dala od wszystkich... Zwłaszcza pana – pomyślałem, lecz on zmierzył mnie spoode łba.

– Byłem dla pana człowiekiem od ostatniego roku, kolego – odparł dobitnie. – Nie mam już cierpliwości na pana ciągłe problemy zdrowotne i urlopy. Spóźnia się pan na wykłady, jest wyjątkowo nieobowiązkowy... To się musi skończyć. Tak, albo inaczej. Co pan myśli, że tylko panu umarł ktoś bliski? Jak mój brat poległ w bitwie pod Arras, to pan myśli, że wziąłem sobie wolne?!

– Ja... – usiłowałem zaprotestować, lecz z miejsca wyczułem w jego głosie groźbę. Głos prodziekana unosił się już prawie do krzyku. Zakończył jednak cichym westchnieniem.

– Niech mnie pan posłucha, panie kolego. – Splótł palce na stole, chwytając ponownie fajkę w usta. – Patrzyłem przez palce na to, że rzucił pan sprawy w Europie, choć mogłem wybrać do tego celu jakąś inną, bardziej lojalną i odpowiedzialną osobę z wydziału. Cotton byłby na przykład wniebowzięty. Zawiódł mnie pan na całej linii, no ale oczywiście rozumiejąc pana sytuację, pozwoliłem panu tu wrócić, mimo, że mam w ten sposób o dwa etaty za

dużo. Pora na okazanie wdzięczności za moją wspaniałomyślność, prawda? Za bycie w stosunku do pana, no, tym, co pan powiedział... człowiekiem.

– Ale... Dlaczego akurat ja?

– Bo wszyscy już tam są! – warknął. – Mamy czas urlopów. Skapis jest alkoholikiem, z którym dodatkowo nie mam kontaktu, a Wood i Douglas, o, już pamiętam ich cholerne nazwiska! Obaj to imbecyle, jeden nie potrafi zawiązać drugiemu sznurowadeł. Chodzi o to, żeby tych baranów sprowadzić z powrotem, zanim rozpęta się rozróżba z udziałem marynarki i służb specjalnych.

– Ale... po co mamy się mieszać?! W prasie twierdzą, że Łódź jest niemiecka! To... To grozi międzynarodowym skandalem i jest sprawą rządu.

– Rządu, rządu... Co pan? Wierzysz w to?! To zwykła dziennikarska farsa. Pogoń za sensacją. A może, kto wie – rozmarzył się. – Może to jest próba tuszowania prawdy.

– Prawdy? O czym?

– Że to jest i zawsze był amerykański okręt.

– Jak to?

– No co pan... – Zmierzył mnie karcąco wzrokiem. – Wierzysz pan, że to jest niemiecki U-bot? I co on by tu robił?

– N... nie wiem.

– Okręt, o którym mowa, to tak naprawdę Admiral Kirk, ten sam, który sześć lat temu ostrzelał Diabelską Rafę.

Wstał, obszedł swoje mahoniowe biurko, pochylił się nade mną i poklepał po ramieniu.

– Rozumiem, że wiele pan przeszedł, kolego. Ale pana urlop musi niestety chwilę poczekać. – Nie przestawał klepać.

– Ale jak ja się tam właściwie dostanę? – odparłem mimowolnym tonem pretensji. – Nie mam nawet samochodu.

I na to znalazł rozwiązanie.

– Kursuje autobus.

– Autobus?! – wychrypiałem. – Jak to, kursuje tam autobus?

Kątem oka zarejestrowałem kolejne wzruszenie ramion.

– Sam tego nie rozumiem. Jeździ na linii Arkham–Newburyport i podobno nie zmieniono trasy, choć były jakieś tam plany. Z jakiegoś powodu nie da się inaczej wytyczyć kursu. Autobus nie zatrzymuje się już co prawda w samym Innsmouth, ale przejeżdża bardzo blisko miasta. A jak pan poprosisz kierowcę i poprzysz to półdolarówką, to może cię nawet zawiezie na nieczynny przystanek przy Gillman House. Słuchaj no, Napier. Doprowadź się do czasu jutrzejszego dnia do porządku, bo autobus niedługo odjeżdża i dzisiaj już nie zdążysz.

– Do... porządku? – zawałem się.

– Popatrz pan na siebie. Wyglądasz pan, kolego, jak sto nieszczęść. Spakuj się więc i jedź jutro do Innsmouth. A do twojego urlopu dziekańskiego powrócimy, jak wrócisz. Nie martw się. Machnę ci stosowny podpis, gdzie tylko będziesz chciał.

3.

Miałem wrażenie, że powróciłem do przytomności dopiero po dłuższym spacerze. Znalazłem się naprzeciwko apteki na Church Street. Dzień nie należał do specjalnie ciepłych ani słonecznych, a w dusznym powietrzu czuć było wilgoć zbliżającego się deszczu. Nie wiedziałem, co mi było, ale po wyjściu z biura prodziekana przez chwilę nie byłem sobą.

Po chwili się rozpadało. W ciągu kilku minut mój kapelusz przemienił się w rynnę do spłukiwania deszczu, a marynarka straciła fason, oblewana strugami wody. Na powierzchni kałuż tworzyły się olbrzymie bąble, ja miałem wodę w butach i serdecznie dość wszystkiego. Czemu, zachodziłem w głowę, nie zabrałem z domu parasola? Od rana zanosiło się na opady.

Przytłumiony przez deszcz dźwięk dzwonnicy obwieszczał jakąś bliżej nieokreśloną godzinę. Nie wiem dlaczego, lecz zatrałem poczucie czasu. Miałem nieodparte wrażenie, że to właśnie odgłos dzwonu przywrócił mnie do rzeczywistości. Lecz czy byłem do końca obudzony?

Czułem, jakbym w dalszym ciągu śnił w połowie na jawie. W uszach jeszcze huczał mi głos prodziekana Livingdale'a, przypominający o sezonie urlopowym i wypadkach nad Atlantykiem. „Byłem człowiekiem dostatecznie długo”, rozbrzmiewało mi w głowie. Usiłowałem wyciągnąć z kieszeni marynarki miękką paczkę papierosów. Okazały się jednak do niczego, przemoknięte do cna. Próby wydostania choćby sztuki zakończyły się zmiażdżeniem wszystkich. Szlag by to...

Chwilę później skierowałem się w stronę przystanku autobusowego po drugiej stronie placu. Słyszałem od prodziekana o tym, że autobusem zawiaduje ktoś ze społeczności Innsmouth. Usiłowałem sobie przypomnieć nazwisko... To był niejaki Joe Sergent, małomówny prymityw i kryminalista.

Wehikuł stał tam już, rozklekotany i z zapalonym silnikiem, który wprawiał całą zdezelowaną maszynę w nieznośne i hałaśliwe drgania. Brudne nacieki na całej jego powierzchni, mieszały się z deszczem i umykały do ścieku, tworząc wokół tęczowe kałuże, wskazujące na wyciek ze zbiornika benzyny.

Wrażenie, że jestem jedynie widzem nieznaney mi tragedii, opuściło mnie dopiero po kupieniu biletu. Może stało się to za sprawą efektu, jakie wywarło na mnie cuchnące zgnilizną i rybami wnętrze obscurnego pojazdu, a może aparycja jego kierowcy, którego zezowate spojrzenie nappełniło mnie odrazą tak przemożną i wielką, że cudem tylko powstrzymałem się, żeby nie wysiąść.

Z tyłu też ktoś był. Wypatrzyłem cztery, może nawet z pięć osób. Nieco wyraźniej dostrzegałem jedynie plecy najbliższej siedzącego i chyba kobietę zupełnie z tyłu, ubraną niczym katolicka zakonnica. Na twarzy nosiła coś na kształt wdowiego welonu. Doszły moich uszu osobliwe odgłosy, które rozbrzmiewały raz po raz, przypominając wybuchy bełkotliwej mowy, to znowu złowrogiego syku.

– Staje pan w Innsmouth? – spytałem kierowcę z zawahaniem, a po chwili zaniosłem się głośnym kichaniem.

– Coś panu jest? – zapytał bez zainteresowania, mierząc mnie wylupiastymi oczami.

– Nie, nic – odparłem. – Przemokłem tylko do suchej nitki.

– Parasol się nosi.

– No to jak z tym Innsmouth?

– Panie, toż tam nie ma przystanka – odparł. – W tym pana... Innsmouth. Kilka już lat będzie.

– Ale pan jest z tego miasta, prawda?

– Ja? Człowieku. – Sprawiał wrażenie wystraszonego tak, jakbym go spytał, czy jest seryjnym mordercą. – Jak ja mogę stamtąd być? Toż takiego miasta w ogóle nie ma na mapie.

– Ale słyszałem, że...

– Coś ci się pomyliło, facet – przerwał mi, tym razem natarczywie, a potem zerknął na mnie jeszcze mimochodem i nic już nie dodał. Zamiast tego, nawet bez

wydawania mi reszty, odwrócił swoją łysą, pokrytą liszajem osobliwych blizn i rzadkimi włosami głowę. Dłonie o dziwnie obłych, jakby połączonych z sobą błoną palcach położył na szerokiej kierownicy i nacisnął pedał gazu, cicho pomrukując. Rozległ się syk przewodu hydraulicznego i drzwi zaczęły się zamykać. Wehikuł powoli ruszył. Z trudem utrzymałem się w pionie, a po chwili, w zasadzie zmuszony, usiadłem blisko kierowcy. Spojrzałem do przodu, ponad ramieniem Sergenta, na splekany deszczem świat. Przez pryzmat pomazanej szyby roztaczał się widok na kolonialne budynki Arkham, które mijaliśmy. Nie czułem się komfortowo w mokrym i sklejonym ubraniu, od którego wodą przesiąkało rozklekotane siedzenie i oparcie fotela.

– Ale będzie pan jechał obok dawnego Innsmouth? – usiłowałem wykrzyknąć, ale kierowca nie reagował, mimo że kilkakrotnie powtórzyłem swoje słowa. Poczułem, jak robi mi się gorąco. Fala spowodowanych niepokojem mdłości uderzyła we mnie.

I wtedy to się stało. Poczułem w ustach coś, co mogło być kneblem, a potem, gdy usiłowałem się szarpnąć, z przerażeniem odkryłem, że blokują mnie czyjeś grube, pokryte włosami ramiona, utrzymujące mnie i przyciskające moje mokre ciało do oparcia fotela. Wyrwałem się z ogromną siłą, której nagłość musiała na moment zaskoczyć moich przeciwników, lecz po chwili dopadli do mnie znowu, chyba w jeszcze większej liczebnie sile. Nie miałem szans.

Wierzgnąłem raz jeszcze, zanim z przerażeniem zrozumiałem, że ogarniają mnie ciemności.

Przebudzenie, miałem wrażenie, nastąpiło prawie od razu. Lecz mogło to być jedynie złudzenie, majak, pozbawiony sensu. Okna na zewnątrz stały się o dziwo prawie niewidoczne, czarne, niczym w nocy. Autobus lekko podrygiwał, choć hałas wewnątrz nadal dawał o sobie znać. Czuję, że nie mam w sobie dość mocy i przytomności, żeby wstać, więc oparłem głowę o zagłówek i czekałem na przyływ sił. Zdałem też sobie sprawę z czegoś dziwnego. Moi napastnicy musieli mnie przenieść siedzenie dalej od kierowcy. I tak słyszałem bełkoczącego coś pod nosem Sergenta, lecz dostrzegłem dzielący nas fotel. Mężczyzna powarkiwiał i syczał na przemian, a ja w osłupieniu śledziłem drogę, ledwie widoczną w blasku brudnych reflektorów splukiwanych przez deszcz. Chyba nie było jeszcze po zachodzie słońca, w środku wehikułu panował bowiem półmrok, a nie całkowita ciemność. Ile mogło minąć czasu? Może kilka minut. Albo kilkanaście. Niebo przykryły jednak niosące ulewę chmury. Moje ubranie nadal zdawało się wilgotne, lecz nie powodowało już mokrych plam, odciskających się na fotelu.

Drgnąłem, nasłuchując rozmowy, a właściwie sprzeczki, która wybuchła nagle z tyłu pojazdu. Czy to rozmawiali tamci mężczyźni, którzy mnie wcześniej zaatakowali? Już nie byłem pewny, czy nie straciłem przytomności samoczynnie. To wrażenie zawrotów głowy... W każdym razie byli teraz z tyłu i o czymś zawzięcie

tokowali. Raz po raz ich głosy wznosiły się w krzyk, lecz słów nie rozpoznawałem wcale albo prawie wcale, jakby nie używali angielskiego. Odnosiłem wrażenie, że geometria wewnątrz pojazdu uległa jakiejś osobliwej przemianie, kąty skrzywiały się, dostrzegałem półki i szuflady tam, gdzie nie powinno ich być. Towarzyszyły temu coraz większe i bardziej uświadomione zawroty głowy.

Po dziesięciu minutach walki z tym, żeby nie zwymiotować, mój stan powrócił na szczęście do względnej normy. Niestety w tym samym momencie dostrzegłem kątem oka, że tamci z tyłu, odrywają się od siedzeń. Poczulem ponownie ogarniający mnie niepokój, widząc, jak powoli jeden za drugim wstają, a dwaj pierwsi zaczynają pokonywać odległość dzielącą nas, mnie i tych nieznanomych, w ciasnym korytarzyku stworzonym przez siedzenia. Równowagę utrzymywali jedynie dzięki przetartym zagłówkom. Czasami, gdy podrzucanie stawało się zbyt niebezpieczne, jeden czy drugi przysiadł na chwilę.

– Może lepiej usiądźcie, co, panowie? Niebezpiecznie jest tak się przemieszczać po autobusie, kiedy... – zaproponowałem głośno, lecz mężczyzna pochylił się na to do przodu i położył palec na swoich wargach. Wszyscy, poza kobietą, która została z tyłu, ubrani byli dość bezkształtnie, w coś, co przywodziło na myśl fabryczne kombinezony. Z przerażeniem obróciłem się w stronę kierowcy i zauważyłem, jak Sergent obserwuje nas we wstecznym lusterku i nie reaguje, a jego usta przecina coś na kształt uśmiechu. Byłem więc zdany na siebie.

Nagle przez szyby zajrzało zachodzące słońce, sprawiając, że wszystkie kontury wyostrzyły się złowrogo. Oczy pierwszego z pasażerów, którego za dużą i niezbyt foremną głowę ukrywał kaszkiet, stały się w promieniach słońca jasnoniebieskie. Były rozstawione tak szeroko, że mężczyzna sprawiał wrażenie upośledzonego. Zezowały one z nieogolonej, opuchniętej twarzy, pokrytej łuskami liszaju i innymi okropnymi bliznami, chyba po ospie. Miał tak przeraźliwie żółtą cerę, jakby oplukał sobie czymś twarz.

– Ej, ty, pinglarzu jeden! – zawołał głębokim basem. – Interesują cię ludziska z Innsmouth?!

Z daleka cuchnął mieszaniną ryb, alkoholu i moczu. A może był to odór, który dotyczył wszystkiego tutaj? Mężczyzna zdjął na moment czapkę i opierając się o zagłówek, aby zachować równowagę, przetarł prawie tyse czoło brudną chustką.

– Zadałem ci chyba pytanie, młody! Jesteś federalnym?! Skąd znasz nazwę?! Pytam! Skąd-znasz-nazwę!!!

– O czym pan mówi? – zawahałem się, na co autobus nagle zahamował i runąłem twarzą na znajdujący się przede mną fotel. Mężczyznę także rzuciło do przodu, w moim kierunku. Zaklął podle, przewracając się na siedzenie znajdujące się za mną, i zgiął w pół. Kiedy upadł, jego ciało drgnęło, wyginając się raz jeszcze, tym razem w przeciwną stronę, pod zupełnie nienaturalnym kątem. Rozległa się seria osobliwych dźwięków, trzasków, wizgów i jeszcze innych łoskoczących dźwięków. Brzmiało

to jakby odgłos napinającego się szpagatu. W osłupieniu dostrzegłem, jak z rękawów i nogawek mężczyzny coś się wysypuje, a raczej z głuchym czknięciem wyslizguje. Było to coś czarnego, bezkształtnego i błyszczącego. Na szczęście promienie słońca nie dosięgały do tapicerki pojazdu, aby uchwycić coś więcej ponadto. Moją wyobraźnię za to ożywił w tej samej chwili widok rojów oślizgłych pijawek, czy może robali. Wrzasnąłem, osuwając się raz jeszcze bez sił w omdlenie.

Obudziło mnie silne i dość bezceremonialne cucenie. Stał nade mną Sergent, wymierzając swoją szorstką otwartą dłoń uderzenia. Podobne do łusek chorobowe rany na wierzchu przedziwnie zrośniętej dłoni mężczyzny przejęły mnie obrzydzeniem pomieszanim ze zgrozą. W drugiej ręce mężczyzna trzymał ołówkową latarkę, którą świecił mi raz po raz po oczach.

– Pijany jesteś, facet?! – burknął, łypiąc na mnie swoimi wodnistymi oczyma. Nie słyszałem silnika, a drzwi za plecami kierowcy były otwarte. Poczulem osobliwy, słony i wilgotny zapach powietrza, kojarzący mi się z gnijącą po deszczu trawą. Smród był niemalże złowieszczy. Dało się w nim wyczuć jakąś nutę benzyny i szamba.

– Gdzie tamci?! – Zerwałem się, lecz on tylko parsknął.

– Wysziedli, a bo co?!

– Jak to, wysiedli?! A gdzie my jesteśmy? To jest Newbury Port?

Nie odpowiedział, tylko wlepił we mnie swoje żabie oczy.

– Pan widział, co oni mi zrobili?! – zapytałem ze śladem pretensji w głosie.

Znowu cisza.

– Co pan sobie wyobraża?!

– Nic – odparł cicho, wzruszając potężnymi ramionami. – Osiemnasta poprawka jest nieważna od kilku miesięcy, co nie oznacza, że można w pana stanie wsiadać do autobusu, facet. Dwa razy mi pan zjechałeś i dwa razy musieliśmy pana cucić. Ci ludzie? Pomogli panu za pierwszym razem. Więc nie pierdol mi tu. I nie najeżdżaj mi na nich.

– Pomogli?! – Zmierzyłem Sergenta wzrokiem.

– Utrzymali w pionie, choć się pan wydzieraleś i wierzałeś, jakby ci jakieś kuku robili – odparł niechętnie, a w jego głosie poczułem coś, co z braku lepszego określenia nazwałbym oskarżeniem. Nagle jego głos zmienił się raz jeszcze. – No, ale dobra... Było, minęło... Jedziesz pan dalej, do Newbury, czy wysiadasz tutaj?! Ja pod stary przystanek nie podjadę, droga nieprzejezdna. Musisz pan tu wyskoczyć. No więc? Dalej, nie mam całego dnia – prawie że warknął, przywołując mnie do porządku. Obróciłem się, szukając wzrokiem miejsca na podłodze pojazdu, gdzie wylały się te roje... czegoś, lecz ciemność nie pozwalała na zobaczenie czegokolwiek. Była tam chyba jakaś tłusta plama, ale nie mogłem być pewny.

- Jesteśmy w Innsmouth.
- Innsmouth?
- No pytałeś przecież o to miejsce, co, nie?
- No ale mówił pan...
- To jak?! Nie mam całego dnia, facet.
- Wsiądę – odparłem cicho.
- Nie dosłyszałem.
- Wsiadam! – warknąłem.
- No i co się tak pieklisz?! – Wyciągnął dłonie w obronnym geście. – Wiesz, gdzie drzwi. Miłego, heheh, pobytu.
- A jak ja trafię do motelu?
- Gillman House? Trafisz pan bezbłędnie. To prawie że jedyny budynek w całym mieście, który jeszcze stoi jako tako. Niedaleko rzeki, przy metalowej kładce. Ale nie licz na pokój. Ruderę zabili dechami dawno temu ostatni właściciele.

Kilka minut zajęło mi zebranie się do kupy. Po wybełkotaniu kilku zdawkowych słów przeprosin za swoje zachowanie, które kierowca całkiem zignorował, wpół wysiadłem, wpół wytoczyłem się na zewnątrz. Co ja tu w ogóle robiłem? Jak przez mgłę przypomniałem sobie rozmowę z prodziekanem. Dlaczego nie wróciłem do domu spakować się, tak, jak prodziekan mi radził?

Ostatnie godziny... To było jak wspomnienie jakiegoś osobliwego snu, albo też transu. I w tym właśnie transie wpakowałem się w najbliższy autobus i przyjechałem do wymarłego miasta.

Na szczęście przestało padać, tylko raz po raz słyszałem odgłos zbląkanych, kapiących gdzieś kropli. Za to fetor pozostały po niedawnej ulewie był nie do zniesienia. Uderzył mnie w nozdrza natychmiast. Był to wymieszany zapach gnijącej wody z kałuży, wiszącego w powietrzu ni to dymu, ni to mgły, w którym wyczułem jeszcze inny, mdły swąd, kojarzący mi się z ropą. Rozejrzałem się, dostrzegając wkoło czerniejące skupiska ceglanych ruder, które zapewne były kiedyś jakimiś magazynami. Drogi do nich broniła wdzierająca się wszędzie wysoka trawa. Słyszałem w pobliżu jakiś szum, coś jakby rzeki, ale nigdzie jej nie widziałem, pewnie z powodu pnącej się wszędzie roślinności. Toczone grzybem budynki dokoła nie miały szyb w oknach i były zwarte, w przeciwieństwie do otoczonych pasmami więdnącej trawy i chwastami zabudowań znajdujących w pewnym ode mnie oddaleniu. Kiedy odwróciłem się, by rozejrzeć się dokoła, odkryłem coś osobliwego. Otóż budynki nad samym morzem, przy przystani, obecnie widocznej w zasadzie jedynie jako zamglony różem horyzont, w pewnym momencie urywały się, razem z podłożem i wszystkim innym. Nieliczne, były zaledwie kupą cegieł ze straszącymi pomiędzy nimi słupami, z których ktoś zdjął druty telefoniczne. To tam zapewne zniszczenia dokonały się najbardziej. Podobno

miejsce, określane przez miejscowych Diabelską Rafą, zostało zbombardowane z morza i obecnie już nie istniało. Nic więc dziwnego, że od strony Atlantyku miasto jakby znikało, wyrwane ze swoimi korzeniami. Widziałem jedynie rumowiska, które kiedyś musiały stanowić gęste, zacieśnione skupisko domów. Nie wiem dlaczego, ale po pierwszym rzucie oka starałem się w tamtą stronę już więcej nie patrzeć.

No a bliżej? Stały tam straszące szkielety toczonych przez robactwo wysokich domów. Czasem były całe, może oprócz okien, zachowały się nawet gęsto rozsiane po dziurawych dachach kominy. Było tu kilka budynków, których fasady posiadały dość duże, zamalowane białą farbą lub po prostu zabite przez dechy witryny. Innym razem przeraził mnie fragment ściany z cudem ostałą, drewnianą przybudówką, pokrytą białym, dość osobliwej formy geometrycznym graffiti. Poniżej widniał napis po angielsku, a przynajmniej częściowo po angielsku, „Pomścimy Y’ha-nthlei”. Być może drugi człon napisu został namalowany niestarannie i dlatego nie mogłem go rozczytać, nie wiem. Ściana urywała się nagle, na wysokości podmurówki. Chwilę później natrafiłem na pustą przestrzeń, wyrwaną jakby spomiędzy rzędu innych domów. Tak jakby ktoś na chybił trafił wybierał jedną z kamienic lub dom i przeznaczal ją do rozbiórki, zostawiając w sąsiedztwie inne budynki. Czym się różniły?!

Szedłem dalej, rozglądając czujnie na boki. Spod rumowisk wyzierały czasem podpiwniczenia, wypełnione

połyskującą w półmroku stojącą wodą, pływającymi w niej deskami lub jakimiś szumowinami, które czyniły wodę cuchnącą niczym szambo. Obok sunęła zarośnięta szuwarami rzeka, której szum nadal słyszałem i którą w końcu dostrzegłem nisko w dole, w pokrytym przez wysokie pokrzywy i inne chwasty korycie.

Praktycznie może ze dwa, trzy minięte przeze mnie do tej pory domy nie znajdowały się w całkowitych zgłiszczach. Może natrafiłbym na jeszcze kilka innych, dalej, choć mogłem jedynie zgadywać, w coraz mocniej gęstniejących ciemnościach. Szedłem zatem przed siebie, mijając kolejne pozostałości budynków. Ponad resztkami dachów wisiał jeszcze ostatek ledwo wyzierającego poprzez chmury złotawego słońca, igrającego w nielicznych szybkach żebrowanych okien, które jakimś cudem nie zostały rozbite w wyniku tego, co się tu dokonało przed laty. Tylko dzięki światłu, chorobliwemu i niezdrowo połyskującemu, cokolwiek jeszcze widziałem. Miałem wrażenie, że to miejsce jest nie tylko opuszczone, ale i wszystko, nawet słońce tutaj, dotknęła jakaś osobliwa i nieznaną mi choroba. Budynki przypominały mi kikuty nagrobków, które ktoś zapomniał zrównać z ziemią. Oczekiwały zatem najgorszego i istniały, dając ponure świadectwo o mieszkańcach, których zabrano pewnej nocy w jakieś tajemnicze miejsce, do jakiegoś aresztu, a może obozu koncentracyjnego, i tam pozbyto się ich, stracono albo zapomniano o ich nieszczęsnym istnieniu.

Tak, słyszałem od jakiegoś znajomego komunisty z uniwersytetu, że to było podobno ludobójstwo. Słyszałem też dużo pogłosek o aresztowaniach, przetrzymywaniu wbrew woli, obozach koncentracyjnych. Oficjalnie władze się wszystkiego wypierały, twierdząc, że mieszkańców Innsmouth przesiedlono. Inni twierdzili, że podobno rządziła w tym mieście jakaś szajka bimbrowników i to od nich się zaczęło oraz na nich skończyło, ale należało w to wątpić. Inna jeszcze plotka głosiła, że to byli cudzoziemcy, jacyś Żydzi czy może jeszcze inna, żyjąca niczym zwierzęta w stadzie komuna cudzoziemców. Że to nie byli prawdziwi Amerykanie.

Po zrobieniu paru kroków wdepnąłem w wypełnioną przez stojącą wodę przerwę w bruku i zakląłem donośnie na myśl o tym, że nie mam z sobą latarki i za chwilę czeka mnie skręcenie karku. Jedynie benzynowa zapalniczka mogła mi pomóc oświetlić drogę. O ile nie zamokła, pomyślałem, a potem stanąłem, zaczynając przetrząsać kieszenie. Takich dziur, jak ostatnia w którą wpadłem, mogło być tutaj całe skupisko. Po chwili poszukiwań, a następnie wahania, podjąłem próby wzniecenia ognia. Na szczęście za trzecim razem pojawił się płomień. Zgodnie z tym, co zgadywałem, całą ulicę pokrywały rozpadliny pełne gruzu, odłamków szkła, a po deszczu także i stojącej, cuchnącej zgnilizną wody. *To o tym mówił Sergeant* – pomyślałem, gdy ujrzałem okrągły, otoczony rudarami plac i skraj jakiegoś wysokiego, masywnego budynku, który skojarzył mi się z miejsca z ceglany

zabudowaniem akademika na Uniwersytecie Miscatonic, pomimo że ten przed moimi oczami wydał mi się nieco bardziej obskurny. Podszedłem do niego i stanąłem jak wryty, na parterze bowiem rozbłysło w tej chwili światło. Drzwi ozdabiał, zdaje się, jakiś podniszczony drewniany szyld, z literami niewidocznymi jednak nawet w brudnym świetle padającym na ich zarys, z tego nagle tajemniczo rozjaśnionego światłem okna na parterze.

Lampa naftowa? Blask wcale nie sprawiał wrażenia jątrzącego, migoczącego. Zamiast tego rozcinał jednolitą, smolistą ciemność ściany swoją żółtawą, mocną, elektryczną poświatą. Co? Prąd? To dziwne, że był tu jakikolwiek prąd, pomyślałem. Może ktoś tu jednak mieszkał. I miał w dodatku własną prądnicę.

4.

Kiedy tak stałem naprzeciw budynku, który musiał być z całą pewnością motelem Gillman House, słońce ukryło się całkiem pomiędzy tym, co pozostało z domów w Innsmouth. Szybko zapadł niemalże zupełny zmrok. W dodatku poparzyłem się od trzymanej za długo w rękę zapalniczki, a za drugim razem, gdy podjąłem próbę skrzesaania ognia, zabrakło już w niej paliwa. Zbliżyłem się do drzwi, osłaniając usta chusteczką z powodu złowieszczej mieszaniny jodu, smrodu ryb i czegoś oleistego; nijak nie potrafiłem się przyzwyczaić do panującego tutaj odoru. Drzwi były zamknięte, a stukotanie do nich nie

pomagało. Jedyne co, jak sędzę, osiągnąłem, to zgaśnięcie światła widocznego od kilku chwil w parterowym oknie. Przez kilka minut usiłowałem jeszcze wołać w kierunku tajemniczego mieszkańca motelu, lecz bez widocznego efektu. Pukanie w zakratowaną szybę też nie pomogło. Spojrzałem na podrygujący w słabym wietrze szyld. Był niemalże zatarty, lecz po chwili przypatrywania i wyęźniania wzroku odkryłem, że musiał kiedyś przedstawiać rybaka w żółtym, przeciwdeszczowym palcie i charakterystycznym kapeluszu rybackim z szerokim rondem o tej samej barwie. Twarz rybaka jednak, podobnie jak litery, zamazała się z biegiem lat, sprawiając wrażenie potwornej i pełnej krótkich, ale włochatych pajęczych odnóży, a może po prostu macek.

Moje zabiegi zmierzające w kierunku dostania się do środka spełzły zatem na niczym i powiększyły tylko odczuwany wcześniej niepokój. Nie miałem również dużej ochoty pozostawać na pustym placu, z niewiadomych bowiem przyczyn zacząłem odczuwać wrażenie bycia obserwowanym z okien. Zupełnie jakby ktoś mnie bezustannie z nich śledził. Ogarniać zaczęło mnie uczucie nieodpartej grozy. Myślałem o ostatnich chwilach, gdy szedłem tak, odsłonięty, ulicą, rozjaśniając sobie drogę światłem mojej zapalniczki. Można mnie było wtedy ujrzeć wyraźnie z każdego okna w mieście.

To wtedy właśnie sam zauważyłem światła bijące gdzieś za mną, z ciemności. To były dwa białe, przemieszczające się punkty, przyzywające mnie niczym zbiega

od strony zatoki. Co dziwne, poruszały się, przesuwwały, raz po raz znikając, żeby po chwili na nowo rozbłysnąć. Długo nie rozmyślając, jako że sytuacja moja była dość alarmująca, ruszyłem ostrożnie wzdłuż fasad domów, kierując się w stronę miejsca, które musiało być kiedyś nabrzeżem, a z którego rozbłyskiwały dziwne, wędrujące światła. W razie czego byłem gotowy ukryć się w jednym z zaułków. Raz jeszcze przeszło mi przez myśl, jakim szaleństwem był przyjazd tu bez widocznego planu. Zupełnie jakby miejsce to przywoływało mnie w takim samym stopniu, jak te szalone, przemieszczające się punkty światła wabiły mój wzrok.

Nie wiem, jak długo skradałem się, klucząc między ulicami, nad którymi pochylały się pozostałości po fasadach domów. Pomimo wyczerpania wzroku dostrzegałem naprawdę niewiele, często niemalże wymacując drogę wkoło siebie. Powitałem z ulgą znajomy blask reflektora, który padł na mnie, gdy zza zakrętu wyłonił się z głośnym warkotem pojazd o długiej masce, z masywnymi, okrągłymi światłami. Atrapa chłodnicy drżała odgłosem silnika. Na początku uznałem, że to Joe Sergent wrócił po mnie, ale po szybkim zlustrowaniu maszyny odrzuciłem tę myśl. Prawy reflektor przeszywał mnie swoim ostrym blaskiem, które padało na ścianę pokrytą przypominającym geometryczną formę malowidłem. To musiała być jakaś półciężarówka. Rozległ się łoskot zatrzas kiwanych drzwi, chwilę po tym jak z szoferki po stronie pasażera ktoś wysiadł.

– Kim pan do cholery jest? – usłyszałem silny, jankeski głos.

Mężczyzna z całą pewnością miał na głowie wojskowy hełm i chyba szary mundur. Drugi siedział nadal za kierownicą półciągarówki i mierzył mnie ponuro wzrokiem, raz po raz pociągając ustami papierosa.

– Co pan tu robi? – ponowił pytanie obcy.

Kierowca w końcu także wysiadł po swojej stronie. Odnosiłem nieodparte wrażenie, że nie mógł się doczekać mojej odpowiedzi. Obaj zachowywali się dość nerwowo, jakby byli na polu bitwy, a nie środku pustostanu.

– Charles Napier. Jestem... z uniwersytetu.

– Nie powinno pana tu być, panie Napier z uniwersytetu.

– Mi to pan mówisz?

Kierowca wyrzucił niedopałek, a potem sięgnął po kolejny papieros. Ukrył go w dłoniach, odpalając zapalniczką. Dłonie mu się trzęsły, a wzrok latał na wszystkie strony, jakby spodziewał się zewsząd ataku.

– Jesteście żołnierzami?

– Patrzcie, jaki spostrzegawczy. Brawo, Holmesie. Tia. Zabezpieczamy teren. Sierżant Burns. Miło mi – odparł, choć dzielące nas metry i maska pojazdu uniemożliwiały uściśnięcie dłoni. No i nadal ich twarze były prawie niewidoczne, a moje oczy atakowało ostre światło reflektora.

– Zabezpieczacie?

– Odesłaliśmy tych frajerów z uniwerku – odparł, przeciągając słowa. – Za przeproszeniem, panie Napier. Wszystkich odstawiliśmy na pociąg, do Newbury Port. Pana z nimi nie było, prawda, Napier?

– Przyjechałem dziś.

– Przyjechał pan? Czym? Rowerem?

– Autobusem linii Arkham–Newbury.

Miałem wrażenie, że w głosie mężczyzny słyszę napięcie.

– Powinniśmy o nim zameldować, sierżancie. To jakiś wariat, na pierwszy rzut oka widać.

– Jasne, Stockinger – odparł Burns. – Niech pan wsiada, Napier. Podwieziemy pana. Sorry za Stockingera. Sam pan widzisz. Kłębek nerwów.

Z wahaniem zbliżyłem się do dwóch żołnierzy. Kierowca wyrzucił kolejny niedopalek, nie gasząc go, podczas gdy sierżant poczekał, żeby przepuścić mnie przed sobą do szoferki.

– Co tu się właściwie dzieje? – zapytałem, wsiadając.

– To... ten tego, ściśle tajne – odparł pod nosem sierżant.

Całą drogę milczeli, może z wyjątkiem pogwizdującego coś nerwowo pod nosem kierowcy. Półciężarówka objechała zjazd w stronę ruin zakończonych urwiskiem i runęła w stronę bardziej łagodnej linii brzegowej biegnącej pod miastem. Po chwili wjechaliśmy w piaszczystą drogę

wyznaczoną przez pozbawione drutów słupy i kikuty podmurówek, wyzierające z białego jak śnieg piasku. Czynił on okolicę nieco bardziej widoczną, a przynajmniej powodował takie złudzenie. W ciemności nie sposób było bowiem zobaczyć cokolwiek, choćby i twarzy moich towarzyszy, za to piasek wydawał się mimo wszystko jaśnieć. Sierżant zawzięcie, można by nawet powiedzieć, że nerwowo żuł gumę, co wnioskowałem po charakterystycznych, mlaszczących odgłosach i ruchu jego szczęki.

Po mniej więcej pół godzinie dojechaliśmy w końcu do obozowiska. Zarejestrowałem namioty z przypiętymi do nich kagankami latarni, zasilanymi z pewnością prądnicą. Oświetlały również kilka stojących dalej szop, a raczej prymitywnych baraków. Nie dojechaliśmy do pierwszego namiotu, gdy samochód stanął na moment, a kierowca nie gasząc silnika, wyjrzał przez rozsuniętą szybę. Dopiero wtedy wyłowiłem w mroku po obu stronach półciężarówki kilka męskich sylwetek. Rozległ się twardy, angielski głos, nawołujący coś niewyraźnie. Żołnierze ze środka samochodu zamienili parę słów z dwoma kolegami stojącymi najbliżej szyby kierowcy. Usłyszałem tylko „kapitan Simms” i „cywil”, reszta utonęła w odgłosie jednostajnego szumu, z pewnością łoskotu morza. Wszyscy żołnierze stojący na zewnątrz mieli na sobie przeciwdeszczowe palta i karabiny przy boku.

Dostrzegłem za ich plecami coś jeszcze. Był to znajdujący się w pewnym oddaleniu od namiotów i baraków, osobliwy i podłużny kształt, pokryty w dużej części

materiałem przyczepionym masywnymi śledziami do piaszczystego podłoża. Płachta przydawała się, bowiem wraz z wichrem znad morza powróciły opady silnego deszczu. Jej fragmenty unosiły się czasami, furkocząc na wietrze, jakby miały zamiar za chwilę się zerwać i odlecieć.

– To jest ta... łódź? – zapytałem, śledząc wzrokiem, gdy przejeżdżaliśmy obok, jakieś sylwetki stojące wyprostowane obok długiego kształtu. Czyżby kolejni wartownicy? Ale po co ich aż tylu? Naliczyłem z dziesięć osób.

– Proszę się tym nie interesować – rzekł sucho Burns.

– Co tu w ogóle robi armia?

– Mówiłem już – odparł. – Ściśle, kutwa, tajne. Siedź facet cicho, bo ci skujemy ręce i garnek. Stockinger, jedź prosto do szefa.

Kierowca nic nie powiedział, tylko zatoczył łuk i żłobiąc grube koleiny, zajechał w kierunku słabo oświetlonego baraku.

Poprowadzono mnie tam, nie pytając o zdanie i trzymając za ramiona, jakbym był więźniem. W tle szumiało coraz donośniej morze, którego silny łoskot przypominał mi oddech jakiegoś wielkiego, zrywającego się z łańcucha zwierzęcia.

– Panowie, spokojnie... – usiłowałem protestować.

– Uważaj frajerze na głowę – usłyszałem od któregoś z nich w odpowiedzi.

Sądząc po dość silnym zapachu benzyny, a przede wszystkim rumorze, to właśnie w tym baraku mieścił się

jakiś akumulator. Zreflektowałem się, że dołem puszczone jakieś kable i muszę patrzeć pod nogi. Pomieszczenie przedzielone zostało dyktą na kilka osobnych, z których część pokrywały maty z linoleum, część piasek. W jednym z takich boksów dostrzegłem rozświetlony metalową lampą biurkową prosty, składany stolik, a na nim kilka urządzeń, w tym ogromny, wyglądający jak pancerna skrzynia kształt. Była to chyba radiostacja, sądząc z widoku spoconego żołnierza, pochylonego nad blatem i tą maszyną. Mężczyzna siedział na składanym stołku, w ogromnych słuchawkami na uszach i był odcięty od całego świata, nasłuchując czegoś, to znów stukocząc nerwowo palcem wskazującym w klawisz przypominający przycisk w maszynie do pisania. Mężczyzna nadawał pewnie sygnał Morse'a i nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. W tle rozlegał się od czasu do czasu cichy, jednostajny szum, pochodzący z jego słuchawek.

– Co pan tu robi? – odwrócił się ku mnie wysoki, tyczkowaty mężczyzna, pochylony do tej pory nad innym stolikiem, na którym leżały mapy. Miał ospowatą cerę, wyglądającą jeszcze bardziej niezdrowo w żółtawym świetle podwieszanej do sufitu lampy w prostokątnym, zbrojonym siatką kloszu. Miał żywe, przyjaźnie patrzące ciemne oczy, lecz wydawał się mi dziwnie spięty, żeby nie powiedzieć wystraszonego. Wyglądał jak ktoś, kto rozpaczliwie potrzebuje kawy lub snu. Lub obu. – Kto pana przysłał?

– Ja... Z uniwersyt...

– Okay – odparł, luzując krawat i odpinając guzik oliwkowej koszuli. – Jeszcze jeden.

– A gdzie są moi koledzy? Wood? Douglas? Są w innym namiocie?

Mężczyzna wymienił spojrzenia z Burnsem.

– Ile on wie?

– Nic, kapitanie. Co mu miałem mówić?

Za jego plecami dostrzegłem drugiego łącznościowca w chwili, gdy zaczął tłuc wściekle słuchawką w stację.

– Co jest, Oakley? – zwrócił się do niego kapitan.

– Znowu to samo. – Mężczyzna obrócił się na składanym krześle. Twarz miał bladą i umytą przez pot.

– Cholera. – Kapitan mimochodem zmierzył mnie wzrokiem, zdając sprawę z tego, że nie powinien tracić przy mnie panowania nad sobą. – Mamy tu... sytuację awaryjną, panie...

– Napier. – Wyciągnąłem rękę, ale kapitan ją zignorował.

– Nie potrzebuję dodatkowo kolejnego cywila. Nie jestem waszą niańką.

– Ale... co tu się dzieje?

– Nie mamy w ogóle łączności! – zawołał mężczyzna, którego widziałem przy pierwszej radiostacji. Stał teraz za nami i mówił podnieconym głosem. – To jest coś dziwnego, kapitanie. Słyszę znowu jakiś... bełkot.

– Znowu to samo. – Dowódca pokręcił głową, po czym zwrócił się do mnie. – No to jeszcze raz... Kim pan do cholery jest?

– Mówiłem, że...

– To jest teren zamknięty, pod jurysdykcją armii Stanów Zjednoczonych – przerwał mi. – A nie cholerny park krajoznawczy.

– Przywieźliśmy go z miasta, kapitanie.

– Z miasta? – odparł z niedowierzaniem kapitan. – Jest pan jakimś włóczęgą? Trampem?

– Powiedziałem już pana podwładnym, jak i panu – odparłem cierpliwie. – Jestem z uniwersytetu. Wydział mechaniki. Miscatonic.

– Uniwersytet, tia? Wydział mechaniki. Nie ma tu pan czego szukać. Jak się tu pan w ogóle dostał?

– Nooo, tu się akurat zgodzę – odpowiedziałem. – Jeśli moi koledzy są już w pociągu, a może nawet w domu, to moją robotę mogę uznać za skończoną i...

– To on nic nie wie? – Kapitan zmierzył Burnsa oraz kierowcę zaperzonym wzrokiem. – Nie powiedzieliście mu?

– Czego nie wiem? – Spojrzałem sierżantowi w twarz. Po raz pierwszy mu się przyjrzałem. Był niskim mężczyzną z brzuszkiem i oddalającą się linią włosów oraz sympatyczną, budzącą zaufanie twarzą. Aż się wzdrygnąłem na wspomnienie tego, jak zostałem przez niego wcześniej potraktowany.

– No... – zaczął tłumaczyć się Burnes. – Nie chcieliśmy siać paniki.

– Nie ma co owijać w bawełnę – skomentował kapitan, wzdychając. Kolejne zdanie wypowiedział do mnie tonem rodzica: – Panie Napier. Pańscy koledzy... wszyscy nie żyją. My utknęliśmy tutaj. A pan z nami.

– Jak to? – westchnąłem.

– Znaleźliśmy ich. Dryfowali w zatoce. Ich ciała były nagie, okaleczone. Sądzę, że to mogły być jakies... drapieżne ryby.

5.

– To, co panu powiem, jest objęte ścisłą tajemnicą. Wszelkie podanie tych faktów prasie, zakładając, że będzie pan miał jeszcze sposobność mieć kontakt z prasą, skończy się dla pana aresztem, a potem długoletnim więzieniem. Będzie pan sądzony jak zdrajca kraju. Czy wyraziłem się jasno?

– Czemu pan powiedział, „jeśli będę miał sposobność”?!

– Nieważne. Jest pan inżynierem. Potrzebuję... pana opinii. Tylko dlatego mam zamiar podzielić się z panem częścią tego, co nie zostało przeznaczone dla uszu cywili. Powtórzę: czy to jest dla pana jasne?!

– Chce pan otworzyć łódź?

Pokręcił głową.

– A ten swoje.

– Więc tak czy nie?! – naciskałem.

– Chłopie... Już to raz zrobiliśmy. Ale zaplombowaliśmy ją od nowa.

– Dlaczego?!

– Dlaczego? Zaczęły się dziać dziwne rzeczy... Dlatego.

– Jakie dziwne rzeczy?!

Westchnął i przez chwilę bacznie mi się przyglądał, chyba namyślając, czy podjąć opowieść.

– Gdy tu przyjechaliśmy, Łódź znajdowała się już prawie na brzegu. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, być może pływy jakoś wyrzuciły to cholerstwo.

Kapitan Simms, jak się przedstawił, pochylił się nade mną, gdy pałaszowałem konserwę, zagryzając ją czerstwym chlebem i popijając lurowatą kawą z termosu. To był mój pierwszy posiłek od rana. Jak mogłem zapomnieć o jedzeniu?

– No, ale dlaczego tu jesteście? – spytałem między kęsami. Nigdy tak podłe jedzenie nie smakowało tak wybornie. – I gdzie są ludzie z marynarki? Mieli tu podobno podesłać jakichś ekspertów z Annapolis.

– Marynarka? – parsknął Simms z niedowierzaniem. – Też chciałbym wiedzieć. Nie dotarli.

– No, ale kto w takim razie kazał wam tu przyjechać?

– Nie mogę ujawnić panu wszystkich informacji, są... – Tu wywrócił oczami. – Wie pan, ściśle tajne. Wszystko, co

mogę powiedzieć, to że ta łódź zaginęła około 1930 roku gdzieś u wybrzeży Filipin. Ostatnie doniesienia o niej pochodzą z tegoż roku, gdy na Piedra Negra, jednej z wysp Filipin, działy się dość osobliwe rzeczy. Odnaleziono tam kolonię ludzi, którzy praktykowali różne dziwne rytuały, między innymi kanibalizm. Wiem o udziale Marines i Navy w pacyfikowaniu wyspy i o tym, że tam także dokonano bombardowania z użyciem łodzi podwodnych i torped. To było około trzy lata po Innsmouth, ale scenariusz? Był, cholera, niemal identyczny. Wziął w nim rzekomo udział ten sam amerykański USS Kirk. Okręt zawierał w momencie zaginięcia potencjalnie niebezpieczny ładunek na swoim pokładzie.

– Ładunek?

– Jego pochodzenie i naturę także muszę pozostawić w tajemnicy. Nic panu nie powiem, bo nie mogę, poza tym, że ładunek pochodził stąd – odparł, uśmiechając się, bardziej do siebie, niż do mnie, i w dodatku z jakimś osobliwym smutkiem, tak jakby wspominał kolegów, których stracił w akcji.

– Nie może pan powiedzieć.

– Nie.

– No a łódź? Otworzyliście ją.

– Nie tylko – odparł gardłowo. – Po przyjeździe użyliśmy dźwigu, żeby łódź się nie zsunęła, i zabezpieczyliśmy ją, jak tylko się dało. Potem ją otworzyliśmy. Na własne nieszczęście.

– Nieszczęście?

– Nie mogę o tym mówić.

Poddałem się.

– No dobra. A moi koledzy? Co z nimi?

– Nie mam pojęcia. Ale wydaje mi się, że jeden z pana kolegów wyjechał stąd wcześniej, po tym, jak pokłócił się z kolegami. Może on będzie wiedział coś więcej.

– Skapis.

– Nie wiem. Może.

– Ktoś... Ktoś chyba ukrył się w Gillman House, wie pan? Może to ktoś z nich?

– Gillman House? Ten motel? – powtórzył kapitan. – No dobrze, sprawdzimy to, rzecz jasna. Ale już raz przeszukiwaliśmy to miejsce.

– Czemu tu w ogóle wysłano armię?!

– Powiedziałem już, utajniono tę informację.

– Tak jak wywózki sześć lat temu?

Kapitan zawisł nade mną. Z jego oczu znikła wszelka serdeczność.

– Te sprawy mają związek. Ale nie jest to sprawa cywilna, jasne?! Niech pan da temu spokój raz i na zawsze.

Do baraku wpadł jeden z żołnierzy, luzując zapięcie hełmu.

– Znowu „pielgrzymka”, kapitanie.

– „Pielgrzymka”? – Zerwałem się, lecz Simms usadził mnie z powrotem.

– Pan tu zostaje. Przeгонcie tamtych ostrzegawczym wystrzałem – rozkazał.

– Co wy tu tak naprawdę robicie?! – warknąłem. – Lepiej mi to powiedz, kapitanie!

– Albo?

– Albo zapytam prasy!

Prychnął, lecz potem spoważniał i po wyprostowaniu się splótł palce z tyłu.

– Sądzę, że to ludzie z Innsmouth – odparł po chwili.

– Przecież tam nikt nie mieszka.

– Gówno prawda – nieomal warknął. – Byłem tu sześć lat temu. Nadzorowałem wysadzanie większości zabudowań razem z oficerem saperów, majorem Garretem, i jeszcze jednym takim gościem, który utrzymywał, że należy do Secret Service i bada sprawę miasteczka od 1927. Jak mu było? – zamyślił się. – Chyba Wade. Agent specjalny Wade. Była z niego ważna szycha, podobno odpowiadał przed samym prezydentem Coolidgem. Na sam widok tego Wade'a moich ludzi przechodziły dreszcze. Skórzany płaszcz i te jego czarne gogle w gumowej oprawce. Wyglądał jak jakaś mucha w ubraniu... Szkoda słów... No, ale mieliśmy wyznaczone konkretne obiekty i cele. Ludzi z Innsmouth wywieźli ciężarówkami gdzieś do południowej Arizony, gdzie, jak słyszałem, poddawano ich później testom w Lotniczej Bazie Marynarki. Potem,

jak już nie było tu żywej duszy... zaczęło się torpedowanie Diabelskiej Rafy. I tego, co było... pod nią.

– Pod nią?

Wzruszył ramionami.

– Na ten temat akurat niewiele wiem. Ale i tak to, co wtedy ujrzałem na własne oczy, to było nic w porównaniu z tym, co zobaczyłem niedawno. Co widziałem, gdy otworzyliśmy właz USS Kirka.

– To znaczy?

Znowu chwila wahania. I w końcu pewność, że musi mi to powiedzieć.

– Tam były ciała, Napier. Wiele ciał. Gnijące, pokryte wrzodami i całym tym gównem, ciała ludzi. Oni nie żyli przynajmniej od kilku tygodni.

– Słucham? – Zerwałem się z miejsca.

– Siadaj pan – odparł obcesowo. – I żeby ta jedna rzecz była między nami jasna, do cholery. Nie mówię o tym panu, żeby go nastraszyć. Albo żeby... odnaleźć swoje nazwisko w jakimś brukowcu. Musi pan zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji i nie wygłupiać się jak pana koledzy. To ja tu dowodzę. Jak chcesz przeżyć, trzymaj się mnie oraz moich ludzi.

– Co to ma znaczyć, „przeżyć”?

Wziął głęboki oddech, tak jakby szykował się do tego, co chce jeszcze powiedzieć.

– Tu się dzieje coś... dziwnego. Niedwuznacznego. Od momentu zdjęcia plomb z łodzi... jesteśmy na granicy czegoś, co wydaje się nie mieć sensu. – Zawahał się, namyślając się przez chwilę. – Wyjaśnię to inaczej. Rankiem, cztery dni temu, wysłałem ciężarówkę z sześcioma moimi ludźmi do bazy. Po uzupełnienie materiałów, sprzętu. Nigdy do bazy nie dotarli. Około 23:30, w wieczór po ich zaginięciu, mój radiotelegrafista, O'Ketlan, odebrał dziwny sygnał, a raczej sygnały. Pierwszy pochodził, lub mógł pochodzić, z szoferki zaginionej ciężarówki. Ktokolwiek go nadawał, znał kody wojskowe, Morse'a, wszystko, co by potwierdzało jego wiarygodność. Twierdził w swoim trwającym około minutę przekazie, że on i jego towarzysze zostali zaatakowani i nie wiedzą, gdzie aktualnie są, bowiem widoczność utrudnia im od piętnastu minut gęsta mgła. Co więcej, według szyfru odczytanego przez O'Ketlana, zdaniem nadającego ciężarówka opuściła naszą bazę zaledwie pół godziny wcześniej. Według nich była godzina 5:32 rano tego samego dnia. Nikt z nas nie wie, co o tym sądzić. Czy to była prawda, czy jakiś blef albo, nie wiem, ponury żart. Podjęliśmy próby połączenia się ze sztabem, ale bezskutecznie. To było bardzo dziwne, więc rozkazałem O'Ketlanowi, cały czas się łączyć. Drugi sygnał nadszedł szybko, około 1:35 w nocy. Zostałem obudzony przez tego samego łącznościowca, kiedy okazało się, że odbiera drugi, nie całkiem zrozumiały szyfr. Jak już wspomniałem, po ostatnich wydarzeniach kazałem mu całą noc podejmować próby połączenia się z dowództwem,

lecz... cóż, wszelkie próby połączenia z kimkolwiek były całkowicie bezskuteczne. Przynajmniej do 1:35.

Głos łącznościowca zdradzał niepokój, a nawet strach. Twierdził, że nigdy niczego podobnego nie słyszał. Był bledszy od ściany, a głos cały czas mu dygotał. Z jego początkowego bełkotu udało mi się zrozumieć tylko tyle, że usłyszał jakiś dźwięk na falach krótkich. Coś jak... bzyczenie owadów. Wkrótce, po zniwelowaniu obecnych w przekazie szumów był już pewny, że nie słyszy sygnałów Morse'a tylko... obcy język. Ktoś... jakby śpiewał w tym obcym języku.

Kiedy dotarłem do radiostacji, odgłos słyszalny na falach już niemalże zanikał, ale nadal był trochę uchwytny. Tak. Słyszałem go na własne uszy. Po mniej więcej dziesięciu minutach przebrzmiał do końca.

Puściłem śladem zaginionych żołnierzy motocykl z dwoma nowymi żołnierzami. Mieli przepatrzyć trasę. Oni też nie wrócili. Dowództwo, z którym jakimś cudem udało się w końcu połączyć po ich zniknięciu, nic nie wie o miejscu ich pobytu. Motocykl znaleźliśmy pięć mil od miasta, zepchnięty w rów. Żadnych śladów walki, kul, krwi, niczego. Potem był Burns, ale on na szczęście wrócił.

– Ze mną.

– Z panem.

– No, a Łódź?

– Znaleźliśmy na pokładzie coś, co wyglądało mi na skrzynkę. Pierwszy raz widziałem tego typu sprzęt. Jakies

tuby, przewody... I slajdy, cała masa slajdów, niestety niemożliwych do odtworzenia, zniszczonych mechanicznie. Nagranie udało się odtworzyć, ale brzmiało jak bełkot. Nie miało sensu. Cykl powtarzających się cyfr, wypowiedzianych wolnym głosem, coś jakby współrzędne. Pod koniec to już przechodziło w ostro brzmiący bełkot. Miałem rozkaz oddać skrzynkę do ekspertyzy dowództwa łączności, no, ale cóż, sam pan rozumie... Nigdy do tego nie doszło.

– Zaraz, chce pan powiedzieć, że... Pan się boi opuścić to miejsce?

– Zrozumie pan, kiedy mu powiem, co się stało, gdy otworzyliśmy łódź.

– To też był rozkaz pana dowództwa? – spytałem.

– To była potrzeba chwili. Ktoś się ze środka... dobijał.

– Jak to, dobijał?

– Wyciągnęliśmy go. Mężczyzna, rasy kaukaskiej, wiek około trzydzieści pięć, czterdzieści lat. Nie nadawał się do komunikacji. Był przez kilka godzin w naszej prowizorycznej izolatce, lecz w końcu zmarł z odwodnienia, zanim udało się nam go przesłuchać czy choćby zidentyfikować jego dane. Paskudna sprawa. Był u samego wjazdu, lecz wygląda na to, że na skutek jakiegoś mechanicznego uszkodzenia został zatrzaśnięty wewnątrz łodzi, gdy usiłował się wydostać. Wszystko na to wskazuje. Zdarł sobie opuszki palców, próbując. Musiał tam tkwić, niedotleniony, głodny i oszalały, choć wokół walały się otwarte

puszki z jedzeniem. W końcu zjadł trochę leżącego obok, w korytarzu, martwego kolegi.

– Słucham? Co zrobił?!

– Zrobił dokładnie to, co mówię. Znaleźliśmy tam jeszcze więcej zwłok, wszystkie były nagie, nie licząc obuwia, skarpet i zegarków. Jedno z ciał leżało przywarte, wprost położone na spalinowym silniku typu diesel. Gdy próbowaliśmy je odkleić, ono... odeszło od kości. A smród? To było coś niewyobrażalnego. Wszędzie pełno było kału, wymiocin, moczu i krwi. Znaleźliśmy rzecz jasna papiery. Wszystkie rzucono na stertę zorganizowaną na środku jednej z kajut, ale wcześniej podjęto próbę ich mechanicznego uszkodzenia, pewnie aby utrudnić identyfikację. Wszędzie też napotkaliśmy dziwne, sporządzone ekskrementami i krwią napisy. A ciała... Człowieku, były okaleczone, choć miejsca, gdzie dokonano największych zniszczeń, zostały następnie oczyszczone z wszelkiej krwi. To były... To były ich pachwiny, ponacinane z chirurgiczną precyzją, o, tutaj, blisko żył.

Wskazał mi to miejsce ruchem palców tak, jakbym nie wiedział, gdzie znajduje się pachwina.

– Co pana zdaniem tam się wydarzyło? – zapytałem.

– Nie wiem – odparł, a potem wstąpił w niego jakiś osobliwy zapach. – Ale wiem za to, kiedy to się zdarzyło.

– Jak to, kiedy?!

– Zacznę od początku. Wiem na temat radiowego sygnału łączności, który japońska marynarka odebrała

o godzinie 3:01 dnia 21 sierpnia 1930 roku, cztery tygodnie po tym, jak USS Kirk zniknął z amerykańskich radarów. To był sygnał naszej łodzi podwodnej, która chwilę potem zniknęła z ich przyrządów. Sygnał był przerywany i niezrozumiały, nie udało się go również trwale zapisać, a jedynie odnotowano jego istnienie. Lecz dotyczył jednostki USS Kirk, to nie ulega wątpliwości. USS Kirk, czyli tej samej, która zaginęła niedługo po wykonaniu rozkazu bombardowania Diabelskiej Rafy. Także wskaźniki łodzi pokazują tę samą długość i szerokość geograficzną, wskazując jednocześnie pełne zanurzenie. Gdyby brać pod uwagę wskaźniki, które są oczywiście uszkodzone, ta łódź znajduje się cały czas na Filipinach, w okolicy Piedra Negra. I jest w pełni zanurzona.

– Czyli...

– To właśnie są najbardziej zagadkowe rzeczy. Tu potrzebuję pana pomocy. Ja tego w ogóle nie rozumiem, Napier.

– Czego pan nie rozumie?

– Jak przyrządy mogą pokazywać inne położenie niż to, w którym aktualnie znajduje się łódź? Zakładając, że takie urządzenia są sprawne i działają? Ja... Potrzebuję pana asysty przy następnym otwarciu łodzi.

– Mojej... asysty?

– Niech pan się uspokoi i zrozumie naszą sytuację. Według mojego inżyniera, porucznika Meyera, silnik jeszcze niedawno pracował, choć akumulator jest martwy,

rozładowany do cna. Część przewodów i rur też jest do niczego. Korozja. Dla mnie jego rewelacje są wątpliwe, żeby nie powiedzieć niemożliwe. Potrzebuję, żeby ktoś potwierdził, że ja mam rację, a on jest niekompetentny.

– Chce pan wiedzieć, na czym stoi.

– Tak. Odkryliśmy coś... makabrycznego. Ale pomimo, że większość ciał załogi była w dość zaawansowanym procesie rozkładu, jeden z marynarzy przeżył. Przynajmniej przez jakiś czas. No i jest jeszcze jeden szczegół wymagający oceny.

– Jaki?

– Zegarki marynarzy. Wszystkie, co do jednego, stanęły o tej samej porze. 3:01 w nocy.

Na zewnątrz rozległy się pierwsze, przytłumione wystrzały. Po chwili dotarły do nas ochryple okrzyki, a strzały jedynie wzmogły swą siłę.

– Co tam się dzieje?! – wykrzyknąłem, lecz wszyscy trwali w bezruchu. Po kilku następnych minutach wszystko ustało.

– Muszę... – Prawie zwinąłem się, upadając z krzesła. – Muszę zobaczyć, co tam się dzieje!

– Lepiej nie.

Znowu rozległ się strzał. I wrzask. Rozdzierający wrzask kogoś torturowanego.

– Kapitanie, na pewno ich już wypłoszyli – wziął moją stronę Burns. – Wyprowadzę może pana na zewnątrz i się

trochę rozejrzymy – zaproponował, po czym zerknął na dwóch łącznościowców, zajętych sprawdzaniem stanów magazynka. – Chłopaki? Gotowi?

Zarówno kierowca Stockinger, jak i obaj łącznościowcy raz jeszcze sprawdzili bębniarki rewolwerów i kiwnęli głowami. Widać było jednak, że nerwy ich zjadały. Coś działo się bardzo nie po ich myśli...

6.

Kiedy opuściliśmy barak, poczułem natychmiast intensywny zapach prochu, przez który przedzierała się jeszcze silniejsza i mniej przyjemna woń... śmierci. Oni tam już stali, między ciałami martwych żołnierzy, zwiniętymi w pałąk, jakby obejmującymi karabiny, które nie dały im żadnej ochrony. Obcych napastników było mnóstwo, całe dziesiątki, stali jedni za drugimi, przygarbieni, z bezkształtnymi, obłymi łapami, a może mackami, opuszczonymi tak nisko do ziemi, że niemal dotykały piachu. Ich wielkie, pozbawione włosów, nieforemne głowy były miejscami spłaszczone, gdy w innych miejscach pokrywały je bąblaste wypustki guzów, wypełnionych jakimś pulsującym płynem. Ilu? Nie wiem. Może pięćdziesięciu, może i setka. Zupełnie nadzy, z przysadzistymi ciałami o krótkich, chudych i krzywych nogach. Brzuchy niektórych przypominały balony, a odsłonięte torsy pokrywała nieregularna, przypominająca chorobę skóry łuska i jeszcze mniej regularny liszaj. Większość posiadała

kilka obwisłych piersi, jedna pod drugą, z nabrzmiętymi sutkami. Ich głowy przytwierdzone były do karku jakby z pominięciem szyi, a wielkie, wylupiaсте, śnięte oczy uciekały na boki, kiedy się im dłużej przyjrzeć. Niektóre znajdowały w miejscach, gdzie prawidłowo powinny być uszy. Stali na tyle wyprostowani, na ile pozwalały im niedorozwinięte sylwetki, bełkocząc coś przez obwisłe, ropusze wargi. Lecz najdziwniejsze i o niebo najbardziej przerażające były dwie rzeczy.

Pierwszą były liczne wgłębienia w ich ciałach, mające przypominać do złudzenia dziury po kulach. Sączyła się z nich jakaś ciecz, bezbarwny płyn. Niektórzy mieli te otwory rozsiane na całym ciele i byłem przekonany, że tyle postrzałów powinno spowodować natychmiastowy zgon.

Drugą rzeczą były otwierające się raz po raz szerokie nacięcia na obu pachwinach, obok zniekształconych i nabrzmiętych genitaliów, męskich, żeńskich lub stanowiących połączenie obu. Dziwne, przypominające skrzela organy poruszały się cały czas, nadymały tak, jakby nabierały, a potem wypuszczały ze świstem powietrze. To właśnie widok tych nibyskrzeli, wypełniających się raz po raz powietrzem, był kroplą, która przelazła czarę goryczy obłędu i obrzydzenia. Po chwili nie słyszałem już nawet rozdzierającego okrzyku sierżanta Barnes'a, padając bez zmysłów na ziemię.

7.

Reszta zdarzeń na plaży jest powszechnie znana dzięki zaangażowaniu prasy. Większość dzienników ograniczyła się do krótkich wzmianek, za to w „Advertiserze” i „Enigma Magazine” ukazały się obszerne artykuły o łodzi, która zniknęła za sprawą utrzymanej w tajemnicy ingerencji wojska na temat strzelaniny i ofiar. Z tekstu wynikało, że nie tylko po okręcie USS Kirk nie pozostał ślad, uprzątnięte zostały również zwłoki marynarzy wyciągniętych z łodzi i wszelkie dowody, że cokolwiek w okolicy Insmouth miało miejsce. „Classified” było terminem powtarzanym w obu artykułach niezmiernie często, zupełnie, jakby ich autorzy, czy raczej autor (była to bowiem, o nieba, ta sama osoba!) zakładali, że za wszystkim stoi rząd, który z pomocą agentów federalnych i wojska usiłuje ponownie tuszować wszystko, zupełnie jak w 1928.

Najwidoczniej byłem jedyną osobą, która przeżyła wypadki, przynajmniej w świetle oficjalnych danych. Ciała żołnierzy znaleziono rzekomo dryfujące na wodzie, lecz tylko w kilku przypadkach przyczyną zgonu było zwykłe utopienie. W przeważającej części do śmierci przyczyniło się podduszenie lub rozległe rany głowy, zadane jakimś tępym narzędziem. Ślady wokół szyi uduszonych żołnierzy wskazywały na ponadludzką siłę napastnika, lub też napastników, a patologowie znaleźli w okolicy ran fragmenty czegoś, co wyglądało ich zdaniem na niewielkie łuski, cząsteczki ewidentnie rybiego pochodzenia.

Podobnie było w przypadku ran głowy. Tu również odkryto fragmenty rybiej skóry...

Zostałem oczyszczony ze wszelkich zarzutów, choć udzielanie zeznań przed wszystkimi komisjami, wojskowymi, a następnie stanowymi i uniwersyteckimi, zajęło mi niemal cały semestr. Zawieszono mnie rzecz jasna w czynnościach, w związku z tym, że jako zobowiązany przez rząd do zachowania tajemnicy państwowej, nie byłem w stanie wyjaśnić niczego władzom Miscatonic.

Obecnie przebywam w zakładzie zamkniętym w moim rodzinnym Arkham. Oddałem się w ręce lekarzy dobrowolnie i bez niczyich nacisków, gdy pogłębiły się moje problemy ze snem i inne objawy postępującej demencji. Jeden z lekarzy postawił diagnozę, że cierpię na odmianę rzadkiej choroby, nazywanej przez medycynę stwardnieniem rozsianym. Powoduje ona ni mniej, ni więcej, jak szereg objawów neurologicznych, problemy z utrzymaniem równowagi i postępujący brak czucia, szczególnie w kończynach dolnych. Objawów jest cała masa. Duszności i problemy z widzeniem, a w późnym stadium nawet urojenia i zaniki pamięci.

Żaden lekarz nie dał wiary w moje zapewnienia sugerujące, że od nocy, podczas której nastąpił zgon Pandory, dostrzegłem w sobie powolną, lecz dość nieuchronną i zagadkową przemianę. Otóż barwa, a następnie także kształt moich oczu poczęły w niesamowity sposób ulegać przekształceniu. Opadające dotąd w kącikach i dość pospolite niebieskie oczy stały się mocno osadzone,

w kształcie migdałów i zielonkawe, rzekłbym agrestowe w kolorze. Ich melancholijne, powiedziałbym rozmarzone spojrzenie do złudzenia przypomina zapamiętany przeze mnie wzrok mojej nieodżałowanej Pandory. Nieruchomy i zapatrzony w jakiś nieodgadniony punkt... Takie właśnie oczy przyglądają mi się w lustrze, powodując na mojej twarzy wstręt pomieszany ze smutkiem i tęsknotą za tym, co mogło być moim udziałem. Szczęściem małżeństwa i równowagą płynącą z odnalezienia pokrewnej duszy...

Już ten jeden fakt niejednego przyprawiłby o niepokój. Niestety, jako osoba pozbawiona próżniaczej natury, nigdy nie dbałem o jakiegokolwiek portrety i nie fotografowałem się. A że mój fizys nigdy nie wzbudzał niczyjej prawdziwej uwagi i raził wprost przeciętnością, nawet moi najbliżsi znajomi nie mogą potwierdzić jednoznacznie okropnej przemiany, która we mnie zaszła, czyniąc podobnym do ostatnich mieszkańców umarłego Innsmouth.

DANIEL KORDOWSKI

ŁZY NAS NAKARMIĄ

Drzwi – czyli początek tej historii

Odkąd pamiętam, bałem się drzwi. Za każdym razem, gdy musiałem jakieś otworzyć, przystawałem na pół sekundy, brałem głębszy oddech, jakby po drugiej stronie miało czyhać niebezpieczeństwo.

Nawet we własnym mieszkaniu prozaiczne naciśnięcie klamki w drzwiach oddzielających przedpokój od łazienki było wystarczającym powodem, by podświadomość uderzała w wielki czerwony guzik z napisem „UWAŻAJ!”. Dlatego zawsze pozostawiałem drzwi – wszystkie z wyjątkiem frontowych – otwarte.

Najgorsze były drzwi nieznanne, takie, które musiałem otworzyć po raz pierwszy, nie wiedząc, dokąd prowadzą. Przed oczami zawsze miałem płataninę korytarzy i przejść, w której łatwo się zagubić.

Tym razem jednak wiedza, że po drugiej stronie drzwi znajdował się Stanisław Kuczborski, szerzej znany jako Klucznik, wcale nie poprawiała sytuacji.

– Proszę wchodzić. Bez obaw, obydwie ręce ma przykute do stołu, nie jest w stanie panu nic zrobić – oznajmił strażnik, więc nie miałem już wyboru.

Głęboki wdech, dłoń na klamce, powolny wydech, dłoń wędrująca w dół wraz ze ścisłym kawałkiem metalu, strach pełzający wzdłuż kręgosłupa – i byłem już po drugiej stronie.

Chudy, przygarbiony staruszek nie wyglądał groźnie. Trudno to przyznać, zważywszy na wszystko, co zrobił, ale poczułem pewien zawód. Bardziej lękałem się drzwi, które strażnik zatrzasnął za mną, niż tego człowieka.

– Przerażające, prawda? – zapytał, jakbyśmy wrócili do niedawno przerwanej rozmowy. – Z początku też się bałem.

– S... słucham? – wyjąkałem, zajmując miejsce naprzeciwko. Słaby początek.

– Przecież wiesz – odparł staruszek. – Drzwi.

– To naprawdę nie powinienem być ja. Chyba...

Poprzez chmurę tytoniowego dymu przebiło się spojrzenie żółtych, przekrwionych oczu redaktora naczelnego.

– Młodzi! Przychodźcie do mnie, bo marzy wam się wielka kariera. Nazwisko wydrukowane pogrubioną czcionką na tytułowej stronie gazety z pierwszego rzędu na półce w kiosku za rogiem. Boczycie się, że trzeba pisać o tym, że banda pijanych nastolatków obsrała księdzu rabatki. A jak dostajecie szansę, prawdziwą szansę, którą trzeba tylko chwycić mocno za jaja, to wymiękacie, jeden po drugim. A ty! Ty, Marciniak...

– Marcinkiewicz. To po prostu nie powinienem być ja. Ja...

– ...ty dostałeś szansę niepowtarzalną. Szansę, dzięki której może o mnie, o nas usłyszeć cała Polska! Pieprzony Klucznik, nieuchwytny seryjny morderca, grasujący od ćwierć wieku, wpadł, a jedyna osoba, z którą chce rozmawiać, to ty! Sam podał twoje nazwisko!

– Skąd on w ogóle wie o moim istnieniu?

Grube paluchy redaktora zgasiły peta o blat biurka.

– Dobrze pytanie! Jak się z nim spotkasz, to mu je zadaj. Ale najpierw obowiązki: masz dowiedzieć się, jak on wchodził do tych wszystkich mieszkań. Nigdy nie zostawił śladów włamania. Nikt go nie widział. Niebiescy chcą to wiedzieć, jasne? A, i nie zapomnij wyciągnąć z niego, co znaczą te pieprzone klucze.

– Dokonał pan co najmniej dwudziestu pięciu morderstw, jedno każdego roku, zawsze, poza ostatnim, wymykając się organom ścigania... – zacząłem, rozpaczliwie wygrzebując z pamięci wszystkie wskazówki, którymi komisarz jakiś tam zarzucił mnie godzinę temu w ramach przygotowania.

„Wspomnij jego dokonania – seryjni mordercy są egocentrykami i narcyzami. Lubią słuchać o własnych zbrodniach. Złapani, sami się przyznają do kolejnych.”

„Nawiąż relację – musisz znaleźć nić porozumienia, okazać sympatię i spróbować ją wzbudzić. Nie krytykuj. Okazuj zainteresowanie, dopytuj o szczegóły.”

„Płyn z nurtem – jeśli nie będzie chciał odpowiedzieć na twoje pytanie, nie zrobi tego. Musisz znaleźć punkt zaczepienia w tym, co mówi, i spróbować nadać rozmowie właściwy bieg. Nie możesz go znudzić. Seryjni mordercy traktują ludzi instrumentalnie. Zakończy rozmowę, kiedy przestanieś go interesować.”

„Bądź cierpliwy i nie oczekuj zbyt wiele. Rzadko kiedy pierwsze przesłuchanie daje oczekiwane rezultaty. Skup się na trzech poprzednich punktach, a z pewnością będzie chciał porozmawiać z tobą znowu, jeśli tylko otrzyma coś z zamian. Nie martw się, nasza już w tym głowa.”

Łatwo, kurwa, powiedzieć.

– ...chciałbym wiedzieć... – Punkt pierwszy, cholera, punkt pierwszy! – ...wszyscy chcą wiedzieć, jak się to panu udawało.

Staruszek gwałtownie nachylił się ku mnie, najbardziej jak mógł z uwagi na skrępowane ręce. Dziękowałem łańcuchom, że są tak krótkie, gdy sondował mnie spojrzeniem, jakby próbował zobaczyć wewnątrz mojej głowy.

– Śnisz o tym, prawda? Drzwi. Są przed tobą, a w dłoniach masz klucz. Możesz je otworzyć, ale tam, za nimi, jest wszystko. Bezmiar możliwości. Niekończące się alternatywy tego, co może cię spotkać. Niezliczone światy. Boisz się, ale przekręcasz klucz w zamku, a potem...

Trzasnął grafitowy trzon ołówka, gdy przycisnąłem go za mocno do kartki w notatniku, udając, że notuję. Musiałem sięgnąć po zapasowy, ukryty w kieszeni marynarki.

Naraz wąty staruszek zdał mi się najgroźniejszą istotą, z jaką można mieć do czynienia. Skąd ten człowiek znał moje koszmary? Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach.

– Drzwi są uchylone – wypowiedziały moje usta, nim zdążyłem je powstrzymać. – We śnie.

– Uchylone? – Staruszek wyglądał na zdziwionego.

– W ustach każdej z ofiar zostawiał pan klucz. – Próbowałem sprowadzić rozmowę na właściwe tory, wbrew wskazówkom komisarza. – Co to ma znaczyć? Nie napisał pan nigdy żadnego listu, nie wysłał wiadomości do prasy, jak inni... – Ugryzłem się w język, jednak było już za późno.

To, czego komisarz nakazał stanowczo nie robić, to wspominać o innych seryjnych zabójcach. „Każdy z nich chce być wyjątkowy, nieporównywalny – jemu podobni

zwyrodnialcy to temat tabu, o ile sam nie rozpocznie rozmowy na temat swoich idoli”.

– Ty naprawdę nic nie pamiętasz? Nie udajesz? – Staruszek odchylił się. Gdyby nie łańcuchy, skrzyżowałby ramiona. – Dlaczego nie zapytasz o to, co naprawdę cię interesuje? Dlaczego nie zapytasz o noc, gdy zabiłem twoją matkę?

Kiedy miałem sześć lat, zgubiłem się we własnym domu.

Nie był to jeden z tych wielkich, trzypiętrowych budynków znanych z seriali o amerykańskich przedmieściach ani kiczowata willa z zamkowymi wieżyczkami, pasująca do nuworyszy, którzy przywłaszczyli zakładowy sprzęt w czasie transformacji ustrojowej, by na początku lat dziewięćdziesiątych zbić majątek. Zwykły dom, cztery pokoje, kuchnia, łazienka, pralnia, strych, piwnica – mimo to pewnej nocy gdzieś zniknąłem, by odnaleźć się dwa dni później, w piwnicy.

Zawsze miałem talent do wciskania się w różne, na pierwszy rzut oka niedostępne miejsca, i uwielbiałem grę w chowanego. Z tego powodu – mimo, że w tym czasie dom został niejednokrotnie przeszukany – nikt nie był w stanie mnie znaleźć. Doświadczywszy traumy, ukryłem się i pozostałem tam w absolutnej ciszy tak długo, aż mój dziecięcy umysł nie uznał, że zagrożenie minęło, a kiedy opuściłem kryjówkę, dla mojego dobra

zepchnął do podświadomości wszystkie powiązane z tym wspomnienia.

Tamtej nocy, gdy zniknąłem, moja matka zginęła z rąk Klucznika.

Bardzo chciałem nienawidzić tego człowieka, wręcz powinienem, ale prawda jest taka, że siedząc z nim twarzą w twarz, nie czułem nic. Może co najwyżej rozdrażnienie.

Staruszek opuścił jedną krzaczastą brew, uniósł drugą, spojrzał na mnie z półprofilu, jak kompletny wariat.

– Potrzebujesz klucza. Tak, klucza. Do pamięci. Dałbym ci go, ofiarował, ale jestem... unieruchomiony. Sam musisz go znaleźć. – Staruszek spróbował poderwać się z miejsca. – Strażnik!

– Pamięta pan każdą ofiarę? Jak opisze pan swoje pierwsze zabójstwo? Co panem kierowało? – Rozpaczliwie próbowałem zadać odpowiednie pytanie. – Czy to była zaplanowana zbrodnia, czy...

Na próżno. Na znak Klucznika otworzyły się drzwi za mną, i drugie, za plecami skazańca, pieczętując fiasko wielkiej szansy, którą otrzymałem od losu. Oczyma wyobraźni widziałem drzwi do wypełnionego dymem gabinetu redaktora naczelnego.

Nad kubkiem unosił się słup gorącej pary. Czekałem, podczas gdy cioteczka Marzena zniknęła za drzwiami, w poszukiwaniach czegoś, co koniecznie chciała mi pokazać. Pamiętała, aby zostawić drzwi otwarte, ale zamknęły się same z siebie. Nic niezwykłego, zasługa nierównych ścian i podłóg w powoli pękającym bloku z wielkiej płyty, ale wystarczyło, aby serce usiłowało połamać mi żebra i wyskoczyć na wierzch.

Skrzypnęła klamka – kolejny atak strachu.

– Wypij ziółka. Melisa. Uspokaja. – W progu stanęła korpulentna, niewysoka kobieta, ściskająca pod pachą wielki album za zdjęciami.

To do niej uciekałem, kiedy ojciec w pijackim amoku rzucał tym, co wpadło mu pod rękę. I chociaż tak naprawdę nie była moją ciotką, tylko przyjaciółką matki, czułem, że nie mam żadnej bliższej rodziny. Że poza nią nie mam rodziny w ogóle.

– To zdjęcia z czasów szkolnych – stwierdziła, rzucając ogromną księgę na ławę. Uderzenie wzbilo w powietrze tumany kurzu. – Nie oglądałam ich od... od... bardzo dawna. – Usiadła obok mnie i zaczęła wertować strony.

Czarno-białe fotografie podkreślały upływ czasu. Było w nich coś nierealnego, całkiem jakby pochodziły z zupełnie innego świata. O czymś mi przypominały, wzbudzały cichy szept na granicy świadomości, ale nie mogłem uchwycić, co to właściwie było.

– Powiedz mi, kochany, skąd to nagłe pytanie? Oczywiście, wszystko ci opowiem, ale przez tyle lat nie interesowałeś się... Po prostu chciałabym wiedzieć. Wszystko dobrze?

– Tak, ciociu. Po prostu chcę wiedzieć.

– To dlatego, że go złapali? – Słowa z trudem przechodziły jej przez usta. Do tej pory nigdy nie rozmawialiśmy o matce, a tym bardziej o okolicznościach jej śmierci.

Cioteczka, tak sędzę, bała się, że jakiegokolwiek wspomnienie sprzed czasów mojej amnezji spowoduje, że delikatna bariera pęknie i zaleje mnie fala wspomnień, których podświadomie nie chciałem pamiętać. Zawsze uważała, że jeśli zapomniałem o tym wszystkim, to z konkretnego powodu i lepiej nie grzebać mi w głowie, aby go odkryć.

– Tak, to dlatego – odparłem i to nawet nie było kłamstwo.

– Jesteś już dorosły – westchnęła, przerzucając karty do zdjęć z uniwersytetu. Zaczęły pojawiać się pierwsze kolorowe fotografie, jak migawki z drugiej rzeczywistości. – To twoja mama i ja. Miałyśmy wtedy po dwadzieścia dwa lata, dopiero co wróciłyśmy z *Dziadka do orzechów*. Rosyjski balet. Piękny. Twoja mama też potrafiła pięknie tańczyć. Miała talent, bez dwóch zdań.

– I co się stało?

Ciocia westchnęła ponownie, jeszcze ciężiej.

– Poznała twojego ojca. Zakochała się. Przyszedłeś na świat, a życie podążyło swoją ścieżką. Bardzo, ale

to bardzo cię kochała. Zobacz, tutaj jest zdjęcie z twoich chrzcin. Ma szczery, piękny uśmiech. A tu obok jestem ja, matka chrzestna. Kala, to znaczy twoja mama, Kalina, tak do niej mówiliśmy, nie miała rodziny, a bardzo chciała ją mieć. Dlatego cokolwiek usłyszysz, pamiętaj, że byłeś dla niej wszystkim.

– Usłyszeć? Od kogo?

– Gdybyś na przykład chciał pomówić z ojcem – wydukała zmieszana.

– Z nim? Dlaczego miałbym z nim rozmawiać?

– Po prostu mówię.

W dniu osiemnastych urodzin spakowałem rzeczy w dwie duże walizki, rzuciłem klucze na komodę w przedpokoju, zacisnąłem zęby, wziąłem głęboki oddech i otworzyłem drzwi rodzinnego domu, aby zatrzaskać je ze sobą i już więcej tam nie wrócić.

Cioteczka przewertowała kilka kart albumu, zatrzymała się przy zdjęciach z budowy. Ojciec siedział przy betoniarce, w podkoszulku i ze zwichrzoną czupryną. Uśmiechał się. Obok, u stóp hałdy piasku, siedziałem ja z łopatką i wiaderkiem. Zdjęcie miało ciepłe, nieco już wyblakłe kolory.

– Kiedyś był inny, tylko całkiem się załamał. No już, nie patrz tak na mnie! Najlepiej wiem, jaki był dla ciebie. Wiem, że tego, jak było wcześniej, nie pamiętasz. Jesteś mi jak syn, przecież wiesz, ale to twój ojciec. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej o matce,

o tym... – Słyszałem jak cioteczka z trudem przęłyka ślinę przez zaciśnięte gardło. – O tym, jak zginęła, chcesz przypomnieć sobie tamten dzień i to, co przed nim, powinienes z nim pogadać. To on był wtedy w domu i znalazł Kalę martwą w łóżku. To on rozpaczliwie ciebie szukał po domu i okolicy. Posiwał wtedy z dnia na dzień, sama widziałam. I to on cię znalazł siedzącego pod schodami w piwnicy. A potem...

– Wiem, co było potem – wszedłem jej w słowo. Nie takiej rady oczekiwałem.

Na samą myśl, że znów stanę przed drzwiami do tamtego domu, żołądek zawiązywał mi się na supeł.

Wolno, jeden leniwy krok za krokiem, aby odwlec tę chwilę, pokonałem kilkusetmetrowy odcinek dzielący blokowisko cioteczki Marzeny od jednorodzinnej zabudowy po drugiej stronie trzypasmowej drogi przecinającej miasto.

Wysokie ogrodzenia, tuje wyrastające ponad dachy, psy szczekające, gdy tylko ktoś zbliżył się do furtki, i żaluzje zaciągnięte w oknach skutecznie ukrywały dźwięk tłuczonych butelek po piwie, chłód rozlewający się po pozbawionych miłości pokojach, pijacki lament, ból rosnących guzów i puchnących siniaków. Z zewnątrz wszystko wyglądało w porządku. Nie było tu wścibskich sąsiadek zza ściany ani sąsiadów piętro niżej uderzających wścikle

o rury kaloryfera w odpowiedzi na najmniejszy hałas – tutaj każdy miał swój własny, ukryty świat, gdzie mógł w spokoju oddać się nieszczęściu.

I tylko czasem ktoś zauważył tego dziwnego dzieciaka Marcinkiewiczów uciekającego z domu oknem, bo przecież nie przez drzwi. Nikt nie reagował, bo i gdzie miałoby to zgłosić? Na policję? Donieść, że w domu starszego sierżanta Marcinkiewicza dzieje się coś niepokojącego? I co później? Już nieraz w pijackim widzie biegał po ogrodzie z bronią w ręku i szukał włamywacza, który przed laty posłał świętej pamięci Marcinkiewiczową na tamten świat – strach pomyśleć, co gotów zrobić, gdy dojdzie go informacja o takim donosie. Istotnie, najlepiej nie myśleć o tym wcale.

Nie wiem, kiedy zacisnąłem pięści. Spostrzegłem to dopiero, gdy musiałem otworzyć furtkę – wystarczyło ją pchnąć. Ojciec już od dawna jej nie zamykał. Wszystko, co miał cennego, już stracił.

Za firanką w salonie dostrzegłem ruch. Przerazenie objęło mnie na myśl o tym, co kryło się za drzwiami domu – a przecież tam był tylko ojciec, tylko on...

Tego dnia nie zdecydowałem się zapukać.

Zawsze wiedziałem, że jest ze mną coś nie tak i wcale nie mam na myśli mojej fobii.

Kiedy ojciec zamykał się w sypialni, podchodziłem – cicho, niemalże na palcach, aby mnie nie usłyszał – do drzwi i jeśli pokusa przewyciężyła strach, nachylałem się do dziurki od klucza, aby podglądać.

Czułem się tak, jakbym zaglądał do innej rzeczywistości, w której ojciec był kruchą, bezsilną istotą. Później, gdy wychodził, gdy otwierał te przeklęte drzwi i wracał do mojego świata, znów był sobą. Nieraz walczyłem z pragnieniem, aby samemu je otworzyć, wbiec do środka, ale bałem się, że wówczas magiczna szczelina zniknie i już nigdy nie zobaczę łez spływających po ojcowskich policzkach.

Nie chciałem utracić tego widoku, ponieważ sam nie potrafiłem płakać.

W toku doświadczeń popychanych dziecięcą dociekliwością zrozumiałem, że nie jestem w tym wypadku odosobniony.

Nie płakały polne myszy złapane w pułapkę. Nie płakały bląkające się po okolicy koty, gdy wyrывałem im wąsy. Nie płakał nawet ten bezpieczny, stary, kiedy przypaliłem mu sierść przy pomocy zapalniczki, starej szmaty i benzyny.

Płakała za to Joasia z domu naprzeciwno, znalazłszy swoją Barbie, wcześniej porzuconą nieuważnie na placu zabaw, z urwaną głową i wydłubanymi oczami.

Płakał jakiś obcy dzieciak, któremu podstawiłem nogę.

Płakała cioteczka Marzena – z wielu powodów: słuchając o kolejnej ucieczce, patrząc na fotografię

zawieszoną w salonie, na której uwieczniony był jej dawno zmarły brat, czytając sekcję dowcipów w ulubionym tygodniku czy podczas oglądania oper mydlanych z Wenezueli.

Plakał nawet ojciec, nawet on.

Całe lata później dowiedziałem się, że tak zwany płacz emocjonalny jest unikalną cechą rodzaju ludzkiego, która odróżnia *homo sapiens* od innych przedstawicieli królestwa zwierząt, nawet tych najbliższych z nim spokrewnionych. Dlaczego więc nie ja? To też efekt traumy? To, co się wydarzyło, odebrało mi płacz?

Z czynienia krzywdy wyrosłem mniej więcej wtedy, gdy dzieci uzyskują moralność i przestają wyrywać nogi muchom, za to ludzkie szczęście i tragedie przyciągały mnie nieodmiennie. Chciałem być tam, gdzie płyną łzy. Chyba dlatego wybrałem dziennikarstwo.

Przypadek czy ironia losu – wybór poprowadził mnie do chwili, w której ślezczałem nocą przed rozłożonymi na podłodze wszystkimi artykułami, notami prasowymi, esejami ekspertów, relacjami świadków i wywiadami z rodzinami ofiar, w których padło chociaż słowo o Kluczniku.

Kim jest Stanisław Kuczborski?

Pracował jako ślusarz, dorabiając klucze, otwierając i wymieniając zamki, dlatego pierwsza – oraz jedyna sensowna – hipoteza na temat tego, w jaki sposób dostawał się do domów ofiar, zakładała, że albo wszedł w posiadanie kluczy do nich, albo rozpoznał typ zamka,

potrafił go szybko otworzyć. Jednak ofiary nie korzystały z jego usług, a zamki nie nosiły śladów włamania.

Nie miał żadnych żyjących krewnych, rodziny, znajomych, ekspedientki w warzywniaku – nikogo, kto mógłby powiedzieć, co się z nim działo przez ostatnie ćwierć wieku, od momentu, kiedy niespodziewanie zamknął swój zakład. Zapadł się pod ziemię. A musiał przecież gdzieś przygotowywać te klucze, które zostawiał przy ciałach. Każdy z nich to ręczna robota.

Wielu głowiło się nad tym, dlaczego zabijał. Pomijałem te brednie. Jeśli ktoś znał powód, to tylko sam Klucznik. Każda próba odzwierciedlenia tego, jak naprawdę działał ten – bez wątpienia wypaczony – umysł, skazana była na porażkę, tak samo jak wysiłki doktora Szumskiego, który od dwudziestu lat nie skłonił mnie do płaczu ani nie wykorzenił ze mnie strachu, nauczył jedynie żyć z nim jak z niechcianym lokatorem.

Gdyby nie Klucznik, ojciec by się nie załamał, nie popadł w nałóg. Nie okładał mnie pięściami, kiedy zapytany o coś sprzed tamtej nocy, o wspólne wspomnienie z czasów, gdy wszystko było na swoim miejscu, odpowiadałem, że nie pamiętam – bo pamiętałbym.

Nie bałbym się drzwi. I może, może nawet umiałbym płakać. Może nie byłoby mnie, tylko inny Adam Marcinkiewicz, z którym dzielę jedynie te kilka pierwszych lat utopionych w niepamięci? Albo nawet mniej mamy wspólnego, jedynie imię, nazwisko i twarz w lustrze – on

wyszedł jednymi drzwiami, wraz z pamięcią, drugimi wszedłem ja.

„Złamane dusze. Życie i śmierć ofiar Klucznika” – nagłówek artykułu wyrwał mnie z rozmyślań. Prześli-
znałem spojrzeniem po pierwszym akapicie. „...Jeśli
można wskazać coś, co łączyło ofiary – te, o których dość
nam wiadomo – to fakt, że każda dźwigała ciężar osobi-
stej tragedii. Byli to ludzie pokrzywdzeni, stłamszeni,
przeigrani albo po prostu nieszczęśliwi, których życie na
pewnym etapie wypadło z torów prowadzących do obra-
nego celu...”. Wspomniałem rozmowę z cioteczka i zrozu-
miałem, że opowiadając o matce, próbowała do czegoś
mnie przygotować. Czego nie potrafiła mi powiedzieć?

Powinienem jednak porozmawiać z ojcem. Zapytać.
Dowiedzieć się...

Drzwi. Stoją przede mną i patrzą. Moje odbicie w wypo-
lerowanej powierzchni klamki wykrzywia się groteskowo,
jakby chciało ze mnie zadrwić. „Zobacz, czym jesteś!
Czym się stałeś!” mówi do mnie poprzez śmiech.

Wokół panuje półmrok. Drzwi są uchylone. Wpusz-
czają do środka smugę światła z miejsca, które jest po
drugiej stronie.

Blask walczy z cieniem ostrymi promieniami, odcina
się kontrastem od miękkich światłocieni piwnicy. Nie
pasuje do tego miejsca. Wdziera się niczym intruz.

Podchodzę ostrożnie. Zerkam przez szparę, podglądam to, co ukryte po drugiej stronie. Drzwi. Drzwi. Drzwi. Mogą wieść na manowce. Mogą skrywać koniec. Trzeba być ostrożnym, aby nie otworzyć niewłaściwych...

– Czego, do kurwy nędzy?! Czy wiesz, suczy synu, która jest godzina?! Już ja cię...! – Ojciec zamilkł, gdy tylko otworzył drzwi.

– Jest szósta piętnaście. Mam do ciebie kilka pytań – odparłem.

Chrząknął, położył odbezpieczoną broń na komodzie w przedpokoju i gestem zaprosił mnie do środka.

– Pytań?

– O matkę.

Zatrzymał się w progu salonu. Jakaś emocja igrała na jego twarzy, drżał podbródek, chwiały się kąciki ust niczym barometr nastroju, nie umiałem jednak odgadnąć, co ojciec czuje.

– Dobrze. – Pokiwał głową, jakby chciał przekonać sam siebie. – Dobrze.

Usiadłem na poszarzałej ze starości kanapie przy kawowym stoliku. Zdumiewające, że wewnątrz domu nic a nic się nie zmieniło, jedynie przygasło i... jakby ktoś skurczył je w praniu. Ojca zresztą też. Kiedyś wielki i groźny, wyglądał jak cień człowieka. Widząc go takim,

pomyślałem, że może zapukałem do niewłaściwych drzwi... Jednak prawda wygląda inaczej – odpowiedziałem sam sobie – drzwi pozostają te same, tylko za każdym razem, gdy je zamykamy i otwieramy, bezpowrotnie zmienia się to, co za nimi. To było sedno mojego strachu.

Między salonem a przedpokojem nie było drzwi. Pamiętam, ojciec zdjął je dawno temu. Dla mnie.

Teraz za to otworzył barek, wyciągnął butelkę wódki i napełnił szklanę.

– Chcesz?

Pokręciłem głową.

Mruknął, zamknął barek i usiadł w fotelu.

– Nie spodziewałem się, że kiedyś przyjdiesz i o nią zapytasz. Nie pisnąłeś nawet słowa na ten temat przez pięprzoną dekadę. Ja... – upił łyk – ...długo na to liczyłem. Ciągałem cię po konowalach i żaden nic nie działał. Nadal chodzisz do Szumskiego? Pieprzony oszust! Z dnia na dzień stałeś się innym dzieciakiem. Nie tylko zapomniałeś mnie i matkę, zacząłeś się bać drzwi i takie tam. Zachowywałeś się jak... Miałem wrażenie, że nie jesteś moim synem. Przestałeś bawić się ulubionymi zabawkami. Nie chciałeś już grać w ulubione planszówki. Przypatrywałeś się ludziom, jakbyś po raz pierwszy ich widział i nie chodzi mi o osoby, chodzi mi... – Pociągnął haust alkoholu. – Cholera, wiesz, o co chodzi! Wydawało mi się, że mieszkam z kosmitą. Gdybym wierzył w te

chrześcijańskie brednie, to bym pomyślał, że zostałeś opętany. Nie prosiłem się o to, więc jeśli oczekujesz przeprosin...

– Nie oczekuję.

Ojciec opróżnił szklanekę i uderzył nią o blat stolika.

– Matka, tak? Twoja matka, kiedy ją poznałem, była pieprzoną czarodziejką. Zobaczyłem raz, jak tańczy, i cały świat poza nią przestał dla mnie istnieć. Nie ja jeden tak miałem, nie ja jeden. Wybrała mnie. Dlaczego? He! Nie mam pojęcia! Kochałem ją, ale nie rozumiałem... Płakała, kiedy zaszła w ciążę. Mówiła, że ze szczęścia. Co dzień wylewała łzy. Jej taniec się zmienił, już nie było w nim tej... pasji. Nie spodziewałeś się po mnie takich spostrzeżeń, co? – Ojciec wstał, podszedł do barku i wyciągnął butelkę. Tym razem nie trudził się napelnianiem szklanki. – Masz mnie za potwora? Przyznaj!... Może i racja... Urodziłeś się i byliśmy szczęśliwi. Ja byłem. Twoja matka też, z początku, ale po kilku latach zaczęła gasnąć. Pojawiła się w niej tęsknota za tym, kim była kiedyś. To nie tak, że ciebie nie chciała. Zawsze pragnęła rodziny. Sama wychowała się w bidulu. Wiedziałaś? Wszystko spadło na mnie. Dom. Opieka nad tobą. Pamiętasz, jak razem graliśmy... Chuja pamiętasz! Tamtego dnia umarły dla mnie dwie osoby: żona i syn. Straciłem wszystko. Wszystko! A myślałem... wydawało mi się... Od rana była inna. Bardziej radosna. I ukrywała coś przede mną, chowała dłonie w kieszeniach, starała się, abym nie zaszedł jej od tyłu... Ale ja to wszystko widziałem. Nie zmylił psa. Mam nosa. – Przechylił butelkę,

z której pociągał między zdaniem, aby całkowicie pozabawić ją zawartości, po czy zatoczył się i w ostatniej chwili złapał oparcie fotela.

– Pojdę już – powiedziałem. – Ja... Dziękuję.

– Powiedz mi... Czemu teraz? Co cię tak naszło? Przypomniałeś coś sobie?

Nie widziałem powodu, aby kłamać.

– Rozmawiałem z Klucznikiem.

– Z tym skurwysynem?! Czego... Czego chciał? Za starych czasów czekałaby go lina! Słyszałem, że wpadł. Pomylił drzwi, tak powiedział!

Drzwi. Przypomniałem je sobie. Drzwi między regałami, opodal pieca.

– Mogę zejść do piwnicy?

– A po co?

– Chciałbym sprawdzić drzwi.

Ojciec machnął ręką, wskazując coś w przedpokoju.

– Widać je stąd. Wszystko z nimi w porządku. Ty nadal... Nadal się boisz, co? Tylko tych nie zdjąłem. I tych od sypialni, bo..

– Chodzi mi o te drugie – wszedłem mu w słowo. – Te na dole, z przeciwnej strony.

Ojciec spojrział na mnie jak na wariata.

– Ochujales? Tam żadnych drzwi nie ma. Zobacz sobie, jak chcesz.

Stara ściana z cegieł nie pozostawiała wątpliwości. Przebiegłem po niej palcami, szukając... sam nie wiem czego. Ból rozsadzał pospołu moją czaszkę i klatkę piersiową. Przecież śniłem o nich! Widziałem tak wiele razy! Byłem pewien. Latami wypatrywałem się w wejście do piwnicy, a przed oczami stawały mi drewniane schody, piec, regał pełen zakurzonych słoików i drzwi. Nie dane mi było to sprawdzić – ojciec zamknął drzwi i ukrywał klucz.

To w piwnicy mnie znalazł i byłem pewien, że scho- wałem się za tymi drzwiami – ale one nie istniały. Umysł spletał mi figla.

Rzuciłem się biegiem, najpierw schodami, potem przedpokojem, do wyjścia. Gdzieś za mną słyszałem pijacki śmiech.

Obiecałem sobie już nigdy tam nie wrócić.

– Masz odwagę jeszcze pokazywać mi się na oczy?! Po tym, jak zawałiłeś? Twoje wypowiedzenie jest już na biurku u Basi z kadr, możesz się pakować! – Wścikły redaktor naczelny przypominał maskotkę Byków z Chicago.

– Proszę dać mi jeszcze jedną szansę. Porozmawiam z Klucznikiem. Potrzebuję tylko pomocy kogoś, kto szybko zorganizuje widzenie i...

– I sądzisz, że ja ci zapewnię taką pomoc? Za kogo ty mnie masz? – zasapał redaktor. Nieodłączny papieros spadł gdzieś na dywan i wypalił dziurę, jedną z wielu. – Wiesz, że to kosztuje?

– Jestem pewien, że tym razem pójdzie dobrze.

Tak naprawdę wcale nie zależało mi na tym wywiadzie. Miałem pytania. I tylko Stanisław Kuczborski mógł udzielić mi odpowiedzi.

– O ile Klucznik się zgodzi.

– Proszę mu przekazać, że drzwi zniknęły.

Wdech. Wydech. Już tutaj byłem, a mimo to odczuwam strach...

Próbowałem z doktorem Szumskim hipnozy. Odliczałem od stu w dół, wsłuchując się w głos terapeuty prowadzącego mnie pod prąd czasu. Przemknąłem przez studia, gdy spotykałem się z Emilią (mój pierwszy i ostatni związek) – ja nie potrafiłem uronić łzy, ona płakała zawsze, przy najmniejszej okazji. Z rozpędem wpadłem w nastoletni bunt, kiedy byłem tym dziwnym chłopakiem z pierwszej ławki w rogu, obserwującym zapamiętałe drzwi do sali. Wytraciłem prędkość gdzieś w okolicach podstawówki, na boleśnie długich sesjach ze szkolną psycholog. Zatrzymałem się na dniu, gdy ojciec znalazł mnie w piwnicy.

Stałem tam, zagubiony, nie poznając tego miejsca. Usłyszałem kroki. Skrzypiące schody uginały się pod ciężarem wysokiej, potężnej istoty, która zbliżała się do mnie. Kim... czym była? Złapała mnie i pociągnęła ku górze. W ten sposób moja pamięć zarejestrowała moment, gdy znalazł mnie ojciec.

Teraz, stojąc przy drzwiach do pokoju odwiedzin i czekając na sygnał strażnika, próbowałem sobie przypomnieć każdy szczegół oglądanej wówczas piwnicy.

Popękany sufit, z którego zwisała samotna żarówka. Zakurzona, betonowa podłoga. Szum gazowego pieca. Schody. Co było wcześniej?

– Proszę wchodzić. – Strażnik dyskretnie popycha mnie ku drzwiom.

Wdech. Łapię za klamkę. Wydech. Naciskam.

Gdzie tym razem trafię? Czy po drugiej stronie będzie przykuty do stołu Stanisław Kuczborski? A może on też zniknie? Może w świecie za progiem nigdy go nie było? Może...

Drzwi ustępują. Ostre światło pada przez szczelinę między nimi a framugą. Tnie rzeczywistość niczym nożem. Przecina strażnika na dwie części.

Pamiętam, gdy odwróciłem się wtedy, były za mną. Zamknąłem je ostrożnie, napierając plecami, aby istota ciężko stąpająca po schodach ich nie zauważyła. Kiedy ciągnęła mnie w górę, widziałem już pustą, ceglana ścianę. W kieszeniach spodni ukryłem klucz...

Wchodzę. Okala mnie światło, muszę zmrużyć oczy. Jakby ktoś wycelował lampę prosto w twarz.

Krok przez próg – zaciśnięte powieki, wstrzymany oddech, mięśnie napięte – i już byłem po drugiej stronie.

– Masz klucz, potrzebujesz tylko drzwi – powiedział Klucznik.

Problem w tym, że gdzieś zniknął, a wraz z nim kajdanki, stół, świetlówki w suficie i przeciwległy koniec pomieszczenia. Przede mną rozciągał się korytarz, którego koniec zniknął gdzieś za horyzontem, bliższym, bardziej zakrzywionym, niż przywykł do tego ludzki zmysł wzroku. Od korytarza odchodziły inne, biegnące w obydwie strony. Ale najgorsze były ściany. Ściany pełne drzwi.

Zimny pot oblepił skórę, kiedy z duszą na ramieniu poczyniłem niepewny krok w głąb korytarza. Mijane drzwi urosły do ogromnych rozmiarów. Nie. To ja zmaląłem. Spojrzałem na moje ręce – kościste palce o grubych kostkach zmieniły się w drobne, dziecięce dłonie. Zamiast wyglancowanych butów miałem na stopach kolorowe skarpety.

Byłem dzieckiem. Byłem sobą sprzed dwudziestu lat.

Odwróciłem się na pięcie, aby dopaść drzwi piwnicy i wybiec na powierzchnię, z dala od tych cholernych

przejsć, gdzieś, gdzie będę wolny od strachu, ale za mną rozciągał się mrok.

Korytarz, gdzie indziej rozświetlony i jasny, tam tonął w cieniu. Ściany, sufit i podłoga były zniszczone, jakby z każdym metrem nie tylko narastała ciemność, ale przestrzeń zmieniała się w czas odciskający tam piętno, zaś na końcu wiodącej tam drogi znajdowała się pusta futryna. Cokolwiek było po drugiej stronie, wżerało się w ten przedziwny, złożony z drzwi i korytarzy świat.

– Nie idź tam, chłopcze. – Ktoś złapał mnie za ramię.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem twarz mężczyzny. Nie miałem prawa go wtedy rozpoznać, ale cząstka mojej świadomości, wyrzucona w przeszłość przez zapętłony nurt czasu, wiedziała, że to twarz młodszego o dwadzieścia lat Klucznika.

– Wielkim błędem było otwarcie tych drzwi. To, co tam jest, nie pozwoliło ich już zamknąć. – Pochylił się nade mną i włożył mi w dłoń mały, stalowy przedmiot. – Masz klucz, potrzebujesz tylko drzwi. Wracaj do domu.

Drzwi. Setki, tysiące, miliony, nieskończone zbiory drzwi niczym w matematycznym hotelu Hilberta, a ja musiałem odnaleźć właściwe. Nie odszedłem daleko, musiały więc być gdzieś obok, jeśli w tym miejscu obowiązywały jakiegokolwiek prawa czasu i przestrzeni.

Pierwsze. Klucz nie pasował. Drugie. Tak samo. Trzecie... Czwarte... Dwudzieste piąte... Tysiąc trzysta szesnaste...

Straciłem rachubę, gdy trafiłem na właściwe. Trafiłem do piwnicy, choć dla tej cząstki mnie, która pochodziła z przeszłości, miejsce wydawało się obce. Zatrzymała ją inność świata, miękkość światłocieni, nieostrości kształtów. Nagle rozległ się hałas.

To ojciec schodził po schodach. Złapał mnie za rękę i pociągnął z powrotem tam, skąd przyszedł, ku drzwiom. Były uchylone. Światło zachłannie wdzierało się do środka przez szczelinę. Musiałem zmrużyć ocz, gdy przekraczałem próg...

– Wszystko w porządku? Proszę usiąść. – Dłoń poprowadziła mnie do krzesła. Jak zdążyłem się rozeznac, była to dłoń strażnika.

Wróciła sala odwiedzin, stół i przykuty do niego Klucznik. Wpatrywał się we mnie, świdrował spojrzeniem, powstrzymując uśmiech igrający na ustach. Drzwi sprowadziły mnie znów do tego czasu i miejsca. Ile trwała podróż? Tyle, co przejście przez próg.

Usiadłem. Nie byłem jednak w stanie wydusić słowa.

– Drzwi zniknęły – wyszeptał Klucznik. – Przypomniałeś sobie? Wiesz, że już się spotkaliśmy?

Przytaknąłem kiwnięciem głowy, chociaż to wspomnienie wróciło do mnie w ostatniej chwili i sądziłem,

że w jakiś niewytłumaczalny sposób staruszek przede mną maczał w tym palce.

– Musiałem cię odesłać podczas naszej poprzedniej rozmowy – mówił tak cicho, jak tylko się da. – Inaczej byś mi nigdy nie uwierzył. Już wiesz, jak dostałem się do twojego domu? Skąd miałem klucz?

Ponownie przytaknąłem, chociaż miałem tylko mgliste wyobrażenie tego, co się wtedy stało.

– Nie kłam, chłopcze! – syknął nagle i zamilkł. Zdawało się, że rozmowa jest skończona.

Dlaczego właściwie zależało mi na tym, aby dowiedzieć się więcej? Całe dotychczasowe życie płynąłem z prądem jako obserwator ludzkich zachowań i dążeń, sukcesów i tragedii, samemu tak naprawdę nie pragnąc niczego.

Chciałem coś powiedzieć, jednak nic nie przychodziło mi do głowy. Zacisnąłem tylko pięści na materiale spodni. Przeszukiwano mnie. Przechodziłem przez wykrywacz metalu. A jednak miałem coś w kieszeni. Byłem pewien, że to klucz.

Klucznik westchnął.

– Niech będzie. Zestarzałem się, chłopcze. Popelniam błędy. Potrzebuję pomocnika. Kogoś, kto odbuduje ze mną drzwi. Rozumiesz, chłopcze? Widziałeś przecież. Nieważne. Masz klucz, sam otworzysz drzwi. Przyjdź nocą, we śnie. Będę czekał.

Nie rozumiałem z tego nic. Próbowałem zapytać, gdy Klucznik zawołał:

– Strażnik!

Klucz. Zwykły klucz z kolistym fragmentem pozwalającym obrócić go w zamku i ząbkowanym ostrzem, pozbawiony zdobień i logo. Najprostsza ręczna robota, solidna, ale bez fantazji. Niezwykle było w nim tylko to, że znalazł się w mojej kieszeni.

Wypatrywałem się w ten kawałek metalu, próbując zrozumieć, czego ten stary wariat ode mnie chciał. Przyjść nocą... jak? To było jedno z długiej listy pytań, na które nie znałem odpowiedzi. W ciągu dwóch dni twarda, niewzruszona rzeczywistość rozciągnęła się w elastyczną, miękką glinę, dającą się łatwo formować przez myśli, niczym we śnie. Nie drżałem już o to, co może mnie spotkać za drzwiami – strach wdarł się nawet do moich kieszeni, przemycił tuż na granicy pola widzenia i gdy tylko odwracałem wzrok, nie mogłem być pewien tego, co zobaczę ponownie w tym samym miejscu. Nieznane przekroczyło próg, niegdyś bezpiecznie oddzielający je ode mnie, i czało się za plecami.

Bałem się odwrócić, bałem się popatrzeć w lustro, aby nie powędrować spojrzeniem ponad ramię, więc siedziałem wtulony w oparcie fotela, patrzyłem na klucz i nasłuchiwałem każdego szmeru.

Po jakimś czasie Nieznane zaczęło mówić.

Klucznik i jego klucz – czyli koniec tej historii

Strażnik zakończył nocny obchód, więźniowie odpłynęli już w sen, Stanisław Kuczborski unosił się nad łóżkiem, poza granicami jawy, i wyczekiwał drzwi.

Pojawiły się na ścianie pomiędzy pryzcami, rozciągając przestrzeń na tyle, aby mógł przejść przez nie dorosły człowiek. Szczeknięcie zasygnalizowało obrót zamka.

Stanisław Kuczborski spłynął spod sufitu, unosił się obok swojego ciała i czekał. W końcu, po nieznośnie długiej chwili, drzwi stanęły otworem. Pośród fali białego światła pojawiła się ludzka sylwetka.

– Jesteś! Udało ci się! – zakrzyknął entuzjastycznie Kuczborski. – Nie mogłem podać ci więcej szczegółów, gdy wszyscy nas słuchali, ale miałem nadzieję, że klucz cię poprowadzi.

– Nie myliłeś się, Kluczniku.

Młody mężczyzna podszedł do śpiącego ciała. Poruszał się wolno, ważąc każdy krok.

– Daj mi klucz. – Oddzielona od ciała jaźń Stanisława Kuczborskiego wyciągnęła dłoń ku przybyszowi. – Nie musisz robić nic więcej. Trudno jest poruszać się w Pomędzy. Wystarczy na chwilę stracić skupienie, a drzwi znikną i zostaniesz tu ze mną, zamknięty. Znacznie trudniej ponownie przywołać te odpowiednie, wierz mi. Dlatego wpadłem... No już, nie wahaj się. Daj mi klucz. Ostatnim razem to były tylko chwilowe problemy

z sercem, w innym wypadku by się udało. Wyjdziemy razem i wszystkiego cię nauczę... Daj mi klucz, słyszysz?!

– Nie po to tu przyszedłem – odparł przybysz. Zbliżył się do głowy staruszka i wepchnął mu klucz w usta. Potem zacisnął dłonie na jego szyi.

– Nie! Co ty robisz?! Nie możesz! Nie rozumiesz! – Jaźń miotała się ponad ciałem w bezskutecznych próbach powrotu. Za późno. Fizyczna powłoka została zapieczętowana. – Ja muszę to zrobić! Muszę zabijać! Tylko ofiara utrzymuje tamto coś za progiem wyłamanych drzwi! Przestań! To zemsta?... Za... matkę?

Młody mężczyzna nic nie mówił, wzmocnił za to uścisk, a gdy usłyszał chrupot kości, coś pojawiło się w jego oczach.

– Ty... Sam nie dasz rady... Ty nie... – wyjęczała Jaźń Stanisława Kuczborskiego na sekundę przed tym, gdy pochłonęła ją pustka.

Następnego dnia, w czasie porannego obchodu, strażnik odnalazł zwłoki seryjnego mordercy znanego jako Klucznik. Ślady duszenia i pęknięty kręgosłup jednoznacznie wskazywały na współwięźnia, który – choć utrzymywał, że jest niewinny – był jedyną osobą w celi poza denatem.

Sprawy klucza odnalezioneego w ustach nikt nie roztrząsał.

Epilog – Łzy smutku, łzy radości

Emilia wróciła z nocnej zmiany, zrzuciła buty i przysiadła na pufie w namiastce przedpokoju wynajmowanej kawalerki, aby rozmasować obolałe stopy. Praca kelnerki nie stanowiła urzeczywistnienia jej marzeń – podjęła ją jeszcze na pierwszym roku studiów, aby dorobić. Jak to się stało, że obroniła magistra i nadal znajdowała się w tym miejscu?

Łzy cisnęły się jej do oczu, a nie zwykła ich powstrzymywać.

– Ciekawe, co u niego – powiedziała do siebie w przy-
pływie wspomnień.

Z Adamem Marcinkiewiczem rozstała się w połowie drugiego roku i do niedawna nie wracała myślami do ich związku, ale ostatnie doniesienia w mediach o schwytaniu Klucznika przywołały z pamięci obraz przystojnego, tajemniczego chłopaka, który okazał się zamkniętym emocjonalnie świrem dostającym erekcji, gdy ona wpadała w płacz.

Zerwała z nim tuż po tym, gdy musiała uśpić Pana Mruczka, starego kocura towarzyszącego jej przez większość życia. Siedziała wówczas, zalewając się łzami, zwinięta na podłodze w swoim pokoju w akademiku, a on obserwował ją wzrokiem, którym mógłby przyglądać się zwierzętom w ZOO. Potem wyszedł do łazienki. Kiedy podeszła do drzwi, dobiegł ją odgłos nie do pomylenia.

Adam masturbował się w jej łazience, w dzień śmierci jej kota, w chwili jej żałoby.

Nie mogła go do końca winić, zważywszy na wszystko, co go spotkało, ale to było zdecydowanie za wiele.

– Biedak. Oby znalazł pomoc – westchnęła, padając na kanapę.

Zmęczenie ciążyło jej u powiek, sen zapraszał do swojego królestwa, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Wcisnęła twarz w poduchę, próbowała zignorować dźwięk w nadziei, że ktokolwiek postanowił zawrócić jej głowę o tej porze, szybko zniknie. Pukanie jednak nie ustawało.

– Kto tam?! – krzyknęła, poderwawszy głowę z poduszki, tracąc cierpliwość i widoki na szybką drzemkę.

Wtedy zauważyła drzwi.

Pojawiły się między aneksem kuchennym a wejściem do łazienki, tam, gdzie wisiała jej fotografia z rozdania dyplomów. Ściana musiała urosnąć wzdłuż, aby je tam zmieścić, ale pozostałe wymiary i proporcje mieszkania zdawały się bez zmian. Nie było drzwi – są drzwi. I ktoś, kto pukał w nie po drugiej stronie.

– To musi być sen – powiedziała do siebie, jak to zwykła robić, i wstała z kanapy. Od drzwi dzieliły ją dwa kroki.

– Klucz. Masz go w kieszeni – stwierdził głos tego, który pukał.

Sięgnęła do kieszeni. Rzeczywiście, znalazła tam klucz. Pewna, że właśnie śni, bez obaw włożyła go do zamka i przekręciła.

– Adam? – zapytała. – Myślałam o tobie ledwie przed chwilą!

Zaraz jednak dostrzegła, że coś nie zgadzało. W końcu nigdy nie widziała, aby Adam w oczach miał łzy.

Wyjawienie tajemnic – czyli środek tej historii

W kluczach jest zakłęta niewyobrażalna moc, teraz rozumiem to doskonale.

Klucze są strażnikami przejść. Otwierają i zamykają światy. Mając odpowiedni klucz i pasujące do niego drzwi (tak! Dokładnie w tej kolejności, nie odwrotnie!), można związać przestrzeń i czas, połączyć jawę oraz sen, przemierzać zarówno istniejące światy, jak i te, których w ogóle nie ma.

Staruszek sądził, że zdoła zachować swoje tajemnice, mówiąc mi mniej, niż potrzeba. Zazdrośnie wydzielał informacje i dawał skąpe wskazówki. Głupiec! Sam nie znał prawdy. Nie mógł jej znać, bo przeszedł przez drzwi do tamtego domu, który stał się moim domem, a kiedy wrócił, było już po wszystkim.

Dał mi swój klucz.

Dał mi swój klucz, a on otworzył drzwi do czasu i miejsca, kiedy-gdzie przyszedłem na świat.

Entropia wypełniała to miejsce, rozlewając się mrokiem i rozkładem poza jego granice, przez futrynę wyłamanych drzwi, które tamten stary głupiec kiedyś nieopatrznie

otworzył. Część mnie – ta istniejąca od dawna, starsza niż drzwi i klucz, który nas zamknął – pamięta to wydarzenie. Cisza zaczęła wówczas śpiewać, a nicość nadęła się i spuchła. Radosna to była chwila dla nas: dla mnie i dla wszystkiego, czego nie ma.

By nas powstrzymać, rzucił nam dusze na pożarcie.

Aż pojawił się chłopiec.

Wszedł w ciemność, kwilący i zagubiony. Przebył próg wyłamanych drzwi – i zniknął. Wtedy narodziłem się ja: wierna kopia bez pamięci i bez duszy, ale nie bez celu, choć dopiero, gdy staruszek dał mi klucz, mogłem go sobie uświadomić.

Obserwowałem ludzi. Zdobywałem wiedzę. Szukałem tego, co w nich najcenniejsze, czekałem, aż los się o mnie upomni, i jestem gotów.

Teraz wiem, że łyżę nas nakarmią.

AGATA KUBALA

KABINA

Odgłosy ekspresu do kawy przypominały żywą istotę. Jego sapanie i siąkanie podrywało mnie z siedzenia. Czasami wydawało mi się, że jesteśmy na dworcu całkiem sami, ja i mój parszkający kawą towarzysz, lecz wtedy zawsze pojawiał się jakiś odważny ochroniarz, próbujący mnie podrywać, albo obrażona na swoją brygadę sprzątaczką, która nie miała do kogo ponarzekać.

Nic lepszego od nocnej zmiany w całodobowej kawiarni nie mogło mnie spotkać. Nie potrafiłam dłużej wstawać na ósmą. Nie potrafiłam spać w nocy; robiło się wtedy zbyt strasznie. Terapeutyczne naświetlania z gier pozwalały mi przetrwać do świtu i zasypiałam ukołyszana odgłosami krzątania się po kuchni moich współlokatorów.

Nocne zmiany były lekkie i przez większość z nich mogłam po prostu przesiedzieć siedem godzin na telefonie. Czyściłam ekspres, myłam podłogę i przecierałam blaty, kiedy już nie mogłam wytrzymać z nudów. Prawdziwy dreszcz emocji wywoływały opóźnione nocne i poranne pociągi, których pasażerowie ściągali do mnie

po darmową kawę w ramach rekompensaty od kolei. To jednak nie zdarzało się często. Polskie koleje to już nie to, co kiedyś.

W jedną z tych nocy, gdy posapywanie ekspresu wydawało się jednym dźwiękiem na całym świecie, zrozumiałam, że nikt nie zauważy, jeśli zniknę. Była jakaś zwykła środa czy czwartek, czy inny niepotrzebny dzień tygodnia; po feriach, których istnienie uświadomiła mi natężona obecność dzieci na dworcu, pod koniec lutego, którego bym nie zauważyła, gdyby nie mokra kupa szarego śniegu, w którą wdepnęłam, wysiadając z autobusu poprzedniego dnia.

W poczekalni nie było nikogo.

Powinni się tam kręcić ochroniarze, lecz przepadli; może wyszli zapalić razem ze sprzętaczkami, które też wciął. Wywiesiłam kartkę z napisem „zaraz wracam”. Dworzec był całkowicie bezludny.

Nie miałam pomysłu, gdzie się wybieram. Koncepcja spaceru była mi obca, i to dużo dłużej, niż od roku, w którym rzuciłam studia. Tak naprawdę nie byłam pewna, jak się do tego zabrać. Mogłam wziąć ze sobą słuchawki i puścić jakiś podcast, może nawet się czegoś dowiedzieć, ale teraz już było za późno. Najważniejsze, że zabrałam papierosy.

Wskoczyłam na ruchome schody prowadzące na piąty peron, zanim ktoś zdążył się pojawić i zauważyć moje istnienie.

Na torach nie stał ani jeden pociąg, a po mojej prawej widziałam wszystkie perony, jakby ten, na którym stoję, odbijał się w nieskończonym ciągu luster. Na żadnym nie było żywej duszy. Doczłapałam do hałdy czarnego śniegu, usypanej przez sprzątaczkę pod kolumną, i zapaliłam papierosa. W normalnym świetle można za to dostać mandat, ale nie po to pracowałam przecież na nocnej zmianie.

Po ciemku niewiele było widać. Powleklam się przed siebie. Ekspres do kawy raczej za mną nie tęsknił.

Metalowe ławki też wyglądały, jakby ktoś skopiował i wkleił ten sam kawałek krajobrazu, powielonego czterokrotnie. Nie dziwiłam się ochroniarzom, że ciągle przyłazą zawracać mi głowę. Od patrzenia na to codziennie można było zwariować. Dobrze, że ja miałam to już za sobą i dworcowy krajobraz nie mógł mnie bardziej skrzywdzić.

Nie dość, że peron był długi i cały wyglądał tak samo, to na jego końcu ziała śmierdząca dziura.

Wrzuciłam do niej peta. Poturlał się w dół tunelu i zatrzymał na ścianie. Zeszłam razem z nim; śmierdząca dziura wydała mi się bardzo odpowiednim miejscem dla takiego spacerowicza jak ja. Moja spacerowa aleja miała z obu stron wysokie okna – teraz oczywiście całkiem ciemne, umieszczone wyżej od mojej głowy. Dobrze. Ja zmierzałam w dół. Tam, gdzie czekała dziura jeszcze ciemniejsza i jeszcze bardziej śmierdząca.

Zrozumiałam, że znalazłam się w tunelu łączącym perony ze sobą i, przypuszczalnie, z jakimś światem zewnętrznym. Tam się nie wybierałam. Tunel po mojej prawej zakręcał ostro w górę, w stronę światła. Odwróciłam się w drugą stronę.

Nie byłam sama.

W moją stronę, z metalicznym szczękiem, zmierzała wysoka, zgarbiona postać. Wzdrygnęłam się odruchowo na widok drugiego człowieka; nie widziałam nikogo chyba od trzech godzin. Zamarłam i przyglądałam się, jak człapie spod trójki, co krok wydając dziwny, mechaniczny odgłos. Sylwetka nieznajomej była szeroka, jakby założyła trzy kurtki, jedna na drugą; ciągnęła za sobą jakiś ciężki przedmiot, który obijał jej się o nogi. Posapywała przy tym ciężkim, chrapliwym oddechem. Z jej szyją coś było nie tak; była nienaturalnie prosta i wydłużona. Sterczała z obszernego korpusu pod dziwnym, ostrym kątem.

Gdy doczłapała pod światło lampy, zobaczyłam jej kołnierz ortopedyczny i fioletowe limo zajmujące pół twarzy.

– Takie to teraz czasy – gorączkowała się nieznajoma, przesuając ku mnie po ladzie kolejne dziesięciogroszówki, z których uciulała w końcu osiem złotych na czarną kawę. Zgarnęłam je wszystkie do szuflady bez liczenia. – W biały dzień. Mogą cię pobić, okraść, nikt się nie zainteresuje.

Odpaliłam ekspres, nie przejmując się tym, że nie przypominałam sobie, abyśmy przechodziły na ty. Zaczęła narzekać na swoje ciężkie życie, gdy nasze oczy spotkały się w tunelu, i przysłała za mną aż do kawiarni.

– Nikt? A policja?

Prychnęła.

– A bo to policja pomoże? Mandaty wypisywać to pierwsi, to potrafią. A człowieka można pobić i okraść, i nic. W biały dzień. No nic, dziękuję. Ty to jedyna tutaj jak człowiek...

Pokiwałam głową i patrzyłam, jak kobieta sadowi się na kanapie w rogu – wielka sterta kurtek z szyją sterczącą pod dziwnym kątem.

Nawet nie wiedziałam, jak bardzo można przypalić gofry, dopóki nie oznajmił mi tego wyjący alarm przeciwpożarowy i komunikat o ewakuacji. Nie miałam wyrzutów sumienia z powodu czarnego dymu wypełniającego szklane ściany kawiarni. Widzieli, kogo zatrudniają, a z gofrownicy nawet nie było szkolenia.

Poczułam się jednak w obowiązku pozostać na posterunku, w razie gdyby ktoś przyszedł ją gasić. Były to w końcu moje czarne gofry.

– Czemu się nie ewakuujesz? – rzucił technik Patryk, który przybył mi na odsiecz z gaśnicą.

– Bo nic się nie pali. – Machnęłam ręką w stronę gofrownicy, która, odłączona od prądu, powoli przestawała kopicieć.

Patryk odłożył gaśnicę, obejrzał z każdej strony moje czarne gofry i wyraził ubolewanie dla mojego przyszłego męża. Nie skomentowałam tego wyborczego żartu.

– Widziałem, że Klaudyna tu do ciebie przychodzi – rzucił jeszcze, wyraźnie nie paląc się do powrotu do pracy, choć w sprawie zadymienia zrobił wszystko, co było możliwe, to jest kazał mi zostawić na razie otwarte drzwi.

– Kto?

– Ta bezdomna z kołnierzem. My ją tu już dobrze znamy.

– Klaudyna? – mruknęłam. – Tak ma na imię?

– Nie wiem, czy się komuś przedstawiała. Tak na nią mówi ochrona.

– Mówiła, że ktoś ją pobił.

– Nie wierz jej za bardzo. – Patryk machnął ręką. – Chce cię wziąć na litość. Od miesiący chodzi w tym kołnierzu i każdemu mówi co innego. Popracujesz dłużej, to ci zaczniesz opowiadać, że ją z kibla porwali kosmici.

– Kosmici?

– Albo duchy, albo coś takiego. Ona ma trochę... – Technik narysował sobie kółko na czole.

– Z kibla?

– Aha, takiej Ewelinie co tu była przed tobą, tak opowiadała. Przeagentka.

O moim zadymieniu i czarnych gofrach szybko zaczęły krążyć legendy, przez co jeszcze tydzień później ochrona i sprzątaczkę ścigali do całodobowej kawiarni jak pielgrzymi, by na własne oczy zobaczyć przyczynę zamieszania. Niektórzy liczyli też na bliskie spotkanie trzeciego stopnia z Klaudyną. Afera ucichła, gdy przypadkowy kolejkowicz rzucił się na ochroniarza z nożem, a ten bohatersko umknął śmierci z pomocą chwytu judo. Uwaga dworca opuściła mój skromny przybytek.

Wywiesiłam kartkę z napisem „zaraz wracam”.

Tym razem wspięłam się po schodach do Burger Kinga. Nigdy nie zaszłam dalej i nawet nie zwróciłam uwagi, że prowadzą gdzieś wyżej. Dworzec to nie miejsce, w którym chce się zostawać na dłużej. Dopiero gdy zaczęłam przebywać tu mimo woli, odkryłam, ile ma dziwnych zakamarków.

Nie zauważyłam istnienia antresoli nawet feralnej październikowej nocy, którą spędziłam na dworcu, zanim jeszcze przyszło mi do głowy, że mogłabym pracować gdziekolwiek, a co dopiero tu. Moi zaniepokojeni współlokatorzy uznali wtedy, że dobrym pomysłem będzie dzwonić znajomych i zorganizować coś w rodzaju interwencji. Nie wiedzieli, że z takimi atrakcjami dobrze jest zaczekać, aż przedmiot zaangażowania będzie trzeźwy; a może doszli do wniosku, że musieliby tak czekać do usranej śmierci. Tak czy inaczej, sprawy przybrały przewidywalny obrót. Wybiegłam z mieszkania i zatrzymałam się dopiero na dworcu. Niewykluczone, że nazwałam

kogoś przy tym przemocowym psychopatą. Nie pamiętałam już, jakie dokładnie padły słowa, w każdym razie nikt mnie nie gonił.

Myślałam, że będę tam mieć spokój, i chwilami rzeczywiście tak było; udało mi się nawet przysnąć na chwilę koło czwartej nad ranem. Noc spędziłam jednak głównie na byciu wypytywaną, czy czekam na pociąg, czy mam bilet i czy skoro nie, to czy byłabym łaskawa wypierdalać. Ochroniarski pościg zawiódł mnie nawet do całodobowej kawiarni; problem polegał na tym, że w szale oskarżeń o bycie chujowymi współlokatorami nie wzięłam ze sobą portfela, i stamtąd też mnie przepędzono. Nie żeby coś by to zmieniło, gdybym miała portfel przy sobie. Miałam wtedy ważniejsze wydatki.

Kiedy dawniej słyszałam o ludziach tracących majątki na narkotyki i hazard, wyobrażałam to sobie jakoś bardziej kolorowo. Rodzice mieli rację: to wszystko przez ten komputer. Nie trzeba było już nawet wyściubiać nosa z pokoju, żeby przegrać wszystko. Wdzięczni Chińczycy przyjmowali różne formy płatności za swoje gry z losowaniem postaci. Okazało się też, że spożywanie kontrolowanych substancji nie wymaga nie tylko imprezowania, ale też ani jednej żywej duszy obok.

Ani jednej żywej duszy nie zastałam w poczekalni, na metalowych, zimnych ławkach, ani w przewijalni, gdzie spojrzę na mnie tylko brudne lustro. Nikt nie siedział pod zamkniętą kasą Kolei Małopolskich; nikt nie czekał

na windę na perony. Oparłam się o barierkę, upstrzoną odciskami rąk, które odjechały dawno temu w nieznanym kierunku.

Nikogo nie było w holu kasowym, na który patrzyłam z góry. Nikt nie drzemał na krzywych, plastikowych ławkach, stworzonych tak, by siedzenie na nich było tak niewygodne, jak to tylko możliwe. Ochroniarze gdzieś po raz setny odtwarzali przebieg niedawnego zajścia z nożownikiem; sprzątaczkę podpisały listy i mogły w spokoju przesiedzieć resztę zmiany w swojej kanciapie. Nawet pani z jedynej czynnej kasy wyszła na papierosa.

Z tej wysokości widziałam swoją kawiarnię, puste kanapy i fotele, uśpiony ekspres i ladę, za którą nikt nie stał. Przyszło mi wtedy do głowy, jakie to byłoby uczucie, zobaczyć samą siebie, jak kuca przy szklanych drzwiach, otwiera zamek łączący je z podłogą, ściąga tabliczkę „zaraz wracam” i rozsiada się na stołku pod zlewem. Ponieważ czułam się jak jedyny człowiek na świecie, ona, czyli ja, była jedyną osobą, jaką mogłabym zobaczyć z mojego punktu obserwacyjnego. Może to jakieś resztki wszystkich pigułek, które powinnam i których zdecydowanie nie powinnam brać, zrobiły mi coś z mózgiem; w każdym razie wydało mi się, że tak z pewnością się stanie, że następnym, co zobaczę, będzie czerniąca się pod piątym peronem moja własna kurtka i sprany błękit moich własnych włosów.

Odwróciłam się do barierki plecami. Przez chwilę stałam tam jeszcze, wmurowana do podłogi przez własny usmażony mózg, aż stwierdziłam, że muszę się

ruszyć, zanim wmówię sobie, że czuję na karku jej – mój własny – wzrok.

To odkrycie nowego miejsca dziwnie na mnie podziało. Wróciłam na dół, w znajome rejony, minęłam jasne plakaty Burger Kinga i prawie zbiegłam jeszcze niżej, do toalet służbowych, z głową wygiętą w prawo, by znowu się nie zagapić na pustą kawiarnię.

W damskiej toalecie dla pracowników było osiem kabin: cztery po lewej i cztery po prawej, każda za takimi samymi niebieskimi drzwiami. Widziałam je codziennie. Zdarzyło mi się nawet być w środku.

Nigdy nie byłam w środkowej, dziewiątej kabinie, tej ustawionej naprzeciwko drzwi, wciśniętej między dwa rzędy pozostałych, może dlatego, że wcześniej jej tam nie było. Nie mogło jej tam być; między niebieskimi drzwiami po lewej i prawej nie było na tyle miejsce. Nie dałoby się ich otworzyć. Dziewiąta kabina wyrastała wprost ze ściany. Jej plastikowe ścianki działowe były wmurowane w tynk.

Wtedy zastanowiłam się poważnie, czy powinnam przyjmować jakiegokolwiek piguły, nawet te, które sprawiały, że potrafiłam wyjść w innym celu, niż do paczkomatu czy po energetyki do Żabki. To, co się ze mną działo, nie mogło być zdrowe. Nigdy nie mieniło mi się w oczach w tak głupi sposób.

Zamek w dziewiątej kabinie odskoczył. Jej drzwi się uchyliły, nie zahaczając o te po obu swoich stronach i wydając przy tym ciche skrzywienie, towarzyszące

wszystkim zawiasom na dworcu. Jeżeli ktoś tam był, to kabina nie mogła mi się przywidzieć; była po prostu kolejnym z długiej serii architektonicznych absurdów tego budynku.

Spod fioletowej, spuchniętej powieki błysnęło na mnie białko oka Klaudyny. Poruszała się z tą samą ostrożnością i niepewnością, co wszystkie bezdomne kobiety, oprócz tych zbyt pijanych czy naćpanych, by przejmować się swoim losem. Za pobitą twarzą wysunął się koński ogon, czysty i równy, jakby właśnie w tej kabinie przed chwilą się uczesała; za nim sztywna kolumna kołnierza ortopedycznego, aż wreszcie stanęła przede mną cała, w swoich licznych warstwach odzieży i z pękatą torbą na kółkach. Nie pachniała tak, jak poprzednio, jak ktoś, kto notorycznie śpi na dworcach.

Nie przestraszyła się mnie, ale chyba nie wiedziała, z której strony mnie ominąć. Stałyśmy przez chwilę naprzeciwko siebie i nic nie mówiliśmy.

Przerwał nam łoskot otwierających się drzwi do toalet i tupot Gośki z brygady sprzątającej, pobrząkującej reklamówką. Spojrzała na mnie, na Klaudynę, i znowu na mnie, potrząsając przy tym czarnym tapirem.

– Można mówić, żeby nie wpuszczać – westchnęła i wyminęła nas obie. Oparłam się o drzwi normalnej, zwyczajnej kabiny po prawej, żeby mnie przy tym nie staranowała. Klaudyna wymknęła się, chrzęszcząc swoją torbą na kółkach. – Dla pracowników, to dla pracowników, a nie, kurwa, wpuszczanie każdego jak leci.

Podążyła wprost do dziewiątej kabiny i otworzyła jej drzwi na oścież. Teraz, gdy nie zasłaniała jej obszerna sylwetka Klaudyny, zobaczyłam, że nie ma tam sedesu – była jedynie równa ściana. Nie miałam pojęcia, jak kobieta zmieściła się tam ze wszystkimi kurtkami i jeszcze torbą. Gośka zaczęła wyjmować z reklamówki puste butelki po piwie i ustawiać je w rzędzie. Gdy wszystkie już stały pod ścianą, zwinęła siatkę w kulkę, zamknęła za sobą drzwi i wyszła, patrząc na mnie jak na wariatkę.

– Takie to teraz czasy – stękała Klaudyna, z nieprzyjemnym piskiem przesuwając monety po ladzie. – Jeżdżą jak wariaci. Człowieka przejedzie na pasach, jak żabę, nawet nie zauważy...

– A to pani nie pobili? – spytałam odruchowo, wrzucając dziesięciogroszówki do kasy bez liczenia.

– Kto pobił? – zdumiała się Klaudyna.

– To nie panią na dworcu pobili?

– Mnie pobili? – Kobieta uniosła brwi; spuchnięta skóra wokół oka naciągnęła się, ukazując szerszy skrawek białka w oku. – Mówię, że mnie wariat przejechał na pasach. Walnął i nawet się nie zatrzymał. Tacy są teraz. Ty to jedyna tutaj jakaś ludzka...

Spalony przeze mnie czajnik nie wywołał na tyle zamieszania, żeby znów ewakuować dworzec, ale wyłączył bezpiecznik i technik Patryk musiał przyjść mi z pomocą. Dzwonienie do niego bardzo wytrąciło mnie

z równowagi. Musiałam wykonać telefon na oczach ludzi czekających na herbatę i czuć się jak idiotka, kiedy czekałam, aż przyjdzie i będę mogła wreszcie się ich pozbyć, a gdy już się pojawił, nie mógł powstrzymać się od złośliwości i wypominania mi czarnych gofrów. Jak na miejsce, w którym dość regularnie dochodziło do pobić i samobójstw, ludzie pracujący na dworcu mieli zaskakującą pamięć do drobiazgów tego typu.

Ponieważ bardzo chciałam zmienić temat, przypomniałam sobie o dziewiętej kabinie w damskiej służbowej toalecie. Następnego dnia była już zdemontowana, i nie mogłam pojąć, o co z nią chodziło. Najbardziej prawdopodobną wersją zdarzeń była ta, że nowe leki zaczęły mi poważnie szkodzić. Była to też wersja bardzo niekorzystna, gdyż leki umożliwiały mi chodzenie do pracy i nie chciałam z nich rezygnować. Ostatecznie halucynacje, jakich być może doświadczałam, nie były zbyt poważne.

– Co się dzieje w damskim kiblu pracowniczym? – odezwałam się, zdumiona wysokością mojego głosu. Pan i pani czekający na herbatę poderwali się na siedzeniu. Technik zastygł, również zdumiony, głównie tym, że przerywałam mu wywód o tym, jak woda gotuje się lepiej, kiedy wleje się ją najpierw do czajnika. Patrzyliśmy na siebie jak idioci, a państwo od herbaty patrzyli na nas jak ludzie, którym zaraz skończy się cierpliwość.

– A to już wasza sprawa – zarechotał Patryk. – Ja tam nie zaglądam, chyba że trzeba żarówki wymienić.

– Jak to nie zaglądasz? – odparłam, wsłuchując się w narastający szum, tym razem pełnego czajnika. – To kto zamontował nowe drzwi?

Zmarszczył brwi i miałam wrażenie, że wie dokładnie, o czym mówię, ale będzie szedł w zaparte i nie usłyszę od niego niczego oprócz zarcików o wchodzeniu do damskiej ubikacji.

– Drzwi były dwa lata temu wymieniane – odparł. – Ciebie jeszcze nie było.

– Te w środku – uparłam się. – Między kabinami.

– Ty mówisz o tym dla niepełnosprawnych?

Toaleta dla niepełnosprawnych znajdowała się przed wejściem do damskiej służbowej, i nie było możliwe, aby je pomylić.

– Nie. Ktoś zamontował dziewiąte drzwi do kabiny – mruczałam pod nosem, coraz ciszej, aż czajnik zaczął mnie zagłuszać i Patryk pochylił się nad ladą, żeby mnie słyszeć. – Ale tam nie było sedesu ani niczego. Tylko ściana. A na drugi dzień były już zdjęte.

Państwo czekający na herbatę spoglądali po sobie, chyba też kontemplując architektoniczną zagadkę dworca. Czajnik szumiał. Patryk wyraźnie walczył ze sobą. Ja wiedziałam, że przez resztę nocki nie wyduszę już ani słowa.

– Nie włącz tam – powiedział wreszcie. – Normalni ludzie tam nie chodzą.

Wyszedł, wzburzony, jakby powiedział za dużo, zamaszystym gestem porywając ze sobą torbę z narzędziami. Szklane drzwi zamknęły się za nim z cichym stukiem. Czajnik się wyłączył i w kawiarni przez moment rozlegał się tylko bulgot gotującej się wody.

Trzęsącymi się rękami nalałam wrzątku do styropianowych kubków i nie wiem, jak udało mi się wywindować je na ladę, nie parząc się przy tym i nie doprowadzając do kolejnej awarii. Klienci z wyraźną ulgą zabrali swoje herbaty i pospiesznie wyszli do poczekalni. Nawet jeżeli na tym dworcu byli jacyś normalni ludzie, to nie byłam to ja. Marzyłam o tym, żeby rzucić wszystkim i wyjść tak, jak stałam, wsiąść do autobusu bez biletu i zamknąć się w pokoju na kolejne miesiące, wychodząc tylko do paczkomatu i do Żabki po energetyki.

Oczywiście, nie było takiej możliwości. Podczas mojej ostatniej pigułowo-hazardowej eskapady zadłużyłam się u właściciela mieszkania na pół roku czynszu. Tylko przyjazd moich rodziców, wyglądających jak poważni ludzie i dzierżących plik banknotów, powstrzymał go od wszczęcia postępowania o eksmisję. Teoretycznie zostałam wyrzucona dwa miesiące przed tym wydarzeniem. Normalnych ludzi raczej to nie spotyka.

Nie wiem, gdzie bym się wówczas znalazła. Nic nie mogło mnie zmusić do powrotu do domu z rodzicami. Niewykluczone, że byłabym teraz w dokładnie tej samej kawiarni.

W damskim służbowym było osiem kabin, poza nocami, w które było ich dziewięć.

Stałam nad gofrownicą i patrzyłam, jak czarny dym kłębi się pod szafkami i sięga do tablic z cenami. Potrzebowałam, żeby przez pięć minut nikt mi nie przeszkadzał. Idealne narzędzie do wyludnienia dworca leżało tuż przede mną.

Przeraźliwy dźwięk alarmu powinien chyba bardziej wyprowadzić mnie z równowagi. Ostatecznie zrobiłam coś bardzo głupiego, pchana skutkami ubocznymi leków lub zdradziecką chemią własnego mózgu, i gdyby to wyszło na jaw, mogłam z pewnością pożegnać się z pracą, a tym samym z wynajmowanym pokojem. Możliwość spokojnego przyjrzenia się dziewiątej kabynie wydawała mi się jednak kluczowa dla obu tych spraw; musiałam dotknąć niebieskich drzwi i ścianek działowych wprowadzonych wprost w kafelki, by przekonać się, czy śnię na jawie, a słowa Patryka oznaczały coś zupełnie innego i ich nadininterpretacja była wyłącznie objawem mojej paranoi.

Wzdrygnęłam się dopiero na dźwięk komunikatu o ewakuacji. Wywiesiłam tabliczkę „zaraz wracam”, wymknęłam się z kawiarni i schowałam za ścianką podjazdu dla niepełnosprawnych. Minęło mnie kilku zmęczonych pasażerów nocnych pociągów i pani z kasy całodobowej, wyraźnie zadowolona z dodatkowej przerwy. Podniosłam się i przemknęłam przez hol kasowy jak ktoś o znacznie lepszej kondycji.

Gdzieś za ścianą pobrzmiwało jeszcze ogłoszenie o ewakuacji, a jego echo rozchodziło się w mojej klatce piersiowej wraz z tłukącym się sercem, lecz poza tym do jasnego, zamkniętego przed światem wnętrza toalet nie docierał żaden dźwięk. Gdy przekroczyłam drzwi wewnętrzne i znalazłam się między umywalkami, pozostał już tylko pisk w moich uszach.

W damskim służbowym było dziewięć kabin.

Pomyślałam, że tak nie mogą wyglądać halucynacje; nie mogą być tak wyraźne i kolorowe, nie w białym świetle jarzeniówek. Dziewiąte drzwi istniały rzeczywiście, równie plastikowe i niebieskie, co osiem pozostałych. Ktoś je wyprodukował, kupił i tutaj przywiózł, ktoś inny wmurował ścianki działowe w ścianę i zawiesił drzwi na zawiasach. A potem ścigał cały ten bałagan, by w niektóre noce, gdy dworzec był wyjątkowo pusty, montować go z powrotem. Takie rzeczy muszą czemuś służyć. Coś się tam kryło; coś poza Klaudyną, uczesaną i pachnącą, i butelkami po spożytym w pracy piwsku brygadą sprzątającą.

Skoro normalni ludzie tam nie chodzą, to coś było przeznaczone także dla moich oczu.

Pokonałam drogę między kabinami na drżących nogach; nie wiedziałam już, czy spotkanie z tajemnicą wyprowadziło mnie z równowagi, czy kilka sekund sprintu osłabiło mnie do tego stopnia. Zatrzymałam się przed bezsensownymi drzwiami pośrodku, z ręką głupio wyciągniętą przed siebie, zawieszoną nad klamką.

W dziewiątej kabinie paliło się światło. Nie było nad nią żarówki, a ona sama powinna mieć jakieś dwadzieścia centymetrów głębokości, a jednak bijący spod drzwi blask wyglądał, jakby znajdowało się za nimi ogromne pomieszczenie albo korytarz. Tajne przejście? Wiedziałam o istnieniu tuneli technicznych, którymi pracownicy przemieszczali się między peronami. Dlaczego wyjście miałoby znajdować się w takim miejscu i po co było ukryte?

Korytarz, czy też tunel, z całą pewnością tam był, bo gdy położyłam roztrzęsioną dłoń na klamce, zza plastikowych drzwi dobiegły odległe kroki. Człapanie od razu przywiodło mi na myśl Klaudyne, lecz te kroki były pewniejsze, należące do kogoś lżejszego, nieobciążonego tuszą i grubymi warstwami odzieży. Nie podążało za nimi szczekanie zużytej torby na kółkach. Kroki były coraz bliżej, aż człapiący człowiek znalazł się na tyle blisko, że dołączył do nich chrapliwy oddech; nie mogłam zgadnąć, czy należy do mężczyzny, czy kobiety. Wydobywał się z gardła nieznanego z suchym trzaskiem, krótkim, szarpiącym dźwiękiem, przypominającym zimne ognie.

Ktoś znalazł się blisko mnie; zawahał przez moment i postąpił jeszcze dwa kroki do przodu, aż dzieliły nas tylko cienkie drzwi i moja dłoń dotykająca klamki. Czułam przez niebieski plastik wzrok tego człowieka, a on z pewnością czuł na sobie mój; dlatego opuściłam go pospiesznie i przez szparę pod drzwiami zobaczyłam, jak czubki naszych butów się stykają.

Były dziwnie podobne; kiedyś czarne, na grubej podeszwie, zrobione ze zniszczonej sztucznej skóry. Nawet zadrapania i obdarcia na ciemnym materiale były w podobnych miejscach, symetryczne; dziura w jego lewym bucie znajdowała się po tej samej stronie w moim. Obcy poruszył prawą stopą. Odruchowo poruszyłam również moją.

Podniosłam głowę i poczułam, jak czyjaś ciężka dłoń zamyka się na klamce po jej wewnętrznej stronie.

Sufit nad naszymi głowami zawibrował. Na peron piąty wtoczył się opóźniony pociąg ze stacji Przemyśl Główny do stacji Kraków Główny.

Człowiek za drzwiami do kabiny wzdrygnął się i wycofał, a jego kroki i chrapliwy oddech oddaliły się z powrotem, zanim znalazłam w sobie siłę, by pociągnąć za klamkę i na niego spojrzeć.

Kiedy Klaudyna wcisnęła się do kawiarni, z trudem pchając szklane drzwi i objając je torbą na kółkach, w głowie słyszałam już kolejną historię jej obrażeń – opowieść o tym, jak poślizgnęła na lodzie, bo w tych nieludzkich czasach nikt nie odśnieża chodników, czy o jeszcze innej krzywdzie. Nadal czekałam, aż powie, że porwali ją kosmici, lecz żadna z wersji zdarzeń, które słyszałam do tej pory, nie miała w sobie nic fantastycznego.

Wyglądała na wzburzoną. Poruszała się szybkimi, gwałtownymi ruchami, ograniczonymi przez grube ubrania i kołnierz na szyi. Nigdy wcześniej nie widziałam

jej w takim stanie – przestraszoną i spłoszoną, owszem, ale nie rozgniewaną. Z hałasem kółeczek skrzypiących o podłogę znalazła się przy ladzie i zamaszystym gestem uderzyła dłonią w blat.

Łypnęła na mnie zdrowym, niebieskim okiem, z jasnością umysłu i świadomością, których też wcześniej u niej nie widziałam. Nagle dotarła do mnie jej przewaga fizyczna – była ode mnie wyższa prawie o głowę. Choć cały czas była poturbowana, to jeśli wierzyć Patrykowi, kołnierz ortopedyczny niekoniecznie był jej do czegoś potrzebny. Wzdrygnęłam się.

– Co, teraz się boi? – zaskrzeczała nieswoim głosem, brzmiącym zupełnie inaczej, gdy nie używała go do żalenia się na zezwierzęcenie bliźnich. – A łaźać tam, gdzie nie trzeba, to się nie boi. Cały dworzec poderwała na nogi, żeby tylko oko wlepić.

Nie odezwałam się, nawet nie tyle ze strachu, co po prostu dlatego, że wszystko to było prawdą.

– To nie dla ciebie miejsce – długi paznokieć kobiety, wystający z rękawiczki bez palców, znalazł się tuż przed moją twarzą. – I ty się z tego ciesz, a nie jeszcze wsadź głupi ryj.

Opuchlizna trochę już schodziła jej z oka, i pierwszy raz oprócz przekrwionego białka zobaczyłam w nim drugą tęczę, niebieską, upstrzoną czerwonymi plamkami, błyszczącą gniewem i inteligencją.

– Głupi ryj? – oburzyłam się, bo nic innego nie miałam do powiedzenia.

– Co, powtórzyć? – Klaudyna cofnęła palec i stała przed ladą z opuszczonymi rękami. Gapiłyśmy się na siebie jak na jakimś pojedynku mieszkańców dworca. – Tam się nie chodzi. Jedno miejsce się ostało, gdzie się człowiek może bezpiecznie schować. To też tam wleżą i popsują, zaraz ochronę sprowadzą i wywieszą listę do podpisywania.

– Nic nie sprowadzałam – mruknęłam. – Nie wchodziłam. Nawet nie wiem, co tam jest.

– I dobrze! – huknęła Klaudyna, pochylając w moją stronę głowę razem z całą szyją w kołnierzu. – To się trzeba cieszyć!

Ponad jej ramieniem mignęła mi tylko kłębiąca się neonowa żółć, zanim do kawiarni z ponurymi minami wkroczyło dwóch ochroniarzy. Obaj byli niżsi od Klaudyny, za to równali się z nią gabarytami, nie wspomagając się przy tym kilkoma warstwami kurtek. Pochód zamykał techniczny Patryk, z jeszcze bardziej zaciętą twarzą.

– Pani się tu podobno awanturuje – trochę oznajmił, trochę zapytał jeden z ochroniarzy. – Proszę opuścić lokal.

Klaudyna posłała mi jeszcze jedno złe spojrzenie, jakby chcąc się upewnić, że wszystko, co wykrzyczała, do mnie dotarło. Wzięła swoją torbę i wyszła pod czujnym okiem ochroniarzy. Jeden z nich przytrzymał jej drzwi, lecz i tak złośliwie uderzyła w nie kółkami od torby. Podążyli za nią, trzymając się cały czas o krok za jej plecami.

Twarz Patryka złagodniała. Podszedł do lady z wyraźnym zamiarem rozmowy.

– Mówiłem, że ona ma coś nie halo – zaczął. – Dobrze, że akurat przechodziłem. Jeszcze by się na ciebie rzuciła albo nie wiadomo co.

Myśl o rozmowie z nim wydała mi się nie do zniesienia. Uderzyłam w blat obiema dłońmi, nie wiem, dlaczego i po co; zerwałam się i wyszłam z kawiarni, nie biorąc ze sobą kluczy, telefonu ani nie wywieszając tabliczki z napisem „zaraz wracam”, zostawiając cały lokal pusty.

Dogoniłam Klaudynę, gdy była już na zewnątrz, odprowadzana przez smętnych ochroniarzy na granicę terenu dworców kolejowego i autobusowego, tam, gdzie kończyła się ich władza. Okrążyłam ją i chciałam spojrzeć w twarz, lecz podniosła na mnie tylko puste białko podbitego oka.

– Co tam jest? – zapytałam. Nie zatrzymała się. W ogóle nie zwracała na mnie uwagi. – Dlaczego nie mogę tam wchodzić? Dla kogo jest ten korytarz?

Machnęła ręką i szła dalej, wymijając sterty czarnego śniegu, w stronę miejskich przystanków autobusowych.

– Klaudyna? – spróbowałam. Lekko uniosła głowę, jakby teraz dopiero mnie usłyszała. – Klaudyna, co tam jest?

– Takie to teraz czasy – westchnęła. – Nic na drugiego człowieka nie patrzą. Idzie jak święta krowa, nie widzi, czy na kogoś wpadnie... Włazł we mnie, walnął ramieniem,

aż ze schodów spadłam. Leżałam, to nikt się nawet nie zainteresował...

Opowieść Klaudyny cichła, a ja stałam na przystanku linii 125 i patrzyłam, jak jej obszerna, nienaturalna sylwetka oddala się w stronę tunelu łączącego perony.

LIVIA LEJKOWSKA

A POCIĄG JEDZIE DALEJ

Od zarania dziejów istniały, a jednocześnie nie istniały, przestrzenie zawieszane obok światów, gdzieś... Pomiędzy, tak, było to najlepsze określenie, najbliższe językowi znanemu ludzkości.

Pomiędzy, choć nie było miejscem ani czasem, znalazło sobie pewną lukę, niezapełnioną i ziejącą pustką lukę, która wręcz prosiła o nadanie jej kształtu, nazwy, o uformowanie jej w coś konkretnego. Pomiędzy wykorzystało więc to, lecz ambicje tego przedziwnego zjawiska nie zostały zaspokojone, toteż kontynuowało ekspansję nowych terytoriów, z głodem poszukując kolejnych miejsc, gdzie mogłoby się zakorzenić. Wdzierało się do umysłów istot w wielu odległych od siebie wymiarach, nie znając barier, przemykając szybko, niezauważenie. Pomiędzy było jak wirus, infekowało, roztaczało ciemne, oślizgłe macki i zabierało to, co uznawało za najbardziej wartościowe.

Zjawisko, szybko zyskując świadomość, przestało atakować zwierzęta, zrozumiawszy, że więcej będzie

w stanie zyskać od przepelnionych emocjami humanoidów, szczególnie ludzi. Mimo wszystko, zabierając, usuwając i pochłaniając, niczym truciznę wtryskiwało do niewinnych, nieświadomych umysłów coś od siebie. Były to głównie wspomnienia, bogate w falujące obrazy i pełne sprzeczności uczucia, które zakopywały się gdzieś na tyłach podświadomości, gdzie pozostawały uspięne aż do momentu, w którym jednostka z niewyjaśnionych przyczyn docierała do nich i zaczynała zadawać sobie pozostające bez odpowiedzi pytania.

Skąd znam to miejsce? Ten zapach? Te dźwięki? Ta gra światła przypomina mi... Tak samo jak...

Lecz pytania te pozostawały bez odpowiedzi, a wkrótce co słabsza jednostka zapominała, że kiedykolwiek je sobie zadawała. Czasami wracają, przelatują gdzieś cicho w gąszczu innych myśli, lecz kamuflują się z taką wprawą, że dla mniej analizujących umysłów pozostają niewykrywalne.

Problem zaczynał się, gdy Pomiędzy trafiało na umysł ostry jak brzytwa, świadomy do granic możliwości, inny, wyjątkowy.

Posiadacz takowego, gdy pytania i wątpliwości zaczynały go dręczyć, popadał w rozważania. Pomiędzy natomiast wcale a wcale nie było z tego typu rozważaniami po drodze. Rozprzestrzeniało się po cichu, lubiło działać z ukrycia, by uderzyć w Świat wtedy, kiedy było na tyle potężne, by wygrać batalię z nim. I nawet gdy jednostki zainfekowane umierały, Pomiędzy i tak wychodziło

silniejsze; dzięki zakorzenieniu się w nich podczas życia zyskiwało przecież trochę czasu na formowanie tego, co nieuformowane, przywołanie tego, czego nikt nigdy nie przywołał.

Ludzie o szczególnych zdolnościach, o szczególnie wysokim poziomie świadomości stanowili zatem poważną przeszkodę, której trzeba było się pozbyć. Wątpliwości, rodzące się w ich głowach, mogły skutkować dojściem do sedna problemu i wyplenieniem wirusa...

Pusty pociąg zmierza w nieznanym kierunku. Nie ma maszynisty, właściwie nie ma nawet jak go prowadzić, gdyż składa się tylko z wagonów pasażerskich, w których jedynym źródłem światła są małe lampki przypodłogowe. Unoszący się w środku zapach przywodzi na myśl szpital, pobieranie krwi, którego bały się wszystkie dzieci, kitle pielęgniarek i płyny do dezynfekcji. Zapach jest ostry, drażniący, uderzający w nozdrza i zaburzający porządek myślenia. Za oknami... Czy on w ogóle ma okna? Tak, jakieś ma. Za oknami widać rozmazujące się światła, korony drzew falujące niby latawce na wietrze i poświatę księżycy na tafli wody. A pasażerowie? Ja nim nie jestem. Ty też nie. Kto zatem? Tego nie wiemy, przyjmijmy więc, że Postać. Ni to chuda, ni gruba, niespecjalnie wysoka, choć przecież nie niska. Włosy ma takie jakby szare, zlewające się z otoczeniem, a gdyby ktoś zapytał o ten kolor, to nawet nie będziesz go pamiętać. Ubrana w garnitur, lecz może to sukienka? Ciężko to opisać, przejdźmy więc dalej.

Ściany wagonu mocno napierają na znajdującą się w nim sylwetkę, jakby chciały zabrać tlen. Lampki zaczynają niebezpiecznie mrugać, ale pojazd jedzie dalej, płynnie, nie hamuje ani nie zatrzymuje się na stacjach. Są jakieś stacje? Do tej pory żadnej nie było, może w przyszłości, za bardzo długi czas, którego przecież w takim miejscu nie da się zmierzyć. Przeważenie przejmuje kontrolę nad zmysłami, ciało porusza się do przodu, w stronę rozsuwanych drzwi do następnego wagonu, byleby uciec, byleby się wydostać. Nawet, jeżeli później będzie tylko gorzej, to instynkt przetrwania dyktuje twarde warunki.

Drzwi nie chcą ustąpić, jakby osobliwe pomieszczenie krzychało, żeby go nie opuszczać, jakby szeptało, że tyle jeszcze ma do zaoferowania, tyle się w nim może wydarzyć, ale nie, nie tego dnia, nie z tą Postacią. Rozsuwają się jednak w końcu, zgrzytając z wdzierającą się głęboko rozpaczą.

Za nimi znajduje się chwila wytchnienia, małe łącznik między jednym a drugim wagonem, z boku są metalowe drzwi, chyba do toalety, chociaż może lepiej tego nie sprawdzać, pociąg nie jest przecież taki zwyczajny i może znacząco oszukiwać zmysły. Wykładzina miło zapada się pod stopami, lecz trzeba iść przed siebie, do samego początku, a może i końca.

Pierwszym, co uderza w następnym wagonie, jest zapach dymu tytoniowego, który rozchodzi się po całej wolnej przestrzeni, której jest zdecydowanie więcej niż poprzednio. Po prawej, nie, po lewej, znajduje się barek,

nad którym na metalowych szynach wiszą nienaturalnie czyste kieliszki. Przy kontuarze stoją trzy stolki, nie wyglądają na zbyt wygodne, choć coś zachęca, żeby na nich usiąść. Jeden jest już zajęty – siedzi na nim mężczyzna w kapeluszu, z drewnianą – to stąd ten dym – fajką. Czyta gazetę, chociaż ciężko dostrzec na jej stronach tekst, znaki są dziwne, jakby zniekształcone, może w innym języku. Postać także zajmuje miejsce. Nie wybiera tego obok nieznanego, tylko jedno dalej, pozostawiając między nimi trochę wolnej przestrzeni. Palacz nawet tego nie zauważa, pochłonięty lekturą i własnymi myślami.

– Kim jesteś? – pyta Postać, bo to pierwsze, co w takiej sytuacji przychodzi każdemu do głowy.

Współpasażer powoli odkłada gazetę na wypolerowany na połysk blat i wypuszcza z fajki więcej dymu. Macha ręką, jakby chciał zbyć niewygodne pytanie, i patrzy spode łba.

– Przecież wiesz – odpowiada niskim głosem.

Czy faktycznie tak jest? Może tak, może ta wiedza gdzieś istnieje, lecz teraz pozostaje niedostępna, zbyt odległa. Zabrał ją pociąg.

– Nie wiem, powiedz mi, proszę. – Prośba brzmi naprawdę desperacko, ale ciężko, żeby brzmiała inaczej.

Na chwilę zapada niewygodna cisza, tak napięta, że zdaje się zabierać resztki powietrza.

– Mnie goni czas, ciebie nie. Ja nie mogę go zmarnować na niemądre pytania i jeszcze bardziej niemądre odpowiedzi.

– To jest niemądra odpowiedź!

– To ty tak myślisz.

To.

Ty.

Tak.

Myślisz.

I ten uśmiech, taki cwany, niewypowiedziane „wiem, ale nie powiem”, przemilczane „kiedyś zrozumiesz”, niedodane „nie, bo nie.”

Postać zna, albo kiedyś znała kogoś, kto tak *nie* mówił. Kto tylko się uśmiechał, żeby poświęcić jak najmniej czasu, a potem skryć się za oparami dymu ze swojej fajki; kogoś, kto przenikał, lawirował pomiędzy niewygodnymi sytuacjami tak, ażeby tylko się w żadną nie wplątać. Chociaż przecież powinien, przecież taka była, a raczej taka powinna być jego rola. Może ten problem występował u wielu Postaci, lecz żadna nie chciała się przyznać, że się z nim zetknęła. I co wtedy robiły? Wiadomo, szły do matki.

Pociąg jechał dalej, pomimo że postura czytacza zaczęła falować, jakby gdzieś doszło do zvarcia. Kontury powoli rozmazywały się, gdy wziął gazetę i naciągnął kapelusz na oczy.

– Wysiadam – powiedział, po czym zniknął.

A pociąg jechał dalej, nie zatrzymawszy się na żadnej stacji.

Postać ogarnia nagły dyskomfort, jakby przebywanie samemu w tym wagonie było niepoprawne, nielegalne wręcz. Zastanawia się, czy by nie zobaczyć, co barek ma do zaoferowania, lecz pomimo obecności kieliszków nie ma tam żadnych butelek, toteż bez dalszego zwlekania postanawia, że ruszy dalej, nim zdarzy się coś, co zdarzyć się nie powinno. A co by to mogło być? Postać nie wie, ale jest przekonana, że z ulatniającym się dymem ulatnia się również tlen i paradoksalnie to właśnie teraz zaczyna go brakować. Dopada więc następnych drzwi, które odpuszczają szybko, jak gdyby chciały wygonić nieproszonego gościa. Za nimi znajduje się identyczny łącznik jak ten mijany wcześniej. Dalej natomiast... Ciężko to opisać. W następnym pomieszczeniu znajdują się rzędy szkolnych szafek, część otwarta, część półotwarta, reszta zamknięta. Na paru ponaklejane są naklejki, chociaż ciężko odczytać, co kiedyś przedstawiały, tak bardzo wyblakły. Z kilku drzwiczek schodzi bladożółta farba, odsłaniając metal. Długa lampa na środku sufitu oślepia niesprawną jarzeniówką, która to włącza i wyłącza się co chwilę. Podłogę pokrywa pomarańczowe linoleum, którego zapach, podobny do woni oleju, wyczuwalny jest w powietrzu.

Postać, kierowana jakimś niewytłumaczalnym instynktem, zagląda do jednej z szafek, z której środka zieje ciemność. Już chce odejść, przekonana, że nic tam

nie znajdzie, lecz nagle prosto na jej ręce wypada długi zwój papieru. Zanim udaje jej się odczytać linijki tekstu, zmienia się on, a potem znowu i znowu. Postać z całych sił próbuje nadażyć za przeskakującymi literkami, lecz na próżno. Jedyne, co pozostaje niezmienione, to cyfra jeden, napisana czerwonym markerem i otoczona kółeczkiem.

Postaci zaczyna się kręcić w głowie, ma wrażenie, że tekst znika i pojawia się coraz szybciej i szybciej, jej oczy zezują, by wyłapać chociaż pojedyncze słowa, chociaż jedno, lecz pomimo najszczerzych chęci nie potrafi. Rzuca papier na podłogę, oddychając szybko, gdy z szafek po przeciwnej stronie wyłaniają się ręce. Pojawia się ich coraz więcej. Grube i chude, o długich i krótkich palcach. Niektóre ozdobione pierścionkami i bransoletkami, inne bliznami, jeszcze inne tatuażami. Wszystkie dłonie układają się w pięści. Słysząc, jak knykcie uderzają o metal, dźwięk staje się nie do wytrzymania, lecz zostaje zagłuszony przez głos wydobywający się z zawieszonych pod sufitem głośników. Czy one zawsze tam były? Postać nie jest pewna, ale głos słyszy bardzo wyraźnie.

– Naganne... Jest to zachowanie naganne!

Postać to pamięta, a może kiedyś pamiętała, teraz nie jest w stanie się skupić, nie jest w stanie myśleć, gdy w jej umysł wwierca się ten krzyk, niemal skrzek. Tak, to skrzek starej ropuchy, Postać pamięta taką ropuchę z...

– Nie godzi się, to się po prostu nie godzi, żeby w takim miejscu... – Dalsze słowa rozmazują się

i zamieniają w jednostajne buczenie, w którego rytm uderzają pięści z szafek.

Postać oblewa zimny pot, włosy koloru nijakiego lepia się do czoła, a ubranie do pleców. Rzuca się biegiem i ucieka, znowu do łącznika. Nie zastanawia się nawet i biegnie dalej, chcąc jak najszybciej opuścić pociąg, który przecież musi gdzieś mieć jakiś koniec.

Wpada do przestrzeni wypełnionej głośną, dudniącą muzyką, oświetlonej masą kolorowych świateł, dodatkowo odbijanych przez wiszącą na suficie kulę dyskotekową. W powietrzu unosi się zapach potu, maskowany wonią przeróżnych perfum, głównie słodko-duszących. Ludzie, a raczej twory je przypominające, wiążą się w szaleńczym tańcu. Ich ciała podskakują na błyszczącym parkiecie, który pokrywa całą podłogę. Twarze pokrywają im pełzające cienie, wychodzące z oczodołów, sunące po policzkach i brodach, by w końcu wpaść do ust przez rozchylone wargi. Każdy, bez wyjątku, trzyma w dłoni plastikowy kubeczek, przez którego przezroczyste ścianki widać gęsty, srebrny płyn. Postać orientuje się, że również dzierży takowy, choć nie przypomina sobie, by go skądś brała albo od kogoś dostała. Konsystencja i barwa substancji przywodzą na myśl rtęć, a kształt prowizorycznych naczyń porównać można do starych termometrów. Ręka Postaci powoli zmierza w kierunku ust, plastik przechyla się, choć dzieje się to zupełnie bezwiednie. Napój drażni podniebienie

smakiem zupełnie nowym, nieznanym, spływa po ściankach gardła i ląduje w żołądku, skąd rozchodzi się po całym organizmie, dając błogie ciepło. Muzyka, do tej pory bardziej drażniąca niż przyjemna, rozbrzmiewa nagle jakby w samym sercu i owija się dookoła płuc, zastępując tlen. Twarze tańczących już nie przerażają, teraz wydają się być intrygujące, może i nawet pociągające w swojej tajemniczości. Postać wiję się, naśladując dostrzeżone ruchy, nie przeszkadza jej, że trącana jest łokciami, że inne ciała kleją się do jej własnego. Czyjeś ręce lądują na jej talii w chwili, w której czuje dotyk obcych ust w okolicach szyi. Staje się jednością z tłumem, zupełnie w niego wsiąka i pierwszy raz, odkąd znalazła się w pociągu, cieszy się, że do niego trafiła. Nie chce opuszczać tego wagonu, jest jej tak dobrze... Znów bierze łyk z kubeczka, lecz przekonana jest, że to wcale nie rtęć, tylko płynne srebro. Pije do dna, którego nie potrafi znaleźć, srebra wciąż przybywa. Dłoni i ust robi się coraz więcej, aż nie ma już skrawka ciała, który nie byłby przezeń dotykany. Pochłaniają ją, nie może się od nich uwolnić, ale przecież nawet nie chce, przecież jest tak dobrze... Paznokcie przeobrażają się w szpony, zęby w kły. Pieszczota zmienia się w krzywdę, chcą ją rozszarpać! Ogarniają ją zawroty głowy tak silne, że nie wie, czy dyskotekowa kula znajduje się na suficie, czy na podłodze. Zatacza się, chce wyrzucić kubeczek z trucizną, lecz przyrósł jej on do palców. Postać brnie przed siebie, odgarniając bestie, porusza się powoli, ale

do przodu, nie czuje bólu, tylko desperacką potrzebę ucieczki, nim trucizna opanuje cały organizm. Jeszcze trochę, tak niewiele, jeszcze tylko para szponów i...

Trafia do dobrze znanego pomieszczenia z miękką wykładziną na podłodze i szybko zamyka za sobą drzwi. Łąduje na kolanach, rzucając się w torsjach, lecz nie jest w stanie zwymiotować. Czuje, że jej żołądek jest już zupełnie pusty. Ubranie, rozszarpywane przez tańczących, jest nienaruszone, nie ma na ciele żadnych śladów, niczego nie trzyma w dłoniach. Podnosi się z rezygnacją i idzie dalej, próbując opanować drżenie kolan.

Następny wagon wypełniają biurka ze sklejki, z których z cichym szelestem spadają wypełnione czarnym tuszem papiery. Ustawione na nich drukarki pracują bez przerwy, wypływając z siebie coraz to nowsze dokumenty, które pokrywają całą podłogę. Ze ścian, na których widać starą, wyblakłą fototapetę, zwisają czarne, czerwone i granatowe krawaty, na wieszaku przy wejściu wisi pęk marynarek. Biurek na pierwszy rzut oka jest kilkanaście, lecz tylko przy trzech siedzą ludzie, usadowieni na obrotowych krzesłach. Ich ciała są szare, właściwie to są to jedynie cienie, kształtem przypominające ludzkie sylwetki. Pochylają się nad białymi teczkami i kolorowymi organizatorami, a między palcami, niczym najcenniejsze artefakty, dzierżą spinacze, zszywacze, stempelki, wieczne pióra i perfekcyjnie zaostrzone ołówki. Każdy z nich ma po sześć, nie, chyba nawet osiem, rąk. Postać podchodzi

do najbliższego człowieka-cienia-ośmiornicy i próbuje przyjrzeć się temu, czym się tu zajmują, lecz znowu nie jest w stanie rozczytać liter, które są tu właściwie wszędzie. Nauczona poprzednimi doświadczeniami, szybko się poddaje, zresztą aura tego miejsca sprzyja rezygnacji i zmęczeniu.

– Co wy tu robicie? – pyta, nie kierując swych słów do nikogo konkretnego, licząc, że odpowie jej ktokolwiek z trójki.

– Mam trzy córki... – rozlega się jęk.

– Ja mam kredyt... – dodaje tubalny głos, po czym zaczyna smutno się śmiać.

– Niedługo zostanę szefem... – szepcze istota siedząca na drugim końcu pomieszczenia.

To miejsce, choć nie dzieje się w nim nic strasznego, wydaje się Postaci najsmutniejsze. Nawet bestie w poprzednim wagonie nie przerażały jej aż tak bardzo, jak te zmarnowane kawałki padliny. Może Postać też kiedyś siedziała na ich miejscu? Może dlatego bolało to aż tak bardzo. Idzie po nic niewartej makulaturze, zastanawiając się, czy jest sens próbować nawiązywać z nimi jeszcze jakiś kontakt. Ciekawość to silne uczucie, jednak teraz przegrywa z żalem, ze współczuciem, które nakazuje zostawić to miejsce za sobą i nie oglądać się za siebie. Tak też robi, kiwa im głową na pożegnanie i wzdycha ciężko, przerzucając na siebie ich zmęczenie.

Zamyka za sobą drzwi, a wtedy pojazd zatrzymuje się, nie wydając żadnego dźwięku, najcichszego nawet pisku. Grunt na chwilę usuwa się jej spod nóg, aż nagle płaską podłogę zastępują schody. Schodzi po nich, czując wiatr owiewający twarz, gdy w końcu znajduje się na stacji. Postać wysiada z pociągu, a on odjeżdża, mknąc wśród chaosu, mroku i nieładu.

Na dworze panuje ciemność, powietrze jest ciepłe, jak w letni wieczór, gdzieś daleko cykają cykady i widać światła z paru domostw, których mieszkańcy nie śpią, pomimo zapewne późnej pory. Miejsce zachęca, żeby zostać w nim dłuższą chwilę, wydaje się bezpieczne, niemal znajome. Pod nieczytelną tabliczką stoi drewniana ławka, obok kosz na śmieci i pojedyncza latarnia, roztaczająca płamę delikatnego światła. Nigdzie nie leżą żadne śmieci, peron jest czysty i zadbane, choć wygląda na dawno opuszczony. Nie słychać komunikatów informujących o przyjazdach, odjazdach i opóźnieniach. W szklanej gablotce nie widać kartki z rozkładem jazdy, a pojedynczy ekran jest wyłączony.

Postać siada i nieobecny wzrokiem wpatruje się w przestrzeń przed sobą, próbując zrozumieć, co się właśnie wydarzyło. Jest zagubiona, nie może poradzić sobie z bałaganem w głowie, z nawałnicą pytań i obaw. Czuje wiele emocji, choć nie jest w stanie ich nazwać i nie sądzi, by ktokolwiek na jej miejscu był. Nie wie, co powinna dalej zrobić. Czekać na następny pociąg? Biorąc pod uwagę, co przeżyła, nie chce wybierać się w kolejną

podróż. Zostać tu do rana? Może tak byłoby najrozsądniej, lecz ciężko powiedzieć, kiedy i czy w ogóle nadejdzie poranek. Morzy ją sen, tak upragniony, tak należny jej po fali trudnych przeżyć...

Budzi się, a jakże, w pociągu, na niebieskim fotelu w pomarańczowe wzorki.

– Przysnąłeś, co? – pyta siedzący naprzeciw niego mężczyzna, po czym chowa grubą książkę do czarnej torby, leżącej na siedzeniu obok. – Rychło w czas się obudziłeś, za jakieś piętnaście minut wysiadamy.

Janek przeciąga się i głośno ziewa, próbując przyzwyczaić oczy do światła wpadającego przez uchylone okno, zza którego rozchodzi się parszywa panorama miasta.

– Stary, gdybyś ty wiedział, co mi się śniło – mówi z lekką chrypką i bezwiednie odchrząkuje.

Krzysiek przechyla głowę z ciekawością, dając mu znak, by rozwinął.

– Śniło mi się... – Przez chwilę zastanawia się, jak to ubrać w słowa. W końcu mówi jedyne, co przychodzi mu do głowy: – Życie. Życie mi się śniło.

Kolega Janka wybucha śmiechem i poprawia zsuwające mu się z nosa okulary.

– I wiesz co? – dodaje po chwili, a słowa same wypływają mu z ust. – Monia ma rację, powinienem iść na terapię i chyba w końcu się wybiorę.

Mężczyzna nagle przestaje rechotać, a jego oczy rozszerzają się w niedowierzaniu. Nic nie mówi, choć na język ciśnie mu się wiele komentarzy, głównie takich o byciu pantoflem.

Wkrótce dwójka pasażerów zabiera swoje bagaże i wychodzi z pociągu, wprost na zatłoczony peron, pełen niedopałków papierosów, pustych butelek po piwie, papierowych kubkach po kawie i poprzyklejanych wszędzie gum do żucia.

A Pomiędzy? No właśnie, co z tym przedziwnym zjawiskiem?

Pomiędzy, w tym konkretnym przypadku, przegrywa.

Bo żadnego słowa nie boi się tak, jak tego, które padło z ust jego ofiary.

I pada coraz częściej z ust wielu, naprawdę wielu ofiar.

Macki Pomiędzy zostają ucięte, gdy w grę wchodzi...

Terapia.

MICHAŁ LIPKA

BACKWORLD

O tym, że kąt w moim domu jest bramą do innego świata, odkryłem, kiedy z dziećmi z sąsiedztwa zaprzęgnięci zostaliśmy do domowych porządków. Okej, do tych porządków rodzice zaprzęgli mnie, ja postanowiłem znaleźć pomocników. Ostatecznie i tak wyszło na to, że oni zaczęli się bawić, a ja... Właśnie. Było nas czworo, do dyspozycji mieliśmy całe podwórko, gdzie wyrzucać mieliśmy to, co niepotrzebne, i dom, w którym trzeba było pozbyć się tego i owego; odpadało jedynie wchodzenie na strych.

Towarzysząca mi trójka szybko się jednak znudziła i zaczęła w coś grać. Ten, którego zwali Proszkiem, ten w okularach i ze zgarbionymi plecami, został chyba wyznaczony do jakiegoś zadania, jakby właśnie szkła na oczach i sylwetka kogoś, kto wiecznie pochyla się nad książkami i zeszytami, nad papierami albo planami, predysponowało go do tego. Potem miało się okazać, że Buła, sepleniący i pociągający nosem Buła, zabłądził do wysokich roślin ogródka i oparzył się pokrzywami, aż

musiał zacząć wyc i zabawa dobiegła końca. Później był jeszcze bardziej, kiedy pobiegł do matki, ale to już była inna historia.

Różka, dziewczyna, najmłodsza z nas, ale prawdziwa zadziora potrafiąca udawać aniołka, chyba wygrała, ale wtedy nie interesowało mnie już, w co właściwie się bawili.

W domu, tuż na prawo od drzwi prowadzących do przedsionka, między ścianą a kredensem, znajdował się mroczny kąt przysłonięty kotarą. Rodzice zostawiali tam buty, kiedy mieli zamiar za parę minut albo godzinę znów wsunąć je na nogi, czasem też lądowało tam coś zbędnego, na tymczasowe przechowanie. Zazwyczaj miejsce było jednak puste, zapomniane i zbierające kurz oraz śmieci.

To tam na szybko uprzątałem owe śmieci, chcąc wykazać się przed rodzicami i dołączyć do zabawy, a stojący przed domem Proszek, z głową przy murze i dłońmi na oczach, liczył od dziesięciu w dół, rozciągając sekundy, jakby chciał udowodnić, że wszystko rzeczywiście jest względne, a czas w szczególności.

– Osiem! – odliczał, a ja wsunąłem się we wnękę, w kąt, w róg, plecami do ściany, operując zmiotką na podłodze i oszukując się, że jeszcze zdążę.

– Siedem!

W kącie było ciemno. Ciasna, wąska, ale wysoka przestrzeń, wytapetowana ściana z jednej strony – szorstka od papierowej tapety w tłoczony kwiatowy wzór – z drugiej

śliska powierzchnia mebla, chłodniejsza, od reszty otoczenia. Gdzieś w okolicy ramienia miałem szczelinę między drugą, frontową ścianą i tyłem starego kredensu, wypełnioną przytłumionym światłem wpadającym przez znajdujące się nieco dalej okno.

– Pięć! – krzyczał Proszek, który wcale nie musiał zasłaniać oczu, wystarczyło mu zdjąć okulary i nie widział nic, co znajdowało się dalej niż czubek jego nosa.

A ja wciskałem się dalej, wciąż nie czując ściany za plecami.

– Cztery!

Szczelina obok mojego lewego ramienia znalazła się w miejscu, w którym nie powinno jej być. Jakbym ją mijał, choć to było fizycznie niemożliwe.

– Trzy! – liczył Proszek, ale to było ostatnie słowo całego odliczania, które usłyszałem, bo w jednej chwili znajdowałem się w kącie, jak niegrzeczne dziecko posłane tam za karę, a w drugiej otoczyła mnie jasność słonecznego, wiosennego albo letniego dnia, a ja zacząłem spadać.

Do ziemi nie miałem wcale daleko, ledwie dwa, może trzy metry. Wysokość pierwszego piętra. Dwa, może trzy metry powietrza pachnącego zapachami jednocześnie obcymi i znajomymi. A potem uderzyłem o ziemię, piasek, ścierając łokcie, ale w tym momencie jeszcze tego nie czując. Powietrze uciekło mi z płuc, w brzuchu

coś naciągnęło się nieprzyjemnie, a ja wylądowałem w świecie, którego być nie powinno.

Tak to wszystko się zaczęło.

Nigdy nikomu nie powiedziałem o tym miejscu. Byłem dzieciakiem swoich czasów, dzieciakiem wychowanym na horrorach, w których ludzi mówiących prawdę nikt nie słucha, za to każdy ma za wariata. Wiedziałem, że jeśli opowiem o tym rodzicom, popukają się w głowę i zrzucą wszystko na dziecięcą wyobraźnię. Mogłem powiedzieć o wszystkim kumplom, nawet Rózce, czemu nie, nie takie historie potrafiłszy opowiadać sobie wieczorami, siedząc przy ognisku albo spacerując dłuższą drogą do sklepu, letnią szarówką przemierzając wieczór w poszukiwaniu orzeźwienia o smaku waniliowych lodów albo wyciskanego z tubki pomarańczowego sorbetu, problem był jednak taki, że to była prawda. A takiej prawdy nie chce się opowiadać nikomu.

No i może byłem samolubnym dzieciakiem, jednak na wypadek, gdyby ktoś mi uwierzył, wolałem milczeć. Bo tak, jak nie chciałem dzielić się z nikim moimi komiksami, nie pożyczając ich nikomu, tak i nie miałem zamiaru dzielić się tym miejscem.

Proszek – ten Proszek, który we wczesnym dzieciństwie pomylił mleko w proszku z proszkiem do prania i gdyby nie szybka pomoc medyczna, miałbym o jednego kumpla mniej – i tak by tam nie pasował. Spadłby na twarz, rozbił okulary, a mi jeszcze dostałoby się za jego krzywdę. Buła,

jak to Buła, pewnie wlaźłyby w jakieś krzaki i sparzył sobie wszystko, co sparzyć da się radę, a że zrobiłby to przy pomocy roślin, których nikt w naszym świecie nie znał, to kto wie, czym mogłoby się to skończyć. A Różka, cóż, nie dałbym głowy, że nie podbiłaby tego miejsca, a przynajmniej by próbowała. Mojego miejsca.

Przez lata chodziłem więc tam sam. Znikałem w kącie domu, kiedy nikogo w nim nie było, a potem, żeby wrócić, w tamtym świecie znikałem w rowie za niskim ogrodzeniem, by spaść niedaleko kuchennego okna, tuż obok kwiatów, za zdewastowanie których nieźle dostałoby mi się od matki.

To był mój azyl. Miejsce ciche i spokojne. Cały obcy świat tylko dla mnie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby go zgłębić, zwiedzić, poznać. Żeby przekonać się, co się w nim kryje, kto może mieszkać pod błękitnym niebem i oddychać tym powietrzem, które dla mnie nie pachniało jak powietrze, a przynajmniej nie do końca.

Ale potem przyszedł dzień, kiedy rodzice zapowiedzieli przeprowadzkę. Chcieli sprzedać dom, przenieść się do większego miasta, gdzie czekały nas lepsze perspektywy – oni lepiej by zarabiali, robiąc coś ciekawszego niż teraz, ja miałbym lepsze możliwości do dalszej nauki – mogliśmy zmienić coś w swoich życiach. Nie skakałem ze szczęścia, nie brzmiało to jak spełnienie moich marzeń. Szukanie nowych znajomych, przyzwyczajanie się do nowych miejsc, nowych ludzi, nowych szkolnych murów... Miałem już wtedy kilkanaście lat, moje życie wydawało mi

się poukładane, do wszystkiego już przywyknąłem i nie widziałem potrzeby zmian, nawet jeśli byłem w wieku, kiedy na wszystko chętnie narzekałem – na nic jednak nie narzekałem dotąd tak, jak na nadciągającą w bliżej nieokreślonej jeszcze przyszłości przeprowadzkę.

A potem uderzyło mnie, że zostawienie tych czterech ścian równało się porzuceniu tamtego świata i zrozumiałem jedno: chcę go zwiedzić. Chcę odkryć to, czego nie widziałem, i dowiedzieć się o nim wszystkiego, czego dowiedzieć się było można. Zaryzykować, nawet jeśli mogło kryć się tam coś mrocznego.

Spakowałem plecak, ubrałem się i wskoczyłem do drugiego świata. Tak po prostu.

Nie wiem dlaczego ani jak byłem w stanie się przemieszczać. Nie wiedziałem, dlaczego żadne z rodziców tam nie wpadło, choć kto wie, czy faktycznie tak było. Może chodziło o to, w jaki sposób się tam dostawałem, zbliżając plecami do ściany, krok za krokiem, nie widząc jej, aż przestawała fizycznie istnieć i przepuszczała mnie dalej, a może po prostu to ja byłem jakiś inny. Ale za każdym razem, gdy wchodziłem do wnętrza tak, jak tego dnia, gdy się ukrywałem, po chwili spadałem z wysokości dwóch czy trzech metrów, jakby to była jakaś stała rozbieżność między naszymi światami – efekt innego obrotu planety, odmiennego ukształtowania terenu czy czegośkolwiek innego – zawsze twarzą w dół, jakby w jednej chwili cała

rzeczywistość przechylała się, a potem zostawało wstać, otrzepać się i iść dalej.

I tak zrobiłem.

Kiedy spadłem tu pierwszy raz, zdarłem sobie skórę z łokci. Za drugim razem prawie rozbiłem sobie nos i skaleczyłem kolano, za trzecim rozdarłem spodnie i oberwało mi się od rodziców tradycyjnym tekstem o tym, że o nic nie dbam, niczego nie szanuję i czy wiem, ile kosztują nowe ubrania. Potem już wyćwiczyłem metodę lądowania tak, by niczego nie uszkodzić, chociaż za pierwszym razem niemal skręciłem kostkę.

Za każdym razem, kiedy spadałem, spadałem w to samo miejsce, co tamtego dnia, kiedy sprzątałem kąt. Na bok piaskowej drogi, biegnącej między polami i łąkami. Obok znajdowało się ogrodzenie ze starych drewnianych słupków, połączonych zardzewiałym drutem kolczastym, i zanim odkryłem, że muszę wskoczyć do ciągnącego się za nim rowu melioracyjnego i wcisnąć plecami w miękką trawę porastającą dno, aż znów coś się otworzy i przepuści mnie do mojej rzeczywistości, wpadłem w niemałą panikę.

Zdarza się.

Ciekawe, czy gdybym wtedy pomyślał, że za każdym razem, gdy się gdzieś wcisnę plecami, wyląduję w zupełnie innym świecie i będę musiał skakać tak od rzeczywistości do rzeczywistości, by wreszcie znaleźć swój świat – albo nie znaleźć go nigdy – spanikowałbym jeszcze bardziej?

Teraz to nie miało znaczenia. Ale obawy, gdzie w końcu mogę skończyć, pozostały.

Nieważne.

Pokręciłem głową.

Znów tu byłem, w tym samym miejscu, w tym samym świecie. A skoro ze mną była tu droga i ogrodzenie, łąki i pola, gdzieś tam musieli być też jacyś ludzie albo chociaż cywilizacja, jaką po sobie pozostawili i ktoś musiał to zbadać. Sprawdzić. Przekonać się. Nawet za cenę życia? Byłem w wieku, kiedy śmierć zna się dobrze, kiedy widziało się już w trumnie swoich krewnych, ale nie wierzyło się – albo nie miało to znaczenia – że samemu mogłoby się zginąć.

Poprawiłem więc plecak i ruszyłem przed siebie.

Pierwszego dnia zgłębiania tego świata nie zaszedłem daleko.

Zawsze, kiedy tu trafiałem, kręciłem się nieco po okolicy, pośród zieleni i niewielkich zagajników za starymi ogrodzeniami, które mogły pamiętać – ale wcale nie musiały – zagładę tego świata. Posiedziałem trochę tu, trochę tam, mogłem odprężyć się, zapomnieć na chwilę o problemach, jakbym mógł tu uciec na dobre i olać wszystko, a potem wracałem, bo ucieczka nie miała sensu. Nigdy jednak nie chodziłem, nie zwiedzałem, niczego nie szukałem ani nie próbowałem dowiedzieć się żadnej rzeczy.

Z tym miejscem było, jak z wieloma ciekawymi miejscami na świecie. Po prostu było, nie czułem sensu we wnikaniu w nie, rozgryzaniu – znając życie, i tak na niewiele by się to zdało – po prostu trzeba się było nim cieszyć, korzystać, póki jest okazja, i nie drapać za bardzo kolorowej farby na wierzchu, żeby nie okazało się czasem, że pod nią znajduje się rdza, dziury i wszystko sypie się i brudzi palce.

Więc tego pierwszego dnia nie zaszedłem daleko, bo i nie wiedziałem, dokąd właściwie chcę iść. W którą stronę mam iść. Jeśli wcześniej odchodziłem, odchodziłem na kilkadziesiąt metrów, najczęściej w lewo, tam gdzie zagajnik, cień i wąska dróżka, która wyglądała jak stworzona do spacerowania nią. Teraz stałem, rozglądałem się. Mam pójść na południe, o ile to było południe, tam, gdzie droga stawała się pełna dziur i bardziej kamienista? A może na północ, gdzie piaskowa ścieżka wiła się i kręciła, znikając za załomem terenu, biegnąc ku horyzontowi? Albo iść dalej tą spacerową trasą, która spacerowa pewnie wcale nie była? Mogłem też przeskoczyć płot na prawo – albo pchnąć go lekko i patrzeć, jak upada, niczym kostki domina – i popędzić na przełaj przez łąki, w kierunku ciemnej ściany lasu.

Ale tylko stałem i rozglądałem się. Pobiegłem najpierw w jedną stronę, za siebie, aż dotarłem do samotnej śliwy rosnącej przy drodze, nagiej, jakby zestarzała się, wyłysiała i nie dawała już owoców. Teren wznosił się aż do tego miejsca, dalej jednak zaczynał opadać, ale całe to dalej

nie wyglądało zbyt ciekawie: tylko pola, łąki, piasek nawierzchni i kolejna ściana lasu na horyzoncie, pod bladym, zasnutym chmurami słońcem.

Potem wypróbowałem ścieżkę spacerową, ale po stu, może dwustu metrach niewiele się zmieniło, więc zawróciłem. Droga na północ wydała mi się najlepszą opcją, byłem ciekaw, co znajduje się za spadkiem terenu, ale w połowie drogi do niego z nieba zaczął kropić deszcz. Zawróciłem. Zanim dotarłem do rowu melioracyjnego, w którym znikalem, niebo pociemniało i rozpadało się na dobre.

Wskoczyłem w zagłębienie w ziemi. Wcisnąłem się w nie plecami. Deszcz padał mi na twarz, ściekał po niej zimnymi, łaskoczącymi strużkami. A chwilę potem spadałem już twarzą w dół, w kierunku kwiatów obok ściany domu, zbyt krótko, by woda na mnie wyszła, ale dostatecznie długą chwilę, by zimno stało się jeszcze bardziej odczuwalne.

I tak ta wyprawa dobiegła końca.

Miasto. To było miasto.

Piaskowa droga biegła przed siebie, aż zaczęła opadać, a tam, gdzie teren leżał w zagłębieniu, piasek przechodził w asfalt, pojawiał się beton, na poboczu szosy, do której docierała droga, wyrastał chodnik z czerwonej kostki, a w dalszej perspektywie zaczynały rysować się kształty budynków.

Miasto jak miasto. Kwadratowe, betonowe konstrukcje, może o nieco innych oknach, z nieco innym podziałem szyb i kształtem dachów, jednak wyglądały tak, jak wyglądają wszystkie inne domy. Tak, jak domy sobie wyobrażamy i jak powinny wyglądać. Cztery ściany, drzwi wejściowe, prostokąty ze szklami, przez które można wyjrzeć na zewnątrz. Domki jednorodzinne ogrodzone w sposób, w jaki ogradza się posesje wszędzie, gdzie istnieje taki podział terytorialny, wielopiętrowe bloki i płaskie konstrukcje sklepów wielkopowierzchniowych.

A gdzieś pomiędzy tym wszystkim poruszali się ludzie. Ludzkie sylwetki, dwie ręce, dwie nogi, raczej po parze oczu nad nosem, z ustami pod tym nosem, na ile mogłem zorientować się z coraz bardziej malejącej odległości. Nieco inne ubrania, nieco odmienne fryzury, parę drobiazgów, które wydawały się inne, chociaż ciężko mi było powiedzieć, na czym polega różnica, ale...

Ale. Wszystko było takie... takie zwyczajne. To był inny świat, spodziewałem się sam nie wiem czego, ale nie tego. To prawda, że drzewa i trawa wyglądały jak drzewa i trawa, które znałem ze swojej codzienności. I fakt, dało się tu oddychać powietrzem, które miało odrobinę inny zapach i smak, ale było powietrzem właśnie, a deszcz mnie nie rozpuścił ani nie zatruł – choć po jednym dniu ciężko było stwierdzić to na pewno – ale jednak widok ludzi takich samych, jak ci, których mijałem każdego dnia, stanowił pewne, całkiem spore rozczarowanie.

Owszem, poczułem też ulgę, w końcu nie pełzało tu nic z mackami i zębiskami wypełniającymi paszczę tak, że nie powinny się w niej mieścić, ale przeważał zawód. Jeśli ten świat miał jakiś być, powinien być albo wymarły, albo niezwykły, a nie taki swojski, taki znajomy. Taki niemalże nudny.

Na pewno były tu szkoły i urzędy. Rachunki za prąd, podatki i kiepsko zorganizowana służba zdrowia. Były kościoły i biblioteki, jak były cmentarze i miejskie toalety, z których nikt nie chciał korzystać. Inny świat, magiczne miejsce, szczyt niezwykłości, na jaki mogłem liczyć, okazał się być jak inna miejscowość. Sposób dotarcia się różnił, wrażenia nie bardzo. Może nie dojechałem tu autobusem ani rowerem, ani nawet nie zaszedłem na piechotę podczas jakiejś bezmyślnej przechadzki z Proszkiem czy Różką, ale wszystko wyglądało jak wtedy, gdy wędrując za miejski zalew, ścieżką między posesjami i drzewami dotarliśmy do szosy przecinającej wieś, w której nigdy nie byłem, choć znajdowała się tak niedaleko. Tam też wszystko było inne, ale takie same. Mniejsze domy, większe posesje, nierówne dachy i ludzie z innymi, jakby niedbałymi fryzurami, przesadnym makijażem i w ubraniach, których dwa kilometry dalej, w mieście, zwyczajnie się nie nosiło.

Obcy świat był jak wieś. I to musiało rozczarować każdego.

Zawróciłem więc i wróciłem do domu.

Następnego dnia byłem tu z powrotem.

Każdy, kto spaceruje, kto dużo chodzi albo biega na dłuższe dystanse, w końcu dociera do miejsca, którego nie zna. Choćby z ciekawości, co kryje się za zakrętem, skoro jeszcze tam nie był, a do przejścia zostało mu może z pięćdziesiąt metrów. I nawet jeśli się zawiedzie, nawet jeśli dozna rozczarowania, jak zwyczajne jest to wszystko, w pewnych różnicach – czy to większa porcja zieleni, ciekawsze drzewa, czy może urok małych wiejskich domków, z których parę posiadało nawet drewniane, pomalowane jaskrawo okiennice – znaleźć może sporo przyjemności. Coś, co zaciekawi, coś, co wpadnie w oko albo cokolwiek innego.

Ja zapragnąłem zobaczyć, jak wyglądają dziewczyny w moim wieku. Czy są wyższe? Niższe? Wydają się młodsze albo starsze? Jakie mają kształty? Większy biust, mniejsze biodra, ładniejsze twarze? Może pachną inaczej albo ubierają się tak, że jednak chce się poświęcić na nie sporo czasu, nawet jeśli całe otoczenie stanowi rozczarowanie, jak otrzymanie na gwiazdkę pary ciepłych kapci, kiedy ma się tyle lat, że nawet bez kapci jest człowiekowi za gorąco w stopy?

Kolejny dzień był chłodniejszy, choć słoneczny. Wiedząc, w którą iść stronę, nie namyślając się za wiele, trasę do miasta, miasteczka właściwie, bo ciężko było określić je innym mianem, pokonałem w dziesięć minut. Czuję się tu jak intruz, jak obcy, ktoś, kto zwraca na

siebie całą uwagę świata, ale mijający mnie ludzie nawet na mnie nie patrzyli.

Przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy to naprawdę inny świat. Czy nie przeniosło mnie gdzieś niedaleko, w jakieś bliskie miejsce, do innego miasta, może na wieś albo chociaż za granicę, ale to nie było to.

Słyszałem, jak tutejsi mieszkańcy rozmawiają ze sobą albo przez telefon, słyszałem słowa, których nie byłbym w stanie wymówić, dziwaczną mowę nieprzypominającą niczego, co słyszałem, a każdy, nawet dzieciaki, słyszał zawsze dostatecznie dużo, oglądając telewizję, chłonąc kolejne filmy i gry, by rozpoznawać najważniejsze języki planety. Inaczej się po prostu nie dało. A ta mowa, wszystkie te dziwne słowa, jak odgłos stworzenia przedzierającego przez las, w którym opadają suche liście. Tak po prostu ludzie nie mówią, niezależnie od tego, gdzie mieszkają, gdzie żyją i jak się komunikują, w moim świecie wszystkie te słowa i dźwięki były nie do pomyślenia.

Przeszedłem uliczkami. Chodniki były nierówne i spękane, jak to chodniki, dziury w nawierzchni, brud minionych lat widoczny na ścianach budynków, gdy tylko zbliżyło się do nich dostatecznie, by widzieć wyraźnie szczegóły, w witrynach małych sklepików wyblakłe reklamy produktów, które pewnie już od dawna nie były dostępne w sprzedaży, nikogo nie kusily, bo nikt nie zwracał na nie uwagi.

Kobiet było kilka. Dwie koleżanki z wózkami z dziećmi szły obok siebie i rozmawiały, nie zwracając na nic uwagi.

Zawsze zastanawiałem się, jak one to robią. Dogadują się, żeby razem zejść w ciążę w tym samym czasie i potem móc wspólnie biegać z wózkami i narzekać na swoją codzienność?

Jakaś starsza kobieta wyprowadzała na spacer psa, w dłoni trzymając torbę z zakupami i ani pies, ani zakupy nie różniły się zauważalnie od tych, które już znałem. Zwierzę szczekało, jak szczekali wszyscy przedstawiciele jego gatunku, i może ja nie byłem w stanie dogadać się tutaj z nikim, ale taki psiak, gdyby trafił do mojego świata, szczekaniem, obwąchiwaniem i uniwersalnymi gestami zdołałby dojść do porozumienia ze swoimi ziomkami. Pod tym względem zwierzęta zdawały się przewyższać ludzi. Nieważny był dla nich kraj, świat, rzeczywistość, bo nie posiadały języka jako takiego, więc i nie posiadały jego barier.

Kilka kobiet w średnim wieku, jedna wyglądająca jak pracownica biura, inna jak przykład alkoholizmu. Była nawet jedna, którą w moim świecie określało się mianem „wariatek”, ubrana w kolorowe ciuchy, wiele warstw różnych niepasujących do siebie barwnych ubrań, w których tonęła i nie pociła się, choć powinna zalewać się potem.

Szedłem dalej, prosto przed siebie, starając się nie zbaczać za bardzo i zapamiętywać, co powinno znajdować się za moimi plecami.

Jakieś pół kilometra dalej znajdowała się szkoła. Stary, zabytkowy budynek – albo na taki stylizowany – a wokół

spacerowało kilka uczennic. Wszystkie podobne, większość ubrana w zbliżony sposób, nawet tu dzinsy, czasem niebieskie, czasem czarne, niekiedy białe, do tego bluzki, jakieś gadżety, nieco odmienne od siebie plecaki. Zupełnie jakbym poszedł do swojej szkoły, z której dziś się urwałem. Dziewczyny z tego świata były jak wszystkie inne dziewczyny. W większości przypadków miałem na czym zawiesić oko, zwłaszcza, że w kwestii urody nigdy nie byłem szczególnie wybredny, a poza tym częściej podobały mi się te szare myszki, na które większość nie zwracała uwagi.

Nie trafiłem na nikogo, kto zwałiby mnie z nóg, ale też i nie było zawodu.

Naprawdę wyjątkową dziewczynę zobaczyłem kilka dni później. Siedziała na ławce, zaczesywała włosy za ucho i złościła się na kogoś, z kim rozmawiała przez telefon. Lubiałem sobie potem wyobrażać, że kłóciła się z chłopakiem, zrywała z nim i była do wzięcia, szukając pocieszenia w towarzystwie kogoś takiego jak ja, ale nie miałem pojęcia, o co jej chodziło ani z kim o tym rozmawiała. Po prostu siedziała tam, złościła się, czasem rozglądała, jakby obawiała się, że ktoś ją podsłuchuje albo podgląda.

Miała typ urody, który w moim świecie byłby oznaką przeciętności. Nic, co by się wyróżniało. Ale w tym świecie miała w sobie coś, co z miejsca wpadło mi w oko. Drobne usta? Spokojne oczy? Włosy, które nie były ani jasne, ani ciemne?

Tego nie dało się uchwycić, opisać, powiedzieć. Było w niej coś, a może raczej COŚ, co sprawiało, że nie mogłem przestać się jej przyglądać. Coś tak miłego dla oka, rozgrzewającego gdzieś w piersi, zostającego w umyśle. Coś. COŚ. Po prostu COŚ.

Patrzyłem na nią może z pięć minut, po czym odszedłem, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Obszedłem okolicę dookoła, znikając za budynkami i szybko mijając je, zataczając koło i nadchodząc od drugiej strony, żeby jeszcze na nią popatrzeć, ale już jej tam nie było. Rozglądałem się, wypatrywałem, na próżno.

Nigdy więcej jej nie zobaczyłem.

Wtedy, za dzieciaka, za nastolatka, nie przyszło mi do głowy, żeby spróbować nauczyć się tutejszego języka. Mogłem udać turystę z innego kraju, nieznającego mowy, dogadać się na migi, gestami określać to i owo i uczyć określeń, które wówczas padną. W ten sposób mógłbym porozmawiać z nią, gdybym ją znów spotkał, ale byłem w wieku, który w głowie miał inne rzeczy. Zdarza się.

Teraz myślę, że nie byłoby to trudne. Nawet alfabet, jakim posługiwali się mieszkańcy drugiego świata był bliski temu, który znałem, z nieco innymi kształtami liter i paroma znakami zupełni mi nieznanymi. Niektóre dźwięki wydawane przez ludzi były mi jakby mniej obce, inne brzmiały jak coś, co nie powinno padać z ust istot ludzkich. Z drugiej strony, ja znałem dźwięki, których oni

najwyraźniej nie byli w stanie wymówić albo nie stanowiły niczego będącego w potocznym użyciu.

Wraciałem tam dzień po dniu, czasem nawet kilka razy dziennie. Urywałem się ze szkoły, kiedy mogłem, albo się do niej spóźniałem, a potem spacerowałem ulicami, poznając je coraz lepiej i znajdując odwagę, by zapuszczać się w nie coraz dalej. I patrzyłem. Patrzyłem na ludzi, na witryny, na okładki książek i ich tytuły. Spoglądałem na nazwy budynków i instytucji i wsłuchiwałem się w ludzkie szelesty, w nadziei, że wychwycę coś naprawdę znajomego.

Nic.

Miałem ochotę spróbować tutejszego jedzenia, choćby zwykłej bułki, gdy przechodziłem obok miejscowej piekarni – bo chyba tym właśnie była, chociaż budynek, w którym mieścił się jej sklep, wyglądał podejrzanie – zapach, jaki się niósł, aż wywoływał głód. Nie miałem jednak za co. Mogłem coś ukraść, w świecie, do którego nie musiałem wracać, nie miałem też powodów do obaw, ale to nie było w moim stylu.

Ostatecznie nie zjadłem nic.

Kilka razy wymknąłem się tu popołudniem, kiedy niebo nad miastem wyglądało, jakby płonęło, a dwa razy przyszedłem tu po zmroku. Za każdym razem udawałem, że wyskakuję do Proszka albo Buły, otwierałem i zamykałem za sobą drzwi, podczas gdy rodzice zajęci byli jedzeniem kolacji albo oglądaniem telewizji, i wskakiwałem

w przestrzeń pomiędzy ścianą a kredensem, wciskając się w nią plecami.

Wieczorami miasto było spokojniejsze, ale w blasku światel płonących w oknach zdawało się bardziej żywe. Z tym, że było to życie podzielone, zbiór samodzielnych żywotów ograniczonych najczęściej do czterech ścian, gdy znikwała konieczność społecznych interakcji i można było w końcu skupić się na sobie. Jakby każdy wiódł dwa życia – to oficjalne, na pokaz, i to, któremu mógł się oddawać tylko, kiedy był sam albo w towarzystwie tych, których kochał.

Nocą czy w dzień, miasto też wydawało się podzielone. Mieszanina starych budynków i nowych konstrukcji. Brudnych uliczek i czystszych miejsc. Zieleń walczyła tu o miejsce z betonem, niektórzy ludzie wyglądali, jakby wyciągnięto ich wprost z wiejskiego podwórka i wrzucono w miejską scenerię, inni, jakby miasto krążyło w ich żyłach. Wystarczyło przejść pół kilometra i nagle zabudowania znikwały, pojawiały się piaskowe, pełne dziur drogi i pola, ścieżki, którymi nikt nie chodził, bo wiodły właściwie donikąd, i nieregulowane strumyki, które wydawały się niemal na śmierć wyschnięte.

Pod koniec moich wypadów do tego świata, blisko zimy, która stała się wyznacznikiem smutnego czasu przeprowadzki, zaszedłem do budynku, do którego ludzie wchodzili i wychodzili, jakby każdy mógł go odwiedzić. Ponieważ wszyscy spacerowali z książkami, uznałem go, słusznie, jak się miało okazać, za bibliotekę.

W środku było niemal pusto. Korytarze wiodły w różne strony, pracownicy, którzy słuchali radia i czytali gazety, nawet nie zwracali uwagi na przychodzących, dopóki ktoś nie podszedł do ich biurka, żeby wypożyczyć książkę.

Wszystko funkcjonowało, jak pewnie w każdym innym świecie. Wszystko funkcjonowało tak, jak pewnie funkcjonowało i w zaświatach, o ile jakieś istniały.

Przez nikogo nie niepokojony zanurzyłem się między regały. Zapach pleśni i wilgoci, zapach starych kartek i tuszu, był chyba łącznikiem między wszystkimi bibliotekami w dziejach. Aromatem pozwalającym rozpoznać takie miejsca nawet, gdy nie zna się języka.

Znalazłem tu książki i komiksy. Znalazłem ilustrowane historie i nieco rzeczy wyglądających na encyklopedie. To musiał być dział dla dzieci, ale nie wymagałem niczego więcej. Nie miałem żadnego celu, wszedłem tu z ciekawości i cokolwiek wpadło mi w ręce, wydawało się odpowiednie. I tak nic z tego nie rozumiałem, choć z samych ilustracji mogłem bez trudu wyczytać ogólny zarys wydarzeń. Jednak i te historie, pisane znajomym alfabetem, ale słowami nic mi niemówiące, wydawały się mało oryginalne, jak wszelka twórczość w świecie, w którym kultura i sztuka istnieją od tysięcy lat.

Dotarłem chyba do działu historycznego, a może geograficznego – a może w tym świecie to było jedno i to samo – bo znalazłem kilka książek prezentujących różne kraje, nacje i mapy. Kontynenty wyglądały jednak inaczej, granice terytorialne państw nie przypominały mi

niczego, co znałem, a te nazwy – słowa, jak Polska, Rosja czy Stany Zjednoczone, Japonia albo Hiszpania – brzmiały obco, jak nie brzmiała żadna inna nazwa znanego w moim świecie kraju.

Gdzie kraje takie jak Sänar albo Uzū? Gdzie nacje pokroju Nezsŕha ts'h nayin?

Znalazłem coś, co wyglądało na przewodnik po mieście, w którym byłem, i wszystko wskazywało, że znajduję się w jakimś Węgrowie. W Polsce. Wszystko sugerowało, że ta dziwna, szeleszcząca mowa, jak dźwięk wiatru między liśćmi, była czymś, co pewnie nazywałoby się językiem polskim.

Odłożyłem książeczkę, wsunąłem się dalej w półki, patrząc, szukając, ale na nic więcej ciekawego nie wpadłem. A przynajmniej na nic, co byłbym w stanie zrozumieć.

Do tego świata wróciłem jeszcze dwa razy. Przez moment wahałem się jeszcze, czy by nie uciec z domu, nie pobyć tutaj dłużej, ale ostatecznie uznałem, że nie ma to sensu. Bo co tu na mnie czeka? Co jeszcze zobaczę, czego bym nie widział? Kogo poznam?

Więc nie uciekłem. Dwukrotnie przeszedłem drogą, dwukrotnie wskoczyłem w rów, za każdym razem wypatrywałem tamtej dziewczyny, ale już jej nie zobaczyłem. Irytowało mnie to, wydawało się niemożliwym, chociaż w swoim świecie, w mieście niewiele większym od tego, widywałem nieraz osoby, których nie znałem albo nie

spotykałem już dziewczyny, którą przypadkiem zobaczyłem na ulicy i poświęciłem jej kilka myśli.

A teraz, po tylu latach, nawet gdybym wrócił, czy bym ją poznał?

Myślałem czasem o niej; o ładnej dziewczynie z innej rzeczywistości się nie zapomina. Zastanawiałem się, co teraz robi, gdzie jest. Ma męża? Dzieci? A może karierę i chłodne, puste łóżko wieczorem?

Czasem miałem nadzieję, że jest szczęśliwa. Czasem wyobrażałem sobie, że zauważyła mnie tamtego dnia i wpadłem jej w oko. To dlatego potem zniknęła, bo poszła mnie szukać, ale rozminęliśmy się wtedy na dobre, teraz, po latach zaś, nadal ma nadzieję na ponowne spotkanie i czeka, jak w jakimś kiepskim romansie z elementami SF. A czasem myślałem, że może ona też wcale nie była z tego świata. Że może siedziała tam i rozmawiała z kimś, rozglądając się, żeby nie zwrócić na siebie uwagi.

Czasem myślałem, że może wszyscy ci ludzie, których spotykamy raz w życiu, a potem nigdy ich nie widzimy, to takie same przypadki przeskoków do innego świata, jak ja.

Może...

Może...

Dużo tych może. Żadne niewarte uwagi, bo i co mógłbym zrobić? Domu już nie ma, nie ma kąta w ścianie i samej ściany, przez którą mógłbym przeniknąć, a choć

przeszukałem tyle internetu, ile zdołałem, nie spotkałem podobnych przypadków. Nie znalazłem więc i innych miejsc, które pozwoliłyby mi przejść gdziekolwiek poza własną rzeczywistość. Zresztą, nawet gdyby były, kto wie, gdzie bym trafił.

Więc po prostu myślę. Wspominam. Wyobrażam sobie. To nic nie kosztuje.

I żyję dalej, bo bez obcego świata, do którego ma się dostęp, życie toczy się dalej tak samo jak zawsze.

DZIEWIĘĆ ŚCIEŻEK

– Morderca! Morderca! Morderca! Morderca!

Przewróciłem się na drugi bok i zakryłem głowę poduszką. Przez szczelinę między czerwonymi firankami dostawały się pierwsze promyki słońca.

Kobieta nie przestawała krzyczeć. Miała wysoki, piskliwy głos, skrzeczała wściekle i irytująco jak mewa.

– Morderca! Morderca! Morderca! Morderca!
Morderca! Mor...

Wstałem, odgarnąłem firanki, po czym otworzyłem okno na oścież.

– Zamknij się w końcu! Ludzie tu próbują spać! – rzuciłem pewny swego, a dopiero potem zacząłem się rozglądać za potencjalną sprawczynią hałasu. Szukałem jej wzrokiem, poirytowany rytmicznym, niedającym spokoju wrzaskiem. Kiedy wreszcie ją odnalazłem... zamarłem.

Stanąłem w miejscu jak wryty.

O tej porze roku na moim podwórku stara, dojrzała wiśnia, którą posadził tu jeszcze mój praprapradziadek, powinna już zakwitnąć. Zamiast cudownych kwiatów na czubku drzewa siedziała postać wrośnięta w jego pień: przygarbiona, chuda jak patyk kobieta o zgniłozielonej skórze i brązowych, szczeciniastych włosach. To z pewnością była ona, na moim podwórku nie było nikogo innego. W momencie, kiedy ją napomniałem, spojrzała prosto na mnie, żartobliwie wybałuszając siny, długi język. Zwróciła swoje ciemne jak sama noc źrenice ku górze, jakby była przez kogoś duszona.

Czarna plama przysłoniła mi widok słońca. Zmutowany, kilkunastometrowy kruk o nagiej czaszce spikował na mnie, rozbijając ścianę i okno. Zwierzęce, trupio cuchnące cielsko rozgniotło mnie w mięsną papkę.

Obydwaj powoli dogasaliśmy na podłodze mojego mieszkania. Trochę minęło zanim moja dusza opuściła ciało, pomimo bycia rozsmarowanym w krwawą plamę świadomości. Duszę się zatęchłym zapachem jego skóry, tak bardzo pragnąłem wymiotować...

Zerwałem się z łóżka z krzykiem na ustach.

Powoli dochodziłem do siebie, a jeszcze wolniej rozznałem się w obecnej sytuacji. Spojrzałem na swoje dłonie. Mój oddech powoli się uspokajał, aż wreszcie – w ramach ostatecznego testu – uszczypnąłem się.

Nic nie uległo zmianie...

– Morderca! Morderca! Morderca! Morderca!

Cholera, to znowu ona. Podszedłem do okna. Nadal tam była, uzurpowała miejsce liściastej korony. Szybko uchyliłem się w obawie przed ponownym spotkaniem naszych spojrzeń. Myślałem, że już mnie zobaczyła i gigantyczny kruk przyleci lada chwila. Z jakiegoś powodu mnie ignorowała i dalej wydzierała się w niebogłosey, powtarzając to samo słowo jak mantrę.

Wyglądało na to, że tak długo, jak jej nie upominałem, było w porządku.

Zaburczało mi w brzuchu; chyba pora coś zjeść. To był naprawdę męczący sen, o ile to, co przeżyłem przed chwilą, w ogóle można było nazwać snem.

Zszedłem na dół, do kuchni. Otworzyłem lodówkę, która uderzyła mnie pustką i chłodem. Zaraz, przecież dosłownie wczoraj zrobiłem zakupy. Co tu się do diabła dzieje? Jak tu trafiłem? Być może to wcale nie był mój dom?

Westchnąłem. Tak czy inaczej, trzeba było pójść do sklepu.

Nie chciało mi się przebierać, i tak o tej porze na ulicach panowały pustki. Wyszedłem w piżamie. Ostrożnie przechodziłem przez własny ogródek, w obawie, że zielonokóra spojrzy na mnie lada chwila. Ignorowała mnie. Wciąż powtarzała tym samym piskliwym, drażniącym uszy głosem:

– Morderca! Morderca! Morderca! Morderca!

Minąłem zjawę, przyglądając się uważnie jej twarzy. Gdyby nie zgniłozielona skóra, ogromne strupy na policzkach i puste, czarne oczy, byłaby całkiem ładną kobietą, oczywiście pomijając resztę jej pokracznej sylwetki.

Wzdrygnąłem się. Czy ja właśnie przed chwilą pomyślałem, że to coś jest atrakcyjne? Gwałtownie złapałem się za brzuch. Zbierało mi się na wymioty, ale coś mówiło mi, że nie mogę tego zrobić. Nie wymiotuj, nie wymiotuj, nie wymiotuj, nie wy...

Przełknąłem wydzieliny z nietęgą miną, z maską pęczniejącą w uczucie obrzydzenia własnymi wnętrznościami. Odetchnąłem z ulgą, po czym wyszedłem za bramkę. Spodziewałem się widoku, który widziałem już setki razy: mieszanka domów jednorodzinnych i blokowisk, przejście dla pieszych, niewielki osiedlowy sklepik i trochę drzew. Tymczasem przed moimi oczyma ukazało się skrzyżowanie, którego wcześniej tam nie było. Cztery nieskończone ścieżki prowadziły w różne kierunki, a horyzont każdej z nich został przysłonięty gęstą, siwą jak starość mgłą.

Zadrzałem. Co tu się dzieje? Gdzie ja trafiłem? Czy w trakcie snu zmarłem i to jest moje piekło? Być może... Z rozmyślań wyrwało mnie burczenie w brzuchu, które jednocześnie stało się przyczyną miażdżącego wstydu. Bałem się, że ktoś lub coś je usłyszy. Westchnąłem ciężko, a potem ruszyłem przed siebie.

Szedłem i szedłem bez końca, chodnik ciągnął się w przytłaczający bezkres. Rozglądałem się na boki,

zaszczuty niesłabnącym poczuciem strachu. Odkąd przyniółtł mnie tamten kruk, nie mogłem mieć pewności, że podobne diabelstwo nagle nie wyskoczy na mnie gdzieś zza rogu. Ku mojemu zdziwieniu, wędrówka przebiegła bez przeszkód, co napawało mnie jeszcze większym niepokojem.

Po dłuższej chwili męczącej przechadzki, podczas której czułem się, jakbym musiał przemierzyć kilkanaście kilometrów, cierpiąc na silną gorączkę, dowiedziałem się, co było powodem rozdrażniająco kojącego spokoju. Kiedy dobrnąłem do końca północnej ścieżki, zatoczyłem pełne koło. Znalazłem się pośrodku drogi, która odchodziła od mojego domu. To z kolei doprowadziło mnie do prostej konkluzji, mogłem teraz iść tylko na prawo albo na lewo.

Zdecydowałem się na prawą odnogę, ponieważ byłem praworęczny. Być może to głupie rozumowanie, jednakże przez to prawa strona kojarzyła mi się zawsze z czymś pewniejszym. Kiedy próbowałem pisać lewą, zawsze wychodziły mi niezdarne, brzydkie kulfony.

Ostrożnie stąpałem po szarych, betonowych kostkach. Budulec w miarę przebytych metrów stawał się coraz bardziej popękany i niechlujnie ułożony, aż wreszcie zapanował chaos w jego strukturze. Musiałem stawiać kroki na błotnistej, mokrej ziemi między rozrzuconymi bez ładu bryłami.

Na szczęście lub nieszczęście, po jakimś czasie było już tylko błoto. Moje kapcie tonęły w nim coraz mocniej, poruszanie nogami przychodziło mi z trudem.

Zatrzymałem się. Ugrzęzłem na dobre. Co teraz? Znowu umrę? Jeśli tak, to mam nadzieję, że nie z głodu, wolę umrzeć szybko. Ktokolwiek mnie słucha, błagam, dajcie mi jeszcze jedną szansę, chcę umrzeć, chcę zacząć wszystko od nowa, następnym razem będę wiedzieć, ja...

Usłyszałem tłum dzwonek. Zza mgły wynurzyła się grupa cieni, a powtarzające się potrząsanie pękiem dzwoneczków przybrało na sile. Przede mną ukazała się grupa dziewięciu mnichów ubranych w białe szaty oraz złote, spiczaste kaptury. Czterech z nich pełniło charakter tragarzy, taszczyli na białym nosidle przedziwne monstrum o czarnym, oleistym i grubym węzowym ciełe oraz humanoidalnej głowie. Twarz potwora miała popękane usta, spod których wystawał tłum ostrych jak brzytwa, metalicznych kłów, osadzonych na dziąsłach wyrastających ponad wargi. Uszy istoty były spiczaste, a włosy ciemne jak mrok, długie i dziwnie sztywne, jakby wykonane z tkaniny. Para wąskich, zielonych oczu przedzielona spiczastym nosem spojrzała na mnie. Orszak się zatrzymał. Z ciekawości rozejrzałem się po pozostałych mnichach. Dwóch na przedzie niosło latarnie, zapewne oświetlali drogę we mgle. Dwóch z tyłu nieustannie wymachiwało pękiem dzwonek. Tylko jeden nie robił nic, ręce miał schowane w szerokich rękawach szaty. Stał między mną a groteskowym bytem, który taszczyli. Stwór wydał z siebie basowe, nienaturalne głębokie westchnięcie, a może jęk, jego wydechowy dźwięk był niemożliwy do opisanania.

Nietrzymający niczego mnich wskazał na mnie.

– Nasz bóg cię wybrał – powiedział, a za jego plecami węzowa maskara uniosła się do góry. Wystarczył jeden gwałtowny i krótki jak mrugnięcie ruch.

Ich święta poczwara odgryzła mi głowę z diabolicznym, wyszydającym uśmiechem.

– Morderca! Morderca! Morderca! Morderca! Mor...

Przysięgam, że jeśli jeszcze raz to wycie przerwie mój słodki sen, to popełnię samobójstwo. Nie mogłem go znieść, nie dzisiaj, kiedy po raz kolejny będę musiał przechodzić przez ten koszmar. Ukatrupię cię, to wszystko przez ciebie. Gdybyś tylko się nie pojawiła pierwszego dnia, ty, ty...

Nie było sensu jej ubliżać. Trzeba było przejść do czynu. W desperacji biegałem po domu, szukając wystarczająco ostrego przedmiotu. Nie mogłem niczego znaleźć. Wszystkie sztuczki i narzędzia wyparowały, zniknęły, jakby ktoś je przede mną schował.

– Morderca! Morderca! Morderca! Morderca! Mor...

W akcie rozpaczki, wycieńczony i z zadyszka upadłem na podłogę. Nie wytrzymam. To jej ujadanie w końcu doprowadzi mnie do szaleństwa. Złapałem się za głowę. Myśl, coś jeszcze powinno się znaleźć, musi, to byłoby niesprawiedliwe, gdybym...

...kompletnie zapomniałem o starej, drewnianej budzie za domem. Korzystali z niej głównie ojciec i dziadek w czasach mojego dzieciństwa. Były tam głównie przyrządy rolnicze, ponieważ wówczas nasza działka była o wiele większa. Niestety w kolejnych latach moja rodzina zaciągnęła długi i byliśmy zmuszeni sprzedać część naszego ogródka. Dziadek czasem tam przesiadywał w ciepłe, letnie wieczory, przyciągnięty do budki przez sentyment. Kiedy moi rodzice umarli, zupełnie o niej zapomniałem.

Udałem się do rozpadającej się przybudówki. Bez problemu otworzyłem kłódkę, a później w nadziei na cokolwiek, co pomoże mi przetrwać, pchnąłem stare, lekko spróchniałe drzwi. W kącie ciemnego, czterometrowego pomieszczenia leżała srebrna siekiera, wyglądała na nową.

Dzięki bogu, obojętnie któremu. To niewiele, ale zawsze coś.

Podszedłem do wrzeszczącej kobiety wrosniętej w drzewo.

– Zamknij się w końcu.

Przestała. Kiedy skierowała wzrok ku górze, od razu zamachnąłem się najmocniej, jak tylko mogłem. Zamknąłem oczy, myśląc, że kruk lada moment przyleci mnie rozplaszczyć. Zamiast tego poczułem delikatny ścisk wokół swojej kostki. Otworzyłem oczy. Jakimś cudem cios siekierą prosto w głowę jej nie zabił, a... uwolnił ją.

Jej kościste, nagie ciało barwy zgniłej zieleni leżało teraz na ziemi. Powoli podnosiła się, używając moich nóg jak drabinek – sięgała wyżej i wyżej. Próbowałem ciąć ją siekierą, ale to nic nie dawało. Nawet jeśli ją zraniłem, rana goiła się w ciągu milisekund. Zacząłem ją kopać, wyrwać się, krzyczeć, wreszcie spróbowałem uciec, niestety podczas próby biegu potknąłem się. Runąłem na ziemię jak długi, spodnie od piżamy zsunęły się, obnażając moją męskość. Odruchowo chciałem się zasłonić, ale ona... zaczęła ssać moje przyrodzenie.

Obrzydzenie zatrulo mi duszę, wymiociny znów podeszły mi do gardła. Jednocześnie nigdy w życiu nie odczuwałem tak wielkiej przyjemności, żadna kobieta nie dała mi tyle satysfakcji. Znienawidziłem się za to, że jest mi tak rozkosznie w ustach wynaturzenia, które nie istniało w moim świecie. Gdzie ja do cholery trafiłem?

Spojrzałem w jej oczy. To był błąd. Nieustannie na mnie patrzyła swoimi małymi, czarnymi źrenicami, które ociekały ropą albo innym obleśnym płynem o podobnej konsystencji. Zacząłem się zastanawiać, kto zożydza mnie bardziej, ona czy ja? Nie wybaczę sobie tego, nie wybaczę, ale muszę jej się oddać...

Oddaj się tej przyjemności, a będziesz bezpieczny – ta świadomość, te myśli przyszły znikąd, a może ktoś wymyślił je za mnie. Oddaj się, oddaj się, oddaj się, oddaj...

Zamknąłem oczy, starałem się o niczym nie myśleć. Po chwili poczułem ulgę, jej nowe oblicze, zupełnie nowy

wszechświat orgazmu, który jednocześnie przyprawiał mnie o nagłe poruszenia żołądka.

Powoli podniosłem powieki. Stałem znów na skrzyżowaniu, tym razem trzymając siekierę w ręce. Mój dom zniknął, co znaczyło, że musiałem dokonać ponownego wyboru między czterema ścieżkami. Czuję się dziwnie ciężki, a w ucho nieustannie ktoś mi chuchał. Odwróciłem głowę.

Zielonoskóra spała, wrośnięta w moje plecy. Kiedy próbowałem ją z siebie zepchnąć, czułem się tak, jakbym wyrwał dopiero co zrośniętego strupa i kawałek skóry nad nim. Znalazła sobie nowe drzewo, zrosła się ze mną. Próbowałem ją obudzić, ale moje wysiłki spełzły na niczym. W którą stronę iść? Jeśli będę musiał jeszcze raz przeżyć to wszystko, ten niechciany dotyk, i znów błądzić, będę zabijał się tyle razy, aż znajdę wyjście, przysięgam...

– W... lewo... – Wrośnięte we mnie paskudztwo czytało mi w myślach. Jej głos brzmiał teraz chropowato, a słowa wypowiedziała na wdechu, prawie się dusząc. – W... lewo... W... lewo...

– Dobra już, tylko utkaj tę swoją parszywą mordę – odparłem. Nie wytrzymałbym nieustannego wysapywania wciąż powtarzającego się słowa.

Poszedłem za jej sugestią. Dotarliśmy znowu do błotnistej ścieżki. Chciałem się wycofać, ale gdy tylko zawracałem, zrośnięta ze mną zaczynała panicznie krzyczeć mi do ucha „w lewo, w lewo, w lewo!” swoim normalnym,

mewim głosem. Ślepo i ufnie podążałem za jej wskazówkami, choćby po to, by mieć święty spokój i chwilę ciszy. Kiedy ponownie ugrzęzłem w błocie, nie minęła minuta, a mnisi znów przybyli zza mgły. Ich układ się nie zmienił, ale tym razem na ich nosidle znalazła się wysoka, piękna kobieta o zgrabnej talii, długich, prostych włosach o barwie poranka, w koronie srebrnego słońca i z twarzą jak porcelanowa lalka. Kobieta drobnym gestem – lekkim, niemalże eterycznym ruchem wiotkiej dłoni – nakazała swojemu orszakowi, by się zatrzymał. Zgrabnie zeszła z nosidła, myślałem już, że wskoczy w błoto, lecz ona unosiła się nad nim z właściwą sobie klasą i powabem.

– Cieszę się, że zechciałeś się poświęcić, o cudowny nieznajomy – przemówiła słodkim, subtelnym tonem.

– Poświęcić? Ja do niczego się nie zgłaszałem! – krzyknąłem. Frustracja, gniew i strach dały się we znaki, rozrwały moje serce, by znaleźć ujście we wściekłości słów. – Gdzie ja jestem? Co tu się do cholery...

Nakazała mi ciszę tym samym gestem, którym poprosiła orszak, by się zatrzymał. Och, jakaż ona była cudowna, chciałem spełnić jej każdą prośbę, paść do stóp i wielbić, wielbić, bezgranicznie wielbić i...

– Widzę, że ty i Bogini Obrzydliwości odbyliście już małżeńskie gody. Moje serce czuje bezgraniczną radość – powiedziała, a łza szczęścia spłynęła po jej policzku. Jej szczęście było moim szczęściem i zacząłem płakać z radości, podporządkowany jej boskiej aurze. Zrobię, co tylko zechcesz, o nieznajoma bogini!

– Taak. Mniece... teeeż... rozpieeera.... raaadoooość... – oznajmiłem głosem rozedrganym od płaczu.

– Ach, jakże to piękne z twojej strony! – Otarła łzę. – Są jeszcze na tym świecie ludzie honorowi. Dzisiaj spłacisz ostatnią ratę długu, który zaciągnęli twoi przodkowie.

– Taak. Zaaa... płaacę... – Łzy ciągle leciały wbrew mojej woli, a dumny uśmiech nie znikał. Przestańcie, ja wcale się nie cieszę! To nie jestem ja, to ona, to ona nakłada mi tę maskę, ta podła suka, to nie jestem ja, ja...

– Widzisz, nasz mały bohaterze, moja siostra – Bogini Obrzydliwości – była zbyt długo samotna. Nikt nie chciał się z nią ożenić, nawet za wszystkie bogactwa tego świata. To ona zbudowała sobie to piekło, z samotności runęła w odmęty szaleństwa. Czekaliśmy wieki, aż pojawi się ktoś... na tyle godny, by ofiarować jej swoją wieczność. Twoi przodkowie zrobili to za nieprzerwany dobrobyt swojego rodu. Skomponowaliśmy nasz pakt według następujących reguł: kiedy w danej rodzinie urodzi się dwójka synów, a jeden z nich będzie mieć już żonę, wtedy drugi zostanie poświęcony jako małżonek bogini. Niestety twoi przodkowie byli sprytniejsi, niż się spodziewałam. Zawsze pilnowali się, by w rodzinie pozostawało jedno dziecko, aż wreszcie twój ojciec nie dopilnował tej tradycji, uznając ją za zabobon. Ten dom należy do mnie, wszystko co masz i będziesz mieć, należy do nas.

– Ja należę do niej, tak się cieszę!

– Ach! Jakże czyste masz serce! A teraz idźcie, wyjdźcie z tego piekła i bądźcie razem nieszczęśliwi!

Wysunęła rękę przed siebie. Jasność zamroczyła mój wzrok.

Cofnęło nas do skrzyżowania, ale... prawa ścieżka zniknęła. Zamiast niej stał tam teraz gąszcz pustych domów, nienaturalnie piętrzących się w ścianę przebijającą niebo.

– Gdzie teraz? – zapytałem.

Milczała.

– Żartujesz sobie ze mnie?

Dalej nic. Westchnąłem. Znów postanowiłem skorzystać z najprostszego rozwiązania, pokierowałem nas prosto. Maszerowałem pewnie. Sam się zaskoczyłem. Nie rozglądałem się nerwowo na boki, jak za pierwszym razem, przerażenie zniknęło. Przyczepiona do mnie bogini dawała mi przedziwne uczucie komfortu pomieszanego z samowstrętem.

Po jakimś czasie na chodniku zaczęły pojawiać się plamy krwi, które stawały się coraz świeższe i gęstsze. Nawet się nie zorientowałem, kiedy brodziłem w płytkim jeziorze bordowych płynów. W oddali, na niewielkiej betonowej wysepce leżało węzowe monstrum, które wcześniej odgryzło mi głowę. Podeszedłem do niego. Dyszało ciężko, było na granicy życia i śmierci.

– Ura... tuj... –naśladowało nieudolnie ludzką mowę.

Akurat, wołałbym już oszczędzić gromadę pluskiew niż ciebie. Zielonoskóra otworzyła oczy. Położyła swój

podbródek na moim ramieniu, a później swoją żylastą, drżącą ręką sięgnęła do moich miejsc intymnych.

Ogarnął mną histeryczny śmiech. Zapraгнаłem zemsty za wszystkie moje krzywdy, za uganianie się po tym cholernym labiryncie, za oszukanie mnie przez moją rodzinę, za kilkukrotną śmierć, za coś, na co nie chcę, choć muszę pozwolić.

Uniosłem siekierę do góry i zacząłem ciąć.

Ciąłem i ciąłem bez opamiętania, śmiejąc się do rozpuku, AHAHAHAHA. Krew i flaki wężowego potwora rozchlapwały się dookoła HAHAHA, pobrudziły ściany domów HAHAHA, moje ubrania HAHA, dłoń bogini ohydztwa, jakie to zabawne, że tak długo musiałem czekać na zemstę, HAHAHAHA. Kiedyś, HAHA, miałbym przed tym opory, HAHA, morduję i morduję, miazdżę i miazdżę, HAHA, nic mnie HAHAHA, zabawniejszego HAHAHA, w życiu nie spotkAHAHAHAHAŁo, co za uba... HAHAHAHAHAHA!

Znaleźliśmy się z powrotem na rozwidleniu. Droga na wprost została zagrodzona przez martwe cielsko wężowej maskary, tym razem kilkukrotnie większe niż to, które dobiłem z niewymuszoną przyjemnością. Być może dało mi to tyle samo przyjemności, co „gody”... Wolałem tego nie roztrząsać. Nie chciałem dowiedzieć się, jak bardzo paskudnym człowiekiem jestem.

– W... prawo... w prawo... w pra...

– Usłyszałem za pierwszym razem, do kurwy nędzy! Nie musisz powtarzać tego samego. To doprowadza mnie do szału! – wrzasnąłem.

Od południa minął nas orszak ze srebrnowłosą boginią. Skarciła mnie wzrokiem, co oznaczało dla mnie największą nagrodę, jaką można otrzymać od wszechświata:

– Nie traktuj jej w taki sposób. Ona chce tylko pomóc. Jeśli znowu usłyszę, jak się do niej odzywasz, pozbawię cię życia i zepchnę do najgłębszych czeluści piekieł za odrzucenie daru boskiej miłości. Do zobaczenia. Kiedyś was odwiedzę – powiedziała, po czym wraz z grupą mnichów zniknęła w lewej ścieżce, która z mojej perspektywy już nie istniała.

Podążyłem za wskazówkami mojej wymuszonej małżonki. Może powoli przestaję ją nienawidzić? Nie, kto przy zdrowych zmysłach by tak pomyślał? Chyba tracę poczitalność, ja...

– To... nie... moja... wina... – wysapała.

Zignorowałem to. To od ciebie się wszystko zaczęło. Mam jeszcze naiwną nadzieję, że bez ciebie się skończy...

Nie uszliśmy daleko. Przed nami stała... drewniana szopa. Ta sama, z którą wziąłem moją siekiere.

– Oddaj... ją...

Nie miałem pewności, czy dalej była mi potrzebna. Westchnąłem. Pewnie bez tego nie pójdziemy dalej. Otworzyłem drzwi, a z szopy wypadło kilkaset oskórowanych

i odciętych ludzkich twarzy, kobiet, mężczyzn i dzieci. Wszystkim wyrwano zęby. Toczyły się do przodu, mówiąc:

– Wina, której nie da się wybaczyć! Wina, której nie da się wybaczyć! Pokuta i wybawienie przez zozydzenie, pokuta i wybawienie przez zozydzenie...

O mało co znów się nie porzygałem. I znów miałem to przeczucie, że jeśli to zrobię, stanie się coś złego. Nie wymiotuj, nie wymiotuj, nie wymiotuj, nie wymiotuj, nie... Ja nie dam rady, pogrążę nas, zginiemy, znowu będę musiał przeżyć wszystko od nowa, ja... ghgh...

Bogini ohydztwa zakryła moje usta swoimi palcami. Później, momentalnie między nimi pojawiła się jej głowa, zaczęła wpychać mi na siłę język do gardła, a ja nie potrafiłem wytrzymać, objęła moje wargi swoimi, o mój boże, wymiotuję do jej gardła, ona się tego nie brzydzi, nie, ona tego pragnie, chce tego, ale czy to nas nie zabije? Co z tego, jeśli zrobiłem to w niej, czy my....

Nieco chwiejnym krokiem wszedłem do budki, po czym odłożyłem siekiere na miejsce. Spojrzałem na zielonoskóre wynaturzenie, które jak gdyby nigdy nic dalej spało, wrosnięte w moje plecy. Wszedłem z przybudówki. Szopa zniknęła, a w jej miejsce wyrosła drewniana, płaska powierzchnia, pnąca się w górę aż do chmur i zagradzająca nam przejście, co oznaczało, że musieliśmy się cofać, a potem iść na południe...

Znaleźliśmy się przy pierwszym skrzyżowaniu. Wokół mojego domu wyrósł mur srebrnych włosów, to pewnie tamta podstępna bogini maczała w tym palce, nienawidzę jej bardziej niż boginię ohydztwa i Kocham ją bardziej niż boginię ohydztwa, paradoksy nieustannie się piętrzą, to przyprawa mnie o obłęd i panikę, zaraz się posypię...

...nie. Muszę iść dalej. Zostały jeszcze trzy ścieżki.

– Przód – odpowiedziała cicho. Tym razem jej głos dało się zdzierżyć.

Obróciłem się na pięcie, po czym poszedłem we wskazanym kierunku. Doszliśmy do... piaszczystej plaży i morza. Piasek był krystalicznie biały, a woda – szara.

Bogini ohydztwa się obudziła. Złapała mnie za brzuch, a jej wskazujący palec sięgał mojego serca, które zaczęło łomotać niczym młot.

– Czy lubisz morze? – zapytała.

Co odpowiedzieć? Muszę mówić szybko, bo za nie mogę za długo się zastanawiać, wyczuje we mnie fałsz. Ten palec... zasugerowała, że zamorduje mnie przy złej odpowiedzi. Co mogę zrobić?

Zdam się na swoją intuicję.

– Tak. Lubię na nie patrzeć, ale nie lubię w nim pływać.

– Mam tak samo – powiedziała po czym mrugnęła raz i drugi.

Morze i piasek... zniknęły. Zastała nas tylko pustka, wyrwa prowadząca donikąd.

- Tam... pojedziemy na pierwsze wakacje – oznajmiła.
- Co proszę? – zapytałem.
- Wa... kacje – odpowiedziała, po czym znowu poszła spać.

Zostało jeszcze tylko lewo i prawo. Gdzie teraz? Znowu mi nie podpowiada. Tym razem pójdę w lewo...

– O czcigodna Pani Dobrobytu, obiecuję, że postaramy się wypełnić kontrakt tak szybko, jak to możliwe – powiedział mój przodek o zamazanej twarzy.

Naprzeciwko niego siedziała srebrnowłosa piękność i bogini ohydztwa.

– A zatem błagasz mnie, by ludzie zapomnieli o twoim bestialskim wymordowaniu konkurencyjnego rodu i aby twoi potomkowie żyli w wiecznym dostatku?

– Tak, proszę! Błagam, na moje dobre imię! – zakrzyknął, padając jej do stóp.

– Aleś ty obleśny – odpowiedziała z pogardą.

– Nada się – odezwała się bogini ohydztwa. – Potomek tej rodziny, skażony jego winą... nada się. – W tym wspomnieniu miała głos równie słodki co jej siostra, choć wyglądała tak samo jak dziś.

– Ależ, to nie taka wielka przewina, przecież usuwanie konkurencji to naturalna, rzekłbym nawet, powszechna praktyka wśród wysokich rodów...

– Nie wtedy, gdy każe się rodzicom jeść obdarte do mięsa zwłoki ich świeżo narodzonego syna, po kilkutygodniowej głodówce. Nie wtedy, gdy później publicznie obnaża się ich i pastwi się nad nimi ku uciesze własnych wieśniaków – odparła chłodno piękna bogini.

– Drugi... to musi być drugi syn w rodzinie...

– Tak, tak, a resztę już znasz. Dziękujemy za przedstawienie.

Piękność stała przed nami, tym razem bez towarzyszących jej mnichów. Klasnęła w dłonie, dwie pozostałe postaci się rozmyły, dom mojego przodka rozpadł się w pył.

– Dlaczego to ja muszę ponosić karę za jego czyny? – zapytałem z wyrzutem.

– Nadal odbierasz to jako karę? Będziesz żyć wiecznie z kimś, kto cię kocha. Nie odrzucaj daru boskiej miłości, inaczej skończysz jak twój przodek.

– A jak niby skończył?

Stojąca przed nami piękność uśmiechnęła się demonicznie. Tupnęła nogą. Z kamieni powstał duch tego samego mężczyzny, który zawarł z nią kontakt. Mój przodek miał pusty wzrok pozbawiony woli i myśli, zdierał sobie skórę obieraczką, krzyczał i płakał, lecz nie przestawał.

– Spójrz – powiedziała, wyszczerzając się jeszcze diaboliczniej. Kopnęła mojego przodka w plecy, ten załkał po cichu, przewrócił się, jednakże wciąż nie przestawał

obdzierać się ze skóry i wyć z bólu jak zwierzę. Po tym pokazie pogardy na jej oblicze wrócił łagodny uśmiech, który rozkochałby w sobie każdą żywą istotę. – Cieszę się, że masz czyste serce, mężu mojej siostry. Nie chcę znać twojego imienia, niech pozna je tylko ona. A teraz idźcie, przed wami została ostatnia ścieżka.

Nie pamiętam finalnej drogi. Zmieniłem się z nią ciałami, powiedziała do mnie:

– Teraz ja nas poprowadzę...

I zdjęła mnie ze swojego ciała, chociaż to ja ją niosłem na barana, ale nagle jakbyśmy się zamienili, jakbym to ja był brzydkim i bezwładnym, kulą u nogi, niechcianym ciężarem, paniką umysłu, który znalazł się w nieistniejącej-istniejącej przestrzeni...

Obudziłem się w swoim mieszkaniu, we własnym łóżku. Oddychałem z trudem, moja twarz... ciążyła.

To ona, siedziała na mnie. Z jej skóry wypływała gęsta, niezidentyfikowana ciecz. Czy to była ropa? Nie, to coś innego, nie potrafię tego nazwać, płyn wypełniał mi gardło, aż wylewał się z niego na pościel, a potem podłogę, kto to zmyje i kto to spierze? Wiesz ile proszku do prania na

to pójdzie, albo w ogóle trzeba będzie wymienić poszewki i panele, a to kosztowne!

Czarny płyn zaczął wychodzić mi przez nos, potem przez uszy, aż wreszcie na samym końcu płynął z moich oczodołów, niczym dwa małe wodospady mojej rozpacz. Górowała nade mną, jęczała, moja słodka ohydo, jak ja cię nienawidzę, ale kocham, teraz już wiem, dzięki tobie umrę na zawsze, umrę po raz ostatni i na dobre, wyrwę się z tej pętli, dziękuję ci, dziękuję, po stokroć dziękuję, padnę ci do stóp, ja...

...

Nigdy nie czułem się szczęśliwszy.

PAWEŁ LIWSKI

NIETRWAŁOŚĆ

*„The most crucial matter in this world
Is to offer those who wish an exit
A place to turn, a helping hand.
You were not born by yourself
Why must you vanish that way?”*

Thomas Ligotti, Death Poems

Znowu uciekłem.

Nie mogłem dłużej się krzywdzić, toteż tytanicznym wysiłkiem woli przeskoczyłem na kolejny kamień. Niejednokrotnie wyobrażałem sobie egzystencję jako taflę jeziora. Mój głaz znajdował się dokładnie pośrodku bezkresnej toni. Brzeg pozostawał niewidoczny; jak okiem sięgnąć jedynie czysty błękit i niczym niezmaczona powierzchnia wody. Jedynie przede mną i za moimi plecami, nieregularnie niczym pieprzyki na skórze, dało

się zauważyć bloki skalne podobne do tego, na którym sam się znajdowałem. A ja w centrum; mogę się albo cofnąć, albo iść dalej, niby truizm. Ale co wybrać? Bo przecież na coś muszę postawić. Muszę? Postoję tu i pomyślę, gdyż ciągnie mnie i odrzuca zarazem moja przeszłość. Kusi i napawa strachem przyszłość. Trwanie... to mój aktualny priorytet.

Recepcjonista rozpoznał mnie niemal od razu. W jego ciemnych, czarnych wręcz oczach ujrzałem ten swoisty błysk i dziwne, ale poczułem się, jakbym wracał do domu.

– Dzisiaj trzynastka. – Usta przykryte gęstą szczecina wymamrotały cicho, gdy bezwiednie sięgnął za siebie i podał mi klucz.

Wiedziałem, którądy iść. Znałem ten przybytek jak własną kieszeń. Moje lokum na najbliższe dni jako jedyne znajdowało się na poddaszu. Cały motelik mieścił czternaście pokoi ulokowanych na trzech kondygnacjach. Paradoksalnie, czternastka była na samym dole, a jej status można by określić jako *presidential suite*, ale tylko po to, by wspomnieć o nieco wyższym standardzie, w skład którego wchodziła toaleta znajdująca się wewnątrz „apartamentu”, a nie jak w pozostałych przypadkach, na korytarzu.

Windy nie było. Portiera, sztywno wyprostowanego i czekającego, by wnieść mój niewielki bagaż na samą górę, naturalnie również brakowało. A może spowiła go dziwna mgła kłębiąca się na klatce schodowej i jedynie dźwięk srebrzystego dzwoneczka mógłby wyrwać go z jej objęć? Im wyżej spojrzeć, tym robiła się gęstsza,

przywodząc na myśl górski opar, przykrywający zazdrośnie szczyt jakiegoś ośmiotysięcznika. Jej strzępy muskały wytartą, bordową wykładzinę, spomiędzy której wyzierały wyszlizgane stopnie.

Leżałem w wannie. Pluskający dookoła mnie ukrop niósł ukojenie. Skroplona para osiadała na kafelkach. Dokonywałem ablucji, czując, jak woda zmywa mój gniew; mięśnie zaciśnięte w supły zaczęły się rozluźniać. Zza drzwi dochodziły do mnie odgłosy domostwa – nie ludzki wręcz warkot mojej żony, krzyki córki i ciągła pretensja wymierzona niby to w przestrzeń, jednak z idealnie dobranym natężeniem głosu, dzięki czemu mogłem usłyszeć każde słowo i poczuć się jeszcze gorzej.

Łazienka była moim bastionem. Tylko tam znajdowałem chwilę wytchnienia, opadało ze mnie poczucie zaszczucia, a pręty klatki rozwierały się nieco. Świat zewnętrzny przestawał się liczyć, a jego piekielna wysłanniczka nie mogła mnie tu dosięgnąć. Fizycznie nie było takiej opcji, ale werbalnie... To już inna sprawa.

Zanurzyłem głowę. W jednej chwili obelgi zmieniły się w przytłumione piski. Zanuciłem w myślach wierszyk towarzyszący mi ostatnio notorycznie:

*Mistrzynie podcinania skrzydeł,
Najgroźniejsza ze straszyleł,
Nałoży pętlę i na pohybel,
Spod nóg wykopie zydel.*

Nie pamiętam już, gdzie po raz pierwszy go usłyszałem. Niewykluczone, że powstał w mojej głowie dawno temu, regularnie powtarzany wrył się w mózg i z czasem autor przestał być istotny, treść przyćmiła pochodzenie. Chciałem nad tym jeszcze moment pokontemplować, bo czułem się bezpiecznie jak w łonie, gdy niespodziewanie otworzyłem oczy, bo ktoś wyciągnął korek z wanny. Woda niosąca mydliny wdarła się pod powieki, a do uszu dochodził coraz wyraźniejszy jazgot. Nie ruszałem się, pragnąłem urwać jak najwięcej tego błęgiego spokoju, a może liczyłem, że potwór sobie pójdzie. Najpewniej jednak błagałem, żeby najlżejszy z nurtów zabrał mnie ze sobą. Niech spłucze mnie jak farbę z emaliowanej wanny, rozcieńczy i zabierze ze sobą tam w głąb, do dołu.

Następnego dnia, zaraz po tym jak odstawiłem córkę do przedszkola, karminowa struga faktycznie zabarwiła nie tylko wnętrze balii, ale również kran i półeczkę z równiutko ustawionymi utensyliami do kąpieli. Tłukłem jej czaszką o rant wanny, aż został mi w garści tylko kawałek skóry ze strzępkami włosów. Palce ślizgały się po metalowej słuchawce prysznic, która zachrząściła

i zgrzytnęła nieprzyjemnie, gdy wpychałem ją przez zaciśnięte zęby do gardła swojej byłej żony. Puściłem wodę i przez dłuższą chwilę obserwowałem, jak chlusta wesolo, wybijając przez usta jak z fontanny. Udzieliła też nos, a ja głęboko się zastanawiałem, jakie jest prawdopodobieństwo, że znalazłaby też ujście przez oczodoły... No ale musiałem jej najpierw zrobić miejsce, więc wziąłem się do pracy. Musicie wiedzieć, że to nie taka prosta sprawa, nawet przy użyciu łyżki... Metaliczny smród tkanek i słonawy opar unoszący się z osocza wypełniły całą łazienkę, osiadły na mnie, tworząc przezroczystą powłokę. Nerwy obciąłem nożyczkami do paznokci, a same gałki ułożyłem na malinowych sutkach. W międzyczasie zrzygałem się kilkukrotnie. Ułożyłem ciało wygodnie w wannie, zatkałem odpływ. Zdziwił mnie dźwięk wydobywający się ze stawów podczas manewrowania zwłokami. Złowieszcze klikanie w kolanach, łokciach, dało się je słyszeć przy każdym ruchu, jakbym naciskał gumową zabawkę dla psa, tylko z wewnątrz, zamiast radosnego pisku, od płytek upstrzonych zakrzepłą krwią odbijało się; *klik, klik, klak*. Rozebrałem się i wskoczyłem do kąpielni, siadając naprzeciwko ciała. Osiągając poziom piersi, woda zabrała pokancerowane gałki oczne, bujające się teraz koło mojej moszny.

– W końcu – zacząłem – można spokojnie zrelaksować się w bąbelkach.

Wcisnąłem guzik włączający tryb jacuzzi. Bulgotanie gwałtownie uniosło trupa, rozsyłając szkarłatne bańki po

całej powierzchni. Jedna z nich podpłynęła mi pod nos. Pocałowałem ją delikatnie, ale i tak pękła, opryskując moją twarz czerwonymi kroplami. Poczuję się, jakby ktoś dawał mi swoje serce na dłoni...

Ciężki, stojący w rogu pokoju zegar pracował miarowo. Echo jego wysiłku odbijało się od skrywającej mechanizm skrzyni z brunatnobrązowego, orzechowego drewna. Docierało również w każdy kąt pokoju, także w ten naprzeciwko, gdzie siedziałem w głębokim fotelu. Skulony, z kolanami pod brodą, zagłębiłem się w sfilcowany materiał, wbilem się niemalże do środka siedziska. Trząsałem się lekko. Dygot wprawiał w wibracje cały mebel, który niczym dzieciół stukał w ścianę za mną.

Zerknąłem na tarczę zegara. Wydawało mi się, iż dochodzi północ, aczkolwiek nie byłem o tym przekonany, bowiem czasomierz wyjątkowo mocno zaczął zlewać mi się z wytapetowaną ścianą. Co więcej, coś jakby para wykrzywiła mi widok drugiego końca pomieszczenia, niczym miraż na pustyni. Dało się też wyczuć natychmiastową zmianę wilgotności; zdecydowanie podskoczyła do góry. Wydarzyło się tak po raz pierwszy, od kiedy zasiadłem w tym fotelu, to jest od niemalże tygodnia, a może dwóch, ale czy na pewno? Gniłem, otoczony sztucznym, zielonym atłasem, wstając jedynie do toalety, gdzie przy okazji gasiłem pragnienie

wodą z kranu. Każdego ranka przez ciężkie story nielicznymi szparami przeciskało się słońce, barwiąc moją skórę czarnymi pręgami. Przez ten krótki okres ja też byłem częścią tego pokoju, integralnym kawałkiem ściany, z ciałem poznaczonym plemiennymi deseniami, dokładnie tak jak wzór na tapecie. Brakowało mi jeszcze cementowoszarych, szorstkich słoni, które to przecinały co jakiś czas te mazaje rodem z afrykańskiej wioski.

Tego dnia, niezliczoną dokładnie ilość takich poranków później poczułem, że coś się zmieniło. Moja skóra się napięła, sprawiając wrażenie podobne do wpadnięcia w gigantyczną pajęczynę. Poczułem, że osiągnąłem już maksymalny punkt wychylenia w stronę okna i światła rozciągającego się za nim. Teraz ta sieć rozpoczęła powolne wciąganie mnie w tył, wewnątrz budynku. Proces okazał się nad wyraz sprawny; mięśnie wklęsały się, ciężąc do środka fotela, a na przedramionach i dłoniach część tatuaży powstałych o brzasku nie znikła, wtłaczając mnie niejako w tapetowy wzór, gdzie byłem jedynym przedstawicielem swojego plemienia. Przeobrażałem się w kameleonowy sposób, z pełną świadomością cętkowanych zmian na twarzy i szyi. Czułem mięśnie, które flaczały niczym stara dętka przepuszczająca powietrze. Pergaminową skórę wzięły we władanie zlewne poty.

Malachitowe obicie fotela z każdą chwilą traciło swój zielonkawy poblask, a w jego miejsce nadciągała szarość, porowata, słoniowa... Obserwując tę scenę z boku, odnosiło się wrażenie, że to jakiś wielki wir umiejscowiony za

moim siedziskiem wciąga wszystko za ścianę, zaczynając od kolorów, racząc wszystkich monochromią obojętnej, spłowiełej przestrzeni. Wszystko to odbywało się niemalże w absolutnej ciszy. Słyszać było jedynie *klik, klak*; wychwyty chronometru, niewrażliwy na wszystko, niestrudzenie przesuwając sekundy w przód, ale zaraz...

– Tu przecież nie ma żadnego zegara – wyszeptalem spierzchniętymi wargami, a jedynym dowodem na moje dotychczasowe istnienie w tym pomieszczeniu był spękany tynk w kształcie moich ust. Lecz czy to faktycznie o czymś świadczy? To zapewne zwykła szrama, którą ktoś zostawił na obliczu tego pokoju, wynosząc to wielkie horologium stojące dotychczas w jednym z kątów.

W takim razie skąd wydobywa się ten dźwięk?

Rozejrzałem się, delikatnie kręcąc głową na boki. Zostałem wyniesiony do bycia częścią mozaiki na tapecie. Widziałem tylko ciemne szlaczki. Część wydawała się być w ruchu, ale to chyba tylko złudzenie; przez nagle rozsunięte zasłony wpadały ostre promienie słońca i dżgając, zmuszały wzór na ścianie do wyimaginowanego tańca.

Znowu to usłyszałem. *Klik, klak*. Teraz też i poczułem. Skojarzyło mi się to z lekką bryzą zostawiającą przyjemną rosę na ciele. Ale zarazem ciepło, przywodzące na myśl oddech ukochanej osoby szepczącej w uniesieniu. Wkładając w ten ruch całą swoją energię, udało mi się naruszyć strukturę muru i odwrócić się przez ramię...

Spodziewałem się zobaczyć korytarz hotelowy, a zamiast tego patrzyłem na swoją łazienkę. Perspektywa była wyjątkowo dziwaczna, jakbym patrzył przez peryskop, siedząc pod wanną. Wyglądałem odpływem. Dźwięk narastał. W końcu klikanie ustało, a balię zarysowały jakieś pazury.

Bezoki zewłok stał i wierzę, że wpatrywał się właśnie we mnie. Puste oczodoły wycelował dokładnie w miejsce, skąd wyglądałem i choć odebrałem jej ten zmysł, wiem, że mnie widziała. Pokancerowany strzęp człowieka, z naddartymi płatami mięśni, pomiędzy którymi coś błyszczało.

Pancerz? Chityna? – przeszło mi przez myśl. Zaraz też przestało mieć to jakiegokolwiek znaczenie, bo wpadająca do gardła woda w chwilę zablokowała oddech, a potwór wyciągnął w moim kierunku szponiaste łapy. Każdy jego ruch sprawiał, iż kanonada trzasków wypełniała przestrzeń.

Wyciąga mnie! – wyulgotałem przerażony. Maszkara też coś mówiła, ale słowa przeistaczały się w bąbelki tlenu i ulatywały w górę, gdzieś w kierunku niewidocznej, ciemnej powierzchni.

Spokój nie jest mi przeznaczony, a przede mną nie ma już żadnych kamieni.

Nie ma już nawet jeziora...

ADAM LORAJ

CHATKA, W KTÓREJ DOROŚLIŚMY

W naszym miasteczku regularnie znikają nastolatki. Nie jest to żadna legenda. Rodzice zgłaszają zaginięcie policji, jak również wysyłają zdjęcia swoich dzieci do lokalnych gazet i telewizji z prośbą o pomoc. Robią to wszystko, chociaż wiadomym jest, że nigdy nikogo nie znaleziono.

Każde z nas, mieszkańców owego miasteczka, zbliżając się do przekroczenia osiemnastego roku życia, zaczynało się denerwować, żyć w strachu, że oto wkrótce poczuje przyciągający zew dobiegający z chaty. Bo właśnie tam udają się nastolatki przeznaczeni na zniknięcie. Do samotnie stojącej w środku pobliskiego lasu chaty. Nikt nie wie, kto ją zbudował, do kogo należała ani dlaczego wciąż nie została zburzona. Wydaje się, że jest ona odporna na wszelkie akty wandalizmu. Nie jestem w stanie wspomnieć wszystkich prób podpalenia, dewastacji tej niewielkiej, drewnianej, skleconej z kilkunastu desek konstrukcji.

Mając czternaście, piętnaście lat, będąc jeszcze w wieku bezpiecznym, ale nieuchronnie zbliżając się do

dorosłości, wraz z przyjaciółmi wybierałam się regularnie w pobliże tego przekłętego miejsca. Siadaliśmy na powalonym konarze, paliliśmy połamane papierosy i piliśmy tanie wino, jeżeli akurat któryś z lokalnych pijaczków zgodził się nam coś kupić. Zawsze, kiedy tam byliśmy, nasze rozmowy schodziły na temat chaty. Zastanawialiśmy się, czym ona jest, dlaczego działa w ten, a nie inny sposób, oraz obiecywaliśmy sobie, że jeżeli któreś z nas poczuje ów zew, powie reszcie, abyśmy mogli sobie wzajemnie pomóc.

Czasem, jeżeli akurat nasze myśli zaczęły mącić niepokój, zdecydowaliśmy się podejść do chaty. Pełni udawanej odwagi, zbliżaliśmy się do niej, rzucając pustymi puszkami, butelkami lub kamieniami. Klęliśmy przy tym, szukając w wulgaryzmach otuchy, zaklęcia mającego sprawić, żeby nikt z nas nie musiał wchodzić do środka.

Robili tak wszyscy. Jednak im stawaliśmy się starsi, tym bardziej woleliśmy zachować dystans od tego miejsca. W okolicach osiemnastych urodzin już nikt z nas nie wchodził do lasu. Rodzice niechętnie puszczali nas poza dom, wierząc, że w ten sposób ochronią swoje dzieci przed przeznaczeniem.

Niestety przed chatą nie było ratunku.

– Mamo, kiedy pierwszy raz się zakochałaś?

Głos córki wyrwał mnie z dotychczasowej zadumy. Spojrzałam na Klaudię, domyślając się, dlaczego w jej głowie zrodziło się to pytanie. Miała już trzynaście lat. Nieuchronnie wkraczała w dojrzewanie. Już teraz dało się po niej dostrzec, że w przeciągu kilku lat stanie się niezwykle atrakcyjna.

– Byłam jakoś w twoim wieku – stwierdziłam, mając złudną nadzieję, że taka odpowiedź wystarczy. Niestety córka ewidentnie pragnęła poznać resztę historii. – Może nieco starsza. Tak, na pewno.

– Jak miał na imię?

– Bartek. Był o dwa lata starszy, chodził do liceum. Poznałam go przypadkiem, dzięki mojej przyjaciółce, Elizie. Był jej kuzynem.

– Zakochaliście się w sobie od razu? – dopytywała Klaudia, a na jej policzkach wystąpił rumieniec. Widząc ekscytację córki i dumę z faktu, że zebrała w sobie wystarczająco dużo odwagi, aby rozpocząć tę rozmowę, trudno było mi ją zignorować. Nawet jeżeli wymagało to ode mnie powrotu do bolesnych wspomnień.

– Nie. Dołączył do naszej paczki. W zasadzie wszędzie chodziliśmy razem. Na początku wcale nie zwracałam na niego szczególnej uwagi. Chłopak jakich wielu, tylko z tym akurat widywałam się częściej niż z resztą. Ech... Trwało to trochę nim zorientowałam się, że coś jest na rzeczy. Nagle pragnęłam widywać się z nim sam na

sam, szukałam sposobów, żebyśmy mogli spędzić trochę czasu razem.

Mówiłam więcej niż pierwotnie zakładałam, spodziewając się, że im więcej Klaudia się dowie, tym lepiej może się wkrótce czuć. Zrozumie, że wiele myśli i pragnień, które wkrótce ją nawiedzą, są zupełnie normalne. Z drugiej strony zdawałam sobie sprawę, że zawsze mogę przeprosić ją, przyznać się, że nie jestem w stanie powrócić myślami do tamtych lat, bowiem otwierają one wciąż niezagojone rany.

– Wreszcie jednak zaczęliśmy być parą.

– Poprosił cię o chodzenie?

– Niezupełnie. Byliśmy wtedy w parku. Był wieczór i wtedy, po prostu, stało się.

– Długo byliście razem? Co się stało?

– Jakies półtora roku. Były to cudowne miesiące. Przy najmniej teraz tak na nie patrzę, bo widzisz, pierwsza miłość jest zazwyczaj beczką miodu z dużą ilością dziegciu. Człowiek dopiero uczy się, co to znaczy kogoś kochać, czego oczekujesz od drugiej osoby i tak dalej. Dlatego też często się kłóciliśmy, ale byliśmy pewni, że ostatecznie jesteście w stanie przetrwać wszystko.

– To co się stało? – spytała.

– Musiał wyjechać – odpowiedziałam pospiesznie. – Pragnął zobaczyć trochę świata. No i mnie zostawił.

– Świnia z niego! Jak mógł cię tak po prostu opuścić? Przecież...

– Kochanie, nie mów tak. Po prostu oczekiwał czegoś innego.

Jednego dnia Bartek był częścią mojego życia, następnego już nie i tak też pozostało. Mijały kolejne doby, przechodzące w tygodnie i miesiące. Fakt, że nasza grupka zmniejszyła się o jedną osobę, wydawał się nikogo nie poruszyć. Chłopak zapowiadał, że pragnie wyjechać do miasta na Politechnikę, żeby jako pierwszy z rodziny zdobyć wyższe wykształcenie. Opowiadał o tym żywo, ekscytując się perspektywą najbliższych lat. Wszyscy więc potraktowali jego nieobecność jak coś zwykłego. Dziwiło mnie jedynie, że nikt o nim nie wspominał. Wszelkie rozmowy dotyczące przeszłości całkowicie go pomijały, jakby wcale nie istniał. Poza tym rozpaczałam. Kochałam Bartka tak, jak potrafiłam. Była to miłość trudna do opisanania, nastoletnia, a więc intensywna, głęboka przy jednoczesnej powierzchowności. Szczera, ale również pełna uproszczeń i działania wbrew sobie. Pamiętam wieczór, kiedy leżeliśmy na jego łóżku. Trzymaliśmy się za dłonie, patrzyliśmy w pochłonięty przez ciemność sufit. Nie znałam jeszcze jego planów. Bartek chrząknął wówczas i powiedział:

– Wkrótce wyjeżdżam. Jadę do miasta na studia. Dostałem już list o przyjęciu.

– Gratulacje! Naprawdę się cieszę!

– Zuza... wiesz, co to oznacza?

Zamilkłam, bowiem doskonale zdawałam sobie sprawę, co chce przez to powiedzieć.

– Wyjadę z miasteczka. Długo mnie nie będzie.

– Ale przecież to nie oznacza, że... no wiesz. Bartek, proszę cię, nawet mi tego nie mów.

Poderwałam się gwałtownie. On również. Przytulił mnie, przez co nie potrafiłam powstrzymać łez. Jego dotyk i bliskość sprawiały, że mogłam pozwolić sobie na tę chwilę słabości i szczerości.

– Nie chcę tego. Naprawdę. – Zawahał się przez chwilę, po czym wypowiedział te dwa cudowne słowa, które od dawna pragnęłam od niego usłyszeć: – Kocham cię. Dlatego też nie chcę cię zatrzymywać. Sprawić, że będziesz czekała na mnie, aż wrócę, bo zajmie to naprawdę długo.

– Ja ciebie też kocham! Będę czekała tak długo, jak trzeba!

– Ale... nie mogę tego od ciebie wymagać. Wyjadę, a ty zostaniesz tutaj. Będziemy oddaleni od siebie i... nie chcę, żebyś zmarnowała swoje życie.

– Skoro mnie kochasz, dlaczego mówisz mi takie rzeczy?

Nie potrafił odpowiedzieć. Zamilkł na długie minuty. Po jego twarzy było widać, że walczy z myślami. Coś go niepokoiło, gniotło od wewnątrz. Wreszcie westchnął, zbliżył się ostrożnie i pocałował mnie w usta. Tamtą noc spędziliśmy wspólnie. Miałam szesnaście lat, a on dziewiętnaście.

Trzy tygodnie później wyjechał.

Czekałam, aż do mnie zadzwoni lub chociaż wyśle list, abym miała jego adres. Niestety nic takiego się nie wydarzyło. Leżałam więc wieczorami, płacząc i czując, jak żal rozrywa moje wnętrze. Miewałam wrażenie, że nie potrafię już oddychać, że tonę w ciemnościach i wkrótce nic po mnie nie pozostanie.

Po kolejnych dwóch miesiącach spotkałam jego rodziców. Podeszłam i grzecznie się przywitałam, po czym zapytałam się, co słyhać u Bartka, bo całkowicie zerwał ze mną kontakt.

Matka chłopaka wybuchnęła płaczem, a ojciec chwycił ją i bez słowa odszedł. Wówczas dotarła do mnie prawda tego, co się wydarzyło. Poczulałam, jak miękną mi nogi.

Bartek wcale nie wyjechał, zrozumiałam. Przez kilka miesięcy słyszał zew. Chata upomniała się o niego, a ja tego nie dostrzegłam. Dopiero wtedy, pojąwszy, co tak naprawdę się wydarzyło, byłam w stanie właściwie odczytać różne gesty, słowa i niedopowiedzenia. Nie licząc wspomnienia o studiach, wcale nie mówił o przyszłości. Jakby ta go nie dotyczyła. Niczego nie planował, nie zakładał. Prawdopodobnie dlatego też pragnął ze mną zerwać...

Pomimo dojmującego strachu, weszłam do lasu i udałam się pod chatę. Prowadził mnie żal i przeraźliwe poczucie winy, że nie pomogłam Bartkowi, kiedy tego potrzebował, nie dostrzegłam znaków, które wysyłał, nie

zorientowałam się nawet potem, kiedy już mnie opuścił. Przeklinałam siebie, miasteczko i chatę. Drewniany budynek, wysoki na trzy metry, szeroki na cztery, stojący w samym środku lasu, otoczony drzewami, wyglądał zupełnie normalnie. Niczym szczególnym się nie wyróżniał. Okna zakryte były niebieskimi zasłonami, które zdążyły już spłowić, a drzwi wisiały na zardzewiałych zawiasach. Cała konstrukcja skrzypiała przy mocniejszych podmuchach wiatru.

W powietrzu wisiał zapach mokrej ziemi. Zaledwie dwa dni wcześniej padał deszcz. Stopy to zapadały się w błocie, pragnącym zatrzymać mój pochód, to szeleściły liśćmi, które zdążyły już upaść. Po kilkunastominutowym marszu wreszcie dotarłam do celu. Zaledwie kilka metrów przede mną znajdowała się ona, chata, która odebrała mi mojego ukochanego. Zaczęłam wrzeszczeć. W niekończący się krzyk starałam się przelać cały ból, jaki wówczas odczuwałam. Pragnęłam wyzbyć się go w ten sposób, lecz wraz z każdą następną sekundą cierpiałam coraz mocniej.

Moje nogi samoistnie ruszyły przed siebie. Schylałam się, chwytając co większe kamienie, i rzucałam je w stronę chaty. Stukotały o drewno, lecz nic się nie działo. Wołałam Bartka, mając nadzieję, że mnie usłyszy i wróci, gdziekolwiek się znajdował. Przeklinałam, wyrzucałam z siebie dźwięki pozbawione znaczenia. Wreszcie znalazłam się zaledwie dwa metry od drzwi. Kiedy sobie to uświadomiłam, zatrzymałam się w pół kroku. Zamilkłam, czując bijącą ze strony budynku obecność.

Coś się w niej znajdowało.

Coś mnie obserwowało.

Strach w momencie przysłonił wszystkie inne emocje.

Wtedy też dotychczas zamknięte drzwi uchyliły się ze słyszalnym skrzypnięciem, mogącym równie dobrze być śmiechem potępionych. Pragnęłam uciekać, starałam się przekonać ciało do reakcji, lecz kończyny wydawały się nie należeć już do mnie. Mogłam wyłącznie stać, patrząc, jak drzwi powoli się uchylają, ukazując mi to, co znajduje się wewnątrz. Z początku wydawało się, że wewnątrz panuje ciemność, ale zaraz z powstającej szczeliny wydobył się trudny do określenia blask. Zalał on drzewa rosnące najbliżej chaty, a następnie rozlał się na ziemię i powoli wędrował ku mnie. Wtedy też wreszcie oprzytomniałam. Potykając się o własne nogi, rzuciłam się do ucieczki.

Trzask drzwi miał mnie wyłącznie zirytować. I się udało. Zaraz bowiem Klaudia wyszła ze swojego pokoju, przeszła korytarz i wróciła do salonu, jakby wcale nie wyszła z niego przed dwoma minutami. Wciąż siedziałam na kanapie, rozmasowując czoło. Córka nie wybrała najlepszego momentu na kłótnie.

– Ale dlaczego, mamo?

Powtarzane już pięciokrotnie pytanie ponownie zawisło między nami. Pragnęłam znaleźć się gdzieś

indziej. Odpocząć po ciężkim dniu w pracy i od dorastającego dziecka. Zwłaszcza od tego drugiego.

– Mówiłam ci już i nie chcę powtarzać.

– Ale... nie będę tam sama! Przecież mówię ci, że niemal wszystkie moje koleżanki będą; Ala, Iza, Paula... Proszę cię.

Pokręciłam głową, starając się znaleźć dłonią miejsce, które powinnam naciskać, aby osłabić migrenę.

– Dlaczego taka jesteś?! Zrobiłam coś, żebyś miała mi nie ufać?

– Nie o to chodzi – odpowiedziałam łagodnie. – Po prostu...

– Chodzi o chatę?

Oczywiście, że Klaudia wiedziała o budynku w lesie, znała wszelkie opowieści na jego temat, jak również chadzała w jego okolice, będąc młodą nastolatką. O tym jednak wolałam nie myśleć i okłamywać się, że zawsze trzymała się z daleka od chaty. Tak bezpośrednio zadane pytanie uderzyło we mnie z impetem, zszokowało, bo spodziewałam się, że będziemy krążyć wokół budynku, nie wyciągając go na wierzch naszej kłótni.

– Nie chcę, żeby coś ci się stało. Zrozum, że jest ona niebezpieczna.

– Ale to, czy pójdę na imprezę, nic nie zmieni! Przecież równie dobrze zew mogę poczuć w domu. Co wtedy?

– Nawet tak nie mów! – uniosłam się. Głowa eksplodowała mi bólem. Potrzebowałam się położyć, odpocząć.

– Nie zaprzeczysz. – Klaudia ze złości była cała czerwona. Oczy lśniły jej od gniewu.

– Nie zmienię zdania – powiedziałam.

– Mamo! Czyli do szkoły też już nie pójde? Ani na zakupy? Tam też przecież mogę zostać wezwana, a ciebie wtedy nie będzie. I co? Przez kolejne kilka lat będę wyłącznie siedzieć w domu? Nigdzie nie będę wychodzić, nie będę spotykać się ze znajomymi, bo w środku lasu stoi jakaś przeklęta chata i wy, dorośli, nie potraficie od lat nic z nią zrobić?! Dlaczego ja mam za to płacić? Dlaczego inni mogą normalnie żyć, a ja nie? Nienawidzę tego, że wszystkiego mi zabraniasz! Co ja ci zrobiłam? Dlaczego każesz mnie, za... Naprawdę tak bardzo mnie nienawidzisz?!

– Dość! – krzyknęłam, a Klaudia urwała w połowie słowa. Popatrzyła na mnie szeroko rozwartymi oczyma, orientując się, że powiedziała o kilka słów za dużo.

Tak, nienawidziłam ją w tym momencie, do czego nigdy głośno bym się nie przyznała. Ból, jaki sprawiły mi jej słowa, chwilowo całkowicie przykryły nieskończoną miłość, jaką do niej kierowałam. Pragnęłam zrobić coś, czego pożałowałabym natychmiast, dlatego cieszyła mnie resztką kontroli, jaką zachowałam. Ze świstem wypuściłam powietrze przez usta. Klaudia wciąż wpatrywała się we mnie, niemal nie mrugała.

– Idź, jeśli chcesz – wyszeptałam. *Tylko mnie zostaw* – dodałam w myślach.

– Mamo...

– Nie. Powiedziałaś, co myślisz.

Klaudia stała jeszcze przez chwilę w miejscu, następnie odwróciła się i wróciła do swojego pokoju, z którego nie wyszła przez resztę wieczora. Ja przeszłam do sypialni. Zakluczyłam drzwi, położyłam się do łóżka i zalałam łzami. Myślałam o Bartku, o kuzynach i dziadku, który ledwo zdążył poślubić babcię, a zniknął z dnia na dzień. Ich wszystkich zabrała mi chatka. Córki jej nie oddam. Nawet, jeżeli ta miałaby mnie znienawidzić.

Następnego dnia w mieszkaniu panowała dojmująca i ciężka cisza.

Klaudii ciążył garb od naszych niepotrzebnych kłótni, drażniły skaleczenia od rzuconych spojrzeń. Mięśnie szyi miała wiecznie napięte, pięści zaciśnięte, aż białeły knykcie, gdy tylko zdarzało się coś nie po mojej myśli. Wszystkie te szczegóły i reakcje działały się tuż pod moim nosem, lecz wydawało się, że wcale ich tak naprawdę nie zauważam. Nawet wtedy, kiedy bacznie przyglądałam się córce. Właśnie założyła nowy niebieski top, który kupiłyśmy podczas ostatnich zakupów, do tego białą spódnicę. Prezentowała się cudnie. Weszła do salonu

tanecznym krokiem, potrząsnęła głową, a blond włosy poniosły się za nią.

– Wyglądasz pięknie – skomentowałam.

– Dzięki!

Jej oczy lśniły od radości. Wypełnione były tą charakterystyczną energią, którą ja sama zdażyłam już dawno stracić. Uśmiechała się szczerze, a po sposobie, w jaki spoglądała na własne odbicie w lustrze, zorientowałam się, że za radością skrywa się coś jeszcze.

– Czyżbyś oczekiwała, że ktoś jeszcze ci to powie? – zagaiłam, niby niewinnie.

Klaudia zaraz oblała się rumieńcem. Wyraźnie się spieszyła, po czym zaprzestała paradowania po salonie. Usiadła na krawędzi sofy w niewielkiej odległości ode mnie. Wyglądała niczym spłoszone dziecko nakryte na myszkowaniu w szafie w poszukiwaniu świątecznych prezentów. Po błędzącym wzroku dało się łatwo zorientować, że poszukuje właściwej odpowiedzi. Wreszcie wypuściła przez lekko uchylone wargi powietrze i powiedziała:

– Chyba się zakochałam.

Odebrało mi mowę. Nie sądziłam, że Klaudia odważy się wprost przyznać do... zakochania. Ja nigdy nie byłam w stanie podzielić się tego typu wyznaniem z moją mamą, a nawet z przyjaciółką.

– Mamo? – odezwała się po dłuższej chwili Klaudia, widząc najpewniej moje zmieszanie.

- Cieszę się. Naprawdę. W kim, jeżeli mogę wiedzieć?
- W Danielu.
- Mogę go skądś kojarzyć?
- Nie wydaje mi się. Pochodzi z miasteczka obok, ale on i jego rodzice przeprowadzili się do nas kilka tygodni temu.
- Ach! Czyli zupełnie nowy chłopak w okolicy!
- Mamo!
- No dobrze, mów, opowiedz mi o nim.

Nie potrzebowała dodatkowej zachęty. Klaudia, jak tylko zaczęła, wydawała się nie móc skończyć opowiadać o niedawno poznanym chłopaku. Tak oto dowiedziałam się, że jest on brunetem, nieco wyższym od niej. Uprawia lekkoatletykę – nawet brał udział w mistrzostwach województwa, gdzie zajął trzecie miejsce – i słucha starego rocka. Ubiera się dziwnie. Przynajmniej jak na aktualne standardy, lecz to akurat Klaudii nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie. Zawsze lubiła oryginalnych ludzi. Słyszając to, nie potrafiłam ukryć rozbawienia.

Wreszcie jednak padła informacja, która szczerze mnie przejęła. Daniel był starszy od Klaudii o dwa lata, co oznaczało, że wkrótce może zagrozić mu chata. Córka najprawdopodobniej dostrzegła we mnie zmianę. Zaraz bowiem jej entuzjazm osłabł, aż wreszcie zamilkła, przyglądając mi się uważnie.

- Mamo...?

– Tak? – odezwałam się dopiero po chwili, czym wyłącznie potwierdziłam jej przypuszczenia.

– Co się dzieje? Widzę, że coś cię zaniepokoiło. Chodzi ci o to, że Daniel jest starszy? Nie ma potrzeby...

– Nie o to chodzi – przerwałam córce. Westchnęłam ciężko, walcząc z myślami, po czym poprosiłam Klaudię, żeby usiadła jeszcze bliżej mnie. Musiała widzieć moje wahanie, bowiem cierpliwie czekała, aż odezwę się na nowo. Czułam, jak serce podchodzi mi do gardła, jak krtań się zaciska.

Wreszcie zaczęłam mówić. Zapytałam najpierw, czy Klaudia pamięta moją opowieść o Bartku. Przytaknęła. Uśmiechnęłam się do niej smutno, po czym przyznałam, że tych kilka lat temu ją okłamałam. Tym razem opowiedziałam jej prawdziwą wersję. Trudno było mi ponownie wrócić do tamtych wspomnień, lecz rozumiałam, że jest to konieczne.

– Zniknął... – wykrztusiła po wszystkim Klaudia.

Przytaknęłam.

– Chata się o niego upomniała. Wezwała do siebie. A on nie mógł się jej przeciwstawić – powiedziałam.

– Mamo...? – Głos córki był nad wyraz słaby, lekko wycofany.

– Tak?

– Czy... czy tata także zniknął w chacie?

Wspomnienie jej ojca otworzyło we mnie ranę, o której nie miałam pojęcia. Wcześniej przysięgłabym, że zdążyła się zabiżyć.

– Nie. On sam postanowił odejść. Chata nie była mu do niczego potrzebna. Niestety.

– Rozumiem, mamó.

Między nami zapanowała cisza pełna bliskości, próby wzajemnego zrozumienia i wsparcia. Chociaż siedziałyśmy na dwóch krańcach sofy, miałam wrażenie, że Klaudia mnie obejmuje, dodając otuchy.

Kolejne tygodnie były dziwnym okresem, podczas którego z przerażeniem obserwowałam, jak moja córka staje się coraz dojrzała i nieśmiało wkracza w świat dorosłości.

Po pierwsze, zaczęła się spotykać z Danielem. Wróciwszy z randki, nie potrafiła ukryć entuzjazmu i zaraz opowiedziała mi o wszystkim, co wydarzyło się podczas ich spotkania. Zaledwie kilka dni później byli już razem. Chłopaka poznałam po następnym miesiącu. Klaudia zaprosiła go do siebie. Daniel okazał się niezwykle uroczym młodzieńcem, który wcale nie pasował do moich wcześniejszych wyobrażeń. Przede wszystkim wcale nie ubierał się niczym rockman. Nosił normalny czarny T-shirt i jeansy. Był kulturalny, pogodny i przystojny. Cieszyło mnie szczęście córki, lecz jednocześnie niepokoiła mnie możliwa przyszłość chłopaka.

Po drugie, Klaudia coraz częściej wspominała o planach na przyszłość. Zastanawiała się nad kierunkiem studiów i ewentualną pracą. Pytała, czy będą miała coś przeciwko, jeżeli zdecyduje się na wyjazd do miasta, co wiązało się z przeprowadzką. Zapewniałam ją, że nic się przecież nie stanie. Przede wszystkim musi myśleć o swoim życiu, o tym, żeby być szczęśliwa. Widziałam jednak, że pomimo licznych zmartwień ekscytuje się perspektywą najbliższych kilku lat. Ja niestety nie potrafiłam podzielać jej entuzjazmu. Nagle bowiem uświadomiłam sobie, że wkrótce Klaudia osiągnie pełnoletniość. Oznaczać będzie to, że znajdzie się w niebezpieczeństwie. Chata w każdym momencie będzie mogła chcieć się po nią upomnieć.

Córka wydawała się wcale nie dostrzegać zagrożenia. Uśmiechała się często, śmiała i dzieliła się ze mną swoimi planami na najbliższe miesiące i lata. Spotykała się regularnie z Danielem oraz przyjaciółmi. Przestałam już rzucać się o jej wieczorne wyjścia. Obiecała mi, że będzie na siebie uważać. W razie konieczności miała dzwonić, nieważne, która byłaby godzina. Kiedy zostawałam sama w domu, starałam się zająć myśli czymkolwiek, żeby tylko nie martwić się niepotrzebnie. Nie potrafiłam jednak. Za każdym razem moje myśli wędrowały ostatecznie w stronę lasu, do chaty. Zastanawiałam się, co zrobię, jeżeli zapragnie zabrać mi dziecko... Obiecywałam sobie, że wówczas ją spalę, zniszczę, zdemoluję, a w najgorszym przypadku wejdę zamiast Klaudii.

Widziałam uśmiech córki, po czym zdawałam sobie sprawę, że może on w każdym momencie zniknąć z jej oblicza i zostać zastąpiony przez smutek.

Daniel regularnie nas odwiedzał. Zjawiał się głównie w weekendy, witał się ze mną, po czym znikła wraz z Klaudią w jej pokoju. Potem widziałam ich wieczorem, kiedy wspólnie gdzieś wychodzili. Córka zawsze wracała w okolicach dwudziestej drugiej, trzeciej. Za każdym razem była odprowadzona przez chłopaka. Ich związek trwał. Na pierwszą rocznicę pojechali w góry na cztery dni.

Drugiej rocznicy nie doczekali.

Pewnego dnia, podobnego do wszystkich wcześniejszych, Klaudia zjawiała się cała zapłakana. Już w wejściu rzuciła, że nie chce ze mną rozmawiać, po czym od razu skierowała się do swojego pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Stałam w salonie niczym słup soli, patrząc na pustą przestrzeń, gdzie jeszcze przed momentem znajdowała się moja córka. Szarpały mną dwa pragnienia; uszanowania woli dziecka i dowiedzenia się, co takiego się wydarzyło. Postanowiłam zaczekać, dać się wypłakać Klaudii.

Wieczorem córka poprosiła, żebym ją przytuliła. Zrobiłam to, wciąż nie zadając niepotrzebnych pytań. Klaudia na nowo wydawała mi się małym dzieckiem. Takim bezbronnym, zależnym ode mnie, potrzebujących mojej bliskości niemal w każdym momencie. Trudno było mi uwierzyć, że wkrótce, gdy tylko minie u niej pierwszy szok, powróci do swej doroślejszej, niezależnej wersji,

która znacznie częściej jest samodzielna i samostanowiąca, wcale niepotrzebująca mojej pomocy.

– Już dobrze, spokojnie. Płacz, jeśli tego potrzebujesz – szeptałam, głaszcząc jej blond włosy, czując w nozdrzach słodki zapach perfum.

Późnym wieczorem wreszcie dowiedziałam się, co takiego się wydarzyło. A raczej potwierdziły się moje przypuszczenia.

„Rozstaliśmy się” – powiedziała mi. Nie wskazała, że winny tego był Daniel lub ona sama. Brzmiało to, jakby koniec związku był czymś zupełnie naturalnym, zdarzeniem przykrym, ale nieuniknionym, wpisanym w jego istnienie. Po kolejnej godzinie Klaudia zasnęła. Cicho chrapała, wtulona w moje ramię. Patrzyłam na jej spokojne, pogrążone w półcieniu oblicze i czułam dogłębne ciepło w sercu.

Tamten wieczór był ostatnim, kiedy Klaudia szukała bliskości. Rano zdystansowała się, słowem nie wspominając o słabości, jaką zeszłego dnia okazała. Niby za dotknięciem magicznej różdżki zmieniła swoje zachowanie, czym szczerze mnie zraniła. Próbowалаm do niej zagaić, porozmawiać na różne tematy, lecz za każdym razem tłumaczyła, że nie ma czasu. Regularnie znikala z domu, wychodząc popołudniami i wracając dopiero późną nocą, a czasem dopiero nad ranem. Dowiedziałam się także, że zaczęła zaniedbywać szkołę.

Na początku wydawało mi się, że to próba odreagowania rozstania. Stałam więc z boku, pojawiałam się w jej polu widzenia i wspominałam, że zawsze może na mnie liczyć. Fukwała wyłącznie, a potem znikwała. Walczyłam sama ze sobą, żeby nie zareagować przesadnie, lecz z każdym kolejnym dniem martwiłam się o nią coraz bardziej. W pewien marcowy weekend wcale nie wróciła do domu. W piątkowy poranek wyszła do szkoły i nie zobaczyłam jej aż do poniedziałkowego popołudnia. Wtedy też poczułam, jak coś we mnie pęka. Gdy tylko przekroczyła próg, wrzasnęłam na Klaudię, domagając się wytłumaczenia jej zachowania. Próbowwała uciec do swojego pokoju, lecz chwyciłam ją za ramię. Chciała się wyrwać, ale mój uścisk był zbyt mocny. Krzyczała, domagając się uwolnienia.

– Nie! Nie, dopóki nie powiesz mi, co się dzieje!

– Puszczaj! Nie jestem twoją własnością, żebyś mnie tak trzymała! Mam prawo...

– Gównu mnie to obchodzi! Widzę, że coś się dzieje. Masz mi powiedzieć! Jestem twoją matką!

– I co z tego? Puść mnie!

Kłótnia trwała, a z każdą kolejną minutą czułam się coraz gorzej. Wiedziałam, że nie powinnam podnosić głosu, nie powinnam wymuszać na córce otwarcia się, lecz... martwiłam się o nią. Pragnęłam jej pomóc. Wiedziałam, że jestem w stanie to zrobić, nawet jeżeli ona uważała inaczej. Nasze głosy wypełniały dom, burzyły

poczucie spokoju i bezpieczeństwa, tak konsekwentnie budowane przez ostatnie miesiące, kiedy wreszcie wydawało mi się, że potrafiłyśmy wspólnie żyć.

Klaudia była cała czerwona na twarzy. Wargi drżały jej od nerwów, oczy lśniły i już pojedyncze łzy spływały po policzkach. Ledwo trzymała się na nogach, wciąż próbowała się wyrwać, lecz próby te były słabsze i zdawały się wyłącznie podrygami wcześniejszego buntu. Ja także byłam zmęczona. Czułam, jak serce bije mi w piersi, pragnąc wydostać się z ciasnej klatki. Głos trząśł mi się coraz bardziej, łamał w gardle, lecz nie odpuszczałam.

– Powiedz mi, co się dzieje!

– Słyszę ją! Zadowolona?! Słyszę chatę!

Nie jestem pewna swojej reakcji. Pamiętam wyłącznie, że bezwolnie padłam na kolana, czując, jak coś odbiera mi wszelką energię do dalszego funkcjonowania. Pragnęłam zostać wyłączona, nie myśleć, nie rozumieć, nie odczuwać emocji. Niestety słowa córki odbijały mi się echem w umyśle, rodząc kolejne fale przerażenia. Wreszcie uniosłam wzrok, spoglądając na Klaudię. Płakała rzewnie, nie potrafiąc uspokoić kolejnych spazmów. Ostrożnie przytuliłam jej nogi.

– Cii – wyszeptalam. – Wszystko będzie dobrze.

Nie jestem pewna, kogo próbowałam przekonać; ją czy siebie.

– Od dawna ją słyszysz?

– Od kilku miesięcy. Na początku była ona jakby moimi myślami. Takimi wspomnieniami myśli, które kiedyś miałam. Ale z czasem robiły się coraz wyraźniejsze.

– Co do ciebie mówiły?

– Nie rozumiesz. To nie są słowa. Ani myśli, takie jak mamy. To... pragnienie, które z każdym dniem staje się coraz potężniejsze. Wiem, że ono nie należy do mnie, ale czuję, że muszę iść do lasu, wejść do niej.

– To dlatego... ty i Daniel?

– Tak – przyznała. – Wciąż go kocham, ale... Po prostu nie potrafiłabym pójść do chaty, wiedząc, że wciąż znajduje się obok, że mnie kocha i...

– Nigdzie nie pójdziesz! Nie puszczę cię!

– Mamo, ale...

– Nie stracę cię! Nie ciebie! Nie pozwolę cię zabrać! Rozumiesz? Jeżeli będzie trzeba, pójdę za ciebie, ale ty tutaj zostaniesz. Masz całe życie przed sobą, masz swoje plany!

– Kocham cię. Przepraszam za wszystko, co robiłam i mówiłam. – Klaudia ponownie zaczęła płakać. Wtuliła się we mnie, a ja ją objęłam i przygarnęłam tę niewielką, trzęsącą się kulkę. – Byłam pewna, że jeżeli będę nieznośna, to łatwiej będzie pogodzić się ze wszystkim. Łatwiej będzie zniknąć. Przepraszam.

– Nic się nie stało. Spokojnie. Nigdzie nie pójdziesz, obiecuję. Nie stracę cię.

– Ale...

– Nie! Nawet o tym nie mów! Rozumiemy się?! Zaraz coś wymyślę.

– Mamo... W takim razie co chcesz zrobić?

Zawahałam się, bowiem nie miałam pojęcia, co powinnam odpowiedzieć. Wiedziałam przecież, że nikomu nie udało się dotychczas uciec przed zewem chaty. Mimo to oszalałabym, gdybym nie spróbowała, gdybym pozwoliła sobie porzucić choćby cień nadziei. Dlatego też postanowiłam zacząć działać. Popatrzyłam na córkę, po czym powiedziałam:

– Spakuj się. Mamy kilka minut. Potem jedziemy.

– Dokąd?

– Nie wiem. Przed siebie, byle daleko stąd. To niemożliwe, żeby chata mogła cię dosięgnąć z każdego miejsca na świecie! Już!

Klaudia wpatrywała się we mnie przez kilka kolejnych sekund, po czym biegiem ruszyła do pokoju. Ja również udałam się do swojej sypialni. Z szafy wyciągnęłam walizkę, do której wrzuciłam najważniejsze rzeczy. Zaledwie kwadrans później wsiadłyśmy do samochodu i wyjechałyśmy z miasteczka. Jechałam na północny-zachód. Znacząco przekraczałam dozwoloną prędkość, lecz pragnęłam jeszcze tego dnia znaleźć się jak najdalej od chaty. Szczerze wierzyłam, że jeżeli znajdę się wystarczająco daleko, wówczas uda mi się ocalić córkę.

Pierwszy postój zrobiliśmy dopiero po pięciu godzinach, na przydrożnej stacji benzynowej. Musiałam rozprostować nogi. Klaudia w tym czasie drzemała. W czasie jazdy regularnie budziła się, nerwowo rozglądając, jakby nie wierząc w naszą ucieczkę. Drugi raz zatrzymałyśmy się z samego rana pośród niczego, a trzeci – w urokliwym, niewielkim miasteczku znajdującym się tuż nad jeziorem. To tam postanowiłyśmy na chwilę odpocząć. Wynajęłyśmy pokój w hotelu. Budynek mieścił się w niewielkiej odległości od zbiornika, a widok z okien akurat wychodził na spokojną taflę. Wieczorem udałyśmy się z córką na kolację. Kupiłyśmy pizzę, dwie puszki coli i udałyśmy się na plażę. Chociaż była wiosna, to pomimo późnej pory temperatura wciąż pozostawała wysoka. Usiadłyśmy tuż nad jeziorem, po czym przystąpiłyśmy do jedzenia. Pomimo dotychczasowych zmartwień apetyt nam dopisywał. Dopiero po zjedzeniu ostatniego kawałka Klaudia wytarła usta, zachowała kilka minut ciszy i zapytała:

– Chcesz jechać dalej?

– Słyszysz ją? – spytałam w odpowiedzi. Dziewczyna zamyśliła się, po czym przytaknęła. – W takim razie pojedziemy jeszcze dalej, aż do momentu, kiedy przestaniesz. Nie pozwolę ci do niej wejść.

Przytuliłam ją, czując, jak cała się trzęsie. Posiedziałyśmy jeszcze chwilę. Późną nocą wróciliśmy do pokoju. Rano zebrałyśmy się na nowo, wsiadłyśmy do samochodu i pojechałyśmy na zachód.

Nasza podróż trwała kolejne trzy dni. Klaudia cały czas uskarżała się na zew. Stawał się on coraz bardziej nieznośny. Tłumaczyła mi, że przypomina on natrętną myśl, która pojawia się nagle i nie pozwala już skupić się na niczym innym. Jeżeli próbuje się ją zignorować, wówczas odczuwa się najprawdziwszy ból. Działał on niczym uzależnienie, a córka miała wrażenie doświadczania efektu odstawiennego.

Wspierałam ją. Mówiłam, że będzie tylko lepiej, wystarczy, że odjedziemy wystarczająco daleko. Klaudia uśmiechała się smutno i stwierdzała, że mi ufa i wierzy. Dokładnie tak mówiła:

– Wierzę ci, mamo.

Za każdym razem, gdy to mówiła, czułam, jak zamiera mi serce. Nie mogłam jej zawieść.

Czwartego dnia zatrzymałyśmy się w jakiejś niemieckiej wiosce. To Klaudia dogadała nam pokój w przydrożnym motelu. Szybko poszłyśmy spać, bowiem ja byłam zmęczona ciągłą jazdą, a ona wciąż pozostawała w zasięgu chaty. Zasypiając, martwiłam się, że wcale nie uda nam się uciec. Że jest to wyłącznie powtarzana przeze mnie mrzonka, niemożliwa do spełnienia.

Rano obudziłam się z bolącą głową.

Miałam wrażenie, że cały świat się chwieje.

W pokoju byłam sama.

Łóżko Klaudii było puste.

Mogę sobie wyłącznie wyobrażać, jak Klaudii udało się powrócić do miasteczka. A może wcale jej się to nie udało? W końcu nikt jej nie widział. Jadąc na złamanie karku z powrotem, nie minęłam jej nigdzie po drodze. Także żaden miejscowy nie przyznał, że pojawiła się w okolicy.

Istniała więc możliwość, że Klaudia wcale nie wróciła do miasteczka. Obudziła się rano, a następnie zdecydowała się samotnie kontynuować ucieczkę. Tylko nie wydawało się to prawdopodobne.

Chata nie odpuszcza. Jeżeli już kogoś wybrała, nie pozostawi go w spokoju aż do ostatecznego końca.

Samochód zaparkowałam na poboczu. Porzuciłam go, nie przejmując się zamykaniem drzwi lub wyciągnięciem kluczyków ze stacyjki. Sama sobie obiecywałam, że pozostanę odważna. Że nie dam się opanować emocjom. Niestety, po zaledwie kilku krokach, zagłębiając się w leśną gęstwinię, poczułam, jak cały tłumiony dotychczas żal, smutek, poczucie beznadziei i bezradność uderzają we mnie podwójnie. Wszystkie one kumulowały się w ciężar nie do uniesienia. Każdy kolejny krok stawał się coraz trudniejszy do wykonania. Słaniałam się, wpadając na drzewa.

Chociaż jeszcze chwilę wcześniej był środek dnia, otoczył mnie gęsty, niezmacony niczym mrok. Napierał na mnie, krępował ruchy i brutalnie wdzierał się do ciała, wypełniając je do granic możliwości. W pewnym

momencie miałam wrażenie, że składałam się wyłącznie z ciemności i niczego innego wewnątrz mnie nie ma. Wcale się tym jednak nie przejmowałam. Skoro w moim świecie zniknęła Klaudia, nie obchodziło mnie, co takiego działo się ze mną.

Po wędrówce w okowach mroku wreszcie znalazłam się tam, gdzie pragnęłam.

Przedemną znajdowała się polana, a pośrodku niej wznosiła się chata. Wyglądała normalnie. Drewniany, parterowy budynek, którego wygląd wskazywał, że lata świetności miał już za sobą. Drzwi pozostawały uchylone, lecz przez niewielką szparę nie dało się dostrzec tego, co znajdowało się wewnątrz. Żeby to zrobić, trzeba było podejść.

Widok uchylonych drzwi nigdy nie zwiastował niczego dobrego. Oznaczało, że chata na kogoś czeka. Żaden nastolatek nie chciał ich zobaczyć, nie chciał znaleźć się obok chaty, jeżeli ta zdecydowała się otworzyć. Ja jednak nie byłam już nastolatką. Ruszyłam, lecz mój chód nie był wcale tak pewny, jakbym chciała. Patrzyłam na obiekt, który nie powinien się tutaj znajdować. Na miejsce odbierające mi tych, których kochałam! Nie tylko Bartka! Nie tylko licznych kolegów i koleżanki, rówieśników i nieco starszych znajomych! Nie tylko mojego dziadka, ale przede wszystkim moją córkę! Klaudia weszła do chaty, zniknęła w niej, a ja pragnęłam za nią podążyć. Wejść do środka i w jakiś sposób wykraść ją. Zastąpić, aby mogła dalej cieszyć się życiem.

– Dlaczego nie ja?! – wrzasnęłam, a mój głos poniósł się między drzewa. – Dlaczego mnie nigdy nie wezwałaś? Co? Dlaczego? Dlaczego zabierasz wszystkich mi bliskich! Nie wystarczył ci mój dziadek? Bartek? Musiałaś zabrać mi również Klaudię?!

Pochyliłam się, chwyciłam kamień i cisnęłam nim przed siebie. Szary obiekt odbił się od dachu. Zaraz zanurkowałam ponownie. Seria mniejszych i większych kamieni uderzyła o budynek. Jeden trafił w okno, tłukąc zmatowione szkło. W tym też momencie podniósł się wiatr. Firanki zafalowały, a w oknie udało mi się dostrzec córkę. Stała, patrząc na mnie. Uśmiechała się, po czym odwróciła i odeszła.

Była tam!

– Klaudia! – krzyknęłam przez zaciśnięte gardło, a następnie rzuciłam się biegiem w stronę chaty. Po zaledwie trzech krokach straciłam równowagę i upadłam ciężko. Nie tracąc czasu, zaczęłam pełznąć po ziemi. Przez uchylone drzwi dostrzegałam coraz więcej. Obraz, jaki mi się ukazywał, przerażał mnie całkowicie. Widziałam, jak moja córka spaceruje po ładnie urządzonej wnętrzności, jak rozmawia z obcymi dla mnie ludźmi, jakby ci byli jej znajomymi. Pragnęłam ją zawołać, lecz słowa uwięzły mi w gardle.

Kiedy znalazłam się tuż pod chatą, wiatr zadał mocniej niż dotychczas, zamykając z trzaskiem drzwi. Wreszcie wstałam na równe nogi, sięgnęłam po klamkę. Nacisnęłam na nią i pchnęłam. Moim oczom ukazało się zaniedbane wnętrze opuszczonego budynku. Kurz zalegał przegniłe

meble, kotary z pajęczyny spadały z sufitu, a w powietrzu unosił się dławiący smród grzyba.

Przekroczyłam próg, lecz nic się nie wydarzyło. Wciąż znajdowałam się w zniszczonej chacie. Miałam nadzieję, że... sama nie wiem, zostaną przeniesiona do wnętrza, w którym dostrzegłam Klaudię. Nic takiego się jednak nie wydarzyło.

W naszym miasteczku regularnie znikają nastolatki. Gdy tylko zbliżają się do dorosłości, rodzice zaczynają obawiać się, że ich dziecko zostanie im odebrane za sprawą chaty.

Widuję tych nastolatków regularnie. Patrzą, jak w transie krocą leśnymi ścieżkami, zmierzając do drewnianej konstrukcji. Wydają się wcale nie rejestrować tego, co robią. Ich oblicza pozbawione są wszelkich emocji. Stawiają kolejne kroki, wchodzą na ganek, a potem przekraczają próg chaty, przesądzając o swoim losie. Nie można ich powstrzymać. Nawet jeżeli zastawi się im drogę, oni wciąż krocą, walczą ze wszelkimi przeciwnościami, aż wreszcie docierają do swojego celu.

Patrząc na nich wszystkich. Odkąd straciłam Klaudię, przychodzę przed chatę niemal każdego popołudnia. Zaglądam przez uchylone drzwi i widzę, jak wnętrze budynku zmienia się w zależność od tego, kto ma do niej wejść. Kusi swoim wystrojem, przedmiotami i ułudą spełnionych marzeń.

Chata na szczęście popada w coraz większą ruinę. Coś, co wydawało się trwałe, po wielu latach wreszcie

wygląda tak, jak powinno. Przez wybitą szybę wdziera się chłodne powietrze, pojedyncze deski pękają, tworząc dziury w dachu. Drzwi skrzypią, wisząc ostatkiem sił na zawiasach.

W naszym miasteczku regularnie znikają nastolatki. Gdy tylko zbliżają się do dorosłości, rodzice zaczynają obawiać się, że ich dziecko zostanie im odebrane za sprawą chaty. Ta jednak przyzywa coraz mniej osób. Wciąż zdarzają się pojedyncze przypadki, lecz w odstępie kilku miesięcy.

Zastanawiam się, czy w chwili, kiedy cały budynek zawali się, czy wówczas odzyskam moją córkę? Z podobnymi myślami borykają się inni rodzice. Jest nas w lesie coraz więcej. Przychodzimy i otaczamy chatę, wyczekując jej upadku, końca koszmaru, jaki przez lata nam serwowała. Będziemy to robić, aż drzewom nie zabraknie liści, aż ziemia przestanie przyjmować nasze ślady. Czasem w nocy ktoś słyszy echo rozmów, śmiechów i kłótni dobiegających z wnętrza chaty. Pojedynczy rodzice rozpoznają głosy swoich dzieci.

Dziś rano zauważyłam w wyrwie, która niegdyś stanowiła okno, Klaudię. Uśmiechała się podobnie, jak ostatnio. Wyglądała na starszą o tych kilka lat, które rzeczywiście minęły.

– Uwolnię cię – obiecałam, po czym Klaudia odwróciła się i zniknęła.

MARCIN BARTOSZ ŁUKASIEWICZ

ULICA GINĄCYCH ZAWODÓW

Jesteś tu nowy, prawda?

No, nie pytaj, skąd wiem. To widać. Sam to czujesz.

Musisz wiedzieć? No, rozdziawione ze zdziwienia usta to całkiem niezły trop. Brwi zmarszczone z niedowierzaniem. I ten wzrok.

Pytasz, jakim cudem takie miejsce przetrwało? Skąd w mieście taka knajpa? Jak to jest, że deptak znasz na pamięć, ale nigdy wcześniej tu nie zawitałeś?

No, nie jesteś pierwszy, który o to pyta. Ale ja nie zamierzam od razu odpowiadać.

Poczekaj, nie idź dalej. Usiądź na chwilę. Wam, młodym, zawsze się spieszy. Chcecie zobaczyć wszystko, ale tu, teraz, zaraz. W tej chwili, ani sekundy później. To właśnie dlatego nie widzicie tego, co macie przed oczami. Wciąż patrzycie hen, daleko, daleko, aż za horyzont.

No, tak lepiej. Ale zmartwię cię, bo chociaż siadłeś, to będziesz znowu musiał wstać.

Widzisz, tam, tuż obok wesoło trzaskającego w kominku ognia? To właściciel. Podejdz do niego i powiedz, że to ja cię przysłałem. Niech zajrzy do swojej piwniczki dla specjalnych gości i da nam dwie... a, w sumie to od razu cztery butelki. No, sześć. Ale tylko tyle. Nie więcej.

Jak to, pytasz, z czym mają być te butelki? Z piwem. No przecież, że nie z czymś innym. Do gadania najlepiej nadaje się piwo. Kropka. Nie daj sobie wmówić, że ten nowoczesny ulepek bez śladu alkoholu nadaje się do czegokolwiek. To jest ściek. Jesteś w knajpie, jest wieczór. Jeszcze mi podziękujesz.

Co, jeśli zapyta? Kiwnij na mnie, będzie wiedział. Ale jeśli go pamięć zawiedzie, to wiedz, że chodzi o grodziskie.

Idź już.

No, chwilę ci to zajęło. Musiałeś czymś ująć właściciela, bo on nie pokazuje piwniczki byle komu. Albo go znowu plecy bołą, he! Cholera wie. Coś w tobie jest, że chce się gadać. Widać, że nie rozumiesz jeszcze za wiele, ale przynajmniej słuchasz. Nie czekasz, aż ktoś przestanie mówić tylko po to, żeby samemu otworzyć pysk. A ja lubię, kiedy ktoś ma otwartą głowę.

No, młody. To twoje zdrowie.

Ach, już widzę ten uśmiech, tę błogość. Nie piłeś nigdy takiego piwa, co?

Tak myślałem.

Tam, za barem, mają całkiem zacne butelki. Ale nie mogą się równać z tym, co właściciel po nocach sam warzy. To jest, żeby nie skłamać, jedyny polski styl piwa. Prawdziwy unikat. Co, nie słyszałeś? Nie dziwi mnie to. Masz sporo do nadrobienia. Zacznij od kolejnego łyka.

Ja nie o tym miałem, ale jesteś niczym czysta tablica. Pusta kartka. Twoją głowę trzeba koniecznie wypełnić wiedzą...

Nie zgadniesz, ale to piwo wywodzi się z Grodziska. Tego wielkopolskiego. Pszeniczne jest, co pewnie widzisz i po kolorze, i czujesz po charakterystycznym smaku. Dymione, jak nietrudno zauważyć.

Co? Nie wiesz, co to znaczy? Słody pszeniczne wędzone były dymem z dębu.

Ach, widzę, że nie do końca rozumiesz. Nie, chmiel nie ma tu nic do rzeczy. To znaczy ma, ale chmielenie to rzecz wtórna. Piwo warzy się ze słodów.

Masz naprawdę sporo do nadrobienia.

Ale w porządku, póki co zostanemy przy degustacji. Przyznasz, że nawet bez wiedzy o tym, jak się to piwo wytwarza, nadal przynosi ono mnóstwo radości.

Ha! Tak myślałem. Dobrze, skoro zostałeś i czekasz na jakąś ciekawą opowieść, to taką właśnie otrzymasz.

Nazbierało się tego przez lata... Nie jestem pewien, od czego zacząć.

Niech więc będzie pewniak.

Posłuchaj o Ulicy Ginaących Zawodów.

Od kiedy pojawiły się pierwsze osady, wsie, miasta, pojawiło się też społeczeństwo. A społeczeństwo ma to do siebie, że bardzo lubi, kiedy jest wygodnie. Ktoś więc myślał, myślał i wymyślił postęp. Nie miał jeszcze pojęcia, jak genialne to było. Czy też jakie miało się stać.

Tak, zmierzam do czegoś. Nie martw się, to tylko wstęp. Bądź, proszę, cierpliwy. To wszystko na koniec złoży się w całość.

Postęp to bardzo niebezpieczny wynalazek. Powoduje, że niektórzy z dnia na dzień zyskują pracę, sławę, pieniądze. One, rzecz jasna, nie biorą się znikąd. Tak naprawdę pochodzą od tych, którzy z powodu postępu je tracą.

Nikogo nie interesuje, co się z nimi dzieje. Z tymi, których postęp pozbawił wszystkiego. No, czasem nie wszystkiego, tylko właśnie pracy i pieniędzy. Bycia przydatnym. Godności. To nieprzyjemne patrzeć na ludzi, którzy jednego dnia prosperują, a następnego kończą odarci do gołej kości.

Ale zapewniam cię, że oni nie giną tak od razu.

Są różne miasta. Większe, mniejsze. Ładniejsze i brzydsze. Zaludnione i puste. Mało jest jednak takich miast jak nasze.

Co w nim takiego specjalnego, pytasz? Widziałeś więcej? Widziałeś Ateny, Rzym, Stambuł? Jerozolimę, Mekkę, Varanasi? Singapur, Tokio i Pekin?

Nic nie widziałeś.

Widziałeś miasta, które pełniły ważną rolę albo pełnią ją dalej. Ośrodki rozwoju, wynalazków, postępu. Rozrastające się ponad miarę, coraz bardziej zurbanizowane obszary wypełnione budynkami.

Żadne z tych miast nie ma duszy.

No, dobrze, skłamałem. Tak naprawdę to każde z nich jakąś ma. Najczęściej poranioną, wyniszczoną, skażoną.

Przeklętą.

Prawdziwe miasto dba o swoich mieszkańców. O wszystkich i o każdego z osobna.

Dlatego nasze jest wyjątkowe.

Przetrwało czasy Piastów, Jagiellonów i Habsburgów. Polskę, księstwo głogowskie, Czechy, Prusy i Niemcy. Ponieważ wtedy nie było zbyt ważne, nie musiało się zmagać z czymś ponad własne siły. Ludzie i natura żyli obok siebie, w zgodzie. A miasto, chociaż niebogate i niezamożne, mogło prosperować.

No, starczy, starczy tych wstępów. Teraz historia właściwa, zapewniam cię. Ale najpierw... cóż, ręce już nie takie, jak kiedyś. Czy mógłbyś otworzyć mi kolejną butelkę?

Czteryście lat temu byłem sitarzem.

No, nie rozdziawiaj tak gęby. Opowieści rządzą się swoimi prawami.

Ach, nie wiesz, kto to sitarz.

Robiłem też przetaki. Coś świta? Nie? Cholera. No, ale w końcu nazwa Ulicy Ginaących Zawodów nie wzięła się znikąd.

Szedłem za miasto, szukałem odpowiedniej sosny i zdejmowałem korę. Na łub. Potrzebne było jeszcze końskie włosie, czasem też drut, ale to rzadziej i później. Potem robiłem stelaż, dodawałem siatkę i sito gotowe. No, trochę to trwało, nie powiem, ale to była przyjemna robota.

Sita i przetaki były różne. Duże, małe, zależy, do czego potrzebne. Brali to głównie do mąki i zboża. Zapach jęczmienia, żyta czy pszenicy znałem już wcześniej, ale wtedy...

No, wtedy to go pokochałem. Kiedy chodziłem po świecie z moimi sitami i próbowałem je sprzedawać chętnym.

Wiesz, życie wtedy było niespieszne. Od późnej jesieni do wczesnej wiosny siedziałem sobie w moim warsztacie i robiłem. Kiedy się ocieplało, brałem wór podróżny. Do tego taki specjalny pas, właściwie stelaż, żeby wziąć tyle sit i przetaków, ile się dało. Szedłem w świat i cześć. Chodziłem po domach, zagrodach i wsiach, żeby sprzedać wytwory moich rąk.

To było wspaniałe. Tak mijały długie lata.

Pamiętasz, co ja mówiłem o postępie?

To trwało. Dwieście lat, może trzysta. Pewnego ranka obudziłem się i uznałem, że czas na kolejną wędrówkę. Poczulem zew drogi. Spakowałem wszystko, wziąłem moje sita na plecy i wyszedłem z warsztatu.

Ulica się zmieniła. To znaczy, nadal czułem się jak w domu. Wiedziałem, że nadal jestem w naszym mieście, bo widziałem w oddali ratusz. Wszystko wokół było pozornie takie samo, a jednak nieco inne. Stałem i rozejrzałem się.

Nie widziałem ludzi.

Poczulem, że to dziwne. Był ranek, wszyscy powinni uwijać się przy swoich warsztatach. Pierwsi klienci powinni załatwiać coś albo kupować. Brakowało tego typowego harmidru, zamieszania, ruchu. Brzmiała w tym jakaś rozpaczliwa nuta. Uznałem jednak, że szkoda czasu.

Że taki dzień. Miałem się tym zainteresować po powrocie, o ile w ogóle bym o tym pamiętał.

Ruszyłem przed siebie. Szedłem i mijałem kolejne cechy, pracownie i warsztaty. Były pozamykane, ale tak były jak. Niektóre otwarte, ale bez życia. Coraz mniej mi się to podobało.

Tych budynków i kamienic było... tak jakby coraz więcej? Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Szedłem i szedłem, ale miałem wrażenie, jakbym w ogóle się nie poruszał. Nie mogłem dotrzeć do końca uliczki. Nic. Dziwne to było coraz bardziej.

Spojrzałem przez ramię. Mój warsztat nadal widziałem, chociaż musiałem iść przed siebie dobry kwadrans. Może pół godziny.

Zaniepokoiłem się. Wróciłem do domu, wypilem nieco wody i poszedłem znowu.

Było tak samo. Przebierałem nogami, jedna za drugą, druga za pierwszą, pilnując twardo, żeby iść dalej. Wór podróżny ciążył coraz mocniej, stelaż z sitami też nie robił się lżejszy. W pewnym momencie zaczął wiać wiatr i strącił mi kapelusz. Odwróciłem się, żeby ponownie ujrzeć warsztat, zaledwie kilka metrów dalej.

Znowu.

Nie kijem go, to pałką, jak mawiał mój ojciec. Zabrałem kapelusz i poszedłem w drugą stronę.

Tu sprawa również była zagadkowa, bo coś mi się nie kojarzyło, żeby mój dom stał w takiej okolicy. Nie sklejało

mi się z tym, co pamiętałem. A mieszkałem tam długo, bardzo długo, kilkaset lat. Kilkanaście generacji rosło i umierało wokół mnie. Tylko ja nic się nie zmieniałem, chociaż chyba plecy z czasem były niżej ziemi, a w nogach strzykało coraz częściej.

No ale nic, co miałem zrobić? Szedłem dalej.

W końcu dotarłem... już wiesz, gdzie?

Nie mów, że się nie domyślasz.

Tak, oczywiście. Dotarłem tutaj. Do knajpy.

Było rano, ale widziałem, że ludzie siedzą przy piwie. Niektórzy przy okowicie. Co więcej, wszyscy wyglądali, jak gdyby moment wcześniej wyszli ze swoich warsztatów. Co jak co, ale rzemieślnika potrafię poznać na pierwszy rzut oka. O tej godzinie oni wszyscy powinni działać. Naprawiać, tworzyć, usprawniać. Zamiast tego panował marazm, takie rozleniwienie, ale nie do końca przyjemne. Bardziej obojętne.

Jak tylko wszedłem, to spojrzeli na mnie prawie wszyscy. No, trochę przesadzam, niektórym było wszystko jedno.

– W końcu przyszedłeś – powiedział ktoś zza baru.

– Ja tylko na moment... coś dziwnego się dzisiaj dzieje – odparłem.

Jeden z drugim parsknął, trzeci zaczął się śmiać.

– Wiesz, gdzie jesteś? – zapytał barman.

– Na Drzewnej – odpowiedziałem.

– Na Drzewnej to ty może mieszkałeś za życia. Kiedy ludzie potrzebowali jeszcze twoich sit i przetaków. Nie zauważyłeś, że czasy się zmieniły? Że interes nie idzie tak, jak kiedyś?

Zamyśliłem się. No, faktycznie, przyznam, było wtedy coraz to gorzej i gorzej. Nieopłacalnie wręcz, ale jakoś tak... z czasem jakoś przestałem jeść, nie byłem głodny, to i człowiek o tym nie pamiętał. Warsztat był mój, studnię miałem, więc mogłem sobie pozwolić na długie okresy bez zarabiania.

– Być może. I co w związku z tym? – zapytałem.

– On nadal nie rozumie – rzucił któryś z bywalców.

– Jesteś na Ulicy Ginących Zawodów – powiedział barman.

– Gdzie? – zdziwiłem się.

– Nie każ mi powtarzać, słuch masz nadal dobry – odparł. – Trafiają tu rzemieślnicy, na których usługi nie ma już zapotrzebowania. Którzy wypadli na zakręcie postępu i rozbili się na jakimś drzewie.

– Niepotrzebni. – Bywalec uśmiechnął się smutno i łyknął piwa.

– Ale... – zacząłem.

– Słuchaj, wierzaj lub nie, ale to teraz twój świat. Zdejmij ten stelaż, odłóż worek, napij się piwa. Potraktuj to jako odpoczynek. Nic innego w życiu cię już raczej nie czeka.

Czteryście lat temu byłem garncarzem.

Och, pamiętam to uczucie. Zapach świeżej gliny. To uczucie w dłoniach, kiedy możesz uformować coś nowego. Cichy szum obracającego się koła. Dłonie wiecznie pomarszczone od wody. Spracowane od ugniatania palce. Czasem jakieś skaleczenie od drutu. Bijący z pieca żar.

Były takie czasy, że zaopatrywałem całe miasto w naczynia...

Nie, nie przesadzam. Miałem wielu uczniów, a miasto nie było wtedy zbyt duże.

Z czasem uczniowie zaczęli się rozchodzić. W sensie, niektórzy szli na swoje jako mistrzowie. Przychodziło coraz mniej nowych. Garnków sprzedawałem coraz mniej i mniej.

W pewnym momencie musiałem ruszyć w drogę po raz pierwszy.

Zabrałem moje piękne naczynia. Były doskonałe. Lata praktyki spowodowały, że wszystko, co zrobiłem, zawsze stało na najwyższym poziomie. Traktowałem garncarstwo jak sztukę. Wytwory moich rąk miały być nie tylko użyteczne, ale też zjawiskowe.

Wyszedłem przed warsztat i od razu zauważyłem, że coś jest nie tak.

Nie byłem już na Drzewnej. To znaczy, owszem, widziałem obok warsztaty, które znałem. Sitarza, bednarza. Pracownie zduna, rymarza, ludwisarza. Ratusz w oddali. Ale wokół mnie panowała jakaś dziwna pustka.

Wyczułem to od razu. Tak, jak gdybym już to kiedyś przeżył.

Na próbę zrobiłem kilka kroków po ulicy. Miałem rację, to było coś innego. Coś nie z tego świata. Ale jednocześnie przyjacielskie, łagodne. Bruk, budynki, mury... nie próbowały zrobić mi krzywdy. Chciały chronić.

Niewzruszony poszedłem w stronę wyjścia z uliczki. Po kilku minutach marszu poczułem, że przestrzeń wokół mnie wciąż jest taka sama. Odwróciłem się i zobaczyłem mój warsztat. Był kilka kroków dalej, jak gdybym w ogóle się nie ruszył.

Cóż było robić? Ruszyłem w przeciwną stronę. Uliczka kierowała mnie w tamto miejsce. Chciała, żebym tam trafił. Nie oponowałem.

Kiedy szedłem, uczucie było zupełnie inne. Czułem, jak bruk wygładza się dla mnie, jak cieszy się dotykiem moich butów. Ściany budynków zbliżyły się tak, jak gdyby chciały mnie objąć. Dachy skryły moją głowę przed słońcem, dając kojący cień.

Po chwili trafiłem tutaj.

No, sam wiesz, nie udawaj.

Do knajpy.

Wszedłem do środka, a moje nogi same pokierowały mnie pod sam bar. Mężczyzna za kontuarem uśmiechnął się, kiwnął głową i podał mi piwo.

– Gdzie jestem? – zapytałem go.

– Na Ulicy Ginących Zawodów – odparł.

– Czy to znaczy, że umarłem?

– Tego nie mogę powiedzieć. Będziesz musiał dowiedzieć się sam. A tymczasem... to nie będzie ci już potrzebne. – Wskazał na moje naczynia.

Powoli, z wahaniem zdjąłem sznurek i odłożyłem wszystko na bok.

– Nikt ich nie zabierze ani nie zniszczy. Usiądź i zostań, ile będziesz potrzebował – dodał mężczyzna.

No to usiadłem. Co miałem zrobić?

Czteryście lat temu byłem bednarzem.

Wiesz chyba, co robi bednarz?

O, coś jednak wiesz. Tak, zdecydowanie, wiadra też zdarzało mi się tworzyć. Balie, cebrzyki i kadzie. Ale najbardziej lubiłem robić beczki.

W tej pracy drewno to podstawa. Znałem wszystkie najlepsze miejsca, w których rosły piękne, silne drzewa. Świerk, olcha, lipa. I, rzecz jasna, król, czyli dąb. Bez tego nie było sensu niczego zaczynać.

Potrzebny był też kowal, bo bez obręczy ani rusz. To znaczy, znałem takich, którzy brali coś innego. Powróż, czasem ściągali z łoży. Ale nie ja. Ja musiałem mieć najlepsze, bo robiłem najlepsze. Nie inaczej. Nigdy inaczej.

Ten zapach drewna został ze mną do dziś.

No, co ci powiem. Moja historia nie jest zbyt oryginalna. Najpierw czasy dostatku, mnóstwo zamówień, mnóstwo klientów, czeladnicy, terminatorzy. Targi, jarmarki, bazary, raz byłem nawet na suku... Kramy, stragany, opłaty.

Później coraz mniejszy ruch. Mniej klientów. Samotność bez nowych czeladników czy uczniów.

Wiesz, to jest jednak inne w przypadku bednarzy, że ja mojej pracy sam nie wezmę na plecy. To znaczy, jeśli zrobię niewielki cebrzyk albo łopatę do chleba, to da radę. Ale ja robiłem głównie duże rzeczy. A najbardziej lubiłem beczki, jak już mówiłem.

Dlatego obyło się bez rozpaczliwych prób ocalenia warsztatu.

Tego dnia obudziło mnie słońce. Ciepłe promienie światła sięgały coraz wyżej i wyżej, by w końcu objąć moją twarz i wnikać pod powieki. To uczucie ostatecznie wyrwało mnie ze snu, a pierwszą rzeczą, jaką ujrzałem, był unoszący się w powietrzu kurz. Cieszyłem się na piękny, bezchmurny dzień. Odetchnąłem ciężko, z przyjemnością, ale zamiast wiosennego powietrza do moich płuc wleciały drobiny pyłu i słodko pachnącej

pleśni. Rozkaszlałem się ostro, boleśnie. Nigdy nie przyzwyczałem się do tego, że ciało z biegiem lat zaczęło mnie zawodzić.

Wstałem, chociaż zmęczone kończyny nie do końca nadały za nadal świeżą głową. Zaczęła się wiosna. Zima w tym roku była długa, mroźna i bezlitosna. Nigdy dotąd zimno nie trzymało świata tak długo, nie za mojego życia. Był już maj, a przyroda wciąż spała. Wyglądało na to, że rośliny i zwierzęta będą musiały wykorzystać następne miesiące w pełni, bo czas na rozkwit i gody będzie o wiele krótszy niż zazwyczaj.

Opuściłem izbę, przeszedłem przez warsztat i otworzyłem szeroko grube, dębowe drzwi, które sam zrobiłem. Wyszedłem przed kamienicę, ciesząc oko widokiem ulicy. Normalnie brak przechodniów czy interesantów byłby niepokojący, ale tym razem mnie nie zdziwił.

Bo to już nie była Drzewna. Czułem to.

Nie było ruchu. Nie było klientów. Nie było rzemieślników w warsztatach.

Przymknąłem oczy i poczułem, że ulica mnie woła. Nie wiedziałem, czego dokładnie chce, ale to nie było niemiłe uczucie. Bardziej przypominało objęcia matki niż młodej kochanki. Wiedziałem, że mnie nie skrzywdzi.

Posłuchałem wezwania. Poszedłem w lewo, między budynki, obok wszystkich warsztatów. W sercu miałem spokój. W głowie kłębiło mi się mnóstwo myśli, ale podskórnie miasto wysyłało sygnały, że o mnie zadba.

Dotarłem do knajpy. Wszedłem do środka, barman kiwnął głową z szacunkiem i postawił przede mną piwo.

Wtedy wiedziałem już, gdzie jestem.

No, to historia o Ulicy Ginaących Zawodów. Cała i niecała. Mógłbym mówić dłużej, bo przeżyłem setki żyć, z których każde było inne i takie samo jednocześnie.

Ale chyba wystarczy.

Czy wiesz, że te butelki, z których pijemy są z gliny? Dasz wiarę? To nie szkło, chociaż tak wygląda. Prawdziwy mistrz garncarstwa potrafi tak ukształtować glinę, a potem pokryć glazurą, żeby wyglądała jak szklana.

Dobre to piwo, prawda? Nie uwierzysz, ale właściciel sam przesiewa zboże, zanim zrobi z niego sład. Ma cały zestaw sit i przetaków, dzięki któremu może to robić. A kiedy piwo jest już uwarzone i po chmieleniu, ma wielkie i pięknie pachnące beczki, w którym jego grodziskie może leżakować.

Tak, każdy z nas coś wniósł do tego miejsca. Nawet, jeśli wydawało się, że minął jego czas. Że do niczego już się nie nadaje. Więcej, niektórzy nawet opuścili ulicę! Pytanie, na jak długo. I czy tu nie wrócą.

No, ale dość już. Ostatnia z butelek się kończy, tak jak opowieść. Zastanawiałeś się, dlaczego tu trafiłeś.

Niestaro wyglądasz, dużo milczysz i niewiele wiesz. Aleś przecież niegłupi.

Niech więc zgadnę. Nieczęsto widzę tu nową twarz.

Jesteś szewc? Szklarz? Zielarz? Bartnik?

Ach, nie mów, nie mów. Z czasem i tak to się okaże.

A może kronikarz? Albo redaktor, z prasy? Wiem, pewnie pisarz! Miasto przecież wie, co dla nas dobre. Istniejemy, dopóki ktoś słyszy nasz głos. Z oddali, w formie szeptu i szumu drzew.

Jeśli tak, to opisz to, co cię tu spotkało. Wypij jeszcze jedno grodziskie. Nie martw się o drogę powrotną, nic ci nie będzie. Jeśli jesteś z zewnątrz, a trafiłeś tu przypadkiem, to wrócisz do siebie.

Miasto się o ciebie zatroszczy.

ZWIERZĘTA Z POGRANICZA

Nocą stacje benzynowe sapią. Jakby śniły o czymś, o czym nie powinny. Przeżuwają dym i martwe owady z lamp, prychają przez rdzewiejące kratki wentylacyjne. Mokną bez oporu. Tam je widziałem. Na styku jawy i... czegoś szeptanego.

Trzecia nad ranem. Deszcz spływał z nieba jak tłusta ropa. Jechałem donikąd. Bo dokąd wrócić, jeśli nigdzie nie czekają? Zatrzymałem się przy myjni – beton, rdza, martwe oczy halogenów.

Wśród szczotek coś stało.

Przypominało psa. Ale nogi miało zbyt długie, szyję za giętką. Sierść nie była mokra, tylko... inna. Obca. Patrzyło na mnie oczami, których nie dało się policzyć. Potem po prostu przestało być.

Od tamtej nocy zaczęły wracać. Częściej. Bliżej.

Na klatkach, gdzie światło drga jak zadławiony oddech. W piwnicach pachnących mokrym eternitem.

W hotelowych korytarzach, gdzie noc jest koloru snu, który się nie przyśnił.

To nie zwierzęta. Nie jedzą. Nie uciekają. Nie patrzą. One *wiedzą*, że jesteś. I żyją tam, gdzie nikt nie chce pamiętać. W szczelinach czasu. W miejscach, gdzie śmierć jeszcze nie przyszła, ale już stoi w drzwiach.

Zaczęły mnie śledzić. W szybach. W szumie radia. W cieniu automatów do kawy. Zamykam oczy i słyszę skrobanie. Miękkie. Wilgotne. Jakby język zrobiony z włókien starego dywanu.

Pod wiaduktem, gdzie ściany pokryte są imionami dzieci, które już nie są dziećmi, usłyszałem:

– Tu nie ma ludzi. Tylko te, które przeszły.

To nie był głos. To było coś, co przylega do wnętrza. Jak mokra tkanina do skóry. Może już nie jestem sobą.

Nie boję się ich. Boję się, że znikną. Że zostanę sam – w przestrzeni, która nie ma kierunku. Gdzie wszystko trwa. Bez początku. Bez końca.

Obudziłem się dziś w hotelu przy krajówce. Za oknem coś leżało. Może lis. Może włókno snu. Może resztką człowieka, który nie miał imienia. Poruszyło się. Jak kot. Ale odwrotnie. Bez kręgosłupa. Potem uniosło głowę. Miało moją twarz. Wypłowiła. Jak zdjęcie z dokumentu, który ktoś dawno wyrzucił.

One nie boją się światła. Lubią je. Martwe, sztuczne. Światło lamp sodowych, które rzuca cień dłuższy niż ciało. Lubią zawieszenie. Lubią przejścia.

Nie są złe. Są głodne. Ale nie tobą. Żywią się nieobecnością. Rozmowami, które nagle ucichły. Krokami, które zapomniały, dokąd miały iść. Ciszą po telefonie, który nigdy nie zadzwonił.

Wczoraj w lustrze windy było jedno. Stało za mną. Nikogo nie było. Obroża. Skręcony kark. Jakby zapomniało, jak się stoi. Kiedy wysiadałem, powiedziało:

– Jeszcze cię nie ma. Ale jesteś coraz bliżej.

Teraz siedzę w barze czynnym całą dobę. Z głośników płynie piosenka, której nikt nie zna. Ktoś zostawił pół szklanki mleka. I ślad języka. Nie ludzkiego.

Za szybą czekają. W bramie prowadzącej donikąd. Pod markizą sklepu z używaną odzieżą. Ich sylwetki pulsują. Jakby próbowały sobie przypomnieć, jak to jest być. Czymś. Kimś.

Jeśli jutro się nie obudzę – nie szukajcie mnie.

Zostanę tutaj. Na styku światła i rdzy. W cieniu myjni. W snach zwierząt z pogranicza.

CIEMNIKI, ŁAPSZCZE, SZCZELINOWCE

Jestem w kropce, ot co. Ślęczę nad pustą kartką, szukam odpowiednich słów, i nic. Cisza jak makiem zasiał. Zabawne, setki razy przerabiałem tę rozmowę w blasku księżycy, a teraz nie potrafię sformułować paru zdań wstępu. Od czegoś jednak zacząć trzeba.

Może od tej pustej kartki, czemu nie. Pewnie chciałbyś wiedzieć, dlaczego się za nią ukrywam, zamiast spotkać się z tobą twarzą w twarz. Otóż boję się, zresztą nie powinno cię to dziwić. Może więc zacznę od tego, że dość już mam bezkresnych nocy, ich cichego szeptu niosącego pytania, na które nie znam odpowiedzi. I nawet kiedy już zasnę, pomiędzy jednym snem a drugim, słyszę ich echo: czy mogłem coś zmienić, czy wina leży po mojej stronie, dlaczego akurat wy, skąd się wzięły, dlaczego ich nie widzę, dlaczego to, dlaczego tamto, i tak bez końca, aż do rana. Albo, o, prosto z mostu, od razu wspomnę o czerniach, o tym, jak wytrwale stawiałeś im opór. Może wtedy przypomnisz sobie wszystko za jednym zamachem, ot tak, jednym słowem.

Czernie. Mówi ci to coś?

Nie? Tak przypuszczałem. Ja też niewiele pamiętam z lat mojego dzieciństwa, ledwie przebłyski, blade odbicia w kalejdoskopie minionych czasów. Zacznę więc od słowa, które tak czy inaczej jestem ci winien po tylu latach błędzenia.

Przepraszam, synu.

Wiem, wiem, mógłbym przeprosić cię za wiele rzeczy. Mam jednak na myśli konkretną winę, moją niepojętą ślepotę, to bezwstydnne przekonanie o wyższości pragmatyzmu rodzica nad dziecięcym porywem ducha. Byłem ślepy na to, co niedostrzegalne gołym okiem, na każdym przejaw niesamowitości ze świata *poza*.

Nieźle bzdury, nie? Jaka *niesamowitość*, jakie *poza*? Założę się, że zadajesz sobie podobne pytania. Nic dziwnego, nic przecież nie pamiętasz. Pewnie masz mnie za szaleńca, ale wytrzymaj jeszcze chwilę, wszystko się wyjaśni, obiecuję. Póki co wystarczy, byś wiedział, że to właśnie w twoich oczach ujrzałem prawdę, głęboko skrytą prawdę o naszym świecie, a właściwie nawet nie o nim, a o tym co *poza* nim.

Tak długo musiałeś mierzyć się z tym sam. Uwierzyłem ci dopiero wtedy, gdy odpuściwszy, schowałeś się za kotarą obojętności. A teraz, dwie dekady później, stoisz w tym samym miejscu, otoczony rdzą spiralnych rur, chwastem piętrzącym się w ciemnych narożach,

skrzypiącą huśtawką oraz tą niepojmowalną grozą, która tylko czeka, by...

Jeszcze nie teraz. Później. Zaczniemy od początku, od zielonego rowerka, od pierwszego dnia w przedszkolnej rzeczywistości. Wtedy po raz pierwszy ich doświadczyłeś.

Nie zdziwię się, jeśli niewiele z tego pamiętasz. Wspomnienia lubią osiadać na skraju pamięci, niewyraźne, jak na poruszonym zdjęciu. Mnie to jednak nie dotyczy. Widzę wszystko jak na dłoni, zarówno twoją radość, gdy przekraczaliśmy drzwi przedszkola, jak i przejmującą smutek, gdy cię z niego odbierałem. W zasadzie nie tyle smutek, co żal, nieunikniony i w pewien sposób spodziewany. Następnego dnia nie chciałeś tam wracać. Nie pomagały ani zapewnienia o dobrej zabawie, ani próby przekupienia cię żelkami, nie mówiąc już o racjonalnej argumentacji. Zero kontaktu, odcięło cię na amen. Zamknąłeś się w sobie, skryty między szafą a drzwiami. Zdawać by się mogło, że nie słyszysz, co do ciebie mówię. Do swojego kąta dopuściłeś tylko Gryzka... Pamiętasz go jeszcze, takiego pluszowego szczura z przekrzywionym okiem? Tyle razy ci pomógł. Tym razem jednak nawet on nie potrafił ukoić twoich lęków. Drżałeś, drżałeś na całym ciele, a już szczególnie dygotały twoje dłonie, zaciśnięte kurczowo na ciemnoszarym pluszu. Spojrzenie miałeś utkwione gdzieś w oddali, mętne i nieobecne. Teraz wiem, że nie patrzyłeś na nic konkretnego.

Po raz pierwszy sięgałeś *poza*.

I gdy tak trwaliśmy w tym zawieszeniu, ty skulony w kącie pokoju, ja desperacko szukający rozwiązania, wpadł mi do głowy pewien pomysł. Twój ukochany zielony rowerek. Tylko on mógł wyzwolić w tobie głęboko ukryte pokłady odwagi, zawieźć cię pod same drzwi, drzwi, które w tamtej chwili wydawały ci się bramą do piekła.

– A co byś powiedział na to – zagailem – by wparować do przedszkola na rowerze... Jak błyskawica!

Z początku myślałem, że nic z tego, że nawet rower nie wytrąci cię z tego przerażającego stuporu. Nie masz pojęcia, jak mi ulżyło, gdy z wolna wyłoniłeś się z mroku, kiwając głową, najpierw z pewną rezerwą, zaraz jednak z pełnym przekonaniem, jakby perspektywa wjechania gdzieś z piskiem opon mogła rozgonić najgorsze niepokoje. Po chwili zapinałeś już kask, taki biały, obtłuczony z każdej strony. Pamiętasz go jeszcze? Na pewno, jak mógłbyś zapomnieć. Nieraz cię ratował, kiedy znienacka wyrastał przed tobą korzeń drzewa albo dziwnym trafem kierownica przestawała cię słuchać. Zresztą, sam doskonale wiedziałeś, że „bez kasku ani rusz”.

Gdy po kwadransie siedziałeś na siodełku, twoje spojrzenie nie było już mętne, lecz skoncentrowane, gotowe, by reagować na najmniejsze odstępstwo od normy, zawieruszony kamień na środku drogi, wyłaniającego się zza zakrętu przechodnia lub kałużę po nocnej ulewie. Nadepnałeś na pedał i ruszyłeś naprzód, nie oglądając się za siebie. Pobiegłem za tobą, ledwo nadążając; nie żartuję, jak na swój wiek byłeś piekielnie szybki. Najpierw

zostawiliśmy za sobą nasze osiedle, potem przejście dla pieszych i wreszcie wpadliśmy na nadgryziony czasem plac zabaw, wrośnięty niczym pasożyt w bramę przedszkola. Nigdy wcześniej i nigdy potem nie widziałem bawiących się na nim dzieci. Był zupełnie opustoszały, ignorowany przez ludzi, wtłoczony w przestrzeń jak gdyby tylko dlatego, że coś musiało istnieć pomiędzy. Jakby przedszkolna rzeczywistość potrzebowała wentyla, tunelu przejściowego.

Chociaż najprostszym wyborem była droga na wprost, bez zastanowienia zaczęłaś kręcić serpentyny, omijać niewidzialne przeszkody. Nie mogłem przestać się uśmiechać, obserwując, jak z piskiem opon hamujesz przed zardzewiałą ramą huśtawki, jak wciskasz głowę w kierownicę, by zmieścić się pod poharataną zjeżdżalnią, jak w ostatniej chwili okrążasz kikut latarni łypiący spomiędzy postrzępionych traw.

– Uff – wypaliłaś ze zgrozą, gdy przekroczyliśmy wreszcie przedszkolną bramę. – Udało się.

O tak, udało się. W następnych latach wielokrotnie powtarzałaś te słowa. Myślałem, że w ten sposób dajesz upust dziecięcej fantazji, swojej rozbuchanej wyobraźni. Byłem pewien, że w twojej głowie dochodzi do pewnego rodzaju przeobrażenia, z obskurnego placu zabaw w skomplikowany tor przeszkód.

Przepraszam, tak bardzo cię przepraszam. Nie miałem pojęcia, jak bardzo byłem w błędzie.

Mijały kolejne dni, a ja każdego ranka, niczym bezmyślna kukielka ciągnięta na napiętym sznurku, biegłem za twoim zielonym rowerkiem. Czasem, przysiadając, skracałem sobie drogę, gdy ty z zapamiętaniem wileś się jak wąż po swym wyimaginowanym torze. Zerkałeś wtedy na mnie z zaniepokojeniem, a ja opacznie sądziłem, że ogarnia cię strach. Idiotyzm, wiem. Nigdy przecież nie bałeś się rozdzielenia. Co mogłem zrobić? Wracałem do ciebie, a wtedy w okamgnieniu odzyskiwałeś spokój. Tak to przynajmniej rozumiałem. Spokój, natychmiastowa ulga, odzyskanie utraconego bezpieczeństwa. Poniekąd miałem rację, nie wiedziałem jednak, że według ciebie to ja byłem zagrożony.

Mijaliśmy zjeżdżalnie, porośnięte chwastami ławki oraz rozdygotane huśtawki, z których stale odchodziła zgniłozielona farba. U celu zawsze wygłaszałeś jeden ze swoich gorączkowych komentarzy: tym razem się udało, mamy szczęście, daliśmy radę, było ciężko, jesteśmy bezpieczni. Zwykle reagowałem ojcowskim uśmiechem, tym uśmiechem-wentylem ratującym rzesze ojców na całym świecie. Raz jednak powiedziałaś coś, co powinno naprowadzić mnie na trop, natychmiast wytrącić z bezcelowych rozmyślań, z tego przekonania, że trzydziestolatkowi życie ciąży dziesięciokrotnie bardziej niż trzylatkowi.

- Prawie nas miały, tato.
- Kto nas miał...? – odparłem, myślami gdzie indziej.
- Czernie.

Parsknąłem śmiechem. Czernie... Niezłą miałeś fantazję, doprawdy. A już wtedy powinienem baczniej zwracać uwagę na to, co się z tobą dzieje, gdy połączeni niewidocznym sznurem wijemy się pośród dzikiej roślinności, metalu pokrytego starą farbą i rdzawym sitem korozji. Oczywiście, nic bym nie zobaczył, nie tędy droga. To, co na jakimś nieludzkim, pozazmysłowym poziomie próbowało cię pochłonąć, wymykało się regułom percepcji. Jestem niemal pewien, że czerni, jak określiłeś tę niematerialną grozę penetrującą szczeliny placu, nie tylko nie można było dostrzec, ale także usłyszeć i dotknąć. Można było je jednak poczuć.

Czernie. Tyle razy powtarzałem to w myślach. Pamiętasz je? Czy słyszysz w sobie ich stłumione wołanie?

A może nadal przychodzi ci do głowy tylko jedno...

Bełkot.

Jeśli rzuciłeś tym listem w kąt, nie mam ci tego za złe. Masz prawo łapać się za głowę, wątpić w moje zdrowie psychiczne. Od lat nie jestem ze mną dobrze, ale nie w tym rzecz. Czernie, nie mam co do tego wątpliwości, są wśród nas. Rzecz jasna nie wszędzie. Z jakiegoś powodu przylgnęły do miejsc-wentyli, takich jak opustoszały plac zabaw, który już niebawem stanie się częścią codzienności twojej i twoich dzieci.

Do nich jeszcze wrócimy. Najpierw ty i ja, dwadzieścia lat temu.

Po roku zmagających nadeszło lato, lato wolne od czerni, pełne rozżarzonej bieli i niczym nieskrępowanej zabawy. Nic jednak nie trwa wiecznie. Wrzesień w mig ostudził słoneczne zapędy, a my wróciliśmy do przedszkolnej rzeczywistości. I znów pędziliśmy jak szaleni wśród huśtawek zajmowanych już tylko przez rdzę, obok karuzeli skrzeczących w rytm dmącego wiatru i krętych rur, ich gęstej, nieprzebranej ciemności, w której majaczyły niejasne kontury, nie wiem czego, może liści wtłoczonych tam przez rwący wichur, może karłowatych grzybów wtulonych trwożliwie w chłodny metal, może nawet czerni.

Słowem, raz jeszcze rozpoczęliśmy nierówną walkę z przestrzenią placu. Rysowane przez ciebie serpentyny były coraz bardziej kręte, dzikie, niespodziewane. Bywało, że w ostatnim momencie cofałem stopę, by nie skończyć pod kołami twojego roweru, już nie zielonego, bo tamten zostawiłeś siostrze, a czerwonego, turbodoładowanego, superszybkiego, o nieziemskiej mocy, tak twierdziłeś. Ja widziałem w tym kolorze pasję, którą przeciwstawiałeś czerniom próbującym cię pochwycić. Stale wyciągały swoje nieuchwytnie łapska, były hamulcem chcącym powściągnąć twój nieustanny pęd. Były blisko, niemal cię miały! Widziałem to w twoim spojrzeniu, widziałem to w drzeniu twego ciała. Dostrzegałem tę grozę, choć nadal myślałem, że to tylko poza, element zabawy. Czerni, oczywiście, nie byłem w stanie dojrzeć. Nic dziwnego, nadal tego nie potrafię, zresztą sądzę, że ty również ich nie

widziałeś. Nie sposób dostrzec czegoś, co nie ma formy, co nie poddaje się ludzkim zmysłom, co przenika do naszego świata na zupełnie innych zasadach, wchłaniane przez ciemność i w odpowiednim momencie wypychane na zewnątrz wąskimi szczelinami, pozbawione barwy, kształtu i faktury. Nie można przecież zobaczyć tego, co niewidoczne.

Można natomiast to poczuć.

Ty, synu, z całą pewnością je czułeś. Od pierwszej jazdy, od pierwszej konfrontacji, gdy tylko zaczęły przenikać przez plac zabaw, przez wyrwy w dziecięcej beztrosce. Byłeś wtedy taki mały, a ja nie traktowałem cię jak równego sobie, jak kogoś wartego wysłuchania. Bagatelizowałem to, co chciałeś mi przekazać. A jednak, mimo to, dobrze pamiętam twoje słowa. Wpadały jednym uchem, trzepocząc jakiś czas w kłębowisku myśli, i zaraz wypadały drugim, zupełnie zlekceważone. Zdarzało się, że gościły w mojej głowie nieco dłużej. Wówczas delektowałem się ich brzmieniem. Czernie! Czernie! Imponowało mi to, tak, cieszyła mnie twoja kreatywność.

Któregoś dnia pociągnąłem cię za język:

– Gdyby te całe czernie istniały, to jak by wyglądały?

Przystanąłeś, mrużąc oskarżycielsko oczy.

– Tato, one istnieją! – wypaliłeś z wyrzutem. – I nie wiem, czy one w ogóle wyglądają... One po prostu są. – Odwróciłeś wzrok, skupiając się na czymś odległym. – Żyją *poza*. I chyba są czarne. Tak jakby ciemne. Z tych

dziur. Wychodzą z cienia. Ale ich nie widzę, tylko... no, one tam są, tato. Czuję je tu.

Przystawiłeś rękę do klatki piersiowej. Kto wie, czy wskazywałeś na mostek, przeponę czy serce, nie wiem, co miałeś na myśli. Niemniej właśnie wtedy powinienem dodać dwa do dwóch, powiązać fakty, lecz znów pochłonęły mnie zaległe obowiązki oraz zawartość telefonu, która z jakiegoś powodu wydała mi się istotniejsza od zła próbującego przedrzeć się w głąb ciebie.

Zła, z którym walczyłeś całkiem sam.

A może wystarczyło, że jestem tuż obok, na wirażu, jednym, drugim, trzecim, w końcu ostatnim, tuż przed bramą. Chciałbym wierzyć, że tyle wystarczy, że dałem ci wystarczające wsparcie. Lecz nawet jeśli, mogłem przecież więcej, bez dwóch zdań, mogłem zdecydowanie więcej!

Nagle, w ostatnim roku przedszkola, wszystko ustało. Po wakacyjnej przerwie ponownie wróciliśmy pomiędzy zniszczone latarnie, dziurawe ławki oraz te szpiczaste konstrukcje pokryte płatami starej farby. Nie wątpię, że służyły kiedyś do zabawy, teraz jednak nikt nie odważyłby się na nich stanąć. Więc mijaliśmy je, jedna za drugą, coraz to krętszymi zygzakami, z piskiem opon, na styk, śmieiej, ryzykowniej, wścieklej. Czułem, że zbliżasz się do granicy, jakiejś kluczowej zmiany. I w rzeczy samej, z czasem twój zapał zaczął przygasać. Przestałeś rysować skomplikowane wzory na tkaninie placu, odpuszciliśmy. Poruszałeś kierownicą bez przekonania, sterowany

przyzwyczajeniem, jakby czernie gromadzące się pod ziemią przestały przenikać przez wydrążone w niej szczeliny. Jakby zniknęły.

Bądź znalazły inne ujście.

Tam, gdzie rok wcześniej przystawiłeś dłoń, może w sercu, może w duszy, zależy kogo zapytać. Nie potrafiłeś już wyczuć czerni, bo przestały tkwić *poza*. W zamian, jak odkryłem którejs bezsennej nocy, stały się częścią ciebie, tak samo jak wiele lat temu wniknęły we mnie, pozabiając mnie umiejętności ich rozpoznania.

To chyba był początek marca, gdy ruszyłeś prosto przed siebie, zdaje się, zapominając, do czego służy kierownica. Trzymałeś ją od niechcenia, bez typowego dla siebie przejęcia. W pół drogi raptownie się zatrzymałeś. Z dziwnym wyrazem twarzy rozejrzałeś się wokoło, ewidentnie czegoś szukając. Myślę, że właśnie wtedy przestałeś ich doświadczać.

Najbardziej przeraziło mnie to, że osiągnąwszy tę przedziwną symbiozę z czerniami, wybuchnąłeś śmiechem. Nie mam pojęcia, dlaczego. Może uznałeś to za zwycięstwo? Może nawet poczułeś ulgę? Nie bez powodu mówi się, że niewiedza pozwala zachować zdrowe zmysły. Z drugiej strony z niewiedzy niemal zawsze płynie zło. Sądzę, że prawda leży gdzieś pośrodku. Obojętność jest naszą ostatnią warstwą ochronną przed pożarciem, nienawistnymi szczękami zła.

W jednej chwili plac zabaw przestał być siedliskiem czerni. Stał się taki, jakim widziały go nasze oczy, bez rzeczywistości *poza* i lęgnących się w niej istot, tej drapieżnej siły, zjawiska, czegoś przeciwstawnego ludzkiej naturze. Wciąż jednak nie potrafię ocenić, czy czernie symbolizowały szeroko pojęte zło, czy coś zupełnie innego.

Nie wiem, synu. Poruszam się po grząskim gruncie niepewnych tropów i kalekich domniemań. Nadal w snach słyszę echo dręczących mnie pytań, nadal jestem ślepy, o tak.

Wątpię, że twoje dzieci nazwą je czerniami. Może w ich umyśle będą to ciemniki, łapszcze albo szczelinowce, może opisanie ich słowami nie będzie im potrzebne. Różnie to bywa, zresztą sam zobaczysz. Wiem o tym najlepiej, bo pomimo wyczulenia na najdrobniejsze odstępstwa od normy, zawiodłem po raz drugi, przy twojej siostrze. Próbowałem wykorzystać te same mechanizmy: zielony rowerek, ostre zakręty, rozmowę u bram przedszkola. Nic z tego. Twoja siostra wybrała inną drogę.

Szła na wprost, najoczywistszą ze ścieżek, wśród setek, tysięcy czerni, o ile czernie podlegały jakiegokolwiek matematyce. Żywię głębokie przekonanie, że nie imają się ich żadne miary, ani ilość, ani objętość, ani nawet czas. Może światłość, może tylko ona, choć i tu mam pewne wątpliwości. Wróćmy jednak do twojej siostry.

Nigdy nawet nie spojrzała na skrzypiącą huśtawkę, ułamaną u podstawy latarnię czy ciemność czającą się

wewnątrz skorodowanej rury. Patrzyła przed siebie, skupiona na uchylonej bramie przedszkola. Odnosiłem wrażenie, że miażdży je bez litości, tym wystudiowanym, ciężkim krokiem, wtłacza je tam, skąd przybyły. Byłem z niej dumny, tak jak wcześniej rozpierała mnie duma, śledząc twoje rowerowe akrobacje. Niestety, po raz kolejny zawiodłem. W końcu i ona zatrzymała się w pół kroku i pozwoliła czerniom wnikać w głąb.

Znów nie mogłem nic zrobić. A może właśnie wtedy powinienem znaleźć rozwiązanie? Co, jeśli ten nagły postój w centrum placu był jednoznacznym sygnałem, że przyszedł czas na działanie? A ja, w swej ignorancji, przespałem tak oczywisty znak, niczego nie zmieniłem, w żaden sposób nie zdołałem pomóc. Stałem obok, rozglądając się bezmyślnie, podobnie jak wy usilnie czegoś szukając. I nadal tego szukam.

Zdarza mi się tam wracać. Klęczę wówczas z nosem przy ziemi, wpatruję się w szczeliny betonowego gruntu, obserwuję leniwe kołysanie huśtawki, koślawione wiatrem chwasty. Raz nawet zerknąłem w głąb rury, w tę gęstą zawiesinę cienia, lecz nie znalazłem tam niczego ponad cylindryczną nicość, żadnych czerni, najbledszego ich powidoku. Wciąż wierzę, że tonąc w oceanie bezsennej nocy, odnajdę wreszcie odpowiedź na samym dnie pomroczonej zadumy. Słyszę echo, tak, te same pytania męczą mnie od lat, już nie tylko w snach, lecz nieprzerwanie, nawet teraz.

Czy wina leży po mojej stronie?

Czy mogłem coś zmienić?

Czy one w ogóle istnieją?

Cóż, nie będę ukrywał, brałem to pod uwagę. Może to urojenia, majaki starzejącego się umysłu, i to nie wy mieliście problem z czerniami, lecz ja. Jednakże za każdym razem, gdy ta myśl wypływa na powierzchnię nocy, przypominam sobie twoje bezradne spojrzenie przeslizgujące się po przestrzeni placu. Czego innego mogłeś szukać w tych szczelinach, narożach, otchłaniach, jeśli nie czerni? Nie wymyśliłem sobie przecież grozy czającej się w twoich oczach.

Chciałbym mieć dla ciebie jakąś uniwersalną radę, słowa, które pozwolą ci je ujarzmić, choćby wyzierały z każdej plamy mroku, z najgłębszych otchłani *poza*. Tak bardzo chciałbym odjąć ci zmartwień, ułatwić tę rodzicielską drogę.

Widzisz, nic dla ciebie nie mam, najwyraźniej jestem nie tylko ślepy, ale i bezrozumny. Przez tyle lat nie byłem w stanie znaleźć rozwiązania, choćby nikłej poszlaki, nic. Po co więc to wszystko, mógłbyś zapytać. Otóż którejs nocy, pośród echa słów, usłyszałem odpowiedź, jak na ironię, na żadne z dręczących mnie pytań. Na żadne z nich i tym samym na wszystkie naraz.

Ty nią jesteś.

Nie wiem, czy zdołasz coś zmienić, czy znów je dostrzeżesz. Mi nie pozostało nic innego, jak usunąć się w cień, zaakceptować swoją niewiedzę. Masz jeszcze czas,

będziesz u źródła, tuż obok, czujny na każdą osobliwość, skupiony na tym, co wokół ciebie i wokół twoich dzieci. Chociaż nie, nie powinienem mierzyć cię swoją miarą, to twoje życie, możesz pokierować nim na swój sposób. Masz jednak szansę sprostać temu złu, odkryć jego istotę, coś zrobić, coś. Albo nie robić nic. Tylko zrozumieć.

Może dzięki temu ucichnie w końcu echo. Zasnę w ciszy, z poczuciem ulgi.

Pogodzony z tym, co było.

Spokojny o to, co będzie.

Teraz twoja kolej, synu.

OLAF PAJĄCZKOWSKI

WIECZNOŚĆ

– Dlatego, pani Marzenko, matematyka jest królową nauk.

Czerwone jak maliny wargi pani Marzenki rozciągnęły się w uśmiechu, błysnęły białe zęby, a smukła dłoń poczęła bawić się jasnym lokiem.

– Bo widzi pani, pani Marzenko, matematyka to porządkowanie świata, to wskazywanie na wszelkie prawidłowości, którymi rządzi się wszechświat, porządek to życie, a chaos to cóż... – W tym momencie z Jana Skowrońskiego uszedł cały entuzjazm, jak powietrze z przekłutego balonu, wyciekł z jego ciała przez nozdrza i usta, rozwiął się z głośnym „Puf!”. – Przepraszam, pani Marzenko, znowu gadam to samo...

– Nie, nie, niech pan mówi! – Sekretarka wyprostowała się na krześle jak struna. – Zawsze pan tak ciekawie mówi o matematyce!

– Tak, i zawsze to samo. – Uśmiechnął się lekko, a ona odpowiedziała chichotem. – No dobra, dość na dziś. Proszę mi jeszcze raz przypomnieć nasz plan zajęć.

To rzekłszy, Jan sięgnął po czarny notatnik i długopis tego samego koloru, otworzył książeczkę na ostatniej stronie i wbił wzrok w starannie wykaligrafowane litery. Słuchając sekretarki recytującej harmonogram jego spotkań, sprawdzał, czy wszystko dobrze zanotował. Nakrętka długopisu mknęła po ciemnych znaczkach w rytmie głosek monotonnie wylatujących z ust Marzeny – zebranie, negocjacje z partnerem biznesowym z Holandii, przetarg w Krakowie, konferencja w Poznaniu... Zgadzało się.

Uśmiechając się szeroko, zamknął notatnik, a potem schował go wraz z długopisem do teczki.

– Dziękuję, pani Marzeno. Wszystko miałem dobrze. Ale wie pani, wolę pięćdziesiąt razy sprawdzić.

– To się u pana ceni i dlatego jest pan liderem na rynku – odparła kobieta, patrząc na niego roziskrzonymi oczami.

– Dziękuję. To co, do jutra?

– Dobrze, proszę pana. Miłego dnia panu życzę. Do widzenia.

– Do widzenia.

Wstała z krzesła i, stukając rytmicznie obcasami, wyszła z biura Skowrońskiego. Czy mu się zdawało, czy nagle posmutniała? Dziwne...

Podrapawszy się po nosie, włożył płaszcz, chwycił teczkę i wyszedł na korytarz. Drzwi zawarły się za nim z cichym szczękiem, migająca krwście dioda na zamku

szyfrowym informowała, że bez kodu do pomieszczenia się nie wejdzie. Mijając mówiących mu „do widzenia” pracowników, Jan udał się do windy. Gdy dotarł do parteru, gdy minął stanowisko uśmiechniętego ochroniarza, pana Wiesia, gdy skinął mu głową i wreszcie znalazł się na zewnątrz, w gorących promieniach czerwonego słońca, odetchnął pełną piersią. Świat wibrował od dźwięków – rytmicznego pulsowania miasta, puszczonego na cały regulator radia samochodowego, pisku opon, okrzyków ludzi, ale także odgłosów przyrody, wołających do siebie sierpówek, syku wiatru i ledwo słyszalnego w tym harmidrze szelestu liści drzew – i pachniał znajomą, dziwną mieszaniną woni: paliwa, skoszonej trawy, nieposprzątanых psich odchodów, perfum przechodniów.

Jan rażno ruszył przez parking biurowca, w którym swoje siedziby miało kilka firm, w tym jego własna, wkroczył w boczną uliczkę, tak naprawdę bardziej asfaltową ścieżkę przeciskającą się między szklano-betonowymi cielskami nowoczesnych budynków, i podążył tym stworzonym człowieczą ręką wąwozem do pełnego ludzi i samochodów skrzyżowania. Przejście dla pieszych, chodnik, zakręt, wędrówka między następnymi budynkami, przejście dla pieszych, chodnik, zakręt, jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze. Niemal bez kresu. Powtarzalność. Jan uśmiechał się. Porządek.

W końcu park. Drzewa i krzewy wyrastały z obu stron dróżki w równych szpalerach niczym karni żołnierze

czuwający nad bezpieczeństwem spacerowiczów. Dalej: znajome rozwidlenie – jedna ścieżka prowadziła w prawo, druga w lewo. Skowroński poszedł w lewo i po kilkunastu minutach marszu dotarł wreszcie do miejsca, do którego przychodził codziennie od trzech miesięcy.

Tuż przy ruchliwej ulicy, pośród morza traw wznosiła się bryła niedokończonego budynku, a za nią rozciągała się ściana lasu. Po drugiej stronie jezdni na swojego rodzającego się bliźniaka spoglądały z góry, jakby z pogardą, przeszklone biurowce i stare, niby zgarbione nad asfaltem kamienice, toteż można było odnieść wrażenie, że placem budowy wyznaczono granicę cywilizacji i natury. Wystarczyło zrobić jeden krok, by znaleźć się na chodniku i wpakować prosto pod elektryczną hulajnogę. Dwa kroki w tył, a człowiek już stał na łące, po lewej miał park, po prawej las. Po plecach Jana przebiegł dreszcz, zaraz jednak męczyzna się uśmiechnął i ruszył ku pozbawionej okien i drzwi strukturze.

Otaczały ją, niczym grupa strażników, niebieskie baraki, a te z kolei zielona siatka. Jan skierował się na wyjeżdżoną kołami samochodów i wydeptaną butami ludzi piaszczystą ścieżkę, namacalny dowód na to, że w toczonej tu walce człowieka z naturą wygrywał *homo sapiens*, by zatrzymać się ostatecznie przed bramą, zamkniętą na kłódkę i opatrzoną ostrzeżeniem „NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY”. Tutaj wreszcie Skowroński się zawahał. Co prawda Benek, kierownik budowy i jego stary kumpel z podstawówki, dał mu klucze

i pozwolenie, ale wkraczanie na teren, na którym zgodnie z przepisami nie powinno go być, zawsze budziło w nim wewnętrzny protest. Szybko więc wyjął klucze z kieszeni płaszcza, otworzył kłódkę, rozwarł jęczące jak potępieniec wrota i zrobił krok do przodu. Wtedy poczuł ulgę.

Zatrzasnąwszy za sobą bramę, Jan przeszedł między barakami, koparkami i dźwigami do pozbawionych warg drzwi budynku. I kiedy znalazł się już w środku, odetchnął głęboko. Nagle stał się tak lekki, że mógłby wzlecieć ku niebu, nagle wstąpiło w niego tyle energii, że niczym dziecko miał ochotę biegać i skakać, śmiejąc się. Ruszył przez puste pokoje, przemykał przez białe korytarze, gdzie z obu stron gapiły się na niego dziury mające dopiero wypełnić się oknami i drzwiami. Proste kąty, jednolite barwy. Żadnych załamań, żadnych odstępów od przyjętego schematu, żadnych niepotrzebnych sprzętów burzących symetrię. Droga zawsze była prosta, widok znajomy, monotony, powtarzalny, bez niespodzianek. Nie musiał przewidywać, co zaraz zobaczy, wiedział, co ujrzy za zakrętem. Doskonała symetria. Spokój. Porządek. Cisza.

Mógłby tak wędrować całą wieczność.

Prosto, w prawo, prosto. Gładka ściana. Prostokąt przyszłego okna. Drugi, dokładnie taki sam. Trzeci. Pustka. Żadnych przedmiotów. Przestrzeń. Cisza.

Cała wieczność.

Gdy w końcu uznał, że musi już wrócić do swojego pozbawionego symetrii świata, jak zwykle czuł się nieco odurzony, a kiedy zamykał bramę, miał wrażenie, że traci coś cudownego i nigdy tego nie odzyska. Nie, nie nigdy, pocieszał się, maszerując do parku. Przecież będzie tu jutro.

– O, cześć, tato.

Zbyszek uśmiechnął się na widok wchodzącego do mieszkania Jana. Ojciec przybił żółwika nastolatkowi.

– Hej. Co tam w szkole?

– Jak zwykle.

– A jakieś konkrety?

Nim Zbyszek zdążył odpowiedzieć, z kuchni do przedpokoju wkroczyła Marta. Miała podkrążone, zaczerwienione oczy.

– Co się stało? – spytał Jan.

– Twoja mama dzwoniła. Mówiła, że próbuje się do ciebie dodzwonić od godziny.

– Co? Niemożliwe...

Nim jednak skończył wymawiać ostatnie słowo, naszły go wątpliwości. Drżącą ręką sięgnął do kieszeni spodni,

wydobył z niej smartfona, odblokował ekran. Piętnaście nieodebranych połączeń.

– Rzeczywiście... – mruknął. – Miałem wyciszonego, spacerowałem i straciłem poczucie czasu... Co się stało?

– Darek nie żyje.

Zbyszek, sapnąwszy, cofnął się o krok. Jan milczał. Miał pustkę w głowie. Każdy gest, każde słowo zdawało się bezsensowne i zbędne. Niczego nie czuł, zupełnie jakby niewidzialne łapska wyrwały mu duszę.

– Niemożliwe – wykrztusił, gdy ciężka cisza stała się nie do wytrzymania. – Nasz tato dożył sześćdziesięciu siedmiu lat, jeden dziadek sześćdziesięciu pięciu, a drugi...

– Jan, co ty opowiadasz? – przerwała mężowi Marta. – Co to ma do rzeczy? Wypadek samochodowy.

– Niemożliwe – powtórzył głucho. – Darek jest świetnym kierowcą...

– Jan, to nie o Darka tu chodzi! Pijany kierowca mu się...

Urwała. Łzy potoczyły się po policzkach kobiety, wielkie jak ziarna grochu. Zbyszek także załkał. Ale Jan nie potrafił. Przyglądał się żonie, szukając luk w jej rozumowaniu, fałszu w jej historii. Poruszał ustami, chciał zwerbalizować dręczące go wątpliwości, ale sam nie wiedział, co konkretnie nie dawało mu spokoju. Jego brat nie żył. Przede wszystkim to było niemożliwe. Jego brat umarł, nagle, bez ostrzeżenia, bez powodu.

To nie miało sensu.

Stał i patrzył na żonę, szukając odpowiednich słów, ale już nie wiedział, co w ogóle chciał za ich pomocą przekazać.

Dzień pogrzebu był słoneczny i wietrzny, w tle pobrzmiwała muzyka z odległego festynu czy zabawy. Nikt nie płakał, nikt nie darł się wniebogłosy, nawet Ania i Romek. Spoglądali tylko pusto na brązową trumnę skrywającą ciało ich męża i ojca, na której wieku, niczym ranka, lśnił jaśniejszy odprysk. Jak to możliwe? Czemu nikt tego nie dopilnował? Czemu trumna nie była bez skazy?

Kiedy stanęli obok wykopanej w ziemi dziury, a ksiądz rozpoczął przemowę, dziwaczne wrażenie niedopasowania, jakiejś nieprawidłowości już niemal przygniało Skowrońskiego. Jak we śnie – wszystko niby na swoim miejscu, ale wyraźnie się czuło, że coś jest nie tak, że w każdej chwili świat może się przeobrazić, drzewa przemienić w góry, a on sam bez ostrzeżenia wzlecieć między obłoki.

– Przepraszam na moment, słabo mi – szepnął Marcie do ucha i nie czekając na jej reakcję, odszedł od żałobników pod mur cmentarny. Kręciło mu się w głowie, chciał zerwać z siebie skórę, cisnąć ją między groby i w końcu wrócić do normalnego stanu, do rzeczywistości, którą znał, do wrażeń, które rozumiał. Ale kiedy uniósł dłonie

do oczu, nie mógł ich zobaczyć; rozmazywały się, zanikały powoli niczym powidoki. Jednak czy tak naprawdę to jego ręce? Nie czuł już ciała. To nie jego ciało.

Wszystko to iluzja.

– Wystraszyłeś nas! – grzmiał później na stypie wujek Andrzej. – Jak tam zemdlałeś pod płotem, to myślałem, że drugi nieboszczyk się szykuje...

– Wypluj to słowo! – syknęła ciocia Jadzia, wymachując mu przed twarzą palcem. – Wypluj!

Andrzej z miną skarconego uczniaka posłusznie udał, że spluwa, i dopiero wtedy ciocia cofnęła dłoń, skinąwszy mu z ukontentowaniem głową.

Jan prawie tego nie zauważył. Prawie nie zauważał zgromadzonej przy stole rodziny, nie słyszał rozmów. Nie tknął także parującej przed nim zupy. Wrażenie nierealności już go opuściło, ale ciągle nie doszedł do siebie po utracie przytomności. Czuł się tak, jakby bez przygotowania przebiegł maraton, a potem jeszcze poprzerzuciał dwie tony węgla. Najchętniej położyłby się spać i nawet krótkie odpowiedzi, których udzielał krewnym, wysysały z niego resztki sił.

Tak, firma dobrze prosperuje. Tak, działa. Tak, została w rękach Wieśka, zastępcy, współnika i przyjaciela. Nie,

nie produkuje artykułów spożywczych, tylko prefabrykaty. Nie, finansowo nie można narzekać, zleceń jest sporo.

W końcu wszyscy pożegnali się, składając sobie solenne zapewnienia, że wreszcie będą się spotykać częściej niż przy okazji pogrzebów i ślubów, po czym rozeszli się do samochodów.

– Trzymaj się, kochana. Zadzwonię dziś do ciebie, zadzwonię – obiecała Marta Ani, ściskając jej drżące, blade dłonie.

Ania wyglądała jak z krzyża zdjęta – jej rozbiegane oczy lśniły chorobą, jasne włosy lepiły się od potu, wydawało się, że skóra była tak cienka, że jedno szarpnięcie ściągnęłoby ją z kości. Stojący obok niej, nielepiej prezentujący się Romek ściskał właśnie Zbyszka, choć można by pomyśleć, że to raczej Zbyszek podtrzymywał mającego zaraz zemdleć Romka.

– Dziękuję. – Głos Ani dobywał się niby z zaświatów; w pewnym jednak momencie coś się zmieniło na jej twarzy, w źrenicach zabłysło mocniejsze, zdrowe światło, zupełnie jakby do tej pory spała i nie była świadoma, co się wokół niej działo, a teraz nagle się przebudziła. Spojrzała na szwagra. – Janku. Darek bardzo chciał, żebyś to wziął. Zawsze powtarzał, że jeśli coś mu się stanie, to mam to ci przekazać.

Uniosła prawą rękę. Między palcami zaciśniętej w pięść dłoni wił się czarny rzemyk, a gdy ją otworzyła, wymknął się z niej miedziany krzyż celtycki.

Serce Jana biło mocno, szybko, kiedy sięgał po wisiołek. Zapomniał o nim kompletnie. Gdy dotknął metalu, znowu zakręciło mu się w głowie.

– Dziękuję – szepnął do szwagierki.

Tej nocy nie mógł zasnąć.

Wysłuchując się w ciche chrapanie Marty, Jan leżał z otwartymi oczami i wodził palcem po spoczywającym na swej piersi krzyżu. Pęknięcie. Jasny prostokąt wpadającego przez okno światła wydobywał z mroku rysę szpecącą biały sufit. Była brudna, czarna, obleśna. Jak rana. Jak rak. Jątrzyła się, gniła, rosła, większa, coraz większa, rozciągała się na ściany.

Zwłókł się z łóżka, stanął pod pęknięciem. Uniósł rękę, próbując dotknąć ropnia, ale nie dosięgał. Podskoczył, lecz musnął tylko powietrze. Kilka centymetrów, brakowało mu kilku centymetrów...

Ropa spływała z rany.

Pomknął do kuchni, zabrał chusteczki i krzesło, wrócił do pokoju, stanął na meblu, wreszcie sięgnął, tarł, papier szcerniał, ale ropień wcale nie malał, nie dawał się zetrzeć, więc Skowroński tarł, tarł, tarł, coraz szybciej, coraz mocniej, czarne grudki spadały mu na oczy, na czoło, na usta, ale rana się nie zasklepiiała, brud nie znikał.

– Jan! Co ty robisz?

Światło. Mężczyzna zamrugął w blasku lampy. Czerń zniknęła. Plamy już nie było. Oddychając prędko, urywanie, jakby pokonał przed chwilą cały tor przeszkód, opuścił drżącą dłoń i spojrzał na Martę. Siedziała na brzegu łóżka, z palcami spoczywającymi na włączniku światła i przyglądała mu się rozszerzonymi oczami. Jakby zobaczyła ducha. Jakby go nie poznała.

– Było brudno – wyszeptał. – Musiałem wyczyścić.

Opuściła rękę, potarła policzek. Milczała, ciągle lustrując go tym dziwnym wzrokiem.

– Było brudno, musiałem wyczyścić – powtórzył; tym razem przypominało to żałosny jęk.

– Jan – powiedziała wreszcie Marta, kręcąc powoli głową. – Jan, chodź spać. Musisz wziąć urlop i spotkać się ze specjalistą.

– Specjalista nie sprawi, że Darek wróci – warknął.

– Nie, ale pozwoli ci to przepracować... uporządkować emocje.

Uporządkować? To byłoby dobre, to byłoby miłe. Mimo- wolnie zerknął na ten fragment sufitu, gdzie wcześniej czerniła się plama.

– M-może – wydukał. Potem zszedł z krzesła, odniósł je i chusteczki do kuchni, wrócił do pokoju, wyłączył światło i położył się do łóżka, cały czas uciekając wzrokiem w jeden i ten sam punkt.

Terapeutka okazała się sympatyczna, chyba dopiero po studiach, ale kiedy tylko oznajmiła, że spotkanie dobiegło końca, Jan poleciał jak na skrzydłach do drzwi, a potem pomknął przez miasto do swojego ulubionego miejsca. Powstający budynek witał go serdecznie otwartym na oścież wejściem, kołł zmysły ciszą, kątami prostymi, bielą. Ściana bez krzywizn, sufit bez plam, podłoga bez pęknięć. Długie korytarze, można było nimi iść i iść. Żadnych gratów, żadnych śmieci. Rozglądał się, prześlizgiwał spojrzeniem po murach, odpoczywał, widząc kąty proste. Przejścia stawały się częścią jego źrenic – im bliżej stał, tym szersze, a dalej się zwężały, ogniskowały wzrok w jednym punkcie. Dziwne, że nigdy wcześniej tego nie zauważył, że nie widział, że pomieszczenia były przedłużeniem oczu. A może były przestrzenią, w której spojrzenie mogło się schować, skryć między czterema ścianami przed chaosem świata zewnętrznego? Ale nie każde pomieszczenie, o nie, tylko takie jak tutaj, ściany, sufit, podłoga. Idealna bryła. Jakby był zamknięty w sześcianie. Jakby poza sześcianem nic nie istniało.

Dotknął krzyża zawieszzonego na szyi.

– Dlaczego nie możesz iść ze mną? – spytał, czując, że łzy spływają mu po policzkach. – Poszlibyśmy razem, pokazałbym ci, jak tu pięknie. Ale ty nigdy tego nie rozumiałeś. Nigdy nie kochałeś matematyki i symetrii. Ale wróć do mnie, porozmawiamy jeszcze raz.

Słowa odbijały się od ścian, wracały wzmocnione, podwojone, jakby nie tylko on je wypowiadał, ale

powtarzały je także mury. Jakby do niego mówiły. Jakby się z nim zgadzały. „Tak, wróć do niego, Darku, wróć, ty też nas pokochasz”.

To była najlepsza terapia, a nie te bezsensowne paplalniny w zagraconym gabinecie.

Gdyby Darek żył... Wieczność. Korytarz, pokój, korytarz, pięć otworów prowadzących do kolejnych pokoi, każdy taki sam, idealnie wycięty w murze, precyzyjnie, pięknie. Jak w świątyni boga symetrii i porządku.

Mogliby razem wędrować tędy całą wieczność.

Nie wiedział czemu, zamiast wrócić do domu, poszedł znów do parku. Kiedy znalazł się na skrzyżowaniu, po raz pierwszy od czterech miesięcy, a po raz drugi w życiu, wybrał drogę w prawo. Przyrzekł sobie, że już nigdy tam nie pójdzie... A jednak się na to zdecydował. Dlaczego?

Może to przez plamę. Miał wrażenie, że zabrudziła nie tylko sufit w sypialni, ale spłynęła też do jego ciała, kiedy ją ścierał, że zagnieździła się w nim niczym pasożyt. Może to ona ciągnęła go ku...

Ścieżka urywała się nagle, jakby starta gigantyczną gumką. Dalej splątane chaszczce tworzyły ścianę zieleni, brązów i bieli, na pozór nie do pokonania, lecz Skowroński jesienią odkrył prześwit, którym można było się

przecisnąć między pnączami, liśćmi i gałęziami. Teraz co prawda wszystko zarosło, ale powinno się udać...

Zawahał się. Co powinno się udać? Po co to robił? Powinien zawrócić, iść do domu.

A jednak naparł na zapórę, złamał kilka gałęzi, a potem, zawarłszy powieki, by ochronić oczy przed smagającymi go po twarzy witkami, ruszył bokiem przez roślinne zasieki. Z początku odbijał się od zwartej masy, przyroda odrzucała go jak niechcianego śmiecia, lecz wreszcie opór zelżał i Skowroński wślizgnął się w wąski pas wolnej przestrzeni, korytarzyk między murami liści poprowadził go tam, gdzie tak naprawdę nie miał zamiaru iść.

Zatrzymał się, ujrawszy budynek, a raczej to, co z niego ocalało.

Przed popękany murem, za którym znajdował się zamknięty za PRL-u cmentarz, pochylała się nisko, niczym kuląca się z bólu istota, jednopiętrowa struktura. Po dachu nie został ślad, tak samo jak po frontowej ścianie; w środku, pośród walających się między gałęziami przedmiotów, tak zdeformowanych przez czas i warunki atmosferyczne, że nie dało się określić ich przeznaczenia, wyrastały małe drzewa i krzaki, napierając na resztki budynku, jakby chciały go do szczytu zniszczyć. Jan dostrzegł za tą bezsensowną płataniną roślin, za chaosem liści i pnączy, fragment jednego, wybitego okna. Ostry kawałek brudnej szyby lśnił w słońcu, przypominał ułamany ząb albo palec wskazujący niebo. Pozostałe ściany gdzieś były pokryte zielonym nalotem. Chore. Umierające.

Budynekgnił, dekadami umierał i nie mógł umrzeć, skazany na długą, może nawet wieczną, agonię.

Obleśne.

Jan odwrócił się, palcami otoczył zawieszony na szyi krzyż. Życie było tak krótkie, człowiekowi przeznaczono gnienie. Cały ten świat trwał w wiecznym umieraniu.

Raz jeszcze zerknął na ruinę. Krzyknął.

W budynku leżało rozkładające się ciało Darka.

Nie. To tylko butwiejący pień.

Znowu nie mógł zasnąć.

Świetlista plama w kształcie prostokąta padała na sufit, zza okna mruczało do Jana nigdy niezasypiające miasto, a on leżał na wznak z otwartymi szeroko oczami, bawiąc się krzyżykiem.

Spojrzał na śpiącą obok Martę. Chciał się z nią kochać, zapomnieć choć na moment o tym wszystkim, o śmierci Darka, równocześnie jednak się nią brzydził. Brzydził się krzywizną jej ciała, brzydził się jej krągłości, brzydził się jej lekkiej nadwagi, brzydził się jej włosów rozspanych na poduszce. Kojarzyła mu się z kawałem rzezanego ręką pijanego rzeźnika mięsa, forma bez ładu, bez zamysłu, a co najgorsze – forma skazana na gnienie, gnijąca już teraz, z każdą sekundą rozkładająca się coraz bardziej. Śmierć to tylko kropka wieńcząca zdanie, proces umierania

zaczynał się po narodzinach i maltretował słabe człowiecze powłoki, z każdym rokiem okrutniej.

Wszyscy ludzie tacy byli. Wszyscy. I on, Jan Skowroński, też.

Uniósł dłoń, popatrzył na nią w półmroku. Żyłki, pieprzyki, plamy, nierówności, obgryzione paznokcie. A pod spodem – kości. One wytrzymają najdłużej...

Zaczął łkać.

Szli z Darkiem brzegiem rzeki, mieli po kilkanaście lat, a Jan był świadomy, że to tylko sen. Sen, ale i wspomnienie. To kiedyś się już zdarzyło, dawno temu.

– Wiesz, ja nie rozumiem naszych rówieśników – opowiadał Darek ze snu, będący równocześnie Darkiem z przeszłości. – Bóg jest najważniejszy.

– Nie mów, że na księdza pójdziesz! – Jan zachichotał, ale żaden mięsień nawet nie drgnął na poważnej twarzy brata.

– Wierzę w Boga – odparł po prostu, a potem uniósł swój celtycki krzyż do ust i złożył na nim pocałunek. Darek odwrócił wzrok, nagle zażenowany. Chciał coś dodać, ale jeszcze bardziej chciał znaleźć się gdzieś indziej, najlepiej w domu przed kompem.

Jak na zawołanie sceneria się zmieniała. Byli teraz w pokoju w akademiku u Darka, jedli pizzę, pili piwo. Kolejne wspomnienie? Chyba tak... Na pewno.

– A pamiętasz, jaki byłeś wierzący jako dzieciak? – zapytał Jan, przełknąwszy kęs hawajskiej. – Myślałem, że jak dorośniesz, to pójdziesz do seminarium.

Darek machnął ręką, uśmiechnął się szeroko.

– Teraz pewnie myślisz, że z deszczu pod rynnę?

– Nie – mruknął Jan, odwracając wzrok. Darek zarechotał.

– No daj spokój, wiem, że porządek magiczny to nie jest twój porządek.

– Może to w ogóle nie porządek?

– Nie – oburzył się brat; nagle spoważniał, można by wręcz odnieść wrażenie, że się rozgniewał. – Magia ma swój system. To nie są jakieś hokus-pokus, co ci się z kreskówek kojarzy. Zoroaster to wymyślił, bardzo mądry człowiek.

– Janek! Janek!

Skowroński otworzył oczy. Wokół panowała ciemność, a nad nim pochylał się Darek.

Nie, nie Darek. Czarna sylwetka się przeobraziła. Marta.

– Co? – wychrypiał.

– Krzyczałeś przez sen.

Jan zatrzymał się na skrzyżowaniu dróg w parku. Chwilę się wahał, wreszcie jednak sięgnął po komórkę i wybrał numer pani Marzeny.

Odezwała się niemal od razu.

– Pan Skowroński? – W jej głosie zdumienie mieszało się z radością. – Jak to miło, że pan dzwoni! Wszystko w porządku? Jak się pan czuje?

– Dobrze. Źle. Nie wiem – mruknął, mimowolnie się uśmiechając. – To znaczy: wie pani.

Westchnęła ciężko.

– Tak, wiem. Jak mogę panu pomóc?

Zawahał się. Zrobiło mu się głupio, poczuł, że płoną mu uszy.

– Wie pani, jednak nic ważnego, może...

– Ależ proszę pana, jeśli mogę jakoś panu pomóc, to proszę mówić!

Tym razem to on westchnął. Chwilę milczał, próbując zebrać rozbiegane myśli, wreszcie jednak zaczął mówić, szybko, bez przerw, by wątpliwości nie zdążyły nim zawładnąć.

– Pani Marzenko, wie pani, często mi pani wspominała, że ja ciekawie opowiadam o matematyce, nie wiem, czy mówiła to pani z kurtuazji, mam nadzieję, że nie, ale jeśli tak, to bardzo pani dziękuję, ale wolałbym, żeby

było to szczere, bo chciałbym pani opowiedzieć o moich przemyśleniach...

– Mówiłam szczerze. – Pani Marzenie udało się w końcu wepchnąć te dwa wyrazy w potok jego słów. Na moment się pogubił, urwał.

– Dziękuję – powiedział wreszcie, a potem kontynuował już spokojniej, wolniej, ciszej: – Wie pani, dużo ostatnio miałem czasu na rozmyślenia i pomyślałem sobie... pewnie weźmie mnie pani za wariata, ale może każdy, kto sobie filozofuje, na wariata wychodzi... no, proszę w każdym razie to potraktować jak rozważania akademickie, coś takiego jak te moje opowieści o matematyce. Bo zresztą o matematyce też będzie. O matematyce, wierze, magii. Wie pani, po śmierci mojego brata rozmyślałem o życiu po śmierci, o tym świecie, w którym istniejemy i tym, w którym możemy istnieć po śmierci... Bo, rozumie pani, może nie mam żadnych dowodów na istnienie życia po śmierci, ale nie mam też dowodów na to, że go nie ma, a skoro „a” nie równa się „b”, to nie znaczy, że „a” nie może równać się „c”... Przepraszam, trochę się gubię... Nie, nie, proszę nic nie mówić, dopóki nie skończę. Tak będzie mi łatwiej. Zawsze pani mnie tak wspaniale słuchała, pani o tym opowiedzieć – będzie mi lżej... W każdym razie: skoro ten nasz świat jest trójwymiarowy i jest to świat zupełnie pozbawiony ładu, porządku, co wynika w prostej linii właśnie z tej trójwymiarowości, bo w tych trzech wymiarach żadnego ładu być nie może, zbyt wiele zmiennych, zbyt wiele możliwości,

to ten drugi świat, te zaświaty, muszą być, logicznie rzecz biorąc, dwuwymiarowe. Dlaczego? W dwóch wymiarach panuje o wiele większy porządek niż u nas. Linie są proste, a jeśli nawet trafi się krzywa czy łamana, to doskonale widzimy, w którym miejscu dochodzi do wygięcia. Nie ma przed obserwatorem żadnych niespodzianek, wszystko jest uporządkowane, wszystko jest podporządkowane zasadom. Dlatego przestrzeń dusz musi być przestrzenią dwuwymiarową, gdzie wszystko jest już proste, po śmierci nie ma już żadnych wątpliwości czy przeszkód. Wszystko jest proste. I dlatego też nie możemy się z nimi porozumieć, czy też oni nie mogą porozumieć się z nami, bo funkcjonujemy w innych przestrzeniach. Tak sobie teraz myślę, że to jak u Abbotta, we *Flatlandii*.

– W czym?

– Taka książka. Nieważne. Ale sądzę, że to tak może być, że dlatego ludzie i dusze... no, dlatego się nie porozumiewają... ale nie oznacza to, że ani dusze, ani ludzie nie istnieją. Tutaj matematyka łączy się z religią, wyjaśnia te problemy, które trudno wyjaśnić, używając tylko narzędzi teologicznych. No a magia? Magia nie jest magią w takim naszym potocznym rozumieniu tego pojęcia, jak z jakiejś baśni, ale tak naprawdę... Nie wiem, pani Marzenko, czy nie uważa pani, że magia jest tak naprawdę wolą? Ludzie mówią o cudach, ludzie mówią o tym, że jakiś cudotwórca, mag ich czarami uleczył, a tak naprawdę wyleczyli się sami autosugestią. Organizm może się wyleczyć, jeśli się mu wmówi, że jest zdrowy, tak słyszałem. Można sobie

wmówić wiele rzeczy i w ten sposób zmienić swoje życie, nie bez powodu się mówi, żeby stawać przed lustrem i sobie mówić różne rzeczy, nie bez powodu się promuje pozytywne myślenie, bo pozytywne człowieka uskrzydla, a negatywne go w błocie tarza. Jeśli szaman odprawi swe czary i spadnie deszcz, to ludzie czują, że mają wpływ na rzeczywistość i mają wiarę we własne siły. I tutaj łączy się to z matematyką: jeśli matematyka nie jest jakąś abstrakcją, a nie jest, o czym wiemy, to nasze działania zmieniające kształt brył czy liczbę zmieniają niejako rzeczywistość. A skoro można wymazać jakąś linię i narysować kwadrat, to można też...

Urwał. Serce waliło mu jak młotem, cały się spocił. W głośniku panowała cisza.

– Pani Marzenko? – zapytał niepewnie. – Co pani o tym sądzi?

– Nie rozumiem tego, proszę pana, nie znam się na tym, ale to wspaniałe – odparła ze słyszalnym nawet przez telefon zachwytem.

Odżyła w nim nadzieja.

– Myśli pani, że może coś w tym być?

– Pan się zna. Jeśli pan tak uważa, to na pewno.

Otarł załzawione oczy.

– Dziękuję, pani Marzenko, bardzo dziękuję. Niedługo się zobaczymy. Do widzenia, wszystkiego dobrego.

– To ja dziękuję, panie Janie. Wszystkiego dobrego. I... i... ja czekam bardzo na nasze spotkanie.

Schowawszy telefon do kieszeni, wziął głęboki oddech. Czuł się tak, jakby wreszcie ogromny, niesamowicie ciężki głaz spadł mu z serca.

– Wróć do mnie, wróć, pójdziemy razem, będziemy razem spacerować, wróć do mnie...

Słowa powtarzane bez przerwy jak mantra odbijały się od pustych ścian, uciekały przez otwory, w których w przyszłości miały pojawić się okna i drzwi, a Jan szedł coraz szybciej. Prosty korytarz, przejście, prosty korytarz, przejście. Geometryczna doskonałość. Gdyby był z nim Darek, to mogliby chodzić tędy wiecznie.

– Wróć do mnie, wróć, pójdziemy razem, będziemy razem spacerować, wróć do mnie...

Gdzieś tam śpiewały ptaki, miasto tętniło życiem, ale hałasy docierały do niego przytłumione, jakby z innego świata. Nie liczyły się. Tylko biel, gładka powierzchnia muru, podłoga, długi tunel, bliżej szeroki, a dalej zwężał się jak wzrok.

Tu był bezpieczny. Tu odczuwał spokój. Mógłby iść tędy wiecznie, nawet sam.

– Wróć do mnie, wróć, pójdziemy razem, będziemy razem spacerować, wróć do mnie...

Zamarł. Zaburzenie porządku. Drzwi. Ostatnio ich przecież nie było. Skąd się wzięły?

– Wstawili je – szepnął z wyrzutem; czuł się tak, jakby dostał w twarz, jakby został zdradzony. – Darek, oszukali nas!

Z krzykiem złapał za kłamkę, szarpnął. Korytarz zatopiony w półmroku. Świetłówki u sufitu rzucały delikatny, ciepły blask, tworzyły tunel w ciemności, a biała podłoga przypominała dywan. Nie widział drugiego krańca tunelu. Odetchnął z ulgą. Idealny.

Obejrzał się przez ramię, na przyglądające się mu prostokątne oczy ścian, na znajdujące się za nimi morze zielonych traw. Nie wahał się. Wstąpił do półmrocznego tunelu.

Stuk, stuk, odgłos jego kroków odbijał się od niewidocznych murów, wracał zwielokrotniony, przypominał rytmiczne bębny. Światło oblewało mu ramiona, a dalej była czerń – czerń po lewej, czerń po prawej. Stuk, stuk. Szedł, a blask przybierał na sile. Dostrzegał już ściany, wysokie, gładkie, białe. Nie zobaczył jednak drugiego krańca pomieszczenia. Uśmiechał się. Stuk, stuk, bębny, światło, biel, kąty proste, linia, stapał po linii. Wystarczyło stapać, tyle wystarczyło.

Nie zatrzymując się, uniósł dłoń i niemal krzyknął z radości. Jego dłoń... Jego dłoń stała się doskonała. Pozbawiona skaz, pozbawiona nierówności. Prosta. Gładka. Gdyby przyłożył ją do ściany... Harmonia, idealna harmonia. Równoległość.

Drzwi, wreszcie dotarł do kresu korytarza. Otworzył je. Kolejny korytarz. Następne drzwi. Kolejny korytarz. Kolejne drzwi. Wędrował, coraz więcej przejść, wszystkie doskonałe, wszystkie prowadziły do perfekcyjnych pomieszczeń. Dalej, dalej, dalej. Śmiał się, echo odpowiadało mu jednostajnie, rytmicznie, pięknie. Korytarz, kąty proste, żadnych niepotrzebnych elementów, dwa wymiary... Jeden wymiar?

Mógłby iść tędy całą wieczność. Nie, będzie szedł tędy całą wieczność. Na pewno.

Ujrzał ludzi. Mknęli obok niego, przypominali ściany. Otwierali drzwi i przesuwali się dalej. Byli jaśni, pozbawieni wszystkiego, co zbędne.

– Darek? – krzyknął. – Darek, jesteś tu?

Nikt mu nie odpowiedział, nikt się nie zatrzymał. Pomieszczenia przeskakowały, jedno po drugim, niby w ogromnej kostce Rubika, światło kładło się równomierными plamami, a Jan się po nim ślizgał.

Drzwi, drzwi, przejścia, przejścia, korytarze, pomieszczenia. Schemat. Raz jedno, raz drugie. Porządek. Przewidywalność. Niezaburzalny rytm. Wszystko niczym w zegarku stworzonym ręką największego mistrza, mistrza nadludzkiego, kosmicznego.

Będzie tędy szedł całą wieczność. Łzy radości spływały mu po policzkach.

Zmiana. Znalazł się w swoim mieszkaniu, ale jakże odmienionym, wreszcie symetrycznym, wreszcie

idealnym. Przesuwał się po ścianach niczym na starej taśmie filmowej, klatka po klatce, klatka po klatce. Zajrzał do pokoju Zbyszka.

Zamarł. Zobaczył syna.

Biegł przez nieskończone korytarze, otwierał nieprzeliczone drzwi, ścigany echem swoich kroków i swego głosu i szlochał, nie zatrzymywał się, do przodu, w prawo, w lewo, nigdy w górę, nigdy w dół, nigdy po skosie, kąty proste, wszędzie kąty proste, pomieszczenia takie same, puste, korytarze takie same, o tej samej długości, szlochał, krzyczał, przeklinał, błagał, szlochał coraz bardziej i nie mógł znaleźć wyjścia, i wiedział, że spędzi tu całą wieczność.

BIBLIOTEKA

Stare magazyny znajdowały się gdzieś na obrzeżach miasta. Pozostałości nieistniejących już zakładów przemysłowych leżały teraz w ruinie, strasząc sąsiedztwo pustymi oczodołami okien, gnatami żelbetonowych prętów oraz nadkruszonymi zębami cegieł. To tu wszystko się zaczęło. Pamiętam, jak często z chłopakami chodziliśmy w te okolice latem i wczesną jesienią, żeby razem pić alkohol. Była nas piątka – ja, Kuba, Tomek, Damian i Szymon. W niemal każdą sobotę, a także czasem w środku tygodnia po zakończeniu szkolnych zajęć, kupowaliśmy parę butelek taniego wina. Siwiejący sprzedawca w monopolowym w ogóle nie przejmował się sprawdzaniem, czy jesteśmy pełnoletni. Zresztą chyba dobrze wiedział, że brakowało nam paru lat. Zawsze zbieraliśmy się na środku dużego, zrujnowanego pokoju przy północnej części kompleksu. Już wtedy parcela jawiła się jako bardzo zapuszczona. Od kiedy tylko pamiętam, okna prowadzące do wnętrza były wyrwane z framug, a pod obdartymi ścianami leżały poukładane

stare meble. Na szczęście w centrum pomieszczenia znajdowaliśmy wystarczająco dużo wolnej przestrzeni, aby móc swobodnie się zmieścić. Patrząc z perspektywy czasu, zastanawiałem się, jaki był sens wybierać właśnie to miejsce. Oczywiście musieliśmy się gdzieś ukryć, gdyż w naszych rodzinnych domach nie zezwolono by nam na takie zabawy. Jednak było tak wiele innych lokacji, które mogliśmy zagospodarować. Wydaje mi się, że kiedyś włócząc się po okolicy, trafiliśmy na te gruzowiska i najzwyczajniej uznaliśmy je za swoją własność. Nigdy o tym nie dyskutowaliśmy, ale tak po prostu się stało. Pewnymi sprawami rządził niespisany kodeks, który bardziej się czuło, niż potrafiło wyrecytować. Regulował on wiele rzeczy – na przykład to, że Tomek zawsze otwierał pierwszą butelkę. Wyciągał wtedy scyzoryk, który dostał od dziadka i zawsze miał go w kieszeni spodni, i podważał metalowy kapsel. Od razu brał spory łyk, a potem przekazywał butelkę dalej. Stojąc w okręgu, każdy z nas wypijał trochę, po czym podawał flaszkę do następnego. Pierwsza porcja zawsze gryzła podniebienie siarkowym aromatem. Nigdy nie mogłem się do niego przyzwyczaić, a zdarzało się nawet, że drobinki łez napływały mi do oczu. Jednak za wszelką cenę starałem się tego nie okazywać. Zakrztuszenie lub wzdrygnięcie się uznano by za oznakę słabości, coś godnego mięczaka. To też była jedna z niespisanych zasad naszej grupy. Zwykle nie minęły dwie rundy i butelka się kończyła. Wtedy Tomek lub Szymon otwierali drugą i wszystko się

powtarzało. Jeżeli Szymon czynił honory, to próbował pożyczyć pamiątkę po dziadku, w przeciwnym wypadku musiał korzystać ze swoich zębów. Nie mieliśmy innego wyjścia, tak mówił kodeks. Te wszystkie zasady ustalały rytm życia i dawały stabilność, jakiej nie widzieliśmy w szkole czy naszych domach. Przynajmniej tak mi się wydaje. Nie rozmawialiśmy o tym – kodeks zabraniał.

Jednak w momencie, gdy wszystko się zaczęło, byłem sam w magazynach. Pamiętam tamten wieczór. Moi rodzice często się kłócili, ale to co działo się owego dnia, przekroczyło jakiegokolwiek wcześniejsze normy. Zaczęło się od drobnej sprzeczki, która niestety po paru zdaniach przerodziła się w potężną awanturę. Co jakiś czas rozlegały się krzyki i oskarżenia. Matka rzucała przedmiotami, ojciec walił pięściami w ściany. Okazjonalnie dochodziły do mnie odgłosy szarpaniny. Potem zwykle na chwilę się uspokajało. Każde z nich siadało w innej części mieszkania, a wewnątrz w końcu wypełniała cisza. Wiedziałem jednak, że to tylko pozorne zawieszenie broni. Bardzo szybko atmosfera stawała się tak duszna, że nawet oddychanie było trudne, a rosnące napięcie dawało się wyczuć we wszystkich pokojach. Wystarczył jeden drobiazg – ktoś wymamrotał coś pod nosem, kaszlnął lub chodził z kąta w kąt – a awantura wybuchała na nowo. Ten cykl powtarzał się nieustannie przez kilka godzin. Zdarzało się nawet, że konfrontacja zaczynała się spontanicznie sama z siebie, bez choćby najmniejszego czynnika zapalnego. To wszystko wyglądało, jakby oboje dawali sobie tylko

moment na zebranie sił, by zaraz potem znowu ruszyć na siebie. Matka kilkukrotnie już wyciągała walizkę i pakowała swoje rzeczy, wykrzykując, że wyprowadza się. Raz nawet zniknęła za drzwiami, jednak ostatecznie zawsze zmieniała zdanie, obwieszczając na głos, że mieszkanie należy również i do niej, i jeżeli ktoś powinien się wyprowadzić, to jest to ojciec. Cały czas siedziałem w swoim pokoju, tylko okazjonalnie wyglądając na korytarz. Mimo tego czułem się, jakbym stał dokładnie między nimi. Stężona furia, jaką z siebie wydzielali, skraplała mi się pod oczami i spływała po policzkach. Nie płakałem, nie mogłem, kodeks tego zabraniał. Przy tym czułem, jakby moje wnętrze wykręcały się w dziwne i niepojęte dla umysłu kształty. Zdawałoby się, że tego dnia wraz z obiadem połknąłem jaja jakiegoś pasożyta, który teraz wykluł się w jelitach i próbuje rozerwać powłoki ciała, by wydostać się na zewnątrz. Spośród rzeczy, jakich wtedy doświadczyłem, to było chyba najtrudniejsze do zniesienia. Próbowałem sobie powtarzać, że wszystko wreszcie się skończy. Rodzice ostatecznie zmęczą się ciągłymi krzykami i pójdą spać, a jutro będzie już spokojnie. Pewnie postanowią tylko unikać się przez następnych parę dni, aż wreszcie zapomną o sprawie i będzie tak jak dawniej. Jednak szarpiący flaki ból podpowiadał mi, że kiedyś cała sytuacja się powtórzy. W którymś momencie zwykła niezgoda czy drobna różnica zdań znowu zmieni się w autentyczną wojnę. Po raz kolejny będę siedział na łóżku, bojąc się pójść do kuchni, a wychodząc rankiem na

podwórko, trafię na urywane szepty pomiędzy sąsiadami, gdy będą komentować wieczorne hałasy. Będę widział ich spojrzenia, w których miesza się irytacja i politowanie. Mogłem starać się przetrzymać najgorsze, mówiąc sobie, że to przecież nie koniec świata. Problem w tym, że ja chciałem, aby to był koniec świata, żeby wszystko dotarło na próg ostateczności i przekroczyło go zdecydowanym krokiem. Przyszłość nie miała już żadnego znaczenia.

Chciałem uciec, jak najdalej od powracających krzyków, od nieustępującego bólu, ale przede wszystkim od własnego życia. Podczas którejś z kolejnych szarpanin między rodzicami wymknąłem się z mieszkania. Wyszedłem na zewnątrz, pomiędzy skryte w półmroku kolumny bloków. O tej porze niemal nikt nie chodził po osiedlu. Stałem samotnie, nie wiedząc, gdzie pójść. Gdybym wybrał się do któregoś z chłopaków, jego rodzice od razu domyśliliby się powodu niezapowiedzianej wizyty, a plotki rozeszłyby się błyskawicznie. Wprawdzie w mieście znajdowało się wiele miejsc w których mógłbym siedzieć nie niepokojony, ale wtedy byłem w stanie pomyśleć tylko o jednym z nich. Dlatego poszedłem do magazynów. Nie miałem czasu zabrać ze sobą latarki, więc wchodziłem do środka niemal po omacku. Ostrożnie starałem się wyczuć resztki zniszczonej framugi. Byłem już prawie wewnątrz, gdy nieuważnym ruchem rozdarłem wierzch dłoni o wystający gwóźdź. Zasyczałem z bólu i niemal przewróciłem się, ale w ostatniej chwili udało mi się odzyskać równowagę. Spojrzałem na skaleczenie, które

w otaczającym mroku wyglądało jak szkarłatny robak pełznący po ciele. Nie przejmowałem się wtedy zbyt krwawieniem, ale odruchowo polizałem ranę. Słonawy smak ukłuł delikatnie w język i prawie mnie zemdleło. Jednak starego budynku nic moje problemy nie obchodziły, milczał pustką wszystkich swoich pomieszczeń. Usiadłem na podłodze, dokładnie w tym miejscu, gdzie zawsze stałem, gdy przychodziliśmy tu z chłopakami. Dookoła nie krążyła butelka, nie miałem wokół siebie zaufanych kompanów. Mimo tego wciąż czułem się dobrze, a jeśli nie dobrze, to chociaż lepiej niż przed wyjściem z domu. To miejsce jawiło mi się jako azyl od reszty świata. Wydarzenia ostatnich kilku godzin odgrywały się jeszcze w mojej głowie, jak powtarzany w telewizji filmowy klasyk, ale stawały się coraz bardziej przytłumione. Wpatrywałem się w czerń, która usadowiła się wygodnie we wszystkich zakamarkach pokoju. W jakiś niezwykle sposób okazała się uspokajająca, jak niewzruszona tafla jeziora. Nie wiem, jak długo tam siedziałem. Nie myślałem o niczym, nie analizowałem, nie snułem planów. Tylko patrzyłem bezmyślnie w nicość. Właśnie wtedy wszystko się zaczęło. W jednej chwili do moich uszu dotarł ten niezwykle dźwięk. Niespodziewanie rozdarł ciszę, pojawił się i zamilkł błyskawicznie jak cięcie ostrzem. Był dziwny, trochę jak brzęczenie owada, tylko wybrzmiewające w cieńszej tonacji, oraz... oraz bulgoczące. Odgłos nie pasował do niczego naturalnego, co dotąd słyszałem. Myślałem, że to tylko omam, urojenie

niespokojnego umysłu. Jednak po pierwszej nucie wkrótce pojawiły się kolejne. Rozbrzmiewały dumnie, jak koncert w jakiejś obłąkanej filharmonii, a zaraz potem przybyli oni. Dopiero dużo później zrozumiałem, że to ich zawołanie, ich zew. Nie minęła minuta i fala jazgotów zalała mnie z siłą eksplozji. Dźwięki nakładały się na siebie – na przemian wzmacniały się i wygaszały. Powietrze wibrowało przed moimi oczami, a kakofonia świstów wdzieła się natrętnie do uszu. Z trudem byłem w stanie to wytrzymać. Wciąż patrzyłem na wszechobecną czerń, która teraz trzęsła się od anormalnych tonów. Wystające z nadkruszonych ścian metalowe pręty drgały pod naporem piekielnej melodii. Leżące na ziemi fragmenty gruzu zaczęły poruszać się pod naporem wibracji, jakby wpadły w jakiś obłąkany taniec. Nagle wszystko zniknęło. Nie było już upiornych dźwięków. Nie było rezonującego powietrza. Nie było ścian, brudnego pokoju czy samego magazynu. Był tylko szaleńczo nieludzki pęd.

Leciałem przez mroczny tunel z zawrotną szybkością. Z trudem próbowałem złapać haust powietrza, ale czułem się, jakby życiodajny gaz uciekał przede mną. Wreszcie zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle czymkolwiek oddycham. Żadne podmuchy wiatru nie uderzały mnie w twarz, nie słyszałem świstu przecinanego nieboskłonu. Zdawało się, że dookoła jest tylko pustka. Czerń zakamarków magazynu, do której dopiero co przyzwyczyliły się moje oczy, była niczym w porównaniu z nieskończone smolistym krajobrazem, jaki teraz rozpościerał się na

wszystkie strony. W pierwszym odruchu pomyślałem, że straciłem wzrok. Jednak widziałem ramiona, przypominające gałęzie rozłożystego drzewa, które przyciskały mnie do potężnego korpusu. Do któregoś z odrostów przyczepiona tkwiła stara lampa, która częściowo odganiała wszechobecną ciemność. Wyglądała, jakby wzięto ją wprost z ośnieżonej ulicy, na której rozgrywała się akcja jednej z opowieści Hansa Christiana Andersena. W jej blasku mogłem dostrzec, że trzymające mnie kończyny należą do dziwacznej istoty. Miała olbrzymią głowę o nieregularnym kształcie, z daleka mogącą wydawać się być wielkim ziemniakiem. Mrowie oczu zdobiło powierzchnię tego dziwnego warzywa. Dwie pary szkieletowych skrzydeł wyrastały z pękatego kadłuba. Mimo iż trzymająca mnie poczwara z zewnątrz sprawiała wrażenie, jakby została ulepiona z organicznej materii, to w dotyku okazała się ciężka i zimna, niczym wykuta z metalu. Przerażony zacząłem rozglądać się uważniej dookoła. W oddali widziałem lecące jaskrawe punkty. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że to pędziło całe stado tych potworów. Wszystkie z podobnymi latarniami, razem wyglądały jak rój upiornych świetlików. Nie potrafiłem wydostać się stamtąd i jedyne, co mogłem zrobić, to podążać wraz ze stadem. Ich lot zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Nic nie pojawiło się na naszej trasie, nigdzie nie zmierzaliśmy, była tylko niekończąca się podróż. Co jakiś czas maskary wydawały ten sam dziwaczny odgłos, który usłyszałem na moment przed

zniknięciem z magazynu. Wreszcie zacząłem się czuć, jakbym znowu znalazł się w mieszkaniu razem z rodzicami i słyszał ich nieustanne krzyki. Coraz trudniej było to wytrzymać, aż wreszcie rosnąca wewnątrz mnie rozpacz przeważyła. Nie myślałem już wtedy rozsądnie, chciałem tylko uciec z tego miejsca. Próbowałem uwolnić się spomiędzy trzymających mnie splotów, jednak uścisk był niemożliwy do przewyciężenia. Nieważne, ile siły włożyłem, gałęzie nawet nie drgnęły. W rozpacz zacząłem uderzać na osłep po drzewiastych rozrostach. Zdawało się, że to również nie pomoże, gdy nagle dostrzegłem ślad krwi z mojej rany, który został na skórze porywacza. Mimo iż potężne kończyny wyglądały na niewiarygodnie twarde, to pozostawione krople szkarłatu potrafiły błyskawicznie korodować ich powierzchnię, jakby były żrącym kwasem. Żelazne objęcie poluzowało się, a niosąca mnie istota zaczęła lawirować chaotycznie. Na zmianę pikowała w dół i frunęła wzwyż, cały czas pędząc naprzód. Jej gałąź coraz bardziej ulegała rozpadowi. W pewnym momencie bestia wykonała kilka gwałtownych obrotów, jak pilot popisujący się lotniczymi akrobacjami. Wtedy wyslizgnałem się z uścisku, całkowicie tracąc z nią kontakt, i jedynie szczęśliwym trafem zdołałem złapać się latarni, która wciąż dyndała na jednej z wypustek. Rozpaczliwie trzymałem się metalowej konstrukcji, nieustannie rzucany szaleńczym pędem. Ledwo byłem w stanie cokolwiek dostrzec, ale zobaczyłem jeszcze, jak stwór nagle rozpoczyna kolejny manewr. Jednocześnie niesione przez monstrum źródło

światła ostatecznie zsunęło się z gałęzi. Wciąż miałem przedmiot w dłoniach, gdy wspólnie zaczęliśmy spadać w ciemność.

Wydaje mi się, że próbowałem krzyczeć. Wydaje mi się, że na oslep starałem się złapać czegoś w pobliżu. Wszystko dookoła wirowało i ostatecznie niczego nie jestem pewien. W jednej sekundzie leciałem przez otchłań, by zaraz potem leżeć na kamiennej posadzce. W mgnieniu oka moje ciało utraciło cały pęd. Jednak umysłowi wciąż wydawało się, że powinniśmy osuwać się w dół. Z trudem udało mi się powstać na równe nogi, przed oczami zamigotały srebrne robaczki. Potrzebowałem chwili, żeby dojść do siebie. Dopiero potem mogłem swobodnie rozejrzeć się dookoła. Pochwycona niedawno lampa leżała teraz obok mnie. Gdy w pobliżu nie latały dziwaczne stwory o szkieletowych skrzydłach, wydawała się być najwykolejszym przedmiotem codziennego użytku. Trwała w bezruchu, przewrócona na bok, a jej blask rozpraszał pobliski mrok. Przede mną ciągnął się korytarz o przekroju w kształcie trójkąta i ścianach zbudowanych z kamiennych bloków. Monolity szczelnie do siebie przylegały bez pomocy jakiegokolwiek zaprawy. Powierzchnie były nienaturalnie gładkie, niemal jak lustro. Po zrobieniu pierwszych kroków okazało się, że muszę być nad wyraz ostrożny, aby nie poślizgnąć się. Wokoło panował chłód tak przejmujący, że nieustannie miałem gęsią skórkę. Zimne powietrze wdzierało się do moich nozdrzy wraz z delikatnym zapachem, który przywodził na myśl środki

odkazające. Poczucie strachu i zagubienia próbowało odzywać się co chwilę, jednak szaleńcza podróż zdołała zepchnąć je gdzieś w dalekie zakamarki umysłu. Nie byłem nawet w stanie przejmować się swoją sytuacją, mogłem tylko działać. Pochwyciłem zdobywcze źródło światła i ruszyłem przed siebie. Tunel zdawał się ciągnąć w nieskończoność. W dodatku jego trójkątny przekrój powoli rotował. Więc o ile zaczynałem, idąc po płaskiej podstawie, to wkrótce marsz stał się niezwykle uciążliwy, gdyż musiałem stawiać kroki w zwężeniu stanowiącym wierzchołek figury. W świetle latarni dostrzegłem liczne odnogi korytarza, każdą o innym kształcie. Były tam takie o przekroju kwadratu, rombu lub trapezu, ale zdarzały się też całkowicie nieznane mi kształty. Nie tylko nie potrafiłem ich nazwać, ale nawet samo opisanie tego, co widziałem, sprawiało mi znaczne problemy. Nie odważyłem się zapuścić w tamte rejony, prosta droga wydawała się najbezpieczniejsza. Trudno mi powiedzieć, ile trwała moja wędrówka – może godziny, może całe dni. Korytarz zdołał obrócić się więcej razy, niż byłem w stanie zliczyć. Z trudem mogłem sobie wyobrazić, jak wielka musiała być budowla, wewnątrz której się znalazłem. Po drodze nie czułem głodu ani zmęczenia, a rana na dłoni wciąż lekko krwawiła. Zupełnie jakby czas przestał płynąć naprzód. Jedyne światło lampy zaczęło blednąć, od kiedy zostawiłem za sobą latające kreatury, i zastanawiałem się, czy wkrótce nie zgaśnie całkiem. Mimo wszystko nie miałem dokąd się wycofać, pozostała mi tylko droga

naprzód. Wreszcie dotarłem do końca tunelu. Przedemną rozpościerały się kamienne wrota. Ciężkie odrzwia były częściowo uchylone, tylko na tyle, abym mógł przecisnąć się na drugą stronę. Wciągnąłem brzuch i z trudem zmieściłem się w wąskiej szczelinie. Przez chwilę zdawało się, że utknąłem na dobre, jednak kilka szarpnięć pozwoliło mi uwolnić się z zakleszczenia. Dostałem się do tajemniczego pomieszczenia i od razu zagłębiłem się w jego czeluściach.

Wewnątrz również panowała ciemność. Tylko delikatna iluminacja z lampy pozwalała mi dostrzec cokolwiek. Nie dałbym rady dokładnie oszacować rozmiarów, ale sala sprawiała wrażenie autentycznie kolosalnej. Postąpiłem jeszcze głębiej w jej odmęty. Powietrze tutaj okazało się o wiele chłodniejsze niż na korytarzu, aż czułem przejmujące zimno gdzieś głęboko w kościach. Zupełnie jakbym stał nago na środku lodowej pustyni. Dziwny zapach substancji dezynfekującej również wydawał się o wiele silniejszy. Nie wiedziałem, skąd pochodził, ale byłem przekonany, że jestem blisko jego źródła. Wchodziłem coraz dalej w otchłań ciemnej sali. Wreszcie w nikłym blasku dostrzegłem szereg przegród dzielących pomieszczenie na wąskie przesmyki. Dziwne ściany pięły się nieustannie do góry, a ich wierzchołki ginęły gdzieś w mrokach sklepienia. Niepewnie wkroczyłem w jedną z alejek, zastanawiając się, czy to nie pułapka, która za chwilę mnie zmiażdży. Na szczęście nic złego się nie stało. Wydawało się, że to miejsce nie jest tak niebezpieczne, jak

początkowo zakładałem. Uzbrojony w odrobinę pewności siebie zapuszczałem się coraz bardziej ochotczo między tajemnicze barykady. Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że to nie mury, tylko wyrzeźbione z kamienia olbrzymie półki. Na poziomych płaszczyznach ułożono dziwne, cylindryczne pojemniki ze szkła. Wszystkie były tej samej wielkości i najpewniej miały pojemność kilku, jeśli nie kilkunastu litrów. Nagle skojarzyły mi się ze zgromadzonymi na zimę przetworami, tylko takimi zrobionymi przez giganta, i ta myśl wywołała delikatny uśmiech na mojej twarzy. W otaczającym mroku nie mogłem przyrzeć się dokładniej zawartości dziwnych naczyń. Nagle dostrzegłem niewyraźne lśnienie w oddali, tylko trochę jaśniejsze niż gasnący blask mojej lampy. Ruszyłem ostrożnie w tamtą stronę, niepewny tego, co znajdę. Z każdym krokiem zbliżałem się coraz bardziej, a mój umysł nie mógł przestać tworzyć najdziwniejszych wyjaśnień dla tajemniczej iluminacji. Zdołałem nawet zapomnieć o szalonych miejscach, które udało mi się odwiedzić dotychczas. Wreszcie stanąłem przed źródłem wiodącego mnie migotania. W bladej zielonej poświacie mogłem przyrzeć mu się dokładnie, ale moje oczy nie chciały wierzyć, temu co zobaczyły.

Wnętrze jednego z cylindrów podświetlał jakiś wbudowany do niego mechanizm. Widok tego, co odkryłem, sparaliżował mnie. Pojemnik po brzegi wypełniała nieokreślona gęsta ciecz, która nadawała iluminacji jej charakterystyczny kolor. Jednak nie to mnie zaszokowało,

tylko widok pływającego w mazi nagiego mózgu. Nigdy nie byłem dobry z biologii, ale nie miałem wątpliwości, że poprawnie rozpoznaję ten organ. W dodatku wielkością wydawał się pasować do ludzkiej czaszki. Patrzyłem w otępieniu na przerażający widok, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że słyszę przytłumiony głos przemawiający do mnie. Nie rozchodził się w zimnym powietrzu, tylko pojawiał bezpośrednio wewnątrz mojej głowy. Od razu wiedziałem, że wypływał od schowanego za szkłem dziwactwa. Wtedy otrząsnąłem się z marazmu i krzyknąłem na całe gardło. To był odruch, któremu bezrefleksyjnie uległem. Już po chwili pojąłem, jak wielki błąd popełniłem. Światła wewnątrz otaczających mnie słoików również się zapaliły, a w każdym z nich unosił się kolejny mózg. Niektóre z widocznych eksponatów bardzo odbiegały kształtem od ludzkiego narządu, ale wciąż wyglądały, jakby mogły spełniać podobną funkcję. Nie myśląc, rzuciłem się do ucieczki wzdłuż przesmyku, ale zdezorientowany wybrałem kierunek w głąb szaleńczej struktury. Kolejne półki przechowywały coraz więcej cylindrów, czasem nawet po kilka ich rzędów. Wywołany wcześniej zgiełk sprawiał, że światła wewnątrz niektórych zapalały się jak świąteczne dekoracje. Jeszcze więcej tajemniczych osobliwości odzywało się, wybudzonych ze snu. Rosnąca fala szmerów obmywała całą salę, a każda jej kropla była pojedynczym głosem dobijającym się do mojego umysłu. Z trudem trzymałem jeszcze w ręku lampę, która majtała na boki w rytm ucieczki, aż wreszcie

wyleciała z mojej dłoni wprost pod nogi. Nie zdążyłem jej nawet zauważyć i potknąłem się, niemal tracąc przy tym równowagę. Z impetem wpadłem na szereg pojemników tuż obok, potrząsając nimi niebezpiecznie. Jeden ze słoików zatoczył się zamasyście i niemal wywrócił na podłogę. Ostatecznie jednak pozostał na swoim miejscu, a jedynie część jego zawartości wylała się wprost na mnie. Przejmujący zapach środków odkażających uderzył nozdrza. Jednocześnie zaszokowany obserwowałem, jak oblana mazią rana na dłoni zaczyna błyskawicznie goić się na moich oczach, aż wreszcie znika zupełnie. Nie pozostał po niej nawet drobny ślad. Chciałem uciekać dalej, ale wtedy dostrzegłem wielki kształt wiszący tuż nade mną. Połyskujący prostopadłościan wyglądał jak kolumna wykonana z idealnie gładkiego marmuru. Powoli obracała się wokół własnej osi, a tuż obok niej unosiła się struktura przypominająca wielką strzykawkę podłączoną do przezroczystej rury, której koniec ginał gdzieś pod sklepieniem. Wnętrze przewodu wypełniała zielonkawa ciecz i nie miałem wątpliwości, że była to dokładnie ta sama substancja co maź wewnątrz słoików. Wszystkie te elementy same z siebie lewitowały kilka metrów nad podłogą, jakby grawitacja zupełnie o nich zapomniała. Najdziwniejsze jednak okazały się czułki, wyglądające trochę jak pęk kabli, które wyrastały z dolnej podstawy prostopadłościanu. Każdy z nich kończył się dziwnym okiem lub jakiegoś rodzaju wypustką – te ostatnie były bardzo różnorodne, choć większość zdawała się podobna

do narzędzi chirurgicznych. Metaliczne gałki wpatrywały się we mnie z zaciekawieniem, o ile to coś mogło doświadczać takiego uczucia. Wreszcie jedna z nich skierowała swoje spojrzenie na słoik, z którego wylała się część zielonkawej substancji. Chwilę później latający dozownik podfrunął w pobliże i uzupełnił niedobór mazi. Gdy przelatywał obok mnie, poczułem uderzenie zimna, jakby arktyczny wiatr dmuchnął prosto w moją twarz. Przez moment przypatrywałem się temu niezwykle procesowi. Wkrótce moją skórę podrażniły powiewy chłodu dochodzące z kilku innych stron i nie musiałem się nawet oglądać, by wiedzieć, że kolejne prostopadłościenne istoty zbliżały się do mnie. Nagle dookoła rozległ się jeszcze większy harmider. Przybycie tajemniczych kolumn musiało obudzić pozostałe cylindry. Światła wewnątrz pojemników zapalały się wszędzie dookoła, ich blask rozjaśnił najdalsze zakamarki sali. Zamknięte w środku głosy potrzebowały tylko paru sekund, aby mnie odnaleźć. Nie miałem jak przed nimi uciec. Wdzierały się zachłannie do mojego umysłu. Słyszałem miliony języków i dialogów, niektóre z nich zbyt dziwne, aby mogły być wypowiedane przez człowieka. Początkowo starałem się uciszyć rosnącą kakofonię, ale byłem bezsilny wobec zalewu szeptów. Mimo iż nie miały ciał, to zdawały się żarłoczne, jak stado szarańczy oblegające pola uprawne. Czuję, jak usilnie starają się zostawić po sobie ślad. Przypomniało mi się doświadczenie wykręcających się wewnątrzności, gdy słuchałem kłótni rodziców. Teraz

dokładnie to samo działo się w mojej głowie ze zwojami nerwowymi. Obca ingerencja zapisywała w nich nowe informacje, a im dłużej to trwało, tym więcej wiedziałem o tajemniczej sali. Znalazłem się w miejscu, gdzie przechowywano wiedzę. Jednak zamiast gromadzić ją zapisaną w księgach, zwojach lub na glinianych tabliczkach, kolekcjonowana była wraz z istotami, które ją posiadały. W mrocznej bibliotece zebrano eksponaty ze wszystkich lokacji i czasów, jakie tylko można sobie wyobrazić. Na zawsze uwięzione wewnątrz ponurej budowli, pragnęły już tylko przekazywać innym to, co widziały za życia, i nie obchodziła ich zgoda słuchacza. Strumień głosów nie ustępował ani na moment. Wbrew mojej woli uczyłem się o odległych światach, nikomu nieznanym cywilizacjach czy sekretach ukrytych głęboko pod skorupą ziemi. Miałem wrażenie, że moja czaszka zaraz eksploduje. Próbowałem krzyczeć z bólu, ale wydałem z siebie tylko bezgłośny jęk. Jeszcze przez chwilę patrzyłem na zdobyczną lampę, zanim pochłonęła mnie ciemność.

Promyki wschodzącego słońca oślepiły mnie, gdy niepewnie otwierałem oczy. W pierwszym odruchu zacząłem panicznie rozglądać się dookoła i musiało minąć trochę czasu, nim zdałem sobie sprawę, że jestem w magazynie, do którego wybrałem się w trakcie nocnej wycieczki. Tkwiłem tam brudny, zziębnięty i obolały od leżenia na betonowej podłodze. Spojrzałem na moje ręce – po wczorajszym zadrapaniu nie było nawet śladu. Wiedziałem, że muszę wrócić z powrotem do domu, ale

przedtem chciałem pobyc jeszcze przez chwile w opuszczonym budynku. Usiadłem tam, gdzie zawsze znajdowało się moje miejsce, gdy przychodziliśmy tutaj z resztą znajomych, i wpatrywałem się w kolory poranka malujące się na nieboskłonie. Siedziałem tak jeszcze przez kilka godzin całkiem bez ruchu, nim wreszcie zebrałem się do wymarszu. Rodzice powitali mnie mieszanką wściekłości i wstydu. Najchętniej zbiliby mnie na kwaśne jabłko za zniknięcie bez słowa, ale nie mogli zaprzeczyć temu, jak sami zachowali się wcześniej. Ostatecznie dostałem tylko symboliczną karę w postaci zakazu spotkań z kolegami przez tydzień. Gdy wchodziłem do własnego pokoju, naszła mnie myśl, że wyjaśnienie moich wizji jest pozornie oczywiste. Dziwne sny czy innego rodzaju majaki nawiedziły mnie w momencie, gdy mierzyłem się ze strachem i zwątpieniem. Rana na dłoni również tylko mi się przywidziała, więc nie można się było dziwić, że potem jej nie znalazłem. W ogóle nie powinno być powodów do podejrzeń. Jednak tamtego ranka, gdy obudziłem się w magazynie, lampa leżała tuż obok mnie. Nie miałem wątpliwości, że to ta sama, która towarzyszyła mi w podróży. Od tamtego dnia minęło ponad trzydzieści lat. Jej światło pozostaje wciąż słabe, ale nigdy nie zgasło. Codziennie wieczorem przychodzę do magazynów i patrzę na ten nikły blask. Mój ojciec już nie żyje, a matka przebywa w domu opieki. Dawni znajomi powyjeżdżali w poszukiwaniu lepszego życia i tylko ja pozostałem w naszej miejscinie. Pracuję w tym samym sklepie monopolowym,

który w młodości odwiedzałem. Ludzie dookoła mówią, że wychowałem się w trudnej rodzinie i dlatego nigdy nic nie osiągnąłem. Jednak ja wiem, że było inaczej. Kiedyś miałem swoje marzenia, plany i ambicje, ale gdy wiedza z biblioteki zamieszkała w moim umyśle, wszystko zostało wymazane. Byłem w stanie już tylko rozważać sekrety wszechświata. Tamtej nocy straciłem niemal całą tożsamość. Pozostały mi jeszcze wspomnienia Kuby, Tomka, Damiana, Szymona i naszego kodeksu. Czasem myślałem o nich, gdy światła tańczyły na ścianach magazynu.

Posłowie: W okolicach października roku 2024 napisałem krótki tekst dla Wschodów Grozy, który miał pomóc w promowaniu planowanego przez nich wydarzenia kulturalnego. Przyjął on formę krótkiego opowiadania fantastycznego, w którym główny bohater jest przenoszony między różnymi lokacjami przez dziwne istoty o szkieletowych skrzydłach. Ten motyw tak mi się spodobał, że postanowiłem wykorzystać go wraz z innymi pomysłami w powyższym tekście. Natomiast wszystkich czytelników zachęcam do odwiedzenia profilu Wschodów Grozy w mediach społecznościowych.

UCZTA TERESKI W.

Oczu zbitka, jak skrzek żabi, unosiła się na niebie czystym idealnie, żadną chmurą nie zakłóconym. Szeleściła tak prawie bezdźwięcznie, mlaskając cichutko glutowatymi powiekami, które się wtem z lekka trzęsły i odbijały od siebie światło, co trawie zielonej zapewniało wieczny byt.

I tak właśnie Bóg odsłaniał swe prawdziwe oblicze, które zazwyczaj kryje się pod ognistą masą oślepiającą, ówczasie na Ziemi nazywaną potocznie słońcem.

Człowiek porośnięty przyziemną szczecinią dzika, pierwszy żywy organizm stworzony uczciwie przez Oko Boskie, powstał pewnej chwili, rozbudzony białym blaskiem i żrącym spojrzeniem Góry. Miał on już pewne cechy i kończyny człowieka, jaki panuje do dziś, lecz to był jednak twór wielce idealny, ponieważ nie posiadał wartości cenionej na wszelkich światach, które panują po dziś dzień – rozumu.

Na żyłkach cienkich, po stronach ramion zbudowanych silnie, jakby z kamienia, zwisały mu ślepka białutkie, nowonarodzone, nagie i odsłonięte. Łopatki

z tyłu, obojczyki i łokcie owłosione miał solidnie całe, by go dostrzec można było z daleka i żeby oczy go nie prażyły swym blaskiem zbyttnio. Palce u dłoni, cienkie i długie, zapewniały mu osiągnięcie prędkości, o jakich ludzkości w obecnych czasach się nawet nie śniło...

Brnął więc ten człek przez nieskończone pole zieleni, jakby ścigał się z własnym cieniem, tak nędznie i bezsensownie, jak wąż, co zjada własny ogon. Pełznął, topiąc paznokcie w trawie, aż w pewnej chwili pod tym gruntem lekkim nie wyłamał sobie kości, jaka przez mięso cienkie wyskoczyła niemalże cała. Wtedy jedną ręką musiał radzić sobie, a drugą bezwładnie ciągać za sobą i ręka ta jak pług orała ziemię. Zaczął wtedy ten człowiek kopać, szukając jakby ujścia, aż dokopał się do posadzki, którą w dzisiejszych czasach określono by jako szachownicę, co Bóg chyba wyłożył jako fundament do tej trawy. A kto to zresztą widział! Przekopał tak połowę całego świata, po czym zdechł i oczy spaliły go na wiór.

Człowiek z worami tłuszczu zwisającymi na cieniutkich kosteczkach włókł się przez to same pole, cały śliski od swego słonego potu. Był on zupełnym przeciwieństwem człowieka porośniętego, gdyż był i wolny, i mądry. Rozumny człowiek twierdząc zatem z dumą, iż zbyt ciepły jest dla niego klimat, począł budować cień. Cień zatem powstał. Człowiek posunął się w jego głąb, po czym nigdy nie wrócił, a Oczy stwierdziły, że tak się zdarza, i uczyniły klimat umiarkowany, pozostawiając czarny prostokąt niby ścianę na środku pola, tak nagą i płaską.

Człowiek podobny do zwykłej krowy hodowlanej posiadał już cztery kończyny i zwinnie się nimi posługiwał, skacząc i skradając się czasem, czujnie wypatrując innych osobników, które mogłyby stanowić dla niego zagrożenie. Pojedyncze głoski mu poczęły wypływać z ust i wydalął białą maź, mimowolnie ciągnął linię śluzu za sobą i zatrzymać tego nie szło. Miał dwa wymiona, sączył z nich własne mleko, żeby nie umrzeć z pragnienia, a żarł trawę – mielił ją, po czym wypluwał i lepiał zazwyczaj coś z niej, darł na kawałki tak przezroczyście, tak starannie, pasemko po pasemku, aż w końcu ulepił do swego mleka naczynie, by w dłonie już go więcej nie brać i nie siorbać go tak marnie. To też pozostawił za sobą.

I z człowieka na człowieka, świat ten zaczął nabierać rozmaitych rzeczy. Każdy z nich wnosił coś od siebie i miał z poprzednika coraz więcej cech. Powstał więc sahelantrop, finalnie homo sapiens, znany nam bardzo dobrze, ponieważ żyjemy ulepieni na jego wzorze, a dalsza i bardziej skomplikowana ewolucja byłaby – według Oczu – zbędna. Zatem nastąpił jej koniec.

A cała historia ta zaczyna się w dzień majowy, słoneczny i pełen mew latających wokół kabli. Mogłoby się wydawać nawet, iż są one Oczami, które panują na Ziemi – tak samo białe i momentami głośnie od dawania sobie sygnałów... Cóż za zderzenie dwóch niepojętych miejsc w ten majowy poranek to było! Przeczytajcie!

Tereska W. wraz ze swoją siostrą przyrodnią Maliną B. schodziły klatką koło dzielnicowego kościółka do piwnicy, gdzie znajdowała się skromna sala lekcyjna. Tereska W. jest gotowa, by ściślej zjednoczyć się z Bogiem.

Reszta chętnych bądź zmuszonych, bądź skuszonych pieniędzmi od dziadków za owe czasu poświęcenie do ceremonii, żegnała się ze świadkami w przeróżnej postaci i wchodziła powoli innym wejściem – przez kaplicę adoracji, później szybko na piętro schodkami i tam właśnie znajdowała się reszta sal, w których bywała również Tereska W. w czasie rekolekcji. Gdy tak gapiła się na tamte dzieci, bo jak inaczej nazwać łeb nierozwinięty do końca, a mający Boga przyjąć, o umysłach zrobionych z papieru, Malina B. pociągnęła ją silnie za rękę, by w końcu znalazły się w podziemiach tak mistycznych, jak same katakumby.

Skromna sala lekcyjna w podziemiach mistycznych jak same katakumby posiadała drewniane, przestarzałe ławy i krzesła, na których nie było sposobu znaleźć wygodnej pozycji i cicho mogło się tylko cierpieć przez półtorej godziny nauki. Na plecach uczniów spoczywał wzrok panoramy Jerozolimy rozłożonej po całej ścianie tapetą, która spuchła już cała i na rogach odsłaniała zdarty klej, niby skórę fundamentów wijących się w wiecznej agonii przez to, że muszą dźwigać brzemień tej felernej Jerozolimy na swoich barkach.

Na końcu rządka ławek, klatek mosiężnych, z jakich wyjścia nie było, znajdowało się drewniane biurko

ustatkowane na schodku, jakby piedestale dla najważniejszej osoby, zwycięzcy, wybrańca! Ze zdobieniami w winorośle, ubytkiem na kałamarz, wysuwanymi szufladami, mogącymi lada moment wypaść, i Księgą Życia otwartą, wszystkim wyznawcom dobrze znaną. Przy nim istny tron! Tron otoczony bordową skórą, wypchany poduszkami na siedzeniu, oparciu i podłokietnikach.

Reszta kościółka niewarta jest uwagi! A nie, nie! Balkonik na chór rozległy jak teren rekreacyjny, organy wznoszące się do sufitu, złote, złote być może i nawet, oświetlane kolorowym witrażem, niby wykonanym z czystego kryształu. Ławy długie i gładkie, puchem okryte, tak przeraźliwie wygodne, że przespać by się mógł niejeden na nich. Zupełnie, zupełnie niewart jest uwagi kościółek! Dywan rozłożony na dole, starannie odkurzony, niczym niezabrudzony, niezbrukany, świeczniki bogate, obrazy, rzeźby świętych, a konfesjonały były jak drobne świątynie, tak starannie wypieszczone, i obraz na czele, i krzyż górujący też... A pfe! Żadnej, żadnej uwagi jest wart!

– Pochwalony – mruknęła na wejściu Malina B. i prędko zajęła jedno z dwóch krzeseł przed górującym nad nimi biurkiem zakonnicy.

– Na wieki wieków – odparła. – Usiądź Teresko i ty, proszę.

Tereska W. z drobnym ukłonem usiadła postusznie na krzeselku.

Rozpoczęło się bierzmowanie.

– Teresko – rzekła siostra Magdalena z owocem w rękach, pogodnie uśmiechając się swoją pyzată twarzą. – Powiedz mi, co widzisz?

Tereska W. cały wczorajszy wieczór poświęciła na naukę do bierzmowania. Bierzmowanie nie zawierało w sobie odróżniania owoców.

– Jabłko, siostró Magdaleno – odpowiedziała. Malina B. parsknęła śmiechem, za co została skarcona chłodnym spojrzeniem przez zakonnice.

– Nie, Teresko. To pomidor – westchnęła wtem i zapytała ponownie: – A to? Co widzisz, Teresko? Przypomnij sobie fragmenty Biblii, które zadałam...

Tereska W. wbijała wzrok w pomidora leżącego na środku biurka siostry Magdaleny. Zadane fragmenty Biblii nie opowiadały o odróżnianiu owoców.

– Pomidora, siostró Magdaleno... Pomidora widzę.

Malina B. Spojrzała na siostrę z niedowierzaniem.

– Teresa, co z tobą?!

– Spokojnie, Malinko. – Siostra Magdalena ruchem dłoni poprosiła ją, by siedziała w ciszy, po czym zwróciła się do zakłopotanej Tereski W: – To jabłko, kochanie. Jabłko.

Tereska W. pokiwała głową, po czym spuściła ją z ogromnym poczuciem wstydu.

– Spróbujmy jeszcze raz – zakonnica przerwała ponownie krótką ciszę, wskazując na pomidora z uśmiechem. – Co widzisz, Teresko?

Tereska W. przełknęła ślinę.

– Jabłko, siostró Magdaleno... – odpowiedziała z zakłopotaniem.

– Dobrze. – Siostra Magdalena zamieniła jabłko na... – A teraz, Teresko? Co widzisz?

– Pomidora... Pomidora, siostró Magdaleno.

Siostra Magdalena kiwnęła głową dumnie i zrobiła wtem ruch nieoczekiwany...

– A teraz? – spytała.

Dłonie, jak grube rękawice wełniane, spoczywały na wieży z obu tych plonów natury. Tereska W. Sama już nie wiedziała wtedy, co widzi. Szkła okrągłych okularów siostry Magdaleny połyskiwały w zgniłym, zielonym świetle nagiej żarówki.

– To zależy.

– Od czego zależy, dziecko? Wytłumacz.

– Od tego, czy powie siostra, czy to jabłko, czy pomidor... Czy powie siostra, co jest czym... – przyznała nieśmiało Tereska W., wzrokiem przeskakując z biurka na okrągłą twarz siostry Magdaleny, oczekując jej opinii. – A ja wtedy odpowiem.

Hm... No tak, tak... – mruknęła siostra Magdalena, wciąż grubymi palcami miażdżąc skórki owoców. – A jak nie powiem nic, to jakbyś to opisała, Teresko?

Tereska W. poczuła pot na swoim czole i piekące ciepło na polikach. Widziała pomidora ustawionego na jabłku, jednakże domyśliła się, że taka odpowiedź nie byłaby poprawna – o co więc siostrze chodziło? Po cóż to Tereska W. czytała Biblię wieczorami, by teraz patrzeć na produkty, które dostanie w każdym sklepie, chociażby w tym większym monopolowym na swoim osiedlu, co zawsze tam na ławce siedziało ze trzech takich po bierzmowaniu?

Tereska W. zastanawiała się.

– Wieczność?

– Wieczność – powtórzyła pod nosem siostra Magdalena.

Wtem odłożyła owoce do jednej z ciężkich szuflad swojego biurka. Szuflada zamknęła się z bolesnym trzaskiem.

– Dobrze, Teresko. Bóg przyjął ciebie. Możecie iść, kochane, poświęćcie dzisiejszy dzień błogosławiony, poświęćcie!... – Siostra Magdalena klasnęła w ręce. Huk odbił się od zimnych ścian klasy.

Gdy decyzja zapadła, Tereska W. i Malina B. wstały z krzeseł.

– Dziękujemy, siostrze Magdaleno. – Twarz Tereski W. rozpromienił uśmiech.

Siostra Magdalena wtem ukloniła się z lekka, dając im odejść z Bogiem. Zatem odeszły z Bogiem i żadna z nich nie zadawała pytań.

Tereska W. nie mogła uwierzyć, iż bierzmowanie minęło jej tak szybko. Nad nią i Maliną B. panowała głucha cisza, nieprzerwana nawet żadnym kaszlem czy szuraniem krzesła. Jasne było więc, że reszta dzieci wciąż pisała test bądź wypracowanie na temat swojego wybranego patrona, ba – dopiero zaczynali! Ba! Tereska W. czuła się, jakby wygrała loterię, choć w jej głowie jabłka i pomidory zrastały się wciąż ze sobą w jedną, dużą i krwistą masę o kształcie nieokreślonym.

Malina B. marzyła uparcie zaś o prędkim powrocie do domu.

Powiew powietrza świeżego, jakby wypranego dokładnie przez ludzkie ręce najdelikatniejszymi środkami, oczarował je i zadziwił, rozwiewając ich włosy, by widzieć mogły jeszcze dokładniej ten świat przepiękny, w którym się znalazły... Trawa najzieleniejsza, jaką widziały w życiu, łaskotała je w kostki, uginała się pod butami, niczym zrobiona z gąbki. Obejrzały się obie za siebie, z ręką na sercu pamiętając, że po wyjściu z kościoła w pierw w oczy rzucała się ulica, a nie nieskończone pole trawy i jakby portal z księgi fantastycznej wyjęty na jego środku. Czarna ściana, niby z krwi kaczki zaschniętej, stała nieruchomo przed ich twarzami, okrywając cieniem skromny prostokąt pola. Malina B. pierwsza wystąpiła z czerni, podczas gdy Tereska W. wlepiła wzrok w niezwykłą

bombkę na niebie, cekinami zdobioną, która również i w nią wzrok wbijała. Zaczęła wędrować, zupełnie nie obierając kierunku, a Malina B. Krążyła z wolna wokół cienia, przypatrując się jego niezmiennej symetrii.

– Chodźcie dziewczynki! Chodźcie! Chodźcie świętować!

Niespodziewany głos znajomy przeciął powietrze jakby na pół, docierając do nich. Za nim rozległo się pojedyncze klaśnięcie, śmiech radosny, zachęcający, by iść dalej, by iść świętować. Poszły zatem świętować, obie nęczone tym głosem znajomym, i żadna z nich nie zadawała pytań.

Szachownica stuknęła im pod butami. Znow pod sobą miały podłozę, które tak dobrze znały z kościółka, a niebo w odcieniach wina prowadziło Boga, by sunął za nimi i bacznie przyglądał się temu niezwykleму zdarzeniu... Popatrzcie i wy!

Siostra Magdalena siedziała przy drewnianym stolczku na środku drugiej części tego świata przedziwnego, a przed nią prezentowała się piramidka z siedmiu szklanek bielutkiego mleka. Zakonnica namęczyła się solidnie, by móc wyprawić im taką ucztę. Nie każdy jest bowiem ze swoich wymion w stanie wyprodukować mleka na aż siedem szklanek!

– Chodźcie, dziewczynki! No już, chodźcie, chodźcie! – Swoją potężną ręką ponagliła je, by zasiadły obok.

Tereska W. i Malina B. usiadły po dwóch stronach stołu, naprzeciwko siebie.

– Pierwszeństwo do mleka ma Malinka, ponieważ jako pierwsza oddała się Oczom, by admirowały ją i chroniły na wieki.

I kiedy Malina B. Wyciągała rękę, by chwycić pierwszą szklankę ze szczytu, siostra Magdalena dodała:

– Natomiast Malinka zrzekła się ich wkrótce potem, zatem pierwszeństwo przechodzi w ręce Tereski...

– Nonsens, siostró! Już da mi siostra to mleko i wracajmy do domu wszyscy, bo tu ono aż kipi z gorąca... – jęknęła Malina B., złapiąc wkrótce ze szklanego naczynia.

Strumyczek bieli uciekł jej przez kącik warg, tak łapczywie piła jak zwierz, aż z hukiem wreszcie odłożyła szklankę, wpatrując się z pogardą w oczy zakonnicy.

– Kolejna szklanka przechodzi w ręce Malinki zgodnie z uznaną kolejnością – rzekła siostra Magdalena, otwartą dłonią pokazując w kierunku miejsca Maliny B.

– Ależ siostró, czy to nie moja kolej?

Tereska W. Bardzo chciała wypić mleko z okazji świętowania pomyślnie ukończonego bierzmowania.

– Teresko, nie przerywaj obrzędu boskiego. – Siostra Magdalena spojrzała nań z litością. – Przecież sama na niego ciężko zapracowałaś, czyż nie?

Tereska W. ze smutkiem patrzyła, jak Malina B. wypija kolejną szklankę mleka. Z wolna jej grdyka rytmicznie poruszała się w górę i w dół, jakby delectowała się owocem na stół prosto podanym pod nos.

Tereska W. nie mogła dłużej patrzeć beczynnie, jak Malina B. czerpie z tego przyjemność.

– Siostro! To moja uczta, moje świętowanie bierzmowania!

– Teresko. – Siostra Magdalena uniosła dłoń, by powstrzymać ją przed wstaniem od stoliczka. – Starsi mają...

– Ale Malina wypła już dwie szklanki! – krzyknęła z wyrzutem Tereska W. – Poza tym ona nie wierzy! Ona nigdy nie wierzyła tak naprawdę! Nie modli się przed snem, jak ja, nie dziękuje Panu za codzienne dary! Ona to spite mleko powinna oddać mnie!!!

Wtem Tereska W. zaczęła brać kolejno pozostałe naczynka z piramidy i przysuwała je z wolna do siebie. Siostra Magdalena obserwowała te poczynania ze swojego miejsca, a Malina B. pozostała od tamtego momentu w niespotykanej od wieków ciszy.

Łupnęła głośno kolejna szklanka.

Kolejna szklanka i kolejna również...

Wszystkie tak samo głośno Tereska W. Odstawiała na stół. Usta ubrudzone miała mazią tak cenną w tym świecie, jak pieniądz w tym waszym! Piła i piła, świętowała samotnie... Siostra Magdalena ze strachem w tym czasie patrzyła, jak Tereska W. spija to mleczko tak delikatnie, że żadna biel się nie ostała. Pusta szklanka, czysta szklanka! Następna!

Ze łzami nienawiści w oczach Tereska W. wciąż piła. Ssała wargami krawędź szklanki, niby krzywiła się na twarzy z przesytu... A wciąż było jej mało! Malina B. zabrała dwie ze sobą... Malina B. niech je odda zatem!

Ciało jej trząść się poczęło najpierw, później charkot wydobył się z gardła i wtem oczy pod warstwę skóry się wklęśły, zniknęły pod tłuszczem niemalże całkiem, jakby kamień kto rzucił do surowego ciasta. Srebrna bransoletka, co ją niegdyś dostała od matki, nienaturalnie wygięła się wszerek, a potem pękła i kawałki jakże cennego tworzywa posypały się na całym stole. Jeden trafił do pustej szklaneczki, piszcząc jakby w strachu, gdy turlał się chwilę po jej dnie.

A gdy gapiły się tak obie przez cały ten czas i odgłos jedyny w tle był pojękiwaniem Maliny B., siostra Magdalena westchnęła z lekka i zaczęła odmawiać modły. Z politowaniem patrzyła na zdeformowane ciało Maliny B., pokryte obficie fałdami tłuszczu, złocącego się strumieniem śliskiego potu, gdy nie było jak poznać nawet, czy to łzy jej z twarzy leciały, czy ropa. Pryszczki z wody nadmiarem pokryły ją, jakby nagle ospy z nieba dostała, istny to był wysyp krost, jak paznokiec od kciuka szerokich! One pękały, dziury robiły jej w skórze, odślaniały rumiane mięso młodego, ludzkiego ciała. Żyły na pierśsiach zapchane wystawały jej niby pijawek chorda pod spodem, co utknęły i wyrwać się chciały. Sapała rozpaczliwie, jak ta ryba na łądzie, ubrania jej, łuski, całe porozrywane już były, skóra wypływała z potworzonych dziur. Żółć

załała jej nogi, strumieniem płynęła chwilę po posadzce szachowego pola. Łkała Malina B. boleśnie, próbując poruszać swoimi rękami. Kości jej już mitem dawno się stały. Tkwiła nędznie na kruchym krześle, jak zbitka plasteliny o ziemistych kolorach, którą można zmiażdżyć otwartą dłonią, wedle własnego uznania przerobić na coś innego, na byt równie okropny, jakim była Malina B. wówczas.

Tereska W. patrzyła na siostrę z drugiego końca stołu.

– Cóż... Teresko moja – mleko całe dla ciebie. Malinka ci odda te dwie szklaneczki.

Siostra Magdalena wstała od stołu i cicho poczęła odśpiewywać różaniec.

Tereska W. również wstała od stołu i z wolna podeszła do Maliny B.

Malina B. kwiczała jak prosię szykujące się na zabicie. Bujała swoim cielskiem w agonii, póki nie złamała krzesła i nie runęła na ziemię, wydając bolesny krzyk przypominający bardziej ćwierk ptaka gdzieś z oddali. Ujęła ją z wolna Tereska W., zakryła usta i oczy zamknąć kazała, by się tamta nie frasowała zbyt w ostatnich momentach swego żywota.

– Amen, Maryjo, amen...

Chrupnęła chrząstka Maliny B.

Tereska W. spijała pierwsze krople należytego jej mleka. Skubała tak Malinę B. jak sęp skubie padlinę – tu uszko, tam palec, tam brzuszek, tam udko... Aż rękę całą już w ustach swych mieliła. Biała ciecz się z czerwoną

mieszała, kapiała na podłogę jak lukier, jak nadzienie, jak flaga rozwiana, deptana butami obywateli kraju lekkich obyczajów.

– Przyjmij, Teresko, bliźniego swego. – W przerwie między paciorkami odezwała się siostra Magdalena. Tereska W. zatrzymała swe usta, gotowe do wgrzyzienia się w ramię Maliny B. – Amen, Maryjo, amen!

Tereska W. kontynuowała świętowanie swojego pomyślnie ukończonego bierzmowania.

Tereska W. tuliła swoją byłą siostrę Malinę B., liżąc pot mleczy, co z solą się przeplatała i zlatywał jej ze skóry. Na twarzy miała uśmiech ślimaczy, ząbki pokryte szklistym śluzem, oczy wybałuszone jak dwie muszle, w rzęsach pełno mleka, pełno mleczka, a kiedy mrugała – wylatywało samo. Wtedy to je z powrotem spijała, jaszczurzym językiem masując swą rozpromienioną ze szczęścia twarz.

– Chodź, Teresko. Wrócimy do kościółka, pomożemy w mszy obrządkach, pójdiesz do komunii. Chodź, Teresko, chodź!

Kościółek jej dobrze znany i opisany czytelnikom równie dobrze, i szczegółowo też zresztą, wydawał się być dla Tereski W. umiejscowieniem kalejdoskopu. Mienił się w kolorowych barwach, przeróżne figury kryształów obracały się z wolna wokół ścian, mieszały się ze sobą, tworząc nowe kombinacje. Śladu nie było po kamiennym wnętrzu, wszystko jakby przepych i bogactwo zapchało, wszystko żywsze i lepsze, niż było poprzednio, każdy

skrawek kościoła wart był fortunę. Rubiny, szafiry, perły na sznurach, witraże jak karuzele, postać Jego gładka, delikatna, obejmująca swym wzrokiem siedzących, balkon baśniowy, dzwon z kryształu...

Dzieci, które zdawały wcześniej testy, siedziały w ławach ze smutno spuszczoneymi głowami, szepcząc jakieś modły, o których Tereska W. nigdy nie słyszała.

– Oni też, Teresko, kłamali dla nas przed Bogiem. Sprawdziły me siostry ich testy – same bzdury na piśmie... – westchnęła z żalem siostra Magdalena, spoglądając smutno na te zmarnowane dzieci przed nimi, niemające odwagi spojrzeć nawet w kierunku ołtarza. Czule położyła dłoń na chudziutkim ramieniu Tereski W. i rzekła wtem o tak: – To jest szansa twoja. Dołącz do mnie i sióstr moich, załóż szatę, uwolnij to ptactwo, co gnieździ się w tobie! Z Bogiem!...

Skóra ich była zdeformowana, pomarszczona, obwisła jak zdarta tapeta, tynk spleśniały przy suficie. Mięso rumiane pod białą, cienką jej warstwą przebijało się na zewnątrz, żyłki pod presją, jak niteczki, jak haft naturalny, splot istny na buźce!

Na kostkach się ta skórka trzymała, żeberka można było policzyć bez problemu gołym okiem. Skrywały fałdy wiszące, jak gniazda szerszeni, a tam mleko było zmieszane z odrobiną tłuszczu... Skrywały ich istne pokłady, pękały one pod ciężarem, kapało mleczko na podłogę...

Siostra Magdalena spojrzała na tłum i na Tereskę W., stojącą już przy pierwszych dwóch ławach. Skinęła głową, jakby dając jej sygnał, by rozpoczęła ucztę, tak jak psu się sygnał daje na start polowania.

– I co ty na to, Teresko?

Tereska W. na to uśmiechnęła się szeroko, oczka jej zaświeciły się rumianie, niby te dwa diamenciki tkwiące w tabernakulum, łezki szczęścia w nich aż zabłyszczały! Taka to była szczęśliwa i dumna z siostry Magdaleny, że wyprawiła jej tak wspaniałą ucztę! O lepsze świętowanie za bliskość z Panem nie mogła już prosić!

A historia ta kończy się przy kojącej muzyce płynącej z, być może, złotych organów, delikatnych krokach i śpiewie, choć śpiew z krzykami się mieszał i ciężko było poznać już, kto wzywa Boga, a kto nie.

KAMIL RADOŃ

SZCZELINA ZA SZAFĄ

Nigdy nie lubiłem pogrzebów. Tej duszącej ciszy, udawanego współczucia i spojrzeń, które oceniały każdy mój oddech. Stałem w deszczu, a krople rozbijały się o parasole wokół mnie, jakby chciały nas stąd przepędzić. Ciemne, ołowiane chmury wisiały nisko, przygniatając mnie do ziemi, która powoli zamieniała się w błoto.

Jeszcze kilka dni wcześniej była przy mnie. Czuję ciepło jej dłoni na skórze, słyszałem jej śmiech, widziałem uśmiech, który rozjaśniał nawet najgorsze dni. A teraz? Teraz żegnałem swoją żonę.

Ludzie odchodzili powoli. Rzucali zdawkowe „trzymaj się”, klepali mnie po ramieniu i znikali. Nie rejestrowałem ich twarzy ani słów. Zostaliśmy tylko ja i Marysia – moja córeczka, jedyne światelko w tym morzu czerni. Trzymała mnie za rękę z całej siły. Jej palce były zimne i sztywne, jakby nie należały do dziecka, tylko do lalki.

Poczułem drganie. Spojrzałem na wieko – poruszyło się. Delikatnie, niemal niezauważalnie. Serce zamarło mi w piersi. Nie. To niemożliwe. Zacisnąłem dłoń na ręce

Marysi – za mocno, za gwałtownie – ale ona nawet nie drgnęła. Jej oczy, wbite w ziemię, pozostawały puste. Znowu spojrzałem na trumnę. Wieko poruszyło się wyraźnie. To nie były zwidy!

Kalina. Moja Kalina. Zakopana i uwięziona, ale wciąż żywa!

Zrobiłem krok naprzód, ślizgając się na rozmięklej ziemi. Łopata grabarza uniosła się, gotowa zasypać ją na zawsze, ale ja podniosłem rękę, jakbym tym gestem mógł zatrzymać czas.

– Stop! – krzyknąłem. – Przestań natychmiast!

Kilka głów odwróciło się w moją stronę. Zbliżyłem się do krawędzi grobu.

– Ona żyje! – wykrzyknąłem, drżąc od nadmiaru emocji. – Słyszycie? Musimy ją uwolnić!

Grabarz spojrzał na mnie, jakbym oszalał. Ale ja wiedziałem. Widziałem. Wieko drgnęło znowu, mocniej, z głuchym stuknięciem. Żyła. Musiała żyć.

Rzuciłem się na kolana, gotów zanurzyć rękę w błocie. Palce już dotykały wilgotnej gliny, gdy coś mnie zatrzymało. Drobne ramiona oploty mnie od tyłu.

– Tato, przestań – szepnęła Marysia. Jej głos przeciął moje szaleństwo niczym ostry, zimny nóż.

Błoto kapało mi z palców. Spojrzałem na trumnę. Wieko pozostało nieruchome. Żadnego drgania, żadnego dźwięku. Tylko deszcz bębnił o drewno. Czy to... czy to naprawdę się działo?

Marysia przycisnęła się do mnie mocniej, a jej głowa oparła się o moje ramię.

– Mama śpi – szepnęła tak cicho, że ledwie ją usłyszałem. – Mama teraz śpi, tato.

Coś we mnie pękło. Nie mogłem mówić, nie mogłem nawet płakać. Objąłem ją, jakby była jedynym, co trzymało mnie jeszcze po tej stronie rzeczywistości. Deszcz lał się strumieniami, grabarze wrócili do pracy, a ja klęczałem i patrzyłem, jak ziemia pochłaniała trumnę.

Wróciliśmy do domu w milczeniu. Deszcz wciąż dudnił o dach samochodu, a wycieraczki pracowały w rytmie, który przyprawiał mnie o mdłości. Marysia siedziała z tyłu, wpatrzona w okno. Jej drobna sylwetka odbijała się w szybie. Nie odzywała się, ale czułem jej obecność. Ręce mi drżały, gdy wyłączyłem silnik. Klucze wypadły mi z palców na wycieraczkę, a kiedy schyliłem się, by je podnieść, zauważyłem błoto na butach. Ciemne i lepkie. Cmentarna ziemia.

W środku panował chłód, mimo że kominek wciąż się tlił. Zdjąłem płaszcz i powiesiłem go na haczyku przy drzwiach. Krople deszczu spływały na podłogę, tworząc małą kałużę. Marysia stała obok, nieruchoma, z rękami zwisającymi wzdłuż boków. Zdążyła się przebrać w ulubioną różową piżamkę z misiem. Spojrzałem na nią, na jej puste oczy, i coś ścisnęło mi gardło.

– Chodź, skarbie – powiedziałem, wyciągając rękę. – Czas do łóżka.

Skinęła głową, ledwie zauważalnie, i ruszyła za mną po schodach. Drewniane stopnie skrzypiały pod moimi stopami, ale pod nią były ciche, jakby ważyła tyle co piórko. Położyłem córkę do łóżka i przykryłem kołdrą, wygładzając materiał z taką ostrożnością, jakby był z porcelany. Jej skóra była lodowata, gdy pocałowałem ją w czoło. Zamarłem na chwilę, czując chłód pod ustami.

– Zimno ci? – spytałem.

– Trochę – szepnęła sennym głosem. – Zmarzłam na pogrzebie.

Odwróciła się do mnie plecami i zwinęła w kłębek, tak jak zawsze.

– Marysia? – szepnąłem, dotykając jej ramienia.

Drgnęła nerwowo i odwróciła głowę. Jej oczy błyszczały w półmroku, duże i piękne, jak u jej matki.

– Dobranoc, tato – powiedziała swoim słodkim, cichym głosem.

Uśmiechnąłem się, choć w środku aż mnie skręcało. Pogłaskałem ją po włosach i zgasilem lampkę.

Zszedłem do kuchni. Musiałem czymś zająć ręce, a zwłaszcza głowę. Otworzyłem okno, wpuszczając lodowate powietrze, które owiało mi twarz. Następnie odkręciłem gaz i zapaliłem palnik. Przysunąłem do niego dłoń, powoli, aż gorąco zaczęło parzyć skórę. To było prawdziwe. Ból był prawdziwy.

– Jezu! Co ja robię! – Odruchowo cofnąłem się i potra-
ciłem krzesło. Uderzyłem w nie kolanem, a ono przechy-
liło się, jakby miało upaść, i...

Zawisło w powietrzu, kilka centymetrów nad podłogą.
Zamrugalem, a krzesło opadło powoli, zbyt wolno, jakby
coś je podtrzymywało, zanim uderzyło o posadzkę.

To stres. To zmęczenie – powtarzałem w myślach.
Oparłem się o blat, próbując złapać oddech. Spojrzałem
na dłoń. Wciąż czułem mrowienie tam, gdzie dotknąłem
ognia, ale skóra była nietknięta. Żadnych śladów, żadnego
zaczerwienienia.

– Co do cholery? – wyszeptałem.

Gdzieś w pobliżu coś się poruszyło. Usłyszałem cichy
szelest, jakby coś przesunęło się po podłodze. Blisko, ale
nie w kuchni. Podniosłem wzrok i zauważyłem, że drzwi
do salonu były uchylone i delikatnie się kołysały, jakby
ktoś przed chwilą przez nie przeszedł. Ruszyłem tam,
choć nogi miałem niczym z ołowiu. W środku panował
półmrok, tylko blask kominka rzucał trochę światła. Na
komodzie stało zdjęcie. Cała nasza rodzina na wspólnym
wypadzie w góry. Podszedłem bliżej, wyciągnąłem rękę,
dotknąłem ramki i podniosłem ją ostrożnie. Na fotografii
powinienem być ja, Kalina i Marysia, ale miejsce, w którym
kiedyś staliśmy, było puste. Widziałem tylko rozmazaną
plamę, jakby ktoś wytarł nas z obrazu. Ramka wypadła mi
z dłoni. Szybka pękła z trzaskiem, a odłamki rozprysły się
po deskach. Fragmenty potłuczonego szkła odbijały blask
kominka, tworząc migoczące plamki na ścianach.

To nie mogło się zdarzyć. Podniosłem ramkę drżącymi rękami, ignorując ból, gdy przeciąłem sobie palec o ostrą krawędź. Krew spłynęła na podłogę, ale nie dbałem o to. Spojrzałem na zdjęcie jeszcze raz, spodziewając się tej samej pustki, tej samej rozmazanej plamy, która wymazała moją rodzinę.

Zdjęcie znów się zmieniło. Znów na nim byliśmy. Staliśmy nad Morskim Okiem, uśmiechnięci, z górami w tle. Marysia w swojej różowej sukience, z warkoczami, ścisnęła moją dłoń. Kalina obejmowała nas oboje, a jej włosy powiewały na wietrze.

– Co jest... – szepnąłem, odkładając ramkę na komodę. Krew z palca kapłała na blat, ale nie mogłem oderwać wzroku od zdjęcia. Usłyszałem kroki. Lekkie, szybkie, jakby bosa stopy uderzały o podłogę. Odwróciłem się gwałtownie, ale salon był pusty. Dźwięki ucichły.

– Marysia? – zawołałem, a głos zadrżał mi pod wpływem emocji.

Nie doczekałem się odpowiedzi. Ruszyłem w stronę schodów. Stopnie zaskrzypiały pod moimi stopami. Dotarłem do pokoju córki i pchnąłem drzwi.

Łóżko było puste. Kołdra leżała zmięta, jakby ktoś odrzucił ją w pośpiechu. Różowa piżamka z misiem była zwinięta w kłębek na poduszce, ale Marysi nigdzie nie było. Okna były zamknięte, a zasłony pozostawały nierucho. Żadnych śladów, żadnego dźwięku. Tylko mój przyspieszony oddech i huk serca pompującego krew.

– Marysia! – wydarłem się na całe gardło. Żadnej odpowiedzi, tylko echo. Obszedłem łóżko i zajrzałem pod nie. Znalazłem jedynie kurz i ciemność. Serce waliło mi jak oszalałe, a w głowie kłębiły się myśli, których nie chciałem dopuścić. Gdzie ona poszła? A jeśli coś jej się stało?

Spanikowałem i zacząłem krążyć po pokoju niczym zwierzę uwięzione w klatce. W głowie pulsował jeden obraz: Marysia, samotna i zmarznięta, gdzieś w tej piekielnej, nielogicznej rzeczywistości, która coraz bardziej wymykała mi się spod kontroli. Wydawało mi się, że uchylone drzwi szafy poruszyły się o milimetr.

– Jesteś tam? – Otworzyłem je szeroko, jednak jej nie znalazłem. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało tak, jak powinno. Do momentu, aż przyjrzałem się dokładniej.

W głębi dostrzegłem coś dziwnego. Wąska, niemal niewidoczna szczelina przecinała tylną ścianę szafy. Moje palce drżały, gdy ją dotknąłem. Okazała się zaskakująco zimna, jakby wysysała ciepło z mojej skóry. Krawędzie zdawały się falować, pulsować, jakby coś pod spodem miarowo oddychało. Przybliżyłem twarz, a z głębi doleciał cichy szum. Nie był to wiatr ani maszyna, ale coś żywego.

– Odezwij się, proszę...

Żadnej odpowiedzi. Przycisnąłem mocniej dłoń do ściany, a szczelina rozchyliła się odrobinę, niczym usta, które chciały mnie pochłonąć. Cofnąłem rękę, a pęknięcie zamknęło się z powrotem, ale szum nie ustał.

Odwrociłem się i rzuciłem zaniepokojone spojrzenie na łóżko. Piżamka mojej córki leżała zwinięta w kłębek. Serce waliło mi w piersi, a w głowie kłębiły się obrazy: Marysia, jej zimne dłonie na cmentarzu, jej puste oczy, jej głos szepczący „Mama śpi”.

Wróciłem do szafy i ponownie ukląknęłam przed szczeliną. Musiałem wiedzieć. Musiałem ją znaleźć. Wsunąłem palce w pęknięcie, ignorując chłód, który przeszył mi rękę aż do łokcia. Ściana ustąpiła, jak coś miękkiego, wilgotnego i żywego. Rozchyliła się szerzej, a szum przeszedł w niski pomruk. Zajrzałem do środka, a ciemność spojrziała na mnie. W jej głębi uformował się kształt przypominający niewielką dziewczynkę o jasnych włosach.

– Marysia! – zawołałem, ale głos wydawał się niezkształcony, jakbym krzyczał pod wodą.

Jej sylwetka zaczęła się oddalać, rozplywając się w mroku. Chciałem sięgnąć głębiej, chwycić ją, ale wtedy usłyszałem coś jeszcze. Stłumiony płacz, odległy, ale boleśnie znajomy. To był głos mojej żony.

– Kalina... – szepnąłem, a szczelina zadrżała mocniej, wyraźnie reagując na jej imię.

Stałem wpatrzony w tę dziwną wyrwę w ścianie szafy, a myśli krążyły wokół jednego pytania: czy obie czekały na mnie po drugiej stronie? Byłem rozdarty między strachem a nadzieją. Jeśli one tam były... Jeśli mogłem je odzyskać... To była jedyna myśl, która popychała mnie do przodu, mimo tego, co podpowiadał rozsądek.

Zrobiłem krok.

A potem drugi.

Czułem, jak mrok mnie pochłaniał, jak zimno przesywało moje ciało. Nie było już ścian szafy, nie było drewna ani podłogi pod stopami. Tylko ciemność, która mnie obejmowała i ciągnęła w głąb. Powoli przesuwałem się coraz głębiej, a cichy płacz Kaliny stawał się coraz wyraźniejszy. Mieszał się z moimi własnymi myślami, aż zaczął sprawiać mi fizyczny ból.

W końcu po tym, co zdawało się wiecznością, mrok ustąpił. Szlochanie, które rozdzierało mi uszy, nagle zamilkło, a jego miejsce zajął rytmiczny, niski dźwięk. Jednocześnie donośny i głęboki, przypominał bicie olbrzymiego serca. Stałem na czymś, co przypominało drewnianą podłogę, ale jej powierzchnia była miękka i zdawała się pulsować, a przy każdym kroku wydawała delikatny, lepki dźwięk.

I wtedy usłyszałem jej głos, dochodzący zza moich pleców.

– Tato...

Marysia!

Stała tuż za mną, nieruchomo, a jej twarz była częściowo ukryta w cieniu.

– Szukałem cię! – zawołałem, obracając się w jej stronę. Jej sylwetka falowała, jakby była tylko odbiciem na powierzchni stawu.

– Co się z tobą dzieje? – wyszeptałem.

– Dlaczego? – odpowiedziała pytaniem.

Zatrzymałem się.

– Dlaczego mnie nie ochroniłeś, tato? – zapytała z wyrzutem, a jej głos stawał się surowy i oskarżycielski.

Chciałem coś powiedzieć, ale gardło mi się zacisnęło. Nie mogłem wykrztusić słowa.

Z mroku wyłoniła się kolejna sylwetka. Kalina. Patrzyła na mnie z tym samym bólem, który widziałem na jej twarzy tamtego cholernego, pechowego dnia.

– To twoja wina – wycedziła przez zaciśnięte zęby. Każde słowo brzmiało ostrzej niż cokolwiek, co kiedykolwiek od niej usłyszałem.

Zrobiłem krok w tył.

– Nie! – zaprzeczyłem. – To nie tak!

Wyparte wspomnienia uderzyły we mnie niczym fala. Widziałem Kalinę, jak wpadała w gniew, krzyczała na Marysię, rzucała czymś o podłogę. Widziałem, jak starałem się ją uspokoić, ale ona wybuchała jedynie złością, a nasza córka płakała.

Nie mogłem nic zrobić. Zanim zdążyłem do nich podbiec, Marysia upadła. A potem Kalina zniknęła, wybiegając z domu i zostawiając mnie samego z ciałem naszej córki.

– To była moja wina – wyszeptałem do siebie, a mrok wokół mnie zadrżał, jakby czekał na te słowa.

Nie zrobiłem wystarczająco dużo. Nie zauważyłem, jak moja żona staczała się coraz głębiej w chorobę. Zostawiłem ją samą z jej bólem, z jej strachem. Mogłem ją uratować. Prawda?

Czułem, jak coś chwyciło mnie za kostki. Spojrzałem w dół i zobaczyłem cienie, które oplotyły moje nogi, wciągając mnie coraz głębiej w pulsujące podłoże. Nie miałem siły walczyć.

– Kocham was...

Ich sylwetki były coraz bardziej rozmazane, coraz mniej realne. Wtedy zrozumiałem. To miejsce nie było rzeczywiste. To był mój własny umysł. Moje wyrzuty sumienia, moje poczucie winy, moje wspomnienia. To wszystko zamknęło mnie tutaj, w tej bezdennej otchłani.

Nie było dla mnie ucieczki.

ALEKSANDRA WOŹNIAK-MARCHEWKA

DZIŚ WIECZOREM W KLUBIE POTĘPIENIE

Miałem wrażenie, że to lokal kręci się wokół mnie. W zwolnionym tempie, trochę jak kadr z filmu Wong Kar Waia, a może Davida Lyncha. Wnętrze lekko zadymione (a przecież w miejscach publicznych nie wolno palić od kilkunastu lat), tapety w kolorze czerwonego wina, delikatny jazz sączący się... no właśnie, skąd? Przy okrągłych, staromodnych stolikach mężczyźni i kobiety, jedni ubrani elegancko, w garnitury i wyjściowe sukienki, inni w dżinsy i koszule. Pochłonięci rozmową tak, że nikt nie zwracał na mnie uwagi.

Rozejrzałem się. Na przeciwległym krańcu sali zobaczyłem scenę, na razie pustą. Zrobiłem parę niepewnych kroków. Jakoś tu dziwnie. Nagle w gwar rozmów wdarł się huk, jakby uderzenie gromu. Rozmowy i muzyka ucichły. Na scenie kłębił się dym, z którego zaczęła wylaniać się postać. Wysoka, potężna, w rozłożystej, brokatowej sukni,

połyskującej przy każdym ruchu. Gdy jej twarz stała się bardziej wyraźna, dostrzegłem mocny makijaż, zniekształcający rysy na tyle, że nie byłem w stanie stwierdzić: kobieta czy mężczyzna. Postać podeszła do mikrofonu i zaczęła zawodzić wysokim, piskliwym głosem. Wwiercał się w głowę jak wiertło dentysty. Więcej nie pamiętam. Obudziłem się, jak zwykle, z pierwszym dzwonkiem budzika.

Przysnąłem w MTR. Niewiele straciłem, za oknem migąły kolejne osiedla, identyczne trzydziestopiętrowe bloki, jakby ktoś skopiował i wkleił. Jak na stażu w HSBC, Ctrl+C, Ctrl+V, Ctrl+V, Ctrl+V, gdybym był świeżo przybyłym do Hongkongu turystą, nawet bym nie zgadł, gdzie właśnie przejeżdżam, Tsing Yi, Mei Foo, Quarry Bay, Kwai Chung, Chai Wan. Ale znałem każdy szczegół, w końcu jeździłem tą trasą już od paru lat, dzień w dzień. Mimo to nigdy dotąd nie zdarzyło mi się przysnąć. Czułem wyjątkowe zmęczenie, chociaż wczoraj poszedłem spać w miarę wcześniej, a po pracy ruszyłem prosto do domu. *No chyba żeby wziąć pod uwagę ten klub ze snu* – uśmiechnąłem się pod nosem. Swoją drogą, dziwny sen. Rzadko zapamiętywałem tyle szczegółów, miałem też wrażenie, że odbieram tę scenę wszystkimi zmysłami – słuch, zapach, smak dymu w powietrzu. Chyba nazywa się

to świadome śnienie, jakoś tak. MTR zajechał właśnie na stację Central. Wysiadłem.

W kieszeni poczułem wibrowanie telefonu.

Tiff: Wpadniesz dzisiaj?

Dave: Sorry, jestem wypluty. Może wyskoczymy gdzieś w piątek?

Tiff: Znowu?

Dave: Sorry, ostatnio bardzo źle śpię.

Tiff: Mogę do Ciebie dziś wpaść, ze mną wypisz się lepiej... Albo właśnie gorzej 😊

Dave: Haha, no właśnie, wolałbym być w pełni sił. To co, piątek?

Tiff: Ok

Byliśmy razem od prawie pięciu lat. Poznaliśmy się na studiach, lubiłem o nas myśleć jak o parze z amerykańskiego filmu. Power couple, oboje inteligentni, zdolni, atrakcyjni, na drodze do sukcesu. Cóż, może jeśli chodzi o to ostatnie, na razie nie wszystko szło zgodnie z planem, ale chyba mieliśmy jeszcze czas.

Znowu to samo wnętrze. Na ścianach obicie z czerwonego aksamitu. Kobieta przy stoliku odwróciła głowę i spojrzała na mnie, a jej usta powoli rozciągnęły się

w szerokim uśmiechu. Zbyt szerokim, jak u Jokera, jakby ktoś przeciął jej kąciki warg. Nie mogłem oderwać oczu od tej twarzy, chociaż czułem, jak ściska mi się żołądek, a ręce zaczynają drżeć. Zaczęła powoli otwierać usta, jakby chciała coś powiedzieć. W tym momencie się obudziłem. Dookoła ciemność. Spojrzałem na zegarek – po trzeciej. Usiadłem na łóżku i oddychałem ciężko, jakbym właśnie zszedł z bieżni, a nie obudził się po kilku godzinach snu. Sięgnąłem po telefon i wpisałem w Google „Świadome śnienie”. „W dziedzinie oniurologii świadomy sen to rodzaj snu, w którym śniący zdaje sobie sprawę, że śni” – przeczytałem na Wikipedii. „To umiejętność, którą można wyćwiczyć. W czasie świadomego śnienia śniący może uzyskać kontrolę nad postaciami, narracją, otoczeniem”. To by się zgadzało. No, jedną postacią. Tylko czemu znowu trafiłem w to samo miejsce?

– Wong!!! Nie płacę ci za drzemki!

Zdezorientowany otworzyłem oczy. Przede mną dwa ekrany komputerów, otwarty Excel i Outlook. Najwyraźniej przysnąłem w pracy. Sam fakt zszokował mnie bardziej niż ta nieprzyjemna pobudka. Manager Chang stał nad moim biurkiem, wyraźnie nie w humorze, a bardziej precyzyjnie, wkurwiony jak sto pięćdziesiąt.

– W przerwach na lunch możesz sobie kimać w socjalnym – kontynuował. – Ale który to już raz przysypiasz

przy biurku? Skończ z nocnym imprezowaniem, czy co ty tam robisz – zaśmiał się znacząco – albo się poważnie zastanowię, czy cię tu w ogóle trzymać – zakończył i dla podkreślenia puenty rzucił na moje biurko plik papierów. Jakieś główniane materiały szkoleniowe z zeszłego tygodnia. Już prawie nie pamiętałem, co to było za szkolenie.

Wstałem i poszedłem do toalety. Ochlapałem sobie twarz wodą i spojrzałem na siebie w lustrze. Co się ze mną dzieje? Przecież byłem ambitny. Staralem się. Wieczorami nie chodziłem na drinka, chyba że ze znajomymi z pracy, żeby budować relacje. Dzieliłem życie między pracę, siłownię, dla utrzymania formy, no i spotkania z Tiffany. Jeszcze parę lat i zaczniemy odcinać kupony, zacznie się nasze prawdziwe życie, takie, jak sobie wypracowaliśmy. Wróciłem do biurka, wciągnąłem głęboko powietrze i wziąłem się do roboty.

Tiffany robiła doktorat na HKU, miała przydzielone mieszkanie w Kennedy Town w ramach stypendium. Proponowała mi, żebyśmy zamieszkali wspólnie, ale uniosłem się honorem. Nie pozwolę jej dojeżdżać godzinę z zaduplastego Yuen Long, a z jej stypendium i moją marną pensją nie będzie nas stać na wiele więcej. Najpierw dostanę awans, będzie mnie stać na wynajęcie dla nas czegoś lepszego, w okolicy Central. Na kontynencie żaden facet nawet nie startuje do dziewczyny, jeśli nie ma mieszkania, prawda? Okej, tak szczerze mówiąc, to chciałem być chociaż w tym lepszy od niej. Chciałem wracać do domu jak poważny CEO jakiegoś HSBC, rzucać

teczkę na sofę, rozluźnić krawat i mówić, jak dzisiaj było ciężko użerać się z zarządem, a ona wtedy będzie patrzeć na mnie z podziwem, byle nie za długo, bo obiad się przypali. Na razie byłem na początku tej drogi.

– Cześć. – Kobieta, która się do mnie przysiadła, wyglądała jak żywcem wyjęta z *Chungking Express*. Farbowane na blond kręcone włosy, ciemne okulary i czerwona szminka. – Chyba jesteś stałym bywalcem?

Kiwnąłem głową zrezygnowany.

– Wyglądanato, że dość często tu...wpadam – odparłem.

– Powinieneś spróbować lokalnego specjału. – Uśmiechnęła się szelmowsko, po czym machnęła ręką. – Barman! Jedno Braemar Hill!

Spojrzałem na nią zdziwiony. Raczej to ja przysiadłem się do kobiet i zamawiałem im drinki. To znaczy, zanim zainwestowałem cały swój czas i energię w związek z Tiffany.

– Oj, co tak patrzysz, jakbyś był tu za karę? – Roześmiała się, jakby właśnie padł świetny żart. Wzruszyłem ramionami.

– Jak masz na imię?

– Nancy – uśmiechnęła się. – Mogłeś już coś o mnie słyszeć.

– Chyba nie bywam tu na tyle często.

Pokręciła głową, ale nie zdążyła się odezwać, bo barman postawił przed nami dwie szklanki wypełnione bordowym płynem. Sok pomidorowy? Chyba nie... Podniosłem szklankę.

– Trochę dziwna konsystencja – mruknąłem, oglądając pod światło, jak gęsty, rdzawy płyn zostawia na szkle czerwone ślady. – Co to właściwie jest?

– Jak to co? – zaśmiała się znowu Nancy. – Krew.

Muszę z kimś o tym porozmawiać – pomyślałem, patrząc beznamietnie, jak za oknem przesuwiają się rzędy jednolitych, betonowych wieżowców. Sen prześladował mnie już od kilku nocy. Kilkunastu może. Do tego budziłem się zmęczony, jakbym naprawdę spędził noc w klubie. A dzisiaj nawet skacowany. Ja pierdołę. Skacowany, bo piłem drinka we śnie. Co za bzdura. Może jednak komuś o tym powiem, tak w ramach ciekawostki. Sięgnąłem po telefon, otworzyłem Whatsapp.

Dave: Muszę ci coś powiedzieć. Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale coś dziwnego się ostatnio dzieje. W 1999 roku hostessa Fan Man Yee została porwana spod klubu, w którym pracowała. Kilku mężczyzn przez miesiąc przetrzymywało ją i torturowało, aż wreszcie rozczłonkowali jej ciało, a czaszkę ukryli wewnątrz maskotki Hello Kitty.

Tiff: Co???

Spojrzałem na swoją wiadomość. Nie, to nie było to, co napisałem. Nie ma, kurwa, opcji. Nabrałem powietrza w płuca i wypuściłem je powoli. Wystukałem numer Tiffany. Odebrała po kilku sygnałach.

– Dave, co ty odwalasz? Co to za wiadomość? – rzuciła bez przywitania.

– Nie wiem! – prawie krzyknąłem. Czułem już, jak frustracja zaczyna we mnie kipieć. – Nie to chciałem ci napisać, słuchaj...

– Naoglądałeś się seriali kryminalnych? – zaśmiała się. Zacisnąłem usta. Nie powinienem się na nią złościć, przecież wyraźnie widziałem, jaką wiadomość do niej wysłałem.

– Posłuchaj – wycodziłem, siłąc się na spokojny ton. – Szesnastoletnia Kiki Wong, licealistka z biednej rodziny, urodzona na kontynencie, oferowała seks za pieniądze, aby się utrzymać.

Nie panowałem nad swoimi słowami. Nie znałem żadnej Kiki, chciałem opowiedzieć Tiffany o moich problemach.

– Co? – przerwała mi, ale słowa dalej same płynęły z moich ust.

– ...została uduszona przez klienta, który następnie poćwiartował jej ciało, część spuścił w toalecie, a głowę i wnętrzności wrzucił do morza...

– Kurwa, Dave! O co ci chodzi? Czemu mi to opowiadasz? – krzyknęła Tiffany.

Rzuciłem telefon na łóżko i ukryłem twarz w dłoniach. Co się działo? Zwariowałem? Przecież mi się nie wydawało. Jak jakaś magia. Może i magia.

Znowu siedziałem przy barze. Na scenie postać w purpurowej sukni śpiewała operową arię.

– Hej – usłyszałem głos młodej dziewczyny. – Mogę?

Zanim zdążyłem zareagować, usiadła na krześle obok. Na oko dwadzieścia lat, uśmiechała się trochę jakby zaczepnie.

– Jestem Annie – rzuciła.

– Dave – odparłem. Ok, świadome śnienie, mogę sterować swoim zachowaniem jak w grze. Może czegoś się dowiem. Na przykład dlaczego mój mózg generuje ciągle tę samą wizję.

– Jeszcze nie przyszła? – spytała Annie, ze wzrokiem utkwionym w swoim drinku, zawzięcie mieszając go rurką.

– Kto?

– No, dziewczyna, która cię tu ściągnęła.

– Z nikim się nie umawiałem.

Spojrzała na mnie, a w jej wzroku zobaczyłem coś jakby lekką drwinę.

– Och, nie musiałeś się umawiać. Co jej zrobiłeś?

– Nie wiem. A ty? Co Tu robisz?

– Autobus linii 118. Kojarzysz?

Pokręciłem głową.

– On też tu przychodzi – kontynuowała, chociaż nie miałem pojęcia, o co jej chodzi. – Teraz musi co wieczór. Pierwszy raz zjawił się zaledwie kilka dni po mnie, więc nie czekałam długo. Nie powiem, lubię patrzeć, jak się miota.

Zachichotała, po czym zamilkła na moment. Znowu spojrzała na swój kieliszek. Wydawało mi się, czy jej drink zmienił kolor? Był chyba przezjrysty, a teraz bordowy. Podniosła wzrok na mnie. Otworzyła usta, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć.

Diwa w purpurze weszła właśnie na tak wysoki ton, że butelki na ścianie za barem zaczęły drżeć. Nagle oczy Annie wywróciły się białkami do góry, a pomiędzy warg zaczął wypełzać ciemny kształt. Wzdrygnąłem się, ale nie mogłem wstać, byłem jak przyklejony do stołka. Kurczowo ścisnąłem w dłoni szklanę. Kieliszek Annie pękł, rozpryskując dookoła szkło, a kształt wychodzący z jej ust robił się coraz większy, kotłował się, rozpychał. Wreszcie rozłożył czarne skrzydła, na których miał jasne plamy przypominające oczy, jakby nakreślone przez malarza impresjonistę. Motyl zatrzepotał, patrząc na mnie niewidzącymi ślepiami.

Obudziłem się gwałtownie. W pokoju było ciemno, chociaż przez okno wpadała smuga światła z ulicy.

Sięgnąłem po telefon. Przed czwartą. Wystukałem w wyszukiwarce „Autobus 118 Hongkong”. Znowu przeszedł mnie dreszcz, gdy zobaczyłem nagłówki: „Morderstwo w autobusie 118”, „Szokująca historia studenta, który zamordował pielęgniarkę”, „Inżynier winny zabójstwa partnerki”. W 2017 Ng Yan-kin na górnym pokładzie piętrowego autobusu linii 118 zadał trzydzieści trzy ciosy nożem swojej dziewczynie, Annie Li Sin-heng, po czym ugodził sam siebie i wyskoczył przez okno. Ja pierdołę, dość. Odłożyłem telefon i próbowałem zasnąć. Nie udało się.

Dziad zrobił zadumaną minę, po czym westchnął i pokręcił głową.

– Wygląda na kłatwę. Chyba się komuś naraziłeś, co? Jakiejś kobiecie? To najczęściej są kobiety.

Westchnąłem. Może to nie był dobry pomysł, żeby iść do egzorcysty.

– Nie... – Pokręciłem głową. – Mam tę samą dziewczynę od kilku lat i dobrze nam się układa. Są jakieś koleżanki z pracy, ale nie wchodziłem z nimi w żadne głębsze relacje.

Czy w moim życiu były teraz w ogóle jakieś kobiety poza Tiffany? Nikt, kto by miał znaczenie. Wystarczająco się wybawiłem na studiach, taki zresztą był plan – krótki, intensywny epizod imprez i randek, żeby potem znaleźć dziewczynę na stałe, taką, która dobrze rokuje. Lean management, zero marnotrawienia czasu.

– Może jakaś sprawa sprzed lat? – Egzorcysta podniósł brew. – Zawiedziona miłość?

– Całkiem sporo dziewczyn mogło na mnie lecieć lata temu – uśmiechnąłem się półgębkiem. – Skąd miałbym wiedzieć, o którą chodzi? To jak szukanie igły w stogu siana.

Egzorcysta pokręcił wolno głową.

– Oj nie – westchnął. – To musiały być wyjątkowo silne emocje. Dziewczyna, którą pan zdradził, porzucił, zrobił jej nadzieję, coś takiego. Na pewno nie zwykle nieodwzajemnione zauroczenie.

Pomyślałem o Elsie Lam. Dziewczynie, która była we mnie zakochana na studiach. Nie zwracałem na nią uwagi, bo w mojej głowie była tylko Tiffany. Byłem przystojny, popularny, dobrze radziłem sobie z nauką, grałem w uniwersyteckiej drużynie piłki nożnej. Powinienem więc mieć kobietę równie popularną, inteligentną i atrakcyjną. Albo bardziej. Jak Tiffany, a nie zwykłą, przeciętną, jak Elsie. Elsie była teoretycznie całkiem ładna. Miała drobną, trójkątną twarz i duże oczy. Uczyła się nieźle, ale nie wybitnie. Z kimś tam się przyjaźniła, wychodziła z kimś na drinka, ale w sumie nie błyszczała ani na zajęciach, ani na imprezach. Nie było w niej nic, czym mógłbym się zainteresować. A ja miałem ambicje.

Kiedy Tiffany wchodziła, nieważne, czy do sali wykładowej, czy do pubu, wszystkie oczy zwracały się na nią. Nie, nie była tym typem super laski, o której faceci gadali przy

piwie, czego to by z nią nie robili, po prostu miała w sobie coś takiego... Kiedy o czymś mówiła, wszyscy słuchali i nikt nie ważył się przerwać, kiedy śmiała się z żartu, wszyscy dołączali, kiedy się z czymś nie zgadzała, nikt nie podważał jej opinii. To była kobieta, o której marzyłem: silna, inteligentna i ambitna. Wiedziałem, że przy niej i ja taki się stanę. Nie potrzebowałem przeciętności.

– Może i był ktoś taki... – zacząłem niepewnie. Facet gorliwie pokiwał głową. – Ale nie ma powodu, żeby miała się na mnie mścić...

Kąciki ust egzorcysty uniosły się lekko i opadły, jakby powstrzymał uśmiech cisnący mu się na twarz. Wbiłem paznokcie prawej dłoni w grzbiet lewej. Co ten staruch chciał powiedzieć? Że wie lepiej niż ja? Zresztą, nawet jeśli to Elsie... Ja pierdołę. Przycisnąłem palce jeszcze bardziej, aż zostały mi później ślady. Czy ja naprawdę rozważam tajemniczą klątwę? Bo mam stresujący okres w pracy i źle śpiam? Nagle zaświtała mi w głowie myśl.

– Czemu akurat teraz? – spytałem. – Czemu po kilku latach? Załóżmy, że to prawda, że faktycznie istnieje jakaś klątwa. Jeśli to ta dziewczyna, o której myślę, albo jakakolwiek inna z przeszłości, dlaczego zrobiła to właśnie teraz, a nie wtedy, kiedy żywiła największy żal?

Staruch przechylił głowę, jak ciekawie spoglądający ptak. Jakby się zastanawiał, czemu nie wiem czegoś tak oczywistego.

– Bo teraz nie żyje – odpowiedział w końcu.

– Co to za pierdolenie... – mruczałem do siebie, wstukując wyszukiwarkę nazwisko Elsie Lam.

Wiedziałem, że to nie będzie łatwe, w końcu pewnie z 10% żeńskiej populacji Hongkongu się tak nazywa. Dobra, trzeba spróbować na Facebooku. Nie miałem jej w znajomych – ale ktoś z moich mógł mieć. Przeciągnąłem dłonią po twarzy. Jaki mógł być łącznik między nami? Ktoś, kto równocześnie zadawał się ze mną i z Elsie, no i przetrwał moje czystki na Facebooku, gdy powywaliałem wszystkich, z którymi znajomość w żaden sposób nie rokowała.

Aż podskoczyłem, gdy pokój przeszył dzwonek mikrofalówki. Pakowany obiad z 7-eleven był gotowy do spożycia. Musiał jednak poczekać, bo w mojej głowie też zabrzmiał dzwonek. Natalie Chan. Dziewczyna, która przyjaźniła się z Elsie, ale często razem imprezowaliśmy. Znalazłem ją na Facebooku i napisałem krótką wiadomość, że tak sobie ostatnio myślałem, co u znajomych ze studiów. Co tam u niej, no i czy wie, co u innych. Wywiązała się wymiana zdań, a ja aż przebierałem nogami, aż dojdziemy do tematu Elsie.

Natalie: A, ty nic nie wiesz...

Natalie: Elsie nie żyje

Dave: OMG, straszne... Co się stało?

Natalie: Wpadła pod samochód. Zginęła na miejscu

Natalie: Gdzieś na New Territories, nie wiadomo, co tam w ogóle robiła, była sama

Natalie: To było całkiem niedawno, jakieś dwa tygodnie temu

Dave: Masakra...

Natalie: A czemu w ogóle o nią pytasz?

Natalie: Nie wiem, co tam dokładnie zaszło, ale wiem, że, delikatnie mówiąc, nie przepadała za tobą.

Skrzywiłem się i sięgnąłem pałeczkami do pudełka z makaronem. Co to za bzdura? Podobałem jej się, wiem o tym. I co niby mogło między nami takiego zająć?

Dave: Chodziło o Tiffany? Przecież od początku wiedziała, że kogoś mam. Nie dawałem jej żadnych nadziei

Natalie: Heh, zawsze miałeś wielkie ego

Natalie: Może i na początku trochę jej się podobałeś czy coś, ale na pewno nie było to nic wielkiego

Natalie: A w pewnym momencie na sam dźwięk twojego imienia milkła i zaczynała się dziwnie zachowywać

Natalie: I to się stało jakby z dnia na dzień

Natalie: Zrobiłeś jej coś?

Dave: Daj spokój

Dave: Po prostu była zazdrosna i tyle

Natalie: Myślałam, że odezwały się w tobie wyrzuty sumienia, ale widzę, że nadal jesteś takim samym dupkiem jak wtedy

Zamarłem z porcją makaronu w pół drogi do ust. Dwie nitki wypadły mi spomiędzy palców na biurko. Ja, dupkiem? W ogóle co to za insynuacje, że zrobiłem coś Elsie?

No dobra, faktycznie nie powiedziałem całej prawdy. Kiedyś przespaliśmy się na imprezie, Elsie i ja. Co prawda spotykałem się już z Tiffany, ale oboje z Elsie byliśmy pijani, więc po wszystkim zdecydowałem, że po prostu nikomu o tym nie powiem. Pewnie narobiłem jej nadziei, wiem, to nie było odpowiedzialne z mojej strony, ale cóż, stało się. Nie powinna mieć do mnie o to żalu, prawda? W końcu oboje byliśmy dorośli, trzeba ponosić odpowiedzialność za swoje czyny.

Patrzyliśmy na rozświetloną panoramę Central na drugim brzegu Victoria Harbour.

– Ten widok nigdy mi się nie znudzi – powiedziała Tiffany, biorąc mnie pod rękę.

Spotkaliśmy się zaraz po pracy. Chciałem się wykręcić. Nie lubię pokazywać się jej w takim stanie – zmęczony, niewyspany, zestresowany. Myślałem ciągle o wizycie u egzorcysty i rozmowie z Natalie. Odwalało mi już od tego ciągłego kieratu? Dlaczego nie byłem w stanie powiedzieć Tiffany o moich dziwnych snach? A może mi się tylko wydawało, może ta rozmowa nie miała miejsca? Kiedy

przeglądałem potem wiadomości na komunikatorze, nie widziałem, żebym kiedykolwiek o tym wspominał.

Bałem się spytać Tiffany o tamtą rozmowę. Albo wyjdę na wariata, albo... Albo to się stanie znowu. Na Alei Gwiazd kręciło się mnóstwo turystów. Chińczycy krążyli z selfie-stickami, głośno do siebie nawołując. Europejczycy pozowali przy posągach, bo nazwiska przy odciskach dłoni lokalnych gwiazd pewnie nic im nie mówiły.

– Idziemy jeszcze na drinka? Czy jedziemy do ciebie? – spytała Tiffany.

Objąłem ją i przycisnąłem do siebie.

– Jedziemy. Stęskniłem się.

Znowu to samo. Znowu byłem tam, oddychałem zadytmionym powietrzem, które szczypało w oczy. Zobaczyłem w głębi sali Nancy, która przechadzała się między stolikami. Wszystko działo się w zwolnionym tempie. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Wtedy po kolei zaczęły odwracać się inne twarze, niektóre stare i poorane zmarszczkami, inne młodsze, wiele z nich zniekształconych mocnym makijażem. Zaczęły wykrzywiać się w grymasie, po czym wybuchły śmiechem. Dziwnym, zwolnionym, niepokojącym. Chciałem wyjść, uciekać, ale nogi miałem jak przyspawane do podłogi.

– Gdzie byłeś w nocy? – spytała, włączając ekspres do kawy.

– Co??? – prawie krzyknąłem, ale i tak mielenie ziaren mnie zagłuszyło.

Tiffany poczekała, aż kawa wypełni filiżankę, chwyciła ją i odwróciła się w moją stronę. Oparła się o blat, podniosła kawę do ust i upiła łyk. Wpatrywaliśmy się w siebie, oboje z niemym pytaniem w oczach.

– Co powiedziałaś? Jak to, co robiłem w nocy? – podjąłem w końcu.

– Obudziłam się ze trzy razy i cię nie było – powiedziała trochę podejrzliwie. – Nie widziałam nigdzie światła, więc...

Wbiłem wzrok w podłogę. Chciałem jej opowiedzieć o wszystkim, o klubie, który śnił mi się prawie co noc, o dziwnych rozmowach, o Elsie...

– Wychodziłeś gdzieś palić, tak? Bo wali od ciebie fajkami.

O duchu Elsie, zemście Elsie? Okej, to nie do końca było tak. Elsie była tak pijana, że prawie nieprzytomna. Ale czy mogła mieć do mnie żal? Przecież to było to, czego chciała. A może nawet nic nie pamiętała, może nawet nie wiedziała, że uprawialiśmy seks. A jeśli wiedziała, to nie widzę powodu, żeby się na mnie mściła. Oboje byliśmy przecież pijani.

Zobaczyłem ją w tłumie. Jak w filmie, widziałem tylko poruszające się w niemej rozmowie usta ludzi siedzących przy stolikach, kelnerki w zwolnionym tempie lawirowały między nimi, a w tle, w głębi, na czerwonej, welurowej kanapie siedziała ona.

W czarnej sukience bez rękawów, z lekko pochyloną głową, długie czarne włosy leciały jej na twarz. Rozczapierzone dłonie spoczywały na kolanach. Jak lalka. Podniosła głowę. Usta rozciągnięte w uśmiechu. Nienaturalnym, upiornym. Oczy pozostały martwe, wpatrywały się prosto mnie. Odwróciłem się i ruszyłem biegiem przed siebie. W panice, dokądkolwiek, do wyjścia. Wpadłem w rozwidlający się korytarz, ale gdy skręciłem w prawo, wpadłem na ścianę.

Ślepy zaułek. Pobiegłem z powrotem. Kolejne rozdroże. Znowu to samo. Miotalem się ze łzami w oczach, nie wiedząc, dokąd uciec. Dookoła nie było nikogo, ale wiedziałem, czułem, że ona wstała i idzie teraz do mnie. Że ciągle się uśmiecha, tak przerażająco i upiornie, ręce zwisają bezwładnie wzdłuż ciała, ale stawia krok za krokiem, powoli, bo wie, że jej nie ucieknę. Skuliłem się pod ścianą. Drżącymi dłońmi wyciągnąłem z kieszeni telefon. Trzęsły się tak, że nie byłem w stanie znaleźć numeru Tiffany. W końcu się udało. Odebrała po kilku sygnałach.

– Ona tu jest! – krzyknąłem płaczliwie do słuchawki.

Kto? Gdzie jesteś? – usłyszałem zaspany głos Tiffany.

– Wyciągnij mnie stąd! – błagałem, ryjąc paznokciami czerwoną tapetę, jakbym pod nią miał znaleźć drzwi. – Ona mnie zabije!

Nie byłem całkiem szczery. Elsie nie była całkiem nieprzytomna, kiedy uprawialiśmy seks. Powiedziała chyba, że nie chce. Ale tak cicho, niewyraźnie, mogłem tego nie słyszeć. Być może nawet próbowała mnie odepchnąć, nie pamiętam dokładnie, w końcu byłem pijany. Może nawet mnie uderzyła? Nie wiem. Kiedy się obudziłem, to miałem jakieś ślady na twarzy i ciele. Coś sobie przypominam, że chyba mnie podrapała, ale może sobie to wymyśliłem. Nawet jeśli, to przecież nic takiego się nie stało. To nie powód, żeby mnie nawiedzać po śmierci. Nie powód, żeby mi niszczyć życie.

– Dave, kurwa, co jest? Gdzie ty jesteś? Co się stało? – Tiffany przebudziła się w dosłownie w kilka sekund. Szloch ścisnął mi gardło, wydobywało się z niego tylko niehumanne wycie.

– Zrób... coś – wykrztusiłem w końcu.

SPIS TREŚCI

Dariusz Jacek Bednarczyk	
<i>Izolatorium</i>	4
Janusz Borys	
<i>Jej podpis</i>	13
Alicja Broncel	
<i>Sala numer dwanaście</i>	28
D.A.Recki	
<i>Biały korytarz</i>	60
Dawid Dyrzcz	
<i>Koszerna masarnia starego Jakuba</i>	73
Adrian Iwaniak	
<i>Dotarłem do granicy poczytalności, do miejsca z czarnej materii koszmarów</i>	81
Dariusz Jakubik	
<i>Litania spod warstw pleśni</i>	115
Marcin Karaśkiewicz	
<i>Brama</i>	122
Jarek Klonowski	
<i>Puszka Pandory</i>	133

Daniel Kordowski	
<i>Łzy nas nakarmią</i>	191
Agata Kubala	
<i>Kabina</i>	225
Livia Lejkowska	
<i>A pociąg jedzie dalej</i>	248
Michał Lipka	
<i>Backworld</i>	263
Sumire Kuronuma	
<i>Dziewięć ścieżek</i>	286
Paweł Liwski	
<i>Nietrwałość</i>	307
Adam Loraj	
<i>Chatka, w której dorosliśmy</i>	316
Marcin Bartosz Łukasiewicz	
<i>Ulica Ginących Zawodów</i>	346
Krzysztof Maciejewski	
<i>Zwierzęta z pogranicza</i>	363
Wojciech Moska	
<i>Ciemniki, łapszcze, szczelinowce</i>	366
Olaf Pajęczkowski	
<i>Wieczność</i>	381

Jarosław Adam Pankowski	
<i>Biblioteka</i>	407
Empomjan	
<i>Uczta Tereski W.</i>	426
Kamil Radoń	
<i>Szczelina za szafą</i>	443
Aleksandra Woźniak-Marchewka	
<i>Dziś wieczorem w klubie Potępienie</i>	454